



STEPHEN
KING

OCZY SMOKA

O książce

Historia dla dzieci i dorosłych - o smokach, dwugłowych papugach, magii, królach i książętach

Nawiązująca do klasycznych baśni powieść fantasy, w której pojawia się postać czarnoksiężnika znana z **Bastionu** i cyklu **Mroczna Wieża**

W **Oczach smoka** Stephen King udowadnia, że świetnie sobie radzi z każdą konwencją literacką.

Król nie żyje, zatruty Smoczym Piaskiem, na który nie ma lekarstwa...

Po śmierci dobrego króla Rolanda wybrany przez niego następca, starszy syn Peter, zostaje oskarżony o otrucie ojca zamknięty w celi na szczycie wieży. Tymczasem winny zbrodni jest czarnoksiężnik Flagg, który ma swój plan. Chce osadzić na tronie młodszego brata Petera i zostać jego doradcą. Przejmując stopniowo władzę nad królestwem Delainu, oddaje się swoim ulubionym rozrywkom – prowokuje konflikty, przygląda się rozlewowi krwi... Do czasu aż prawowity następca tronu ucieka z wieży, by stawić mu czoła...

STEPHEN KING

OCZY SMOKA

Z angielskiego przełożyła
SYLWIA TWARDO



Wydanie elektroniczne

STEPHEN KING

Wybitny pisarz amerykański, nazywany Królem Horroru, został w 2003 r. uhonorowany prestiżową nagrodą literacką National Book. Światową sławę przyniosła mu wydana w 1973 r. powieść **Carrie**. Kolejne utwory – powieści, zbiory opowiadań i komiksy – opublikowano w setkach milionów egzemplarzy i przetłóżono na kilkadziesiąt języków. Są wśród nich tak znane książki, jak: **Lśnienie**, **Sklepik z marzeniami**, **Bastion**, **Zielona Miła**, **Desperacja**, **Komórka**, **Uciekinier**, **Pod kopułą**, **Czarna bezgwiezdna noc**, **To**, **Cujo**, **Pan Mercedes**, **Znalezione nie kradzione** i ośmiotomowy cykl fantasy **Mroczna Wieża**.

Proza Kinga należy do najczęściej ekranizowanych, a wśród reżyserów, którzy podejmowali się tego zadania, znaleźli się Brian de Palma, Stanley Kubrick czy David Cronenberg.

Pod pseudonimem Richard Bachman King opublikował siedem powieści.

Na podstawie **Pana Mercedes**a – odznaczonego Edgar Allan Poe Award dla najlepszego kryminału 2014 r. – powstaje miniseriał w reżyserii Jacka Bendera (twórcy *Lost*).

www.stephenking.com>

www.stephenking.pl>

ROSE MADDER
DOLORES CLAIBORNE
GRA GERALDA
DESPERACJA
REGULATORZY
SKLEPIK Z MARZENIAMI
BEZSENNOŚĆ
ZIELONA MIŁA
MARZENIA I KOSZMARY
KOMÓRKA
CZWARTA PO PÓŁNOCY
CHUDSZY
TO
BASTION
OCZY SMOKA
PO ZACHODZIE SŁOŃCA
CZTERY PORY ROKU
UCIEKINIER
CZARNA BEZGWIEZDNA NOC
CUJO
PODPALACZKA
ROK WILKOŁĄKA
MROCZNA POŁOWA
WOREK KOŚCI
DZIEWCZYNA, KTÓRA KOCHAŁA TOMA GORDONA
NOCNA ZMIANA
ŁOWCA SNÓW
OSTATNI BASTION BARTA DAWESA
BLAZE
PAN MERCEDES
ZNALEZIONE NIE KRADZIONE

ROLAND
(oraz SIOSTRZYCZKI Z ELURII)
POWOŁANIE TRÓJKI
ZIEMIE JAŁOWE
CZARNOKSIĘŻNIK I KRYSZTAŁ
WIATR PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
WILKI Z CALLA
PIEŚŃ SUSANNAH
MROCZNA WIEŻA

Powieści graficzne MROCZNA WIEŻA

NARODZINY REWOLWEROWCA
DŁUGA DROGA DO DOMU
ZDRADA
UPADEK GILEAD
BITWA O JERICHO HILL
POCZĄTEK PODRÓŻY
SIOSTRZYCZKI Z ELURII
BITWA O TULL

Wyłącznie jako audiobook i e-book

Stephen King, Joe Hill
W WYSOKIEJ TRAWIE

Stephen King, Stewart O'Nan
TWARZ W TŁUMIE

Tytuł oryginału:
THE EYES OF THE DRAGON

Copyright © Stephen King 1987
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014

Polish translation copyright © Sylwia Twardo 2010

Redakcja: Dorota Stańczak

Ilustracja na okładce: Dariusz Kocurek

Opracowanie graficzne okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-280-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie

w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

*Poświęcam tę książkę
swojemu serdecznemu przyjacielowi Benowi Straubowi
oraz córce Naomi King*

Więcej na: www.ebook4all.pl

1

Dawno, dawno temu, w kraju zwanym Delain, żył sobie król, który miał dwóch synów. Delain było bardzo starym królestwem i miało już setki władców, a może i całe tysiące; jeśli coś trwa dostatecznie długo, nawet historycy nie potrafią spamiętać wszystkiego. Roland Dobry nie był ani najlepszym, ani najgorszym władcą, jaki rządził tym krajem. Bardzo starał się nie wyrządzić nikomu krzywdy — i w zasadzie to mu się udawało. Pragnął też dokonywać wielkich czynów, ale, niestety, pod tym względem raczej się królowi nie wiodło. W rezultacie był poślednim władcą; wątpił, czy po śmierci będzie długo pamiętany. A śmierć mogła nastąpić w każdej chwili, bo postarzał się i szwankowało mu serce. Został Rolandowi może rok, a może trzy lata życia. Każdy, kto go znał, i każdy, kto przyjrzał się jego poszarzałej twarzy i drżącym rękoma, zgadzał się, że najdalej za pięć lat nowy król zostanie ukoronowany na wielkim placu u stóp Iglicy... i że będzie to łaska boska, jeśli nie stanie się to wcześniej. Tak więc wszyscy w królestwie, od najbogatszego barona i najbardziej wystrojonego dworaka po najuboższego chłopca poddanego i jego obdartą żonę, myśleli i mówili o następcy tronu, starszym synu Rolanda, Peterze.

Jeden człowiek zaś myślał, planował i głowił się nad innym problemem: jak sprawić, żeby młodszy syn Rolanda, Thomas, został władcą zamiast Petera. Człowiekiem tym był królewski czarnoksiężnik Flagg.

Chociaż Roland był stary — przyznawał się do siedemdziesiątki, ale z pewnością przekroczył już ten wiek — jego synowie mieli niewiele lat. Król ożenił się późno, gdyż nie spotkał kobiety, która by mu się spodobała, a jego matka, wielka królowa wdowa z Delainu, wydawała się Rolandowi i wszystkim innym, nie wyłączając jej samej, osobą nieśmiertelną. Rządziła królestwem już pięćdziesiąt lat, gdy pewnego dnia podczas podwieczorku włożyła do ust świeżo ukrojony kawałek cytryny, aby złagodzić kłopotliwy kaszel, który dokuczał jej w ciągu ostatniego tygodnia, a może trochę dłużej. Ów podwieczorek uświetniał, ku rozrywce królowej wdowy i jej dworu, pewien żongler. Zręcznie manipulował pięcioma sprytnie wykonanymi kryształowymi kulami. Dokładnie w chwili gdy królowa wkładała sobie do ust plasterek cytryny, żongler upuścił jedną ze swych szklanych piłeczek. Roztrzaskała się na kamiennej posadzce wielkiej Sali Wschodniej z głośnym hukiem. Zaskoczona tym królowa wdowa wciągnęła powietrze, a jednocześnie do tchawicy wpadł jej kawałek cytryny, którym się udławiła. Cztery dni po jej śmierci odbyła się koronacja Rolanda na placu Iglicy. Żongler jej nie oglądał, gdyż trzy dni wcześniej został ścięty na katowskim pnium, umieszczonym na tyłach Iglicy.

Król bez następców wywołuje u wszystkich niepokój, zwłaszcza gdy liczy sobie pięćdziesiąt lat i dobrze już wyłysiał. Tak więc w żywotnym interesie Rolanda leżało jak najprędzej się ożenić i mieć wkrótce potomka. Jego najbliższy doradca, Flagg, jasno mu to wykazał. Ponadto uzmysłowił władcy, że osiągnąwszy lat pięćdziesiąt, ma niewiele czasu na spłodzenie następcy. Flagg poradził królowi, żeby szybko brał sobie żonę, nie czekając na damę ze szlacheckiego rodu, która mu się spodoba. Jeśli dama taka mu się nie trafiła, zanim dobiegł pięćdziesiątki, powiedział Flagg, to prawdopodobnie nie pojawi się już nigdy.

Roland docenił mądrość tej rady i zgodził się z nią, nie mając ani przez moment pojęcia, że Flagg, osobnik o rzadkich włosach i bladej twarzy, prawie zawsze ukrytej pod kapturem, wiedział o jego najtajniejszym sekrecie: król nigdy nie spotkał pani swoich snów, albowiem nigdy naprawdę o niej nie marzył.

Kobiety napawały go niepokojem. I nigdy nie podobała mu się czynność, dzięki której w brzuchach kobiet pojawiają się dzieci. Czynność ta również budziła w nim uczucie niepewności.

Dostrzegł jednakże mądrość zawartą w radach czarnoksiężnika i sześć miesięcy po pogrzebie królowej wdowy w Delainie odnotowano znacznie szczęśliwsze wydarzenie — zaślubiny króla Rolanda z Sashą, kobietą, która miała zostać matką Petera i Thomasa.

Rolanda nie darzono ani miłością, ani nienawiścią, Sashę natomiast kochali wszyscy. Gdy umarła przy urodzeniu drugiego syna, królestwo ogarnęła najczarniejsza żałoba, która trwała przez rok i dzień. Sasha była jedną z sześciu kandydatek na żonę, które Flagg podsunął królowi. Roland nie znał żadnej z nich, a wszystkie należały do tej samej klasy i grupy majątkowej. W żyłach ich wszystkich płynęła też szlachecka krew, lecz żadna z dam nie wywodziła się z królewskiego rodu; każda była łagodna, przyjemna i cicha. Flagg nie sugerował nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce w pobliżu królewskiego ucha. Roland wybrał Sashę, gdyż zrobiła wrażenie najcichszej i najłagodniejszej z całej szóstki i budziła w nim najmniejszy lęk. Pobrali się więc. Sasha pochodziła z Zachodniej Baronii (bardzo niewielkiej) i miała lat siedemnaście, o trzydzieści trzy mniej niż jej mąż. Przed nocą poślubną nigdy nie widziała mężczyzny bez spodni. Gdy przy owej okazji ujrzała sflaczały członek swego małżonka, spytała z wielkim zainteresowaniem: „Co to jest, mężu?”. Gdyby powiedziała cokolwiek innego albo zadała pytanie nieco innym tonem, wydarzenia tamtej nocy, a zarazem cała ta historia mogłyby przybrać zupełnie inny bieg; pomimo specjalnego napoju, który Flagg dał królowi godzinę wcześniej, pod sam koniec uczty weselnej, Roland mógłby po prostu dyskretnie zwiąć. Gdy ujrzał swą żonę dokładnie taką, jaka była — bardzo młodą dziewczynę, która wiedziała jeszcze mniej na temat robienia dzieci niż on sam, i zauważył też, że usta jej wyrażają życzliwość, więc pokochał ją, jak wszyscy inni w Delainie mieli ją pokochać.

— To Żelazo Króla — powiedział.

— Nie jest podobne do żelaza — orzekła z powątpiewaniem Sasha.

— Jeszcze nie jest wykute — odparł.

— Aha, a gdzie kuźnia?

— Jeśli mi zaufasz — powiedział, kładąc się do łóżka obok niej — pokażę ci, bo sprowadziłaś ją z sobą z Zachodniej Baronii, chociaż nic o tym jeszcze nie wiesz.

3

Lud Delainu pokochał królową Saszę, bo była dobra i życzliwa. To ona założyła Wielki Szpital, to ona tak długo płakała nad okrucieństwem szczucia niedźwiedzi, aż król wreszcie go zakazał, ona też wyblagała umorzenie podatków królewskich w roku wielkiej suszy, gdy nawet liście Wielkiego Starego Drzewa poszarzały. Czy Flagg knuł przeciwko niej, zapytacie? Z początku nie. Sprawy te z jego punktu widzenia nie znaczyły prawie nic, albowiem był on prawdziwym czarnoksiężnikiem i żył już od setek lat.

Pozwolił więc nawet na umorzenie podatków, gdyż rok wcześniej flota Delainu zmiotła z powierzchni ziemi piratów anduańskich, którzy dręczyli południowe wybrzeża królestwa od ponad stu lat. Czaszka króla Andui szczyrzyła zęby z pała umieszczonego za murami pałacu, a skarbiec Delainu wzbogacił się o liczne łupy. Przy ważniejszych problemach, sprawach wagi państwowej, nadal to usta Flagga znajdowały się najbliżej ucha króla Rolanda, więc z początku Flagg był zadowolony.

Chociaż Roland pokochał swoją żonę, nigdy nie udało mu się polubić tej czynności, którą większość mężczyzn uważa za tak przyjemną, czynności, dzięki której na świecie pojawia się zarówno najędźniejszy kuchcik, jak i następca najwyższego tronu. Roland udawał się na spoczynek do innej sypialni niż Sasha i rzadko odwiedzał żonę. Wizyty jego zdarzały się nie więcej niż pięć, sześć razy w roku, a czasami w kuźni w ogóle nie udawało się wykuć żelaza mimo stosowania coraz mocniejszych napojów Flagga i mimo niezłomnej słodyczy Sashy.

Jednak cztery lata po ślubie w jej łóżu zrobiono Petera. Tej właśnie nocy Roland nie potrzebował napoju Flagga, zielonego i pianistego trunku, który zawsze przyprawiał króla o lekki zawrót głowy, jakby postradał zmysły. Owego dnia monarcha polował w rezerwacie razem z dwunastoma swoimi ludźmi.

Połowanie było tym, co Roland lubił najbardziej — zapach lasu, rześki posmak powietrza, dźwięk rogu, dotyk łuku, gdy opuszcza go strzała zmierzająca właściwym torem. W Delainie znano proch, ale stanowił on rzadkość, a polowanie z metalową rurą uważano zawsze za niskie i niegodne.

Sasha czytała w łóżku, gdy król przyszedł do niej z wyrazem radości na swej czerstwej, brodatej twarzy. Zaraz odłożyła książkę na pierś i słuchała z uwagą, jak opowiadał, gestykułując. Pod koniec cofnęła się, żeby pokazać, jak napiął łuk i wystrzelił Młot na Wrogów — wielką strzałę swego ojca — w poprzek niewielkiej dolinki. Wtedy ona zaśmiała się, klasnęła w dłonie i tym zdobyła sobie jego serce.

Rezerwat Królewski był już prawie całkiem przetrzebiony. W tamtych cywilizowanych latach rzadko znajdowano w nim większe sztuki zwierzyny płowej, a od niepamiętnych czasów wcale nie spotykano smoków. Większość ludzi śmiałaby się, gdyby im powiedziano, że na to mityczne stworzenie można by się natknąć w owym nudnym lesie. Ale tamtego dnia, na godzinę przed zachodem słońca, gdy Roland i jego drużyna już mieli wracać do domu, właśnie wtedy znaleźli... a raczej zostali znaleźieni.

Smok niezdarnie wyłonił się z krzaków, z trzaskiem łamiąc gałęzie. Miał lśniące zielonkawomiedziane łuski i ział ogniem z osmalonych nozdrzy. Nie był to bynajmniej mały smok, lecz samiec przed pierwszym wytopem. Większa część drużyny króla zamarała, nie mogąc napiąć cięciwy ani się nawet poruszyć.

Stwór przyglądał się myśliwym — jego zazwyczaj zielone oczy zrobiły się żółte. Zatrzepotał skrzydłami. Nie odleciał jednak — w ciągu najbliższych pięćdziesięciu lat i przez dwa wytopy jego skrzydła nie zdołają unieść ciężaru ciała w powietrze — lecz niemowlęca błonka, która utrzymuje je przy ciele smoka, dopóki nie ukończy on dziesięciu albo dwunastu lat, opadła już i jeden ich ruch wytworzył podmuch, na skutek którego główny łowczy spadł z konia, przewracając się na plecy i gubiąc róg.

Roland jedyny nie poddał się bezwładowi i choć był zbyt skromny, żeby powiedzieć to żonie, jego następne działania cechowało prawdziwe bohaterstwo, jak również zapal myśliwski. Smok mógłby spokojnie upiec żywcem większość zaskoczonych drużyny, gdyby nie szybka akcja monarchy. Skłonił on swego konia do zrobienia kilku kroków naprzód i nasadził na cięciwę wielką strzałę. Napiął łuk i strzelił. Grot trafił prosto w cel — jedyne miękkie, skrzelowate miejsce poniżej gardła, przez które smok wciąga powietrze do wytwarzania ognia. Paskuda padła martwa, podpalając ostatnim oddechem krzaki dookoła siebie. Paziowie szybko ugasili ogień, niektórzy wodą, inni piwem, a niejeden moczem — lecz gdy się nad tym zastanowić, większość moczu też była piwem, bo Roland, udając się na polowanie, zabierał z sobą mnóstwo tego trunku i nikomu go nie skąpił.

Ogień został ugaszony w pięć minut, a smoka wypatroszono w piętnaście. Można było jeszcze zagotować wodę nad jego dymiącymi nozdrzami, gdy złożono na ziemi wnętrzności. Ociekające krwią serce o dziewięciu komorach zaniesiono z wielką ceremonią Rolandowi. Zjadł je na surowo, jak nakazywał zwyczaj, i bardzo mu smakowało. Żałował tylko, że chyba już nigdy więcej nic podobnego się nie przydarzy.

Może właśnie to serce uczyniło go tak silnym tej nocy. Może wystarczyły radość polowania i świadomość, że zadziałał szybko i z zimną krwią, gdy inni siedzieli jak ogłupiali w siodłach (oczywiście poza głównym łowczym, który ogłupiały leżał na wznak). Jakikolwiek był tego powód, gdy Sasha klasnęła w ręce i zawołała: „Cudownie, mój dzielny mężu!”, niemal wskoczył do łóżka. Małżonka powitała go z otwartymi ramionami i uśmiechem, który odzwierciedlał jego

triumf. Tej nocy po raz pierwszy i ostatni Roland cieszył się uściskami swej żony na trzeźwo. Dziewięć miesięcy później — jeden miesiąc na każdą komorę smoczego serca — w tym samym łożu urodził się Peter, a w całym królestwie zapanowała radość; poddani mieli wreszcie następcę tronu.

Myślicie pewnie — jeżeli chciało się wam nad tym zastanowić — że po narodzinach Petera Roland przestał używać dziwnego zielonego napoju Flagga. Nic podobnego. Nadal popijał go od czasu do czasu. Czynił tak, gdyż kochał Saszę i chciał jej sprawić przyjemność. Gdzieś tam uważa się, że seks daje zadowolenie tylko mężczyznom, a kobiety rade są, gdy się je zostawia w spokoju. Ale lud Delainu nie hołdował takim dziwacznym poglądom — zakładano, że kobiecie również sprawia satysfakcję uczestnictwo w akcie, dzięki któremu na ziemi pojawiają się najmiłsze stworzenia. Roland zdawał sobie sprawę, że nie poświęca żonie należytej uwagi w tej dziedzinie, ale postanowił dołożyć wszelkich starań, nawet jeśli oznaczało to zażywanie napoju Flagga. Jeden tylko Flagg wiedział, jak rzadko król udawał się do łóżnicy swej małżonki.

Jakieś cztery lata po urodzeniu Petera, w noc Nowego Roku, nawiedziła Delain ogromna zamieć. Była to największa burza śnieżna, jaka kiedykolwiek przeszła nad krajem za ludzkiej pamięci, poza jeszcze jedną — ale o tym później.

Kierując się impulsem niezrozumiałym nawet dla samego siebie, Flagg przygotował królowi napój o podwójnej mocy — może to wiatr tak na niego podziałał. Normalnie Roland skrzywiłby się z niesmakiem i prawdopodobnie odstawiłby miksturę, ale zamieć wywołała podniecenie, dzięki któremu bal noworoczny był szczególnie wesoły, a Roland się upił. Ogień płonący w kominku przypomniał mu ostatni, gorący oddech smoka, więc król wiele razy przepijał do swego portretu, umieszczonego na ścianie. Gdy w końcu jednym haustem pochłonął zielony napój, opadło go złe pożądanie. Opuścił natychmiast salę jadalną i odwiedził Saszę. Usiłując się z nią kochać, sprawił jej ból.

— Mężu, proszę! — wykrzyknęła wśród łkań.

— Przepraszam — wymamrotał. — Chrrr... — Leżąc obok niej, zapadł w ciężki sen i pozostawał bez świadomości przez następnych dwadzieścia godzin. Sasha nigdy nie zapomniała dziwnego zapachu, wydobywającego się z ust męża tamtej nocy. Przypominał woń gnijącego mięsa, odór śmierci. Co też takiego, zastanawiała się, on zjadł... albo wypił?

Roland nigdy więcej nie dotknął napoju Flagga, ale czarnoksiężnik i tak był zadowolony. Dziewięć miesięcy później Sasha urodziła Thomasa, swojego drugiego syna. Zmarła przy porodzie. Takie rzeczy się zdarzały i chociaż zasmuciło to wszystkich, nikt się nie dziwił. Wydawało im się, że wiedzą, co się stało. Ale jedynymi ludźmi, którzy znali prawdziwe okoliczności, byli Anna Crookbrows, położna, i Flagg, królewski czarnoksiężnik. Cierpliwość bowiem Flagga do Sashy i jej wtrącania się w nie swoje sprawy w końcu się wyczerpała.

Peter miał zaledwie pięć lat, gdy zmarła jego matka, ale zachował ją w serdecznej pamięci. Uważał, że była miła, kochająca i dobra. Ale pięć lat to młody wiek, więc pamiętał ją mgliście. Zostało mu tylko jedno wyraźne wspomnienie — jak został przez nią skarcony. Znacznie później wspomnienie owej krytycznej uwagi okazało się dla niego niezmiernie ważne. A związane było z serwetką.

Na początku każdego piątego miesiąca roku na dworze odbywała się uczta ku czci wiosennych nasadzeń. Gdy Peter miał pięć lat, po raz pierwszy pozwolono mu wziąć w niej udział. Obyczaj nakazywał, żeby Roland siedział u szczytu stołu, następca tronu po jego prawej ręce, a królowa na drugim końcu. W rezultacie Peter miał podczas posiłku znaleźć się poza jej zasięgiem, więc Sasha starannie pouczyła syna zawczasu, jak ma się zachowywać. Chciała, żeby dobrze wypadł i wykazał się przyzwoitymi manierami. No i oczywiście wiedziała, że podczas uczty będzie zdany na własne siły, jako że jego ojciec nie miał pojęcia o właściwym zachowaniu.

Niektórzy z was zapytają, dlaczego zadanie uczenia Petera dobrych manier spadło na Sashę. Czyżby chłopak nie miał guwernantki? (Miał, i to dwie). Czy nie było służących, którzy obsłużyliby książątka? (Całe zastępy). Sztuka polegała nie na tym, żeby zmusić ich do zajęcia się Peterem, ale żeby trzymać ich od niego z daleka. Sasha chciała sama go wychowywać, a w każdym razie o tyle, o ile się dało. Kochała syna gorąco i pragnęła mieć go przy sobie ze swoich własnych, egoistycznych powodów. Ale również zdawała sobie sprawę, że jego wychowanie to poważna odpowiedzialność. Chłopczyk miał pewnego dnia zostać królem, a Sasha nade wszystko chciała, żeby był dobry. Dobry chłopiec, jak sądziła, stanie się dobrym królem.

Wielkich uczt w Sali Głównej nie cechował szczególny ład i większość nianiek nie martwiłaby się o to, jak chłopczyk zachowa się przy stole. „Przecież kiedyś zostanie królem!” — powiedziałyby nieco zaskoczone pomysłem, że należy korygować jego poczynania w tak trywialnych sprawach. Czy to ważne, że rozleje

sos? Albo że nakapie sobie na kryzę, czy też nawet wytrze o nią rękę? Czyż dawnymi czasy nie zdarzało się, iż król Alain wymiotował na talerz, a potem rozkazywał swemu trefnisiowi podejść bliżej i zjeść „tę pyszną gorącą zupkę”? Czyż król John nie miał zwyczaju odgryzać łebków żywym pstrągom i wrzucać ich trzepoczących się ciał za staniki usługującym przy stole dziewczkom? Czyż ta ucztą nie zakończy się jak zwykle tym, że jej uczestnicy zaczną się obrzucać jedzeniem?

Niewątpliwie tak mogło się stać, ale gdy obyczaje zniżyły się do poziomu ciskania potrawami, Peter dawno już leżał w łóżku. Sashy nie podobało się przede wszystkim podejście wyrażone w słowach „czy to ważne”. Uważała, że to najgorsze przekonanie, jakie może utkwić w głowie dziecka, którego przeznaczeniem jest zostać królem.

Tak więc Sasha udzieliła chłopcu dokładnych wskazówek, a potem obserwowała z uwagą jego zachowanie i manieri — i to było w porządku, ponieważ zachowywał się w większości wzorowo. Ale wiedziała, że nikt poza nią nie powie mu, jakie popełnił błędy, i że ona sama musi uczynić to teraz, w krótkim okresie, gdy chłopak ją uwielbia. Tak więc kiedy skończyła go chwalić, powiedziała:

— Jedną rzecz zrobiłeś źle, Pete, i nie chcę, żeby się to kiedykolwiek powtórzyło.

Peter leżał w łóżeczku, a jego ciemnoniebieskie oczy spjrzały na nią z powagą.

— Co takiego, mamó?

— Nie użyłeś serwetki — powiedziała. — Zostawiłeś ją złożoną obok talerza, a ja patrzyłam na to z przykrością. Jadłeś kurczaka palcami i to jest w porządku, bo tak właśnie należy go jeść. Ale kiedy odłożyłeś kostki na talerz, wytarłeś palce w koszulę, a tak robić nie wypada.

— Ale ojciec... i pan Flagg... i inni panowie...

— Do licha z Flaggiem i do licha ze wszystkimi panami w Delainie! — wykrzyknęła Sasha z taką mocą, że Peter aż się skulił w łóżku. Bał się i wstydził, że przez niego na jej policzkach zakwitł rumieniec. — To, co robi twój ojciec, król, jest w porządku, bo wszystko, co robi król, jest zawsze właściwe. Ale Flagg nie jest królem, bez względu na to, jak bardzo by chciał, i panowie nie są królami, i ty też nie jesteś królem, tylko małym chłopcem, który nie zawsze potrafi się właściwie zachować.

Zobaczyła, że syn się przestraszył, i uśmiechnęła się uspokajająco. Położyła mu dłoń na czole.

— Nie bój się, Pete. — Poglaskała go. — To drobiazg, ale ważny, bo gdy nadejdzie czas, zostaniesz królem. A teraz przynieś swoją tabliczkę.

— Ale pora spać...

— Do licha ze snaniem. Może poczekać. Biegnij po tabliczkę.

Peter usłuchał.

Sasha wzięła kredę umocowaną z boku i starannie wyrysowała trzy litery.

— Potrafisz przeczytać to słowo, Peter?

Chłopiec skinął głową. Umiał przeczytać tylko kilka słów, chociaż znał już większość dużych liter. A to było właśnie jedno z tych słów.

— Tu jest napisane BÓG.

— Tak. A teraz napisz to wspak i zobacz, co uzyskasz.

— Wspak? — zapytał z powątpiewaniem Peter.

— Właśnie.

Peter napisał, jak mu kazano, a litery, jakie stawiał, wyglądały dziecinnie i koślawo w porównaniu ze starannym pismem matki. Ze zdziwieniem zobaczył, że napisał inne słowo z liter, które znał.

— Pies! ¹ Mamo! To pies!

— Tak jest. Pies. — Smutek w jej głosie natychmiast zgasił podniecenie Petera.

Matka wskazała najpierw na słowo BÓG, a potem na PIES. — To są dwie natury człowieka — powiedziała. — Nigdy o nich nie zapominaj, bo pewnego dnia zostaniesz królem, a królowie rosną wysocy, tak wysocy jak smoki po dziewiątym wytopie, i stają się wielcy.

— Ojciec nie jest ani wielki, ani wysoki — zaprotestował Peter. Roland w rzeczywistości był raczej niski i miał krzywe nogi, a ponadto potężny brzuch, który urósł mu od ciągłego popijania piwa i miodu.

Sasha się uśmiechnęła.

— A jednak jest. Królowie rosną niewidocznie, Pete, i dzieje się to w jednej chwili, gdy stojąc na placu Iglicy, ujmują berło, a głowę ich wieńczy korona!

— Naprawdę? — Oczy Petera stały się wielkie i okrągłe. Chłopiec pomyślał, że rozmowa odbiegła daleko od jego zaniedbania w sprawie użycia serwetki podczas bankietu, ale wcale nie żałował, że kłopotliwy temat został zastąpiony tak ciekawym. Ponadto postanowił już sobie, że nigdy więcej nie zapomni o serwetce. Skoro jest to tak ważne dla matki, stanie się tak samo ważne i dla niego.

— O tak. Królowie rosną ogromnie i dlatego muszą być bardzo ostrożni, bo tak wielka osoba może zgnieść mniejsze, po prostu idąc na spacer, odwracając się lub

nagle siadając w niewłaściwym miejscu. Żli królowie często w ten sposób postępują. Myślę też, że nawet dobrzy królowie nie zawsze mogą uniknąć czegoś takiego.

— Chyba nie rozumiem...

— To słuchaj dalej. — Znów postukała w tabliczkę. — Nasi kapłani mówią, że natura ludzka częściowo wywodzi się od Boga, a częściowo od Koźlonogiego. Wiesz, kto to jest Koźlonogi, Peter?

— Diabeł.

— Tak. Ale poza opowieściami mało jest na świecie diabłów, Pete, najczęściej źli ludzie przypominają raczej psy niż diabły. Psy to stworzenia przyjazne, ale głupie, podobnie jak mężczyźni i kobiety, kiedy się upiją. Gdy są podniecone i czegoś nie rozumieją, mogą ugryźć. Gdy ludzie bywają podekscytowani i nie pojmują, o co chodzi, zaczynają się bić. Psy to świetne zwierzęta domowe, bo są wierne, ale jeśli istota ludzka nie jest niczym więcej niż zwierzak, to, moim zdaniem, kiepski z niej człowiek. Psy bywają odważne, ale bywają też tchórzami wyjątkimi w mroku i umykającymi z podwiniętym ogonem. Pies gotów jest lizać rękę zarówno złego, jak i dobrego pana, gdyż nie zna różnicy między dobrem a złem. Pies zje pomyje, zwymiotuje to, czego jego żołądek nie zniesie, i przyjdzie po więcej.

Zamilkła na chwilę, być może zastanawiając się, co też właśnie dzieje się na sali bankietowej — kobiety i mężczyźni pewnie ryczą pijackim śmiechem, rzucają w siebie jedzeniem, a od czasu do czasu odwracają się niedbale, żeby zwymiotować koło swoich krzesel. Roland zachowywał się podobnie, co czasami ją zasmucało, ale nie krytykowała go za to ani nie czyniła mu wyrzutów. Taki był. Mógłby obiecać, że się zmieni, żeby jej sprawić przyjemność, a nawet mógłby wprowadzić obietnicę w czyn, ale wtedy przestałby być sobą.

— Rozumiesz to, Peter?

Chłopiec kiwnął głową.

— Świetnie. To teraz powiedz mi — pochyliła się do niego — czy pies używa serwetki?

Upokorzony i zawstydzony Peter spojrzał na kołdrę i pokręcił głową. Najwyraźniej rozmowa nie odbiegła wcale od tematu, choć tak mu się wydawało. Może dlatego, że wieczór obfitował we wrażenia, a może dlatego, że chłopiec był już bardzo zmęczony, w jego oczach pojawiły się łzy i spłynęły mu po policzkach.

Walczył z nadchodzącym łkaniem. Zdusił je w gardle. Sasha zauważyła to i przepełnił ją podziw.

— Nie płacz nad nieużywaną serwetką, kochanie — powiedziała — bo nie to było moim celem. — Wstała, unosząc swój wielki już brzuch. Zbliżał się dzień narodzin Thomasa. — Poza tym postępowałaś bez zarzutu. Każda matka w królestwie byłaby dumna z syna, który zachowałby się w połowie tak dobrze jak ty, i moje serce przepelnia prawdziwy podziw. Powiedziałam ci o serwetce tylko dlatego, że jestem matką księcia. To czasem bywa trudne, lecz, niestety, nie da się tu nic zmienić, a prawdę mówiąc, nie zrobiłabym tego, gdybym nawet mogła. Ale pamiętaj, że pewnego dnia czyjeś życie może zależeć od tego, co uczynisz, a nawet od tego, co ci się przyśni. Najpewniej nie od tego, czy użyjesz serwetki, wycierając palce po pieczonym kurczęciu, ale nigdy nic nie wiadomo. Kto wie? Zdarzało się już, że życie ludzkie zależało od drobniejszych spraw. Proszę cię tylko, żebyś zawsze pamiętał o cywilizowanej stronie swojej natury. Dobrej stronie, stronie Boga. Czy możesz mi to obiecać?

— Obiecuję.

— No więc wszystko w porządku. — Pocałowała go leciutko. — Na szczęście i ty, i ja jesteśmy młodzi. Porozmawiamy sobie o tym więcej, gdy będziesz mógł mnie lepiej zrozumieć.

Nigdy sobie nie porozmawiali, ale Peter nie zapomniał lekcji: zawsze używał serwetki, nawet gdy nikt inny tego nie robił.

Tak więc Sasha umarła. Nie odegra już większej roli w tej opowieści, ale jest jeszcze jedna rzecz, którą powinniście o niej wiedzieć: miała dom dla lalek. Ten dom był bardzo duży i piękny, prawie zamek w miniaturze. Gdy Sasha miała wyjść za mąż, starała się robić wrażenie wesołej, ale przykro jej było opuszczać wszystkich i wszystko w wielkim domu w Zachodniej Baronii, gdzie dorastała — no i trochę się niepokoiła o swoją przyszłość. Powiedziała matce:

— Nigdy dotąd nie byłam zamężna, więc nie wiem, czy mi się to spodoba.

Ale ze wszystkich dziecinnych rzeczy, jakie musiała pozostawić, jednej żałowała najbardziej — domu dla lalek, który miała od bardzo dawna.

Roland, który był dobrym człowiekiem, w jakiś sposób się o tym dowiedział i chociaż także objawiał zaniepokojenie przyszłością (on również nigdy przedtem nie był żonaty), znalazł czas, żeby zamówić u Ouentina Ellendra, najlepszego rzemieślnika w kraju, nowy dom dla lalek i ofiarować go żonie.

— Pragnę, żeby to był najpiękniejszy dom dla lalek, jaki kiedykolwiek posiadała młoda dama — powiedział Ellendrowi. — Chcę, żeby raz na niego spojrziała i zapomniała, iż w ogóle miała inny.

Jak niewątpliwie zdajecie sobie sprawę, jeśli Roland mówił szczerze, to grubo się mylił. Nikt nigdy nie zapomina ulubionej zabawki, chociaż nowa jest o wiele ładniejsza. Sasha nigdy więc nie zapomniała swojego starego domku dla lalek, chociaż nowy też jej się bardzo podobał. Tylko kompletny idiota nie byłby nim zachwycony. Ci, którzy go widzieli, utrzymywali, że jest to najlepsze dzieło Ouentina Ellendra, co chyba należy uznać za prawdę.

Był to wiejski dom w miniaturze, bardzo podobny do tego, w jakim przed wyjściem za mąż Sasha mieszkała z rodzicami, pośród łagodnie falujących wzgórz Zachodniej Baronii. Wszystko w domu dla lalek było miniaturowe, ale niezwykle sprytnie wykonane — można by przysiąc, że działa... i większość rzeczy działała!

Na przykład piec naprawdę się nagrzewał i dało się na nim zagotować maleńkie porcje jedzenia. Jeśli wrzuciło się do środka kawałeczek węgla, nie

większy niż pudełko zapalek, paliło się w piecu przez cały dzień... a jeśli osoba dorosła wsunęła swój niezgrabny, wielki paluch do kuchni i dotknęła pieca, gdy płonął w nim ogień, mogła się wtedy oparzyć. Nie znalazłoby się w tym domu kranów i toalet ze spuszczaną wodą, bo w Królestwie Delainu nikt nie znał czegoś takiego — i nie zna do dziś — ale jeśli ktoś się postarał, mógł nabrać wody z ręcznej pompy, nie większej niż mały palec. Znajdowała się w tym minidomku szwalnia z kołowrotkiem, który naprawdę prządł, i warsztatem tkackim, który naprawdę tkął. Szpinet w salonie grał, jeśli dotykało się klawiszy wykałaczką, a dźwięk miał czysty. Ludzie, którzy widzieli dom, mówili, że to cud i że niewątpliwie Flagg musiał mieć w tym swój udział. Gdy opowieści takie docierały do czarnoksiężnika, uśmiechał się tylko i nic nie mówił. Nie miał nic wspólnego z domem dla lalek — uważał sam pomysł za idiotyczny — ale wiedział też, że nie zawsze trzeba się do czegoś przyznawać i opowiadać ludziom, jakim się jest wspaniałym człowiekiem, żeby osiągnąć wielkość. Czasami wystarczy mądrze wyglądać i trzymać buzię na kłódkę.

W domu dla lalek Sashy znajdowały się prawdziwe kaszamińskie dywany, prawdziwe aksamitne zasłony, prawdziwe porcelanowe talerze; chłodnia naprawdę trzymała zimno. Boazerię w sali przyjęć i frontowym przedpokoju wykonano z wypieszczonego grabowego drewna. Wszystkie okna zostały oszklone, a nad szerokimi drzwiami wejściowymi znajdował się wielobarwny witraż.

Był to więc najpiękniejszy dom dla lalek i mógł stanowić przedmiot marzeń każdego dziecka. Sasha klasnęła w ręce z zachwytu, gdy odsłonięto go na ucztę weselnej, i podziękowała zań swemu mężowi. Potem udała się do warsztatu Ellendra i nie tylko wyraziła mu swoją wdzięczność, ale też skłoniła się przed nim nisko, co samo w sobie stanowiło rzecz niesłychaną — w owych czasach królowe nie kłaniały się prostym rzemieślnikom. Roland był zadowolony, a Ellender, którego wzrok pogorszył się znacznie podczas pracy nad domem, wzruszył się głęboko.

Ale Sasha nie zapomniała o swoim ulubionym domku dla lalek, który zostawiła w Zachodniej Baronii, chociaż w porównaniu z nowym wydawał się bardzo zwyczajny, i nie spędzała wielu deszczowych poranków, bawiąc się tym wykonanym przez Ellendra — przedstawiając meble, rozpalając ogień w piecu i patrząc, jak dymią kominy, udając, że odbywa się uroczysty podwieczorek albo wielkie przyjęcie na cześć królowej — jak to czyniła przedtem nawet jako już

całkiem duża dziewczyna, piętnastoletnia czy szesnastoletnia. Jeden z powodów był bardzo prosty. Niewielka to rozrywka przygotowywać się do przyjęć na niby, na których ma się pojawić królowa, gdy już się nią jest. A może nawet był to jedyny powód. Sasha dorosła i odkryła, że życie ludzi dojrzałych wcale nie wygląda tak, jak przypuszczała w dzieciństwie. Wtedy wydawało jej się, że pewnego dnia podejmie świadomą decyzję i odłoży swoje lalki, gry i zabawy na niby do lamusa. Teraz uzmysłowiła sobie, że nic takiego się nie stało. Zauważyła natomiast, że sprawy te przestały ją interesować. Bawiły ją coraz mniej i mniej, aż w końcu przyjemności dzieciństwa przysypał pył zapomnienia.

Peter chłopczyk, który pewnego dnia miał zostać królem, posiadał dziesiątki, a prawdę mówiąc — tysiące zabawek: setki ołowianych żołnierzyków, którymi toczył wielkie bitwy, i dziesiątki koni na biegunach. Miał gry, piłki, kukielki i kolorowe kulki. Miał szczudła, na których sięgał prawie półtora metra. Miał magiczną skocznię, na której mógł skakać, i tyle papieru, ile zechciał, i to w czasach, gdy zaczęto go dopiero produkować i tylko bardzo bogaci ludzie mogli sobie nań pozwolić.

Ale ze wszystkich zabawek na zamku chłopiec najbardziej lubił dom dla lalek swojej matki. Nigdy nie widział domku, który zostawiła w Zachodniej Baronii, więc był to dla niego dom domów. Przesiadywał przy nim godzinami, gdy na dworze lał deszcz albo gdy zimny wiatr wylł przez niebieskie, wypełnione śniegiem gardło. Gdy zachorował na dziecięcy tatusz (który my nazywamy ospą wietrzną), kazał służącemu ustawić dom na specjalnym blacie, przymocowanym nad łóżkiem, i bawił się nim, dopóki nie wyzdrowiał.

Uwielbiał wyobrażać sobie maleńkie ludziki, zapelniające dom; czasami ci ludkowie wydawali mu się tak prawdziwi, że niemal ich widział. Przemawiał za nich różnymi głosami i wszystkich sam wymyślił. Stanowili oni królewską rodzinę. Był więc król Roger, wielce potężny i odważny (choć niezbyt wysoki i o krzywych nogach), który niegdyś zabił smoka. Była też piękna królowa Sarah, jego żona, a także ich mały synek, Petie, który ich kochał i był przez nich kochany. Nie mówiąc już o wszystkich wymyślonych sługach, którzy ślali łóżka, palili w piecu, przynosili wodę, gotowali posiłki i łatali ubrania. Ponieważ Peter był chłopcem, niektóre z historii wymyślanych przez niego w związku z domem okazywały się nieco bardziej krwiożercze niż opowieści, które układała Sasha jako mała dziewczynka. W jednej z nich piraci anduańscy otoczyli dom, pragnąc się wedrzeć do środka i wymordować całą rodzinę. Była to przesławna bitwa. Dziesiątki piratów zabito, ale okazało się, że jest ich wciąż bardzo dużo. Szykowali się do ostatniego ataku. Zanim jednak ruszyli do akcji, nadciągnęła królewska straż przyboczna — tę rolę odegrały ołowiane żołnierzyki Petera —

i wybiła przekłete anduańskie wilki morskie do nogi. W innym opowiadaniu smoki zagnieździły się w pobliskim lesie (zazwyczaj pobliski las znajdował się pod kanapą Sashy przy oknie) i chciały spalić dom swym wściekłym oddechem. Ale Roger i Petie wypadli ze swoimi łukami i zabili je wszystkie. „Aż ziemia poczerniała od ich ohydnej krwi” — opowiadał Peter ojcu, królowi, przy kolacji, a Roland wydał ryk aprobaty.

Po śmierci Sashy Flagg oświadczył Rolandowi, że jego zdaniem chłopiec nie powinien bawić się domami dla lalek. Może się stać zniewieściały. No i nie byłoby dobrze, gdyby rozeszło się to pośród ludzi. A takie historie zawsze się rozchodzą. Zamek jest pełen służby. Służba widzi wszystko i kłapie paszczkami.

— Ale on ma tylko sześć lat — rzekł z wahaniem Roland. Flagg ze swoją białą, godną twarzą ukrytą pod kapturem i ze swymi magicznymi zaklęciami zawsze pozbawiał go pewności siebie.

— Sześć lat to wiek, w którym należy zacząć kształcić chłopca we właściwym kierunku, panie — odparł Flagg. — Zastanów się nad tym. Twój osąd będzie niewątpliwie, jak zawsze, słuszny. Ale przemyśl to — zakończył, no i tak właśnie uczynił król Roland.

Trzeba mu przyznać, że podczas dwudziestu paru lat swojego panowania w Delainie nad niczym równie głęboko się nie zastanawiał.

Może się wam to wydać dziwne, jeśli pomyślicie o wszystkich obowiązkach króla — ważnych sprawach, takich jak nakładanie podatków na pewne rzeczy lub zdejmowanie ich z innych, ogłaszanie wojny, karanie albo okazywanie łaski. Czym, powiecie, była decyzja, czy pozwolić małemu chłopcu bawić się domkiem dla lalek, czy też nie, w porównaniu z tym wszystkim?

Może niczym, a może czymś. Sami to sobie ustalcie. Powiem wam tylko, że Roland nie należał do najinteligentniejszych władców Delainu. Zastanawianie się zawsze stanowiło dlań ciężką pracę. Czuł się wtedy tak, jak gdyby w głowie obracały mu się ogromne kamienie. Oczy mu łzawiły i pulsowało w skroniach. Jeśli myślał nad czymś bardzo usilnie, zatykał mu się nos.

Gdy był chłopcem, nauka pisania wypracowań, matematyka i historia przyprawiały go o taki ból głowy, że pozwolono mu jej zaprzestać, gdy osiągnął dwanaście lat, i zająć się tym, co robił najlepiej, to znaczy polowaniem. Starał się bardzo być dobrym władcą, ale zawsze czuł, że nie jest dostatecznie dobry i wystarczająco inteligentny, by rozwiązywać problemy królestwa lub podejmować liczne trafne decyzje, a wiedział, że jeśli dokona złego wyboru,

ucierpią na tym ludzie. Gdyby usłyszał, jak Sasha opowiadała Peterowi po uccie o królach, zgodziłby się z nią całkowicie. Królowie są naprawdę więksi niż inni ludzie i czasami — bardzo często — żałował, że nie jest mniejszy. Jeśli kiedykolwiek w życiu zastanawialiście się, czy się nadajecie do wykonania jakiegoś zadania, to wiecie, co czuł. Ale możecie nie wiedzieć, że taki niepokój zaczyna po pewnym czasie żywić się samym sobą. Nawet jeśli na początku poczucie, że się do czegoś nie nadajecie, nie jest zgodne z prawdą, z czasem może się nią stać. Tak właśnie było z Rolandem, który z upływem lat polegał coraz bardziej na Flaggu. Czasami martwił się, że we wszystkim (poza imieniem) monarchą jest właściwie ów mag — ale niepokoje takie nachodziły go tylko późnym wieczorem. W dzień czuł dla Flagga wdzięczność za pomoc.

Gdyby nie Sasha, Roland mógłby zostać o wiele gorszym władcą niż w rzeczywistości, a to dlatego, że cichy głosik, który odzywał się czasem, gdy król nie mógł zasnąć, był o wiele bliższy prawdy niż to, co Roland słyszał za dnia. Albowiem Flagg rzeczywiście rządził państwem i był bardzo złym człowiekiem. Trzeba będzie o nim później powiedzieć trochę więcej, niestety, ale teraz dajmy temu spokój, i bardzo dobrze.

Sasha przełamała nieco wpływ, jaki Flagg wywierał na Rolanda. Jej rady były dobre i praktyczne, a także o wiele łagodniejsze i sprawiedliwsze niż rady czarnoksiężnika. Nigdy nie lubiła Flagga — mało kto go lubił w Delainie, a wielu drżało na sam dźwięk jego imienia — ale jej niechęć była umiarkowana. Prawdopodobnie odnosiłaby się do niego inaczej, gdyby wiedziała, jak bacznie Flagg jej się przygląda i jaką rosnącą, jadowitą nienawiść do niej żywi.

Pewnego razu Flagg spróbował otruć Sashę. Wydarzyło się to wkrótce potem, jak poprosiła Rolanda o ułaskawienie dwóch dezerteńców, którym, jak tego chciał Flagg, miano ściąć głowy na placu Iglicy. Twierdził on, że dezerteńcy dają zły przykład. Jeśli pozwoli się komuś wykręcić od płacenia najwyższej kary, inni zechcą pójść w jego ślady. Jedyne rozwiązanie, żeby ludzi do tego zniechęcić, powiedział, to pokazać im głowy tych, którzy już tego spróbowali. Inni potencjalni dezerteńcy przyjrzą się tym spuchniętym głowom o martwych oczach i dwa razy się zastanowią nad powagą ich służby dla króla.

Ale Sasha dowiedziała się od jednej ze swych pokojówek o faktach, o których Roland nie miał pojęcia. Matka pewnego chłopca poważnie zachorowała. W rodzinie byli jeszcze trzej młodsi bracia i trzy młodsze siostry. Wszystkim groziła śmierć w czasie srogich mrozów, jakie zwykle zdarzały się zimą w Delainie, gdyby chłopak nie opuścił obozu, nie pojechał do domu i nie narębał drzewa dla matki. Ten drugi poszedł z nim, bo był jego najlepszym przyjacielem, krwią zaprzysiężonym bratem. Sam chłopak potrzebowałby dwóch tygodni, żeby narębać drzewa na całą zimę. Ponieważ pracowali obaj, zajęło im to tylko sześć dni.

Fakty te rzuciły nowe światło na całą sprawę. Roland bardzo kochał swoją matkę i z radością by dla niej umarł. Zbadał sprawę i stwierdził, że opowiadanie Sashy jest zgodne z prawdą. Dowiedział się też, że dezerteńcy uciekli dopiero wtedy, gdy sadystyczny sierżant kilkakrotnie odmówił przekazania swemu zwierzchnikowi ich prośby o zwolnienie, i że natychmiast wrócili do obozu, gdy tylko cztery sągi drewna zostały narębane, chociaż wiedzieli, że czeka ich sąd wojskowy i topór kata.

Roland mi wybaczył. Flagg skinął głową, uśmiechnął się i powiedział tylko: „Wola twoja jest wolą Delainu, panie”. Nawet za całe złoto Czterech Królestw nie pozwoliłyby Rolandowi zobaczyć chorobliwej furii, jaką spowodował opór króla wobec jego woli. Łaska okazana chłopcom wywołała zadowolenie w Delainie, gdyż wielu poddanych Rolanda znało fakty, a ci, którzy nie byli ich świadomi,

zostali o nich szybko poinformowani przez innych. Pamiętano o mądrej i życzliwej decyzji Rolanda, gdy wprowadzał inne, mniej ludzkie ustawy (które z reguły były pomysłami czarnoksiężnika). Ale Flaggowi nie robiło to różnicy. Chciał, żeby chłopców zgładzono, a Sasha pomieszała mu szyki. Czemu Roland nie poślubił innej? Nie znał żadnej z nich i nie interesował się kobietami. Dlaczego nie wybrał którejś innej? No nic, nieważne. Flagg uśmiechał się, słysząc o akcie łaski, ale w głębi duszy poprzysiął sobie, że wkrótce pójdzie na pogrzeb Sashy.

Tej nocy, gdy Roland podpisał akt łaski, Flagg udał się do swego ponurego laboratorium w piwnicy. Tam przywdział grubą rękawicę i wydobył jadowitego pająka z klatki, w której trzymał go przez dwadzieścia lat, karmiąc nowo narodzonymi myszami. Każda z myszy, które dawał pająkowi, była zatruta i umierająca; Flagg chciał w ten sposób zwiększyć i tak niezwykle silną moc trucizny samego pająka. Stwór był krwistoczerwony i miał rozmiary szczura. Rozdęte ciało drgało jadem ściekającym po żądle przezjzystymi kroplami, które wypalały dymiące dziury w blacie roboczego stołu czarnoksiężnika.

— A teraz giń, mój śliczny, i zabij królową — szepnął Flagg i zgniótł pająka przez rękawiczkę wykonaną z magicznej siatki stalowej, odpornej na truciznę, ale i tak tej nocy, gdy poszedł już spać, ręka mu spuchła, zaczerwieniła się i pulsowała niemile.

Trucizna z rozgniecionego, poskręcane go ciała pająka spłynęła do kielicha. Mag dolał do morderczego płynu brandy i zamieszał. Gdy wyjął z naczynia łyżkę, jej miseczka utraciła swój kształt. Królowa wypije łyk i padnie martwa. Jej śmierć będzie szybka, ale niezmiernie bolesna, pomyślał Flagg z zadowoleniem.

Sasha co wieczór wypijała kieliszek brandy, bo często miała trudności z zaśnięciem. Flagg zadzwonił na służącego, by mu polecić zanieśenie kielicha królowej.

Sasha nigdy się nie dowiedziała, że tej nocy otarła się o śmierć.

Kilka chwil po przygotowaniu morderczego napoju, zanim jeszcze sługa zapukał do drzwi, Flagg wylał płyn do otworu ściekowego, umieszczonego na środku pokoju, i słuchał, jak sycząc i bulgocząc, spływa w dół. Jego twarz wykrzywiała nienawiść. Gdy syczenie umilkło, cisnął z całej siły kryształowym pucharem o ścianę. Naczynie roztrzaskało się z hukiem.

Sługa zastukał i został wpuszczony.

Flagg pokazał mu miejsce, gdzie połyskiwały kawałki szkła.

— Stłukłem puchar — powiedział. — Sprzątnij tu. Szczotką, idioto. Jeśli dotkniesz odłamków, będziesz tego żałował.

Wylał truciznę do ścieku w ostatniej chwili, bo zrozumiał, że łatwo mógłby zostać wykryty. Gdyby Roland kochał młodą królową odrobinę mniej, Flagg by zaryzykował. Ale bał się, że król, oszalały z żalu po śmierci żony, nie spocznie, póki nie znajdzie mordercy i nie umieści jego głowy na samym czubku Iglicy. Była to jedyna zbrodnia, za którą zemsty dopilnowałby bez względu na to, kto ją popełnił. Ale czy znalazłby mordercę?

Prawdopodobnie tak.

W końcu co jak co, ale polować Roland potrafił.

Więc Sasha ocalała — tym razem — chroniona strachem Flagga i miłością męża. Tymczasem mag wciąż znajdował u króla posłuch w większości spraw.

Jeżeli zaś chodzi o domek dla lalek, to można w tej sprawie powiedzieć, że Sasha wygrała, chociaż Flagg zdążył już wcześniej się jej pozbyć.

Wkrótce po tym, jak mag czynił swoje wzgardliwe uwagi o domkach dla lalek i zniewieściałych królewiczach, Roland wślizgnął się niepostrzeżenie do komnaty swojej żony i patrzył, jak jego syn się bawi. Stał tuż przy drzwiach ze zmarszczoną brwią. Myślał o wiele intensywniej niż normalnie, co oznaczało, że wielkie głązy toczyły się w jego głowie i zatkał mu się nos.

Zobaczył, że Peter używa domku dla lalek, żeby opowiadać sobie historie na niby, a bajki te wcale nie świadczyły o jego zniewieściałości. Były to krwawe i groźne opowieści o armiach i smokach. Innymi słowy, całkiem pasowały do gustów Rolanda. Zaprzagnął przyłączyć się do syna i pomóc mu układać jeszcze piękniejsze historie, w których występowałyby dom dla lalek i cała wymyślona rodzina. Przede wszystkim jednak król spostrzegł, że Peter bawi się domkiem dla lalek Sashy, żeby zachować ją w swoim sercu, i to spodobało mu się najbardziej, bo sam również wciąż tęsknił za żoną. Czasami czuł się tak samotny, że zbierało mu się na łzy. Monarchowie, oczywiście, nigdy nie płaczą... a nawet jeśli raz czy dwa po śmierci Sashy obudził się, mając mokrą poduszkę, to co z tego?

Król wyszedł z pokoju równie cicho, jak się w nim pojawił. Peter nawet go nie zauważył. Przez większą część nocy Roland nie spał, myśląc intensywnie nad tym, co zobaczył, i chociaż z trudnością potrafił znieść niezadowolenie Flagga, następnego ranka, zanim zdążył stracić pewność siebie, odbył z nim prywatną audiencję, na której poinformował go, że przemyślał sprawę i zdecydował, żeby pozwolić Peterowi bawić się domem dla lalek tak długo, jak tylko zechce. Powiedział, że jego zdaniem, nie przynosi to chłopcu żadnej szkody.

Wyrzuciwszy to z siebie, czekał z niepokojem na protesty Flagga. Ale nic takiego nie nastąpiło. Flagg tylko uniósł brwi, co Roland ledwo dostrzegł w głębokich cieniach, rzucanych przez kaptur, który czarnoksiężnik zawsze nosił, i rzekł: „Twoja wola, panie, jest wolą królestwa”.

Roland wyczuł z intonacji Flagga, że uważa on jego decyzję za niewłaściwą, ale ton głosu maga powiedział mu też, że ten nie zamierza więcej mówić na ten temat. Król poczuł ogromną ulgę, że udało mu się tak łatwo wykręcić. Tego samego dnia

czarnoksiężnik zaproponował, żeby podnieść podatki rolnikom ze Wschodniej Baronii mimo suszy, która zniszczyła większość zbiorów poprzedniego lata, a Roland skwapliwie się zgodził.

Prawdę mówiąc, fakt, że stary głupiec (bo tak Flagg nazywał Rolanda w myślach) postąpił wbrew jego woli w sprawie domu dla lalek, nie stanowił dla czarnoksiężnika poważnego problemu. Znacznie istotniejszą sprawą było podniesienie podatków we Wschodniej Baronii. A Flagg miał pewien sekret, który napawał go radością. W końcu udało mu się zamordować Saszę.

W owych czasach, gdy królowa czy inna kobieta z panującego rodu miała odbywać połóg, wzywano akuszerkę. Wszyscy lekarze byli mężczyznami, a żaden mężczyzna nie mógł asystować kobiecie mającej rodzić dziecko. Akuszerka, która odbierała Petera, nazywała się Anna Crookbrows i mieszkała przy Trzeciej Południowej Alei. Wezwano ją znowu, gdy nadeszła pora Thomasa. Anna przekroczyła już pięćdziesiątkę i była wdową, gdy zaczął się drugi poród Sashy. Miała jedynego syna, który w dwudziestym roku życia zapadł na drżączkę — chorobę nieuchronnie zabijającą ofiarę w straszliwych bólach po kilku latach cierpień.

Anna bardzo kochała swojego chłopca i gdy w końcu wszystkie sposoby okazały się nieskuteczne, udała się do Flagga. Zdarzyło się to dziesięć lat wcześniej, przed narodzinami obu książąt, a także przed ślubem Rolanda. Flagg przyjął ją w swej wilgotnej suterenie, gdzie podczas rozmowy zaniepokojona kobieta od czasu do czasu słyszała żalosne krzyki więźniów przez lata trzymanyh z dala od blasku słońca. Pomyślała też, że jeśli lochy są blisko, to jeszcze bliżej znajduje się izba tortur. Sam apartament Flagga też nie poprawił jej samopoczucia. Na podłodze widniały wielobarwne, dziwaczne rysunki, namalowane kredą. Gdy mrugnęła, wydało jej się, że rysunki się zmieniają. W klatce wiszącej na długich czarnych kajdanach krakała dwugłowa papuga, która czasami coś sobie opowiadała — jedna głowa mówiła, a druga słuchała. Butwiejące księgi robiły do Anny nieprzyjemne miny. Pająki snuły sieci w ciemnych kątach. Z laboratorium dobiegała mieszanina dziwnych chemicznych zapachów. Mimo wszystko kobieta wyjąkała, z czym przychodzi, a potem czekała w męce niepewności.

— Mogę wyleczyć twojego syna — powiedział wreszcie Flagg.

Radość przekształciła brzydką twarz Anny Crookbrows w prawie piękną.

— O panie! — szepnęła, ale że nic więcej nie przyszło jej do głowy, powtórzyła tylko: — O panie!

Ukryta w mrokach kaptura biała twarz Flagga pozostała daleka i zamyślona, więc Anna znowu zaczęła się bać.

— Czym możesz mi zapłacić za taki cud? — zapytał.

— Wszystkim — szepnęła i rzeczywiście gotowa była na wszystko. — O panie, wszystkim!

— Chcę tylko jednej przysługi — rzekł. — Czy wyświadczysz mi ją?

— Z radością!

— Jeszcze nie wiem, co to będzie, ale dam ci znać, gdy nadejdzie pora.

Upadła przed nim na kolana, a on pochylił się w jej stronę. Kaptur opadł, ukazując jego okropne oblicze. Była to blada twarz trupa z czarnymi dziurami zamiast oczu.

— Jeżeli mi odmówisz, kobieto...

— Nie odmówię! O panie, nie odmówię! Nigdy! Nigdy! Przysięgam na imię mojego drogiego męża!

— W porządku. Przyprawdź tu syna jutro, kiedy zapadnie zmrok.

Przywiodła nieszczęsnego chłopca następnego wieczoru. Biedak trząsł się i drżał, głowa kiwała mu się głupawo i przewracał oczami. Po brodzie ciekła mu ślina. Flagg podał Annie kielich wypełniony ciemnośliwkowym napojem.

— Niech to wypije — powiedział. — Poparzy mu usta, ale ma wypić co do kropli. A potem zabierz go sprzed moich oczu.

Matka szepnęła coś chłopcu do ucha. Drżenie wzmoгло się, gdy próbował skinąć głową. Wypił płyn, a potem z krzykiem zwinął się z bólu.

— Zabierz go stąd — rozkazał Flagg.

— Właśnie, zabierz go stąd! — zawołała jedna z głów papugi.

— Zabierz go stąd, tu nie wolno krzyczeć! — wrzasnęła druga.

Anna zaprowadziła syna do domu pewna, że Flagg go zamordował. Ale nazajutrz drzączka przeszła i chłopiec wrócił do zdrowia.

Mijały lata. Gdy rozpoczął się poród Thomasa, Flagg wezwał położną i coś jej szepnął do ucha. Byli sami w jego tajemnych komnatach, ale mimo to takie polecenie lepiej wydać szeptem.

Twarcz Anny Crookbrows śmiertelnie pobladła, pamiętała jednak słowa Flagga: „Jeśli odmówisz...”.

W końcu król będzie miał dwoje dzieci. A ona ma tylko jedno. Skoro zaś Roland zechce się znowu ożenić i mieć ich więcej — to żaden problem. W Delainie kobiet nie brakowało.

Poszła tedy do Sashy i przemawiała krzepiąco, a w krytycznym momencie w jej rękę zabłysł maleńki nóż. Nikt nie zauważył, jak zrobiła nieduże nacięcie. Chwilę później zawołała:

— Przyj, królowo! Przyj, dziecko nadchodzi!

Sasha parła. Thomas pojawił się na świecie z taką łatwością, jak dziecko zsuwające się na zjeżdżalni. Ale życie Sashy wypłynęło razem z jej krwią na prześcieradła. Dziesięć minut po przyjsciu Thomasa na świat jego matka nie żyła.

Tak więc Flagg nie przejmował się zbyt dużą sprawą domku dla lalek. Najważniejsze, że Roland się starzał, nie było już wścibskiej królowej, a on miał nie jednego syna, lecz dwóch do wyboru. Peter był oczywiście starszy, ale tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Można się go pozbyć, jeżeli okaże się niezdatny do celów Flagga. W końcu to dziecko, które nie potrafi się obronić.

Mówiłem wam już, że Roland podczas całego swojego panowania zastanawiał się dłużej i usilniej jedynie nad tym, czy pozwolić Peterowi bawić się domkiem dla lalek Sashy, tak sprytnie wykonanym przez wielkiego Ellendra. Powiedziałem też, że rezultatem owego namysłu była decyzja niezgodna z życzeniem Flagga. Wyjaśniłem także, iż Flagg uznał całą sprawę za nieistotną.

Ale czy tak było naprawdę? O tym musicie sami zdecydować, gdy już do końca mnie wysłuchacie.

A teraz niech w mgnieniu oka minie wiele lat — jedną z zalet opowieści jest to, że czas może upływać bardzo szybko, gdy nic ciekawego się nie dzieje. W prawdziwym życiu nigdy się tak nie zdarza, co prawdopodobnie można by poczytać za rzecz pozytywną. Czas mija szybciej tylko w opowiadaniach, a czym jest historia, jeśli nie wielką opowieścią, w której wieki zastępują upływające lata?

Podczas owych lat Flagg obserwował obu chłopców z uwagą — przyglądał się im zza pleców starzejącego się króla, rozważając, który z nich powinien go zastąpić, gdy już Rolanda nie stanie. Nie potrzebował wiele czasu, żeby wybrać młodszego, Thomasa. Gdy Peter osiągnął wiek siedmiu lat, Flagg wiedział na pewno, że mu się nie podoba. Gdy miał lat dziewięć, czarnoksiężnik dokonał dziwnego, nieprzyjemnego odkrycia: nie tylko chłopca nie lubił, ale także czuł przed nim lęk.

Chłopiec rósł silny, prosty i przystojny. Miał ciemne włosy i ciemnoniebieskie oczy, jak u ludzi z Zachodniej Baronii. Czasami, gdy nagle podnosił wzrok, w pewien sposób przechylając głowę, przypominał swojego ojca. Ale poza tym był nieodrodnym synem Sashy tak pod względem wyglądu, jak i zachowania. W przeciwieństwie do krzywonogiego i niezgrabnego ojca (Roland poruszał się z wdziękiem tylko na koniu) Peter był wysoki i zręczny. Lubił i umiał polować, ale nie przesłaniało mu to reszty świata. Również nauka sprawiała chłopcu przyjemność — zwłaszcza lekcje geografii i historii.

Jego ojciec nie rozumiał dowcipów i nie miał do nich cierpliwości; większość z nich trzeba mu było wyjaśniać, co psuło całą zabawę. Roland lubił, gdy trefnisie udawali, że poślizgnęli się na skórce od banana albo zderzyli się głowami lub gdy aranżowali obrzucanie się ciastem w wielkiej sali. Król uważał to za doskonałą zabawę. Peter błyskawicznie chwycił o wiele subtelniejsze dowcipy, tak jak ongiś Sasha, a jego beztroski śmiech często rozbrzmiewał w pałacu; słysząc go, służący spoglądali na siebie z zadowoleniem.

Większość chłopców na miejscu starszego syna Rolanda, poznawszy swoją wybitną pozycję w systemie społecznym, nie chciałoby bawić się z nikim spoza

swojej klasy. Peter zaprzyjaźnił się z chłopcem, który nazywał się Ben Staad, gdy obaj skończyli lat osiem. Rodzina Bena nie wywodziła się z królewskiego rodu i chociaż Andrew, ojca Bena, łączyło po kądzieli bardzo odległe pokrewieństwo z jakimś szlachebnym rodem, to nawet nie można było zaliczyć Staadów do szlachty. „Człowiek wolny” to prawdopodobnie najpochlebniejsze określenie, jakie dałoby się zastosować wobec Andrew Staada, i „syn człowieka wolnego” — do jego chłopaka. Co więcej, zamożna niegdyś rodzina Staadów przeżywała ciężkie czasy i chociaż książę mógłby poszukać ciekawszych przyjaciół, nie znalazłoby się takich wielu.

Chłopcy spotkali się na zabawie dla farmerów, gdy Peter miał osiem lat. Impreza ta odbywała się co roku i większość królów i królowych w najlepszym razie uważała ją za męczący obowiązek; zazwyczaj pokazywali się tylko na chwilę, spełniali tradycyjny toast, a potem się oddalali, życząc farmerom dobrej zabawy i dziękując im za kolejny urodzajny rok (tak nakazywał obyczaj, nawet jeśli zbiory okazały się kiepskie). Gdyby Roland należał do tego rodzaju monarchów, Peter i Ben nie mieliby nigdy szansy się poznać. Ale jak już się zapewne domyśliliście, Roland uwielbiał zabawę dla farmerów, oczekiwał jej co roku z niecierpliwością i zazwyczaj zostawał do samego końca (a nieraz wnoszono go pijanego i chrapiącego głośno).

A więc tak się złożyło, że Peter i Ben stanowili parę w wyścigu w workach na trzy nogi i wygrali go... chociaż zwycięstwo okazało się znacznie trudniejsze, niż się wydawało. Prowadząc prawie o sześć długości, przewrócili się niebezpiecznie, a Peter rozciął sobie ramię.

— Przebac mi, książę! — zawołał Ben. Zbladł i być może wyobrażał już sobie lochy (a na pewno robili to jego rodzice, z niepokojem obserwując wyścig; Andrew Staad lubił mawiać, że ze szczęścia mieli tylko jego brak), ale raczej przykro mu było, że sprawił komuś ból, albo zaskoczyło go, iż krew przyszłego króla okazała się czerwona jak jego własna.

— Nie wygłupiaj się — mruknął niecierpliwie Peter. — To moja wina, a nie twoja. Wstawaj szybko. Doganiają nas.

Dwaj chłopcy, zamienieni w niezgrabnego trójnogiego stwora przez worek, którym mocno związane prawą nogę Petera i lewą Bena, zdołali się podnieść i niezręcznie ruszyli dalej. Upadek obu pozbawił tchu, a co więcej, spowodował, że stracili prawie całą przewagę. Do linii mety, gdzie tłoczyli się rolnicy (no i oczywiście Roland stojący pośród nich i czujący się jak najbardziej na swoim

miejscu), radośnie wiwatując, zbliżało się dwóch wiejskich chłopców. Wydawało się całkiem pewne, że wyprzedzą Petera i Bena na ostatnich dziesięciu metrach wyścigu.

— Szybciej, Peter! — ryknął Roland, wychylając wielki kufel miodu z takim entuzjazmem, że większość wylał na siebie. W podnieceniu wcale tego nie zauważył. — Jak zając, synu! Kicaj jak zając! Te chłopaki są tuż za wami!

Matka Bena zaczęła pojękiwać cichutko, przeklinając los, który sprawił, że jej syn znalazł się w jednej parze z księciem.

— Jeśli przegrają, wrzuci naszego Bena do najgłębszego lochu na zamku — jęknęła.

— Milcz, kobieto — powiedział Andrew. — Nie robi nic takiego. To dobry król. — Był o tym przekonany, ale jednak się bał. W końcu jak pech to pech.

Tymczasem Ben zaczął chichotać. Sam nie wierzył własnym uszom, ale właśnie to robił.

— Kicać jak zając?

Peter też się zaśmiał. Nogi bolały go okropnie, krew ciekła mu po prawej ręce, a pot spływał po twarzy, która zaczęła przybierać ładny śliwkowy kolor, ale nie mógł się powstrzymać.

— Tak właśnie powiedział.

— No to skaczemy!

Nie bardzo przypominali zające, gdy przekraczali linię mety; wyglądali raczej jak para dziwacznych, kulawych wron. Tylko cudem się nie wyrócili. Udało im się zrobić trzy niezręczne skoki. Trzeci przeniósł ich przez linię mety, gdzie upadli, wyjąc ze śmiechu.

— Zajączek! — zawołał Ben, wskazując na Petera.

— Sam jesteś zajączek! — odkrzyknął Peter, pokazując Bena.

Objęli się ramionami i wciąż jeszcze się śmiali, gdy krzepcy farmerzy (a pośród nich Andrew Staad, który na całe życie zapamiętał połączony ciężar obu chłopców) ponieśli ich na rękach do Rolanda, który założył im na szyje błękitne wstęgi. Potem niezgrabnie ucałował każdego w policzek i wylał im na głowy resztki zawartości swego kufła, co wywołało istną burzę wiwatów. Nawet najstarsi dziadkowie nie pamiętali takiego wyścigu.

Resztę dnia chłopcy spędzili razem i rychło doszli do wniosku, że jest to przyjaźń na całe życie. Jednak nawet chłopiec ośmioletni ma pewne obowiązki (a

jeśli kiedyś ma zostać królem, to tym bardziej), więc nie spędzali z sobą tyle czasu, ile by chcieli, ale czynili to, ilekroć nadarzała się okazja.

Niektórzy krzywili się na tę przyjaźń, twierdząc, że nie jest rzeczą właściwą, aby przyszły król kolegował się z chłopcem pochodzącym z rodziny nie lepszej niż zwykli przerzucacze gnoju. Większość jednak aprobowała ten stan rzeczy; niejedyn raz mówiło się w delaińskich miódopitniach, że Peterowi dostało się to, co najlepsze — rozum po matce i miłość ludu po ojcu.

Peter nie miał w sobie nic małostkowego. Nie przechodził okresu, w którym wrywa się skrzydła muchom albo podpala psom ogony, żeby potem patrzeć, jak uciekają. Co więcej, włączył się w sprawę konia, który miał zostać zlikwidowany przez Yosefa, głównego królewskiego stajennego... i właśnie wtedy, gdy wieść o tym dotarła do Flagga, czarnoksiężnik zaczął bać się starszego syna monarchy i zastanawiać, czy rzeczywiście zostało mu tyle czasu na usunięcie go z drogi, jak sądził dotychczas. Albowiem w sprawie klaczy ze złamaną nogą Peter wykazał się odwagą i poświęceniem, które Flaggowi wcale się nie spodobały.

Przechodząc przez stajenny dziedziniec, Peter zobaczył konia uwiązanego do ogrodzenia tuż za główną stajnią. Zwierzę unosiło jedną z tylnych nóg. Peter patrzył, jak Yosef splunął w dłonie i chwycił ciężki drewniany młot. Było jasne, co zamierza zrobić. Prerażony i zdumiony chłopiec podbiegł do Yosefa.

— Kto kazał ci zabić tego konia? — zapytał.

Yosef, krzepki sześćdziesięciolatek, miał w pałacu bardzo pewne stanowisko. Nie zamierzał pozwalać, żeby jakiś smarkacz mieszał się w jego sprawy, nawet jeśli jest księciem. Zmierzył więc Petera ciężkim spojrzeniem, które miało zmieść go z powierzchni ziemi. Chłopiec, mający wtedy zaledwie dziewięć lat, zdołał je wytrzymać. Wydawało mu się, że łagodne brązowe oczy kłaczy przemawiają do niego. „Kimkolwiek byś był, jesteś moją ostatnią szansą. Proszę, zrób, co tylko możesz”.

— Mój ojciec, ojciec mojego ojca, a jeszcze przedtem jego ojciec — rzekł Yosef, widząc, że musi coś powiedzieć, chce czy nie chce. — Właśnie oni mi to powiedzieli. Koń ze złamaną nogą nie przyda się żadnej żywej istocie, a najmniej sobie samemu. — Uniósł nieco młot. — Ten młotek wydaje ci się narzędziem zbrodni, ale gdy dorośniesz, zrozumiesz, że w takich wypadkach jak ten zadaje on cios łaski. A teraz odsuń się, żebyś się nie pochlapał.

Uniósł oburącz narzędzie.

— Odłóż to — polecił Peter.

Yosef stał jak skamieniały. Nikt nigdy nie wtrącał się do jego spraw w taki sposób.

— Ejże! Co ty mi tu mówisz?

— Słyszałeś. Powiedziałem, żebyś odłożył ten młot. — Gdy Peter wymawiał te słowa, jego głos stał się niższy.

Yosef nagle zrozumiał — ale tak naprawdę — że stoi przed nim, na jego zapyłonym podwórku, przyszedł król i wydaje mu rozkaz. Gdyby Peter sam to powiedział, gdyby wykrzykiwał: „Odłóż to, odłóż to, słyszałeś przecież, pewnego dnia zostanę królem, rozumiesz, królem, więc odłóż ten młot!” — Yosef zaśmiałyby

się tylko pogardliwie, splunął i zakończył życie klaczy ze złamaną nogą jednym ruchem swych muskularnych ramion. Ale Peter nie musiał nic takiego mówić; ton jego głosu i wyraz oczu stanowiły rozkaz.

— Twój ojciec dowie się o tym, książątko — rzekł Yosef.

— A jak mu o tym powiesz, będzie to słyszał po raz drugi — odparł Peter. — Pozwolę ci wykonać swoje zadanie bez przeszkód, panie główny stajenny, jeśli dasz mi właściwą odpowiedź na jedno pytanie.

— Zadaż je więc — rzekł Yosef. Musiał przyznać, że wbrew jego woli chłopiec wywarł na nim wrażenie. Gdy Peter oznajmił mu, że pierwszy powie o całej sprawie ojcu, uwierzył mu; prawda lśniła w oczach chłopca. No i nigdy jeszcze nie nazwano go panem głównym stajennym, co mu się raczej spodobało.

— Czy tego konia widział weterynarz? — zapytał Peter.

Yosefa zatkało.

— To jest twoje pytanie?

— Tak.

— Na wszystkich bogów, nie! — zawołał, a widząc, że Peter drgnął, zniżył głos, kucnął przed chłopcem i próbował mu wyjaśnić: — Koń ze złamaną nogą jest stracony, Wasza Wysokość. Zawsze. Kość nigdy się dobrze nie zrasta. Może wdać się zakażenie krwi. Zwierzę to bardzo boli. Okropnie. I w końcu albo pęknie mu serce, albo dostanie zapalenia mózgu i wpadnie w szal. Rozumiesz teraz, co miałem na myśli, mówiąc, że jest to cios łaski?

Peter spuścił głowę i zastanawiał się z powagą przez dłuższy czas. Yosef milczał, wciąż przykucnięty przed nim, podświadomie przyjmując pozę wyrażającą szacunek i pozwalając chłopcu rozmyślać tak długo, jak tylko zechce.

Ten w końcu podniósł głowę i zapytał:

— Mówisz, że wszyscy tak uważają?

— Wszyscy, Wasza Wysokość. Mój ojciec...

— To zobaczymy, co powie weterynarz.

— Och... hm! — ryknął koniuszy i cisnął młotem przez podwórze.

Młot wpadł do zagrody dla świń, rozbryzgując błoto. Świnie chrząkały i kwiczały, przeklinając go w swojej świńskiej łacinie. Yosef, podobnie jak Flagg, źle znosił opór, więc nie zwrócił na nie uwagi.

Podniósł się i odszedł. Peter patrzył za nim z obawą, że nie ma racji i czeka go chłosta za tę sprawę. Po chwili główny stajenny zatrzymał się na środku

podwórza, a na jego twarzy pojawił się niechętny uśmiech, niby promień słońca w pochmurny poranek.

— Idź po tego weterynarza — powiedział. — Sam go tu przyprowadź. Znajdziesz go w izbie weterynaryjnej na końcu Trzeciej Wschodniej Alei, jak mi się wydaje. Masz na to dwadzieścia minut. Jeśli nie wrócisz w tym czasie, mój młot rozwali głowę tej klaczy, książę nie książę.

— Tak jest, panie główny stajenny! Dziękuję! — zawołał Peter i ruszył pędem.

Gdy zdyszany wracał z młodym weterynarzem, był pewien, że klacz już nie żyje; słońce wskazywało, że minęło trzy razy po dwadzieścia minut. Ale Yosef, powstrzymywany przez ciekawość, czekał.

Leczenie koni i weterynaria pojawiły się w Delainie niedawno, a młody człowiek był dopiero trzecim lub czwartym przedstawicielem tego zawodu, nic więc dziwnego, że Yosef patrzył na niego z powątpiewaniem. Samego zaś weterynarza wcale nie zachwycało, że spocony książę o szeroko otwartych oczach wyciągnął go z izby weterynaryjnej, ale jego niezadowolenie zmalało, gdy okazało się, że jest tu pacjent. Klęknął przed klaczą i łagodnie obmacywał złamaną nogę, nucąc pod nosem. Klacz raz drgnęła, gdy badanie sprawiło jej ból.

— Spokojnie, malutka — powiedział łagodnie doktor — spokojnie.

Zwierzę się uspokoiło. Peter patrzył na to wszystko, kuląc się wewnętrznie z niepokoju. Yosef przyglądał się, stojąc z założonymi rękami obok opartego o ścianę młota. Uznał, że facet jest młody, ale wie, co robi.

W końcu lekarz skinął głową i wstał, otrzepując z rąk stajenny kurz.

— No i co? — zapytał z niepokojem Peter.

— Zabij ją — rzucił krótko weterynarz do Yosefa, zupełnie nie zwracając uwagi na Petera.

Yosef natychmiast uniósł młot, gdyż nie spodziewał się innego zakończenia sprawy. Ale nie odczuwał też satysfakcji, że racja okazała się po jego stronie; rozpacz malująca się na twarzy chłopca przemówiła mu do serca.

— Zaczekaj! — zawołał Peter i chociaż jego drobna buzia wyrażała wielki smutek, głos stał się znów niższy, tak jakby należał do kogoś znacznie, znacznie starszego.

Weterynarz spojrział na chłopca zaskoczony.

— Czy ona umrze na zakażenie krwi? — zwrócił się Peter do lekarza.

— Co takiego? — zapytał ten, obrzucając go uważnym spojrzeniem.

— Czy umrze na zakażenie krwi, jeśli się ją na razie zostawi przy życiu? Pęknie jej serce? Dostanie szału?

Lekarz najwyraźniej w świecie nic z tego nie rozumiał.

— O czym ty mówisz? Zakażenie krwi? Nic takiego tu nie stwierdzam. Prawdę mówiąc, złamanie zrasta się bardzo ładnie. — Popatrzył na Yosefa z lekkim niesmakiem. — Znam te historie. To wszystko nieprawda.

— Jeśli tak myślisz, to jeszcze się musisz wiele nauczyć, przyjacielu — powiedział Yosef.

Peter nie zwrócił na niego uwagi. Teraz on nic nie rozumiał. Zapytał więc młodego weterynarza:

— To dlaczego powiedział pan głównemu stajennemu, że ma zabić konia, który może wyzdrowieć?

— Wasza Wysokość — odparł lekarz energicznie — ta klacz powinna mieć robione okłady codziennie rano i wieczorem co najmniej przez miesiąc, żeby nie wdała się infekcja. Można je zastosować, ale jaki będzie skutek? Zwierzę już na zawsze pozostanie kulawe. A klacz, która kuleje, nie może pracować. Kulawa klacz nie weźmie udziału w wyścigu, żeby próżniacy stawiali na nią pieniądze. Koń, który kuleje, może tylko jeść i jeść i nigdy nie zarobi na swoje utrzymanie. Dlatego też należy go zabić.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Udało mu się zgrabnie przedstawić argumenty.

Gdy jednak Yosef znów chwycił za młot, Peter powiedział:

— Ja zajmę się robieniem okładów. Jeśli któregoś dnia nie będę mógł przyjść, zastąpi mnie Ben Staad. A ona wyzdrowieje, zostanie moim koniem i będę jej dosiadał, nawet jeżeli będzie tak kulawa, że przyprowadzi mnie o chorobę morską.

Yosef wybuchnął śmiechem i klepnął chłopca w plecy tak, że aż mu szczęknęły zęby.

— Masz dobre serce i odwagę, chłopcze, ale w twoim wieku łatwo składa się obietnice, a potem się tego żałuje. Moim zdaniem, nie poradzisz sobie.

Peter spokojnie popatrzył na stajennego.

— Dotrzymam słowa.

Yosef natychmiast przestał się śmiać. Przyjrzał się chłopcu i uznał, że rzeczywiście ma on zamiar to zrobić... a przynajmniej tak się wydaje. Jego twarz miała zdecydowany wyraz.

— Hm, nie mogę tu tkwić przez cały dzień — powiedział weterynarz, wracając do swej poprzedniej energicznej postawy. — Przedstawiłem wam diagnozę. Rachunek prześlę zwykłym trybem do skarbu państwa... Może zapłacisz go ze swojej pensji, Wasza Wysokość. Ale to już nie moja sprawa. Do widzenia.

Peter i główny stajenny patrzyli, jak odchodzi przez podwórze, rzucając długi popołudniowy cień.

— Gada bzdury — powiedział Yosef, gdy weterynarz znalazł się za bramą, poza zasięgiem głosu, a więc nie mógł mu zaprzeczyć. — Posłuchaj mnie, Wasza Wysokość, to ci oszczędzi zmartwienia. Żadna klacz z rozwaloną nogą nigdy nie uchroni się przed zakażeniem. Bóg to tak urządził.

— Chciałbym porozmawiać o tym z ojcem — rzekł Peter.

— Musisz, moim zdaniem — powiedział poważnie Yosef... ale gdy Peter już odszedł, uśmiechnął się. Uważał, że chłopiec dostanie konia. Ojciec ma obowiązek złożyć mu skórę za mieszanie się w sprawy dorosłych, lecz stajenny wiedział, że Roland, osiągnąwszy już późny wiek, liczy ogromnie na swoich synów (może trochę bardziej na Petera niż na Thomasa), sądził więc, że chłopiec otrzyma swojego konia. Oczywiście, czeka go też smutek, kiedy klacz zemrze, ale jak słusznie zauważył weterynarz, to już nie jego, Yosefa, problem. On znał się na hodowli koni, a wychowanie księżąt lepiej pozostawić innym.

Peter rzeczywiście dostał chłostę za mieszanie się do spraw głównego stajennego, ale chociaż nie stanowiło to wielkiej pociechy dla jego obolałego siedzenia, to — jak podpowiadał mu rozum — fakt, iż chłostę wymierzył mu osobiście ojciec, zamiast zlecić to podwładnemu, który usiłowałby przez jej złagodzenie uzyskać dla siebie jakieś przyszłe korzyści, był dla niego wielkim zaszczytem.

Peter nie mógł spać na plecach przez trzy dni i jeść na siedząco przez prawie tydzień, ale główny stajenny trafnie przewidział, co się stanie — Roland pozwolił Peterowi zatrzymać klacz.

— Nie stracisz na nią dużo czasu, Peter — rzekł Roland. — Jeśli Yosef mówi, że ona umrze, to tak się na pewno stanie.

Twarz monarchy trochę zbladła, a ręce drżały mu lekko. Bicie sprawiło królowi większy ból niż Peterowi, który był jego ukochanym synem, chociaż Roland naiwnie myślał, że nikt poza nim samym o tym nie wie.

— Nie byłbym pewien — odparł Peter. — Myślę, że ten lekarz od koni zna się na rzeczy.

I okazało się, że miał rację. Klacz nie dostała zakażenia krwi i przeżyła, a w końcu kulała tylko nieznacznie, co nawet Yosef musiał przyznać. „Przynajmniej kiedy nie jest zmęczona” — dodał. Peter był bardziej niż skrupulatny w robieniu okładów. Zmieniał je trzy razy dziennie i jeszcze czwarty raz przed pójściem spać. Ben Staad zastępował go kilkakrotnie, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Peter nazwał klacz Peonią i szybko stali się wielkimi przyjaciółmi.

Flagg niewątpliwie miał rację w jednej sprawie, gdy radził Rolandowi, żeby nie pozwolił Peterowi bawić się domem dla lalek: służący są wszędzie, widzą wszystko i lubią gadać. Kilkoro służby widziało scenę na stajennym dziedzińcu, ale jeśli każdy sługa, który utrzymywał potem, że był jej świadkiem, rzeczywiście się tam znajdował, tego gorącego letniego dnia na dziedzińcu musiałyby się aż roić od ludzi. Nic takiego, oczywiście, się nie działo, więc wielu z nich musiało kłamać, co oznaczało, że Peter został uznany za postać godną uwagi. Mówiono o tej sprawie tyle, że stała się ona czymś w rodzaju ósmego cudu w Delainie. Yosef też o niej opowiadał; no i nie należy zapominać o młodym weterynarzu, ale słowo stajennego znaczyło wiele, jako że cieszył się on wielkim szacunkiem. Zaczął nazywać Petera „młodym królem”, czego nigdy przedtem nie robił.

— Moim zdaniem, Bóg ocalił klacz, bo młody król tak dzielnie się za nią wstawiał — oświadczył. — A i harował jak niewolnik przy okładach. Jest dzielny; ma serce smoka. Pewnego dnia zostanie królem jak się patrzy. Aj! Trzeba by wam słyszeć jego głos, gdy powiedział mi, żebym wstrzymał młot!

Była to wspaniała opowieść i na jej konto Yosef pił przez następnych siedem lat, aż Peter został aresztowany pod zarzutem ohydnej zbrodni, osądzony i skazany na uwięzienie w celi na szczycie Iglicy przez resztę życia.

Pewnie zastanawialiście się już, jaki jest Thomas, i niektórzy z was zdążyli może go obsadzić w roli czarnego charakteru, jako chętnego współuczestnika w intrydze Flagga, mającej na celu odebranie korony jej prawowitemu dziedzicowi.

Ale naprawdę wcale tak nie było, chociaż mogło się tak wydawać, a Thomas, naturalnie, też odegrał pewną rolę. Nie robił, muszę przyznać, wrażenia dobrego chłopca, przynajmniej na pierwszy rzut oka. No i oczywiście nie był dobrym chłopcem, w każdym razie w taki sposób jak Peter, ale żaden brat nie potrafiłby wyrzucić bardzo pozytywnego wrażenia w porównaniu z Peterem, co Thomas zrozumiał, gdy skończył cztery lata — było to rok po słynnym wyścigu w workach, a dokładnie w tym samym czasie, gdy zdarzył się incydent z kłaczą. Peter rzadko kłamał i nigdy nie oszukiwał w ważnych sprawach. Był inteligentny i dobry, wysoki i przystojny. Wyglądem przypominał matkę, którą tak kochał król i cały lud Delainu.

Czy Thomas mógł dorównać komuś tak znakomitemu? Pytanie jest proste i takąż sama odpowiedź. Nie mógł.

W odróżnieniu od Petera Thomas kropka w kropkę przypominał swojego ojca. Sprawiało to starszemu panu pewną przyjemność, ale nie taką, jak większości mężczyzn, których synowie są do nich bardzo podobni. Patrząc na Thomasa, odnosił wrażenie, że przygląda się sobie samemu w krzywym zwierciadle. Wiedział, że cienkie blond włosy szybko posiwieją i zaczną wypadać; gdy Thomas osiągnie czterdziestkę, całkiem już wyłysieje. Zdawał sobie też sprawę, iż syn nigdy nie osiągnie wysokiego wzrostu, a jeśli odziedziczył po nim również zamiłowanie do piwa i miodu, urośnie mu wielki brzuch, zanim dojdzie do lat dwudziestu pięciu. Już teraz stawał krzywo stopy i Roland podejrzewał, że chód Thomasa będzie równie kaczy, jak jego własny.

Thomas nie był kimś, kogo można by nazwać dobrym chłopcem, ale to nie oznaczało wcale, że stawał się z tego powodu chłopcem złym. Czasami był chłopcem smutnym, często chłopcem zmieszonym (odziedziczył po ojcu tę

krepującą przypadłość: nadmierne myślenie powodowało, iż zatykał mu się nos, a w głowie krążyły wielkie głązy), niejednokrotnie chłopcem zazdrośnym, ale zły nie był na pewno.

Komu zazdrościł? No jak to, oczywiście, swojemu bratu. Zazdrościł Peterowi. Nie chodziło tylko o to, że Peter ma zostać królem. O nie! Nie chodziło też o to, że ojciec wolał Petera, albo że służący woleli Petera, albo że nauczyciele woleli Petera, bo zawsze umiał lekcje i nie trzeba go było zmuszać do nauki. Nie chodziło też o to, że wszyscy woleli Petera albo że Peter miał przyjaciela od serca. Było coś jeszcze.

Ilekcję ktokolwiek patrzył na Thomasa, a zwłaszcza jego własny ojciec, Thomasowi wydawało się, że myśli tak:

Kochaliśmy twoją matkę, a twoje nadejście ją zabiło. No i co dostaliśmy w zamian za ból i śmierć, o którą ją przyprawiliś? Nieciekawego smarkacza z okrągłą, pozbawioną podbródka twarzą, nierozgarniętego chłopca, który nie potrafił nauczyć się wszystkich wielkich liter przed ukończeniem ośmiu lat. Twój brat Peter umiał to w wieku lat sześciu. Co więc dostaliśmy? Niewiele. Po co się pojawiłeś, Thomas? Na co możesz się przydać? Jako zabezpieczenie sukcesji? Tylko do tego? Jako zabezpieczenie sukcesji na wypadek, gdyby Bezcenny Peter spadł ze swojej kulawej klaczy i skręcił kark? To wszystko? No cóż, nie jesteś nam potrzebny. Nie chcemy cię. Nie chcemy cię...

Thomas odegrał bardzo brzydką rolę w sprawie uwięzienia swojego brata, ale mimo to naprawdę nie był zły. Jestem o tym przekonany i mam nadzieję, że z czasem wy także się ze mną zgodzicie.

Pewnego razu, gdy miał już siedem lat, Thomas spędził cały dzień nad modelem żagłówki dla Rolanda. Pracował, nie mając pojęcia, że Peter okrył się tego dnia chwałą na strzelnicy łuczniczej, czego świadkiem był ojciec. Zazwyczaj Peter nie miewał świetnych wyników w łucznictwie — przynajmniej w tej dziedzinie Thomas okazał się o wiele lepszy od swego starszego brata — ale tego właśnie dnia jak w natchnieniu Peter trafił do celu. Thomas bywał smutny, zmieszany, no i bardzo często miewał pecha.

Przyszła mu na myśl łódź, bo czasami, w niedzielne popołudnia, ojciec lubił chodzić nad fosę otaczającą pałac i bawić się modelami najrozmaitszych jednostek pływających. Takie niewyszukane rozrywki sprawiały Rolandowi wielką przyjemność, a Thomas nigdy nie zapomniał dnia, kiedy ojciec zabrał go — i nikogo więcej — z sobą. W owych czasach ojciec miał doradcę, do którego zadań należało uczyć go, jak się robi łodzie z papieru, czym król zajmował się z ogromną satysfakcją. Tego dnia stary, omszały karp wychynął z mętnej wody i połknął w całości jedną z Rolandowych łodzi. Król śmiał się jak dzieciak i oznajmił, że to lepsze niż opowieść o morskich potworach. Mówiąc to, mocno przytulił Thomasa. Chłopak nigdy nie zapomniał owego dnia — blasku słońca, wilgotnego, lekko tracącego pleśnią zapachu wody w fosie, ciepła ojcowskich ramion i jego drapiącej brody.

Tak więc pewnego poranka, gdy czuł się szczególnie samotny, przyszedł mu do głowy pomysł, żeby zrobić dla ojca żagłówkę. Nie wyszła ona zbyt doskonale, z czego Thomas zdawał sobie sprawę — był prawie tak samo nieudolny w pracach ręcznych, jak w nauce zadanych lekcji. Ale wiedział też, że ojciec mógłby zatrudnić każdego rzemieślnika w Delainie — nawet samego wielkiego Ellendra, który teraz już prawie kompletnie oślepl — do robienia dla siebie łodzi, gdyby mu się tak spodobało. Zasadnicza różnica, jak sądził Thomas, polegała na tym, że własny syn Rolanda spędzi cały dzień na rzeźbieniu dla niego łodzi na niedzielę.

Thomas cierpliwie siedział przy oknie, wydobywając kształty łodzi z kawałka drewna. Używał ostrego noża i zadrasnął się nim wiele razy, a raz nawet

skaleczył się całkiem poważnie. Ale mimo że bolały go ręce, nie ustawał w pracy. Rozmyślał przy tym, jak to on i ojciec pójdą i niedzielnym popołudniem spuszczą łódź na wodę, tylko we dwójkę, bo Peter będzie albo jeździł po lesie na Peonii, albo bawił się z Benem. A on się wcale nie przejmie, jeśli przyplynie ten sam karp i pożre jego drewnianą łódkę, bo wtedy ojciec wybuchnie śmiechem, przytuli go i powie, że to jest lepsze niż opowieść o morskich potworach, które pożerały w całości anduańskie klipry.

Ale gdy przyszedł do królewskiej komnaty, był tam Peter, więc on musiał czekać co najmniej pół godziny z łodzią ukrytą za plecami, podczas gdy ojciec wychwalał łucznicze umiejętności brata. Thomas widział, że Peterowi głupio jest słuchać tej lawiny pochwał. Peter zauważył, iż jego brat chce rozmawiać z ojcem, i usiłował dać to Rolandowi do zrozumienia — Thomas dostrzegł te starania. Ale to nic nie znaczyło, nic a nic. Thomas i tak go nienawidził.

Wreszcie Peter zdołał się wyrwać. Thomas podszedł do ojca, który spojrzał na niego całkiem życzliwie — teraz gdy już nie było tu Petera.

— Coś dla ciebie zrobiłem, tato — powiedział chłopiec, nagle onieśmielony. Trzymał za plecami łódź w dłoniach, które stały się wilgotne i lepkie od potu.

— Naprawdę, Tommy? — rzekł Roland. — To bardzo ładnie z twojej strony.

— Bardzo ładnie, panie — powiedział Flagg, który kręcił się w pobliżu. Rzucił te słowa od niechcienia, ale przyglądał się Thomasowi z wielkim zainteresowaniem.

— Co to jest, chłopcze? Pokaż mi!

— Pamiętałem, jak bardzo lubisz puszczać łodzie w fosie w niedzielne popołudnia, tato, i... — rozpaczliwie pragnął powiedzieć: „I chciałem, żebyś mnie znowu kiedyś z sobą zabrał, więc zrobiłem to”, ale stwierdził, że takie słowa nie przejdą mu przez gardło — ...i dlatego wystrugałem ci łódkę... Pracowałem nad nią cały dzień... pokaleczyłem się... i... i... — Siedząc przy oknie i rzeźbiąc łódź, Thomas wymyślił długą, elokwentną mowę, którą miał wygłosić przed wystawieniem zza pleców łodzi i wręczeniem jej ojcu z reweransem, ale teraz mało co z niej sobie przypominał, a to, co pamiętał, nie miało sensu.

Okropnie zmieszany, niezgrabnie wysunął łódź z łopoczącym żaglem zza siebie i podał ją Rolandowi. Król obracał ją w swych wielkich dłoniach o krótko obciętych paznokciach. Thomas stał i przyglądał mu się, zupełnie sobie nie zdając sprawy, że wstrzymał oddech.

Wreszcie Roland podniósł oczy.

— Bardzo ładnie. Bardzo ładnie. Bardzo ładnie, Tommy. To kajak?

— Żaglówka. — Thomas chciał krzyknąć: „Nie widzisz żagla? Wiązanie węzłów zajęło mi całą godzinę i to nie moja wina, że jeden się rozwiązał i żagiel się telepie!”.

Król dotknął palcem pasiastego żagla, który Thomas wyciął z poszewki na poduszkę.

— Rzeczywiście... no tak, jasne. W pierwszej chwili myślałem, że to kajak, a to jakaś dziewucha, która robi pranie. — Mrugnął do Flagga, który uśmiechnął się mdo w przestrzeń i nic nie powiedział.

Thomas nagle poczuł, że zbiera mu się na wymioty.

Roland spojrział poważniej na swego syna, a potem skinął na niego, żeby podszedł bliżej. Nieśmiało, mając wciąż nadzieję, że wszystko będzie w porządku, Thomas usłuchał.

— To dobra łódź, Tommy. Mocna jak ty sam, trochę niezgrabna jak ty, ale dobra, zupełnie tak jak ty. A jeśli chcesz dać mi naprawdę piękny prezent, pracuj na lekcjach strzelania z łuku, żeby zdobyć odznaczenie pierwszej klasy, tak jak dzisiaj Peter.

Thomas zdobył odznaczenie na niższym kursie łucznictwa rok wcześniej, ale ojciec w swojej radości z sukcesu Petera najwyraźniej o tym zapomniał. Thomas nie prostował omyłki; stał tylko, patrząc na łódkę w wielkich dłoniach ojca. Na policzki i czoło wypłynął mu ceglasty rumieniec.

— W końcu zostało tylko dwóch chłopców — ciągnął Roland — Peter i syn lorda Towsona. Instruktor nakazał, żeby cofnęli się jeszcze o czterdzieści konerów. Chłopak Towsona wyglądał na załamanego, ale Peter natychmiast podszedł do znaku i założył strzałę. Zauważyłem jego spojrzenie i powiedziałem sobie w duchu: „Wygrał! Jeszcze nie zdążył wypuścić strzały, a już wygrał!”. I tak się stało! Mówię ci, Tommy, szkoda, że cię przy tym nie było! Powinieneś...

Król mówił dalej, odkładając łódź, nad którą Thomas spędził cały dzień. Nie zwracał już na nią uwagi. Thomas stał i słuchał, uśmiechając się sztucznie, a ceglasty rumieniec ani na chwilę nie zszedł mu z twarzy. Ojcu nigdy nie zechce się zabrać na fosę łodzi, którą wyrzeźbił — bo niby po co? Odstawiona łódź obrazowała stan, w jakim w tej chwili znajdował się Thomas. Peter prawdopodobnie potrafiłby wyrzeźbić lepszą z zamkniętymi oczami, i to dwa razy szybciej. A przynajmniej jego łódź na pewno bardziej spodobałaby się ojcu.

Po męczącym, nieskończenie długim oczekiwaniu Thomasowi pozwolono wreszcie uciec.

— O ile wiem, chłopiec bardzo się napracował nad tą łodzią — zauważył niedbale Flagg.

— Pewnie tak — przyznał Roland. — Żałosne, nieprawdaż? Trochę przypomina psie gównno z wetkniętą chustką do nosa.

I łódź, jaką ja sam zrobiłbym w jego wieku, dodał w myślach.

Thomas nie mógł słyszeć myśli... ale złośliwa sztuczka akustyki sprawiła, że usłyszał słowa Rolanda, gdy wychodził z Wielkiej Sali. Nagle okropny ucisk w żołądku stał się tysiącokrotnie silniejszy. Thomas pobiegł do swojej sypialni i zwrzutował do miednicy.

Następnego dnia, kręcąc się przy kuchniach, zauważył starego, kulawego kundla, grzebiącego w śmieciach. Chwycił kamień i cisnął. Kamień trafił do celu. Pies zaskomlił i upadł, poważnie okaleczony. Thomas wiedział, że brat, chociaż o pięć lat starszy, nie potrafiłby rzucić tak celnie nawet na odległość o połowę mniejszą — ale marna to była pociecha, bo Peter przede wszystkim nigdy nie cisnąłby kamieniem w biednego, głodnego psa, zwłaszcza tak starego i zgrzybiałego jak ten.

Na chwilę współczucie przeppełniło serce Thomasa, a do oczu napłynęły mu łzy. A potem, zupełnie bez przyczyny, przypomniał sobie, jak jego ojciec mówi: „Przypomina psie gównno z wetkniętą chustką do nosa”. Zebrał garść kamieni i podszedł do leżącego na boku, oszołomionego i krwawiącego z ucha psa. Z jednej strony chciał go zostawić w spokoju albo może wyleczyć, tak jak Peter wyleczył Peonię — żeby był jego własnym psem, i zawsze go kochać. Ale z drugiej strony pragnął mu zrobić krzywdę, jak gdyby zranienie zwierzęcia mogło złagodzić jego własny ból. Stał nad psem niezdecydowany, aż wreszcie przyszła mu do głowy okropna myśl: Przypuśćmy, że ten pies jest Peterem.

To przeważało szalę. Thomas ciskał w psa kamieniami, dopóki zwierzę nie zdechło. Nikt go nie widział, ale gdyby go ktoś zobaczył, na pewno by pomyślał: Oto bardzo, bardzo niedobry, a może nawet z gruntu zdeprawowany chłopiec. Ale osoba, która obserwowałaby to okrutne morderstwo, nie mogła być świadkiem tego, co stało się dzień wcześniej — nie widziała Thomasa wymiotującego i płaczącego rozpaczliwie. Był on bowiem często chłopcem zmieszonym, nierzadko pechowym, ale nadal ośmielał się twierdzić, że nigdy nie był naprawdę zły.

Powiedziałem też, że nikt nie widział kamienowania kundla koło zabudowań kuchennych, ale nie jest to całkowicie prawdą. Flagg zobaczył je wieczorem

w swoim magicznym kryształ. Zobaczył... i bardzo się ucieszył.

Roland... Sasha... Peter... Thomas. Została mi jeszcze jedna osoba, nieprawdaż? Jest bowiem piąta, mroczna postać. Nadeszła pora, żeby pomówić o Flaggu, choć może się to okazać nieprzyjemne.

Niekiedy lud Delainu nazywał go Flaggiem Kapturnikiem; czasami po prostu Czarnym — bo chociaż jego twarz przypominała blade oblicze trupa, był on zaiste czarnym charakterem. Mówiono, że dobrze się trzyma, co stanowiło raczej wyraz niepokoju niż komplement. Przybył do Delainu z Garlanu za czasów dziadka Rolanda. W owych czasach był szczupłym, surowym mężczyzną około czterdziestki. Teraz, w końcowych dniach panowania Rolanda, wyglądał na szczupłego, surowego mężczyznę około pięćdziesiątki. Ale między tymi dwoma punktami w czasie nie minęło lat dziesięć ani nawet dwadzieścia, lecz siedemdziesiąt sześć. Niemowlęta, które bezzębnymi ustami ssały pierś matki, gdy Flagg po raz pierwszy pojawił się w Delainie, dorosły, wstąpiły w związki małżeńskie, miały dzieci, zestarzały się i potraciwszy zęby, zmarły w swoich łóżkach albo na przypiecku. A przez cały ten czas Flagg wyglądał, jakby postarzał się tylko o dziesięć lat. To magia, szeptano, no i, oczywiście, dobrze jest, gdy na dworze ma się czarnoksiężnika, prawdziwego specjalistę, a nie prestidigitatora, który zna sztuczki z monetami albo potrafi ukryć śpiącego psa w rękawie. Ale w głębi serca wiadano, że we Flaggu nie ma nic dobrego. Gdy przechodził, łypiąc spod kaptura swymi przekrwionymi oczami, Delainczycy szybko znajdowali jakąś sprawę do załatwienia po drugiej stronie ulicy.

Czy naprawdę pochodził z Garlanu, krainy bezkresnych horyzontów i uspionych, fioletowych gór? Nie wiem. Był to i nadal jest magiczny kraj, gdzie czasami latają dywany i gdzie świątobliwi mężowie wywabiają dźwiękiem fletu liny z wiklinowych koszyków, wspinają się po nich i znikają gdzieś w górze, żeby już nigdy nie wrócić. Niejeden poszukiwacz wiedzy z bardziej cywilizowanych krain, takich jak Delain i Andua, udał się do Garlanu. Większość z nich znikła równie skutecznie i nieodwołalnie, jak tajemniczy mistycy, wspinający się po unoszących się w powietrzu linach. Ci zaś, którzy pojawili się znowu, nie zawsze

wracali odmienieni na lepsze. Tak, Flagg mógł przybyć do Delainu z Garlanu, ale jeśli tak się stało, nie zdarzyło się to za czasów dziadka Rolanda, lecz o wiele, wiele wcześniej.

W rzeczywistości przybywał do Delainu niejednokrotnie. Za każdym razem miał inne imię, ale zawsze przynosił z sobą takie same nieszczęścia i śmierć. Tym razem nazywał się Flagg. Poprzednio znano go jako Billa Hinch i był wtedy Lordem Królewskim Najwyższym Katem. Chociaż od tego czasu minęło dwieście pięćdziesiąt lat, matki wciąż używały jego imienia do straszenia niegrzecznych dzieci. „Jeśli się natychmiast nie uciszysz, to przyjdzie Bill Hinch i cię zabierze!” — mawiały. Jako Lord Najwyższy Kat trzech najkrwawszych królów w długiej historii Delainu, Bill Hinch zakończył swym toporem życie setek, a niektórzy twierdzili, że tysięcy więźniów.

Przedtem jeszcze, czterysta lat przed Rolandem i jego synami, przybył jako śpiewak Brownson, który stał się bliskim doradcą króla i królowej. Brownson znikł bez śladu, wywoławszy wielką i krwawą wojnę Delainu z Anduą.

A przedtem...

No ale po co to ciągnąć? Nie jestem pewien, czy mi na tym zależy. Gdy upłynie dostatecznie dużo czasu, nawet bjarze zapominają swoich opowieści. Flagg za każdym razem miał inny wygląd i inną profesję, ale dwie rzeczy zawsze pozostawały te same. Pojawiał się w kapturze, jak gdyby nie miał twarzy, i nigdy sam nie zostawał władcą, lecz zawsze naszeptował w mroku, wlewał truciznę do królewskich uszu.

Kim naprawdę był ten czarny człowiek?

Nie wiem.

Gdzie się podziewał między kolejnymi wizytami w Delainie?

O tym też nie mam pojęcia.

Czy go ktokolwiek podejrzewał?

Tak, kilka osób — przede wszystkim historycy i opowiadacze bajek, tacy jak ja. Podejrzewali, że człowiek, który teraz nazywa się Flagg, był już przedtem w Delainie i nigdy w dobrych zamiarach. Ale bali się mówić. Człowiek, który żył pośród nich przez siedemdziesiąt sześć lat, a wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć, był niewątpliwie czarnoksiężnikiem; człowiek, który żył dziesięć razy, a może jeszcze dłużej... ktoś taki mógł być samym szatanem.

Czego chciał? Na to pytanie chyba potrafię odpowiedzieć.

Chciał tego, czego zawsze pragną ludzie źli: mieć władzę i używać jej do złych celów. Tron królewski go nie interesował, bo głowy monarchów nazbyt często znajdowały się na pikach u zamkowych murów, kiedy coś poszło nie tak. Ale królewscy doradcy... ci, którzy knują w ukryciu... tacy ludzie zazwyczaj znikali niczym nocne cienie o świcie, gdy tylko zaczynał pracować topór kata. Flagg był chorobą, gorączką szukającą chłodnego czoła, które można by rozpalić. Ukrywał swoje działania, tak jak zasłaniał twarz. A gdy pojawiały się większe kłopoty — jak to się zwykle dzieje po pewnym czasie — zawsze znikał niczym cień o świcie.

Później, gdy rzeź już się skończyła i gorączka opadła, gdy zakończono odbudowę i znowu znalazło się coś godnego zniszczenia, Flagg ponownie się pojawiał.

Tym razem Flagg zastał Królestwo Delainu w irytująco dobrym stanie. Landry, dziadek Rolanda, był starym, durnym, łatwo ulegającym wpływow pijakiem, ale atak serca zabrał go zbyt szybko. Flagg wówczas już wiedział, że Lita, matka Rolanda, to ostatnia osoba, jaką chciałby widzieć na tronie. Brakło jej urody, ale miała dobre serce i silną wolę. Taka królowa nie stanowiła właściwej pożywki dla tego rodzaju szaleństwa, jakie reprezentował Flagg.

Gdyby pojawił się wcześniej za panowania Landry’ego, wystarczyłoby mu czasu na usunięcie Lity z drogi, tak jak to zamierzał uczynić z Peterem. Ale miał na to zaledwie sześć lat, czyli o wiele za mało.

Jednakże królowa przyjęła go na doradcę, a to już było coś. Nie lubiła go, ale uznawała głównie dlatego, że umiał doskonale wróżyć z kart. Lita uwielbiała słuchać ploteczek na temat swojego dworu i rządu, a plotki te miały podwójną wartość — traktowały nie tylko o tym, co się stało, lecz także o tym, co się dopiero wydarzy. Trudno jest zrezygnować z tak przyjemnej rozrywki, nawet jeśli wyczuwa się, że osoba umiejąca robić tego rodzaju sztuczki może okazać się niebezpieczna. Flagg nigdy nie relacjonował królowej poważniejszych zdarzeń, jakie czasami widział w kartach. Chciała wiedzieć, kto ma kochankę albo kto pokłócił się z żoną czy z mężem. Mroczne intrygi i plany morderstw jej nie interesowały. Od kart oczekiwała niewinnej rozrywki.

Podczas bardzo długiego panowania Lity Flagg ku swojemu niezadowoleniu zdał sobie sprawę z tego, jakie było jego główne osiągnięcie: udało mu się nie zostać wyrzuconym. Utrzymał się na dworze, i to wszystko. Oczywiście w kilku drobnych sprawach mu się powiodło. Wywołał spór między dwoma potężnymi właścicielami ziemskimi w Południowej Baronii i zdyskredytował lekarza, który wynalazł lek na pewne infekcje krwi (Flagg nie chciał, by w królestwie istniały leki inne niż związane z magią, to znaczy takie, które udostępniał lub nie, zależnie od swojej fantazji) — oto przykłady zabiegów Flagga w tym okresie. Ale wszystko to były drobiazgi.

Za rządów Rolanda — biednego, krzywonogiego, pozbawionego pewności siebie Rolanda — Flagg zaczął szybciej zbliżać się do celu. Miał on bowiem cel, do którego dążył, na swój mętny i niewróżący nic dobrego sposób, a tym razem cel ów był rzeczywiście wielki. Flagg planował ni mniej, ni więcej, tylko kompletne obalenie monarchii — krwawą rewoltę, która pogrąży Delain w tysiącletnich mrokach anarchii.

Plus minus rok czy dwa, oczywiście.

Spokojny wzrok Petera stanowił rzeczywiste zagrożenie dla jego planów i długoletniej pracy. Flagg był coraz bardziej przekonany, że należy koniecznie pozbyć się tego chłopca. Czarnoksiężnik zdawał sobie sprawę, że za długo siedzi w Delainie. Dawało się już słyszeć pomruki niezadowolenia. Praca tak pięknie rozpoczęta za rządów Rolanda — stałe podnoszenie podatków, nocne rewizje w stodołach drobnych farmerów i silosach w poszukiwaniu niezgłoszonych zbiorów i zapasów żywności, przyznanie uzbrojenia straży przybocznej — zostanie uwieńczona pod rządami Thomasa. Nie miał czasu przeczekiwać rządów Petera, tak jak przeczekał panowanie jego babki.

Peter nie musiałby nawet zwlekać, aż szemranie poddanych dotrze do jego uszu; pierwszym rozkazem nowego władcy mogło okazać się polecenie, aby Flagg został wysłany na wschód, poza granice królestwa, i nigdy nie wracał pod groźbą śmierci. Flagg, oczywiście, bez trudu zamordowałby doradcę, zanim udzieliłby on młodemu królowi takiej rady, ale cały problem polegał na tym, że Peter prawdopodobnie nie potrzebowałby żadnego doradcy. Sam udzielałby sobie rad. A gdy Flagg zauważył, jak spokojnie i bez lęku patrzy na niego obecnie piętnastoletni i bardzo wysoki chłopak, pomyślał, że być może Peter już teraz podjął taką decyzję.

Ksiązę chętnie czytał i lubił historię, a w ciągu ostatnich dwóch lat, gdy stary król stopniowo siwiał i słabł, zadawał mnóstwo pytań różnym doradcom swojego ojca i niektórym ze swoich nauczycieli. Wiele z tych pytań — zbyt wiele — albo dotyczyło Flagga, albo prowadziło do niego, gdyby poszło się dostatecznie daleko.

To źle, że chłopiec zadaje takie pytania, gdy ma lat czternaście czy piętnaście. Ale to, że dostaje na nie względnie uczciwe odpowiedzi od tak zastraszonych i ostrożnych ludzi, jak królewscy historycy i doradcy Rolanda, okazało się jeszcze gorsze. Oznaczało to, że dla tych ludzi Peter jest już prawie królem — i że oni radują się z tego. Witali go serdecznie i cieszyli się, bo czuli, że kocha wiedzę tak jak oni. Witali go mile także dlatego, że w odróżnieniu od nich był odważnym

chłopcem, mogącym wyrosnąć na króla o lwim sercu, którego życiorys stanie się kanwą dla legend. W nim dostrzegali nadejście Białego, tej starożytnej, prężnej, lecz pokornej siły, która niejedną już raz ratowała ludzkość z opresji.

Musiał zostać usunięty z drogi. Musiał. Musiał.

Flagg powtarzał sobie co wieczór, gdy szedł spać w mroki swych wewnętrznych komnat i gdy budził się w owych mrokach każdego rana: on musi zostać usunięty, ten chłopak musi zostać usunięty.

Ale okazało się to trudniejsze, niż przewidywał. Roland kochał obu synów i oddałby za nich życie, lecz jego uczucie do Petera było szczególnie silne. Może udałoby się kiedyś udusić chłopca w kołysce, tak by wydawało się, że zabrała go nagła dziecięca śmierć, lecz teraz Peter stał się kwitnącym zdrowiem nastolatkiem.

Każdy wypadek zostałby zbadany z największą dokładnością przez oszałałego z bólu Rolanda. Flagg niejedną raz myślał, że prawdziwą ironią losu byłoby, gdyby Peter zginął przypadkowo, a on, Flagg, został za to w jakiś sposób obwiniony. Drobną pomyłką przy wspinaniu się po rynnice... omsknięcie się przy pełzaniu po dachu stajni podczas zabawy ze Staadem w wyzywankę... upadek z konia. I co w rezultacie? Czyż Roland, obłąkany z żalu i w miarę starzenia się coraz mniej zdolny do sensownego rozumowania, nie mógłby dostrzec morderstwa z premedytacją w czymś, co w rzeczywistości było tylko wypadkiem? Czyż jego oko nie zwróciłoby się na Flagga? Oczywiście, że tak. Jego oko zwróciłoby się na Flagga w pierwszej kolejności. Matka Rolanda nie miała do niego zaufania i, o czym doskonale wiedział, w głębi duszy Roland również mu nie dowierzał. Czarnoksiężnik potrafił panować nad tym brakiem zaufania za pomocą strachu pomieszanego z fascynacją, ale gdyby król miał najmniejszy powód przypuszczać, iż to on spowodował śmierć jego syna czy tylko odegrał w niej jakąś rolę...

Flagg umiał sobie nawet wyobrazić sytuację, w jakiej musiałby działać dla dobra i bezpieczeństwa Petera. To było nieznośne. Nieznośne!

On musi zostać usunięty z drogi. Musi zostać usunięty. Musi!

Mijały dni, tygodnie i miesiące, a myśl ta kołatała się w głowie Flagga w sposób coraz bardziej natarczywy. Roland co dzień robił się starszy i słabszy; Peter codziennie dorastał i mądrzał, a zatem stawał się coraz groźniejszym przeciwnikiem. Co tu robić?

Myśl Flagga uporczywie krążyła wokół tego problemu. Był teraz drażliwy i pośpny. Służący, a zwłaszcza lokaj Petera, Brandon, i syn Brandona, Dennis,

omijali go z daleka i szeptali o okropnych zapachach, jakie czasami późną nocą dochodziły z laboratorium Flagga. Zwłaszcza Dennis, który pewnego dnia miał zająć miejsce Brandona jako lokaj Petera, śmiertelnie bał się Flagga i pewnego razu zapytał ojca, czy nie powinien szepnąć Peterowi słówka na temat czarnoksiężnika.

— Tylko po to, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo — dodał Dennis.

— Ani się waż — odparł Brandon i zmierzył groźnym wzrokiem Dennisa, który sam też był zaledwie chłopcem. — Nie powiesz ani słowa. Ten człowiek jest niebezpieczny.

— W takim razie tym bardziej powinienem... — zaczął nieśmiało Dennis.

— Tępak może pomylić szelest zbliżającego się jadowitego węża z grzechotaniem kamyków w pustej tykwie i zechcieć go dotknąć — rzekł Brandon — ale nasz książę nie jest tępakiem, Dennis. A teraz przynieś mi jeszcze jeden kieliszek ginu i ani słowa więcej na ten temat.

Tak więc Dennis nie rozmawiał z Peterem, ale po tej krótkiej wymianie zdań z ojcem jego miłość do młodego pana i strach przed zakapturzonym doradcą króla znacznie wzrosły. Ilekroć zobaczył Flagga sunącego w swojej długiej szacie z kapturem którymś z zamkowych korytarzy, usuwał się na bok i myślał z drżeniem: Jadowity wąż! Jadowity wąż! Uważaj na niego, Peter! I bądź czujny!

Aż pewnej nocy, gdy Peter miał lat szesnaście, a Flagg zaczął nabierać przekonania, że nie ma sposobu, żeby usunąć chłopca z drogi bez narażenia się na niebezpieczeństwo podejrzeń, przyszedł mu do głowy pomysł. Noc ta była szalona. Okropna jesienna burza srożyła się i wyła wokół zamku, a ulice Delainu opustoszały, bo ludzie pochowali się przed ulewnym, lodowatym deszczem i wściekłym wiatrem.

Wilgoć przyprowadziła Rolanda o przeziębienie. W owych czasach chorował on coraz częściej, a leki Flagga, acz potężne, stopniowo przestawały mu pomagać. Jedno z tych przeziębień — może nawet to, przez które właśnie kichał i prychał — przerodzi się w końcu w mokrą chorobę płuc i go zabije. Magiczne leki różniły się od leków przepisywanych przez lekarzy, więc Flagg wiedział, że uzdrawiające napoje, jakie teraz podawał staremu królowi, działały tak słabo, ponieważ on, Flagg, nie chciał już naprawdę, żeby odniosły pożądaný skutek. Jedynym powodem, dla którego utrzymywał Rolanda przy życiu, było to, że bał się Petera.

Chciałbym, żebyś już nie żył, stary, pomyślał z dziecinną złością Flagg, siedząc przy kapiącym ogarku i słuchając, jak wiatr zawodzi na dworze, a jego dwugłowa papuga sennie mamrocze sama do siebie. Za parę groszy — dosłownie za parę — sam bym cię zabił za te wszystkie kłopoty, których ty, twoja żona i twój starszy syn mi przysporzyliście. Sprawiłoby mi to taką radość, że gotów jestem poświęcić w związku z tym swoje plany. Zamordowanie cię byłoby dla mnie czystą przyjemnością...

Nagle zastygł wyprostowany, zapatrzony w mrok swych podziemnych komnat, gdzie niepewnie poruszały się cienie. Oczy załśniły mu srebrzyście, a w głowie zajaśniał niczym latarnia pewien pomysł.

Ogarek zapłonął jaskrawą zielenią, a potem zgasł.

— Śmierć! — wrzasnęła w ciemnościach jedna z głów papugi.

— Mord! — krzyknęła druga.

A wtedy niewidziany przez nikogo Flagg zaczął się śmiać.

Ze wszystkich środków używanych do królobójstwa żaden nie był częściej stosowany niż trucizna. No a nikt nie zna się lepiej na truciznach niż czarnoksiężnik.

Flagg, jeden z największych żyjących magów, znał wszystkie zabójcze substancje, o których i my wiemy: arszenik, strychninę, kurarę, która podpełza zdradziecko, paraliżując wszystkie mięśnie, a na końcu serce; nikotynę, belladonę, wilczą jagodę, muchomora. Wiedział o trujących jadach setek pajaków i węży; o czystym destylacie z lili cianah, który pachnie jak miód, ale zabija ofiary w najsroźszych mękach; straszliwej szponodze, która rośnie w najmroczniejszych zakątkach Ohydnych Bagien. Flagg znał nie dziesiątki trucizn, lecz dziesiątki dziesiątków, a każda z nich straszliwsza była od poprzedniej. Leżały one w największym porządku na półkach w wewnętrznej komnacie, do której służący nie mieli wstępu. Znajdowały się w zlewkach, ampułkach, maleńkich kopertach. Każda mordercza substancja była starannie oznaczona. Oto podręczny zbiór krzyków bólu — przedpokój konania, antyszambr gorączki, gotowalnia śmierci. Flagg odwiedzał to pomieszczenie często, gdy czuł się nieswojo i chciał sobie poprawić humor. Na tym diabelskim targowisku czekało wszystko, czego ludzie mający ciało, a zatem słabi, śmiertelnie się obawiają: męczące bóle głowy, potworne kurcze żołądka, napady biegunki, wymioty, zwężające się naczynia krwionośne, paraliż serca, eksplodujące gałki oczne, puchnące, czerniejące języki, szaleństwo.

Ale najgorszą ze wszystkich truciznę Flagg trzymał z dala nawet od tych. W jego gabinecie stało biurko. Każda z jego szuflad zamknięta była na klucz... ale jedna miała potrójny zamek. W niej leżało pudełko z drzewa tekowego, całe rzeźbione w magiczne symbole... runy i temu podobne. Zamek tego pudełka był jedyny w swoim rodzaju. Jego płytka przypominała matową pomarańczową blaszkę, ale dokładniejsze badanie wykazywało, że jest to jakaś substancja roślinna. I rzeczywiście była to marchew kleffa, a Flagg co tydzień spryskiwał ten żywy zamek wodą. Marchew kleffa ma pewien rodzaj inteligencji. Gdyby ktokolwiek

spróbował włamać się do wykonanego z niej zamka albo nawet gdyby niewłaściwa osoba usiłowała użyć właściwego klucza, zamek zaczęłby krzyczeć. Wewnątrz tego pudełka znajdowało się kolejne, mniejsze, do którego klucz Flagg zawsze nosił na szyi.

W drugim pudełeczku leżała paczuszka. Zawierała ona niewielką ilość zielonego piasku. Ładne, ale nic szczególnego, nic takiego, czym można by się pochwalić mamie w domu. Ten zielony piasek jednak był jedną z najbardziej morderczych trucizn wszystkich światów, tak straszną, że nawet Flagg się jej bał. Pochodził z pustyni Grenh. To wielkie zatrute pustkowie leży aż za Garlanem i nie zalicza się do krain znanych w Delainie. Do Grenh można zbliżyć się tylko w dniach, kiedy wiatr nie wieje w twarz, albowiem wystarczy raz odetchnąć oparami unoszącymi się nad piaskami tej pustyni, by zginąć.

Zginąć, ale nie natychmiast. Trucizna nie działała w ten sposób. Przez jeden lub dwa dni — a czasami nawet trzy — osoba, która odetchnęła trującymi wyziewami (albo, jeszcze gorzej, połknęła ziarnka piasku), będzie czuła się świetnie, prawdopodobnie lepiej niż kiedykolwiek w życiu. A potem, znienacka, płuca jej się rozżarzą, skóra zacznie dymić, a całe ciało skurczy się niczym ciało mumii. W końcu padnie nieżywa, często z włosami w płomieniach. Ktoś, kto wdychał lub połknął morderczą substancję, spłonie od środka.

To był Smoczy Piasek, na który nie istnieje żadne antidotum, żadne lekarstwo. Co za radość.

Tej szalonej deszczowej nocy Flagg zdecydował, że poda Rolandowi odrobinę Smoczego Piasku w winie. Zwyczajem Petera stało się, że przynosił ojcu kielich wina każdego wieczoru, gdy Roland udał się do swych prywatnych komnat. Wiedzieli o tym wszyscy w pałacu i mówili, jaki to dobry syn z tego Petera. Flagg słusznie przypuszczał, że towarzystwo syna sprawia Rolandowi przyjemność co najmniej taką samą jak wino, ale ponieważ pewna panna wpadła Peterowi w oko, ostatnimi czasy rzadko siedział z ojcem dłużej niż pół godziny.

Gdyby któregoś wieczoru Flagg pojawił się po odejściu Petera, starszy pan, jak sądził, nie odmówiłby drugiego kieliszka.

Bardzo szczególnego poczęstunku.

Gorący rocznik, o panie, pomyślał Flagg, a na jego wąskiej twarzy pojawił się uśmiech. Rzeczywiście gorący rocznik, czemu by nie? Winnica leży tuż u wrót piekła, a gdy toto zacznie robić swoje w twoich flakach, pomyślisz, że już w nim jesteś.

Flagg odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Ułożywszy plan — dzięki któremu pozbywał się raz na zawsze i Rolanda, i Petera — Flagg nie tracił czasu. Najpierw wykorzystał całą swoją czarnoksięską moc do wyleczenia króla. Z radością zauważył, że jego lecznicze napoje dawno już nie działały tak znakomicie. Ale chciał, żeby Roland wyzdrowiał — wtedy będzie mógł go zabić w taki sposób, by wszyscy wiedzieli, że było to morderstwo. Gdy się nad tym zastanowił, rzecz okazywała się całkiem zabawna.

Pewnej wietrznej nocy, niecały tydzień po tym, jak królowi przeszedł kaszel, Flagg otworzył zamki biurka i wydobyl tekowe pudełko. „Dobra robota” — mruknał do marchwi kleffa, która pisnęła bezmyślnie w odpowiedzi, a potem uniosł ciężką pokrywkę i wyjął ze środka mniejsze pudełko. Otworzył je kluczem, który nosił na szyi, i wydobyl paczuszkę zawierającą Smoczy Piasek. Opakowanie było zaczarowane, tak że straszliwa moc trucizny nie zagrażała magowi. Tak się przynajmniej Flaggowi wydawało. Jednak zastosował wszelkie środki ostrożności i wyjął paczuszkę za pomocą maleńkich srebrnych szczypczyków. Położył ją obok jednego z królewskich kielichów na biurku. Pot grubymi kroplami wystąpił mu na czoło, bo chwila była krytyczna. Najdrobniejszy błąd mógł przypłacić życiem.

Flagg wyszedł na korytarz prowadzący do lochów i zaczął głęboko oddychać. Robił hiperwentylację. Jeśli oddycha się szybko, w organizmie wytwarza się nadmiar tlenu i dzięki temu można przez dłuższy czas wstrzymywać oddech. Podczas krytycznego etapu przygotowań Flagg miał zamiar nie oddychać wcale. Nie popełni ani małego, ani dużego błędu. Czeką go tak świetna zabawa, że szkoda by umrzeć za wcześnie.

Wziął ostatni głęboki wdech czystego powietrza przez zakratowane okienko, znajdujące się tuż obok wejścia do jego apartamentów, i wrócił do swych pomieszczeń. Zbliżył się do koperty, wyciągnął zza pasa sztylet i delikatnie ją rozciął. Na biurku znajdował się płaski kawałek obsydianu, którego czarnoksiężnik używał jako przycisku do papierów — w owych czasach obsydian był najtwardszą znaną skałą. Ponownie używając szczypczyków, podniósł

paczuszkę, odwrócił ją do góry dnem i wysypał większość zielonego piasku. Zachował tylko odrobinę — niewiele więcej niż tuzin ziarenek, ale ta odrobina miała odegrać niezmiernie ważną rolę w jego planach. Chociaż obsydian jest bardzo twardy, w zetknięciu ze Smoczym Piaskiem przycisk zaczął natychmiast dymić.

Zdążyło już upłynąć trzydzieści sekund.

Flagg podniósł obsydian, pilnując, aby nawet jedno ziarnko Smoczego Piasku nie dotknęło jego skóry — w takim wypadku wędrowałoby bowiem wewnątrz jego ciała, aż podpaliłoby mu serce. Pochylił kamień nad kielichem i wysypał doń piasek. Teraz szybko, zanim piasek zdążył przegryźć szkło, nalał do kielicha trochę ulubionego przez króla wina — tego samego, które w tej chwili Peter niósł prawdopodobnie ojcu, i piasek rozpuścił się natychmiast. Przez chwilę czerwone wino lśniło jadowitą zielenią, a potem przybrało znów normalny kolor.

Pięćdziesiąt sekund.

Flagg wrócił do biurka. Wziął z niego płaski kamień i ujął sztylet za rękojeść. Tylko kilka ziarenek Smoczego Piasku dotknęło ostrza, gdy Flagg rozciął papier, ale już zaczynały przeżerać metal, a paskudne smużki dymu wydobywały się z maleńkich wgłębień w anduańskiej stali. Flagg wyniósł kamień i sztylet na korytarz.

Siedemdziesiąt sekund i płuca zaczęły domagać się powietrza.

Dziesięć metrów w głąb korytarza (który prowadził do lochów, jeśli poszło się nim odpowiednio daleko, czego nikt w Delainie nie był skłonny uczynić), w podłodze znajdowała się krata. Flagg słyszał bulgot wody i gdyby nie wstrzymywał oddechu, poczułby ohydny smród. Był to jeden z zamkowych ścieków. Flagg wrzucił do niego kamień i nóż i mimo pulsującego w płucach bólu wyszczerzył zęby w uśmiechu. A potem podbiegł do okna, wychylił się daleko i wreszcie zaczerpnął powietrza.

Gdy już znów oddychał normalnie, wrócił do gabinetu. Teraz na biurku znajdowały się tylko szczypczyki, paczuszka i kielich z winem. Na szczypczykach nie pozostało nawet jedno ziarnko piasku, a jego odrobina w zaczarowanej paczusce nie mogła wyrządzić magowi krzywdy, o ile ten zachowa odpowiednie środki ostrożności.

Uznał, że na razie wiedzie mu się znakomicie. Praca nie została bynajmniej zakończona, ale zrobił już dobry początek. Pochylił się nad kielichem i głęboko wciągnął powietrze. Teraz nie stanowiło to niebezpieczeństwa; gdy piasek został

zmieszany z płynem, jego wyziewy stawały się nieszkodliwe i niewykrywalne. Smoczy Piasek tworzył mordercze opary tylko w kontakcie z ciałami stałymi, na przykład kamieniem.

Albo ludzkim ciałem.

Flagg uniósł kielich i popatrzył nań pod światło, podziwiając jego krwawy blask.

— Ostatni kielich wina, o królu — powiedział i śmiał się, aż dwugłowa papuga zaczęła krzyczeć ze strachu. — Coś, co ci rozgrzeje żołądek.

Usiadł, odwrócił klepsydrę i zaczął czytać Wielką Księgę Zakłęb. Flagg studiował ową księgę — oprawną w ludzką skórę — od tysiąca lat i do tej pory przeczytał dopiero jedną czwartą. Spędzanie zbyt długiego czasu nad dziełem napisanym na dalekiej wyżynnej Równinie Leng przez szaleńca Alhazreda groziło postradaniem zmysłów.

Godzina... zaledwie jedna godzina. Gdy górna połowa klepsydry się opróżni, Flagg będzie miał pewność, że Peter zdążył już przyjść i wyjść. Godzina i będzie mógł zanieść Rolandowi ten ostatni kielich wina. Przez chwilę mag przyglądał się, jak biały niczym piasek przesuwają się gładko przez przewężenie klepsydry, a potem spokojnie pochylił się nad księgą.

Roland był zadowolony i wzruszony, że Flagg przyniósł mu kieliszek wina przed snem. Wypił je dwoma dużymi haustami i oznajmił, że rozgrzało go znakomicie.

Uśmiechając się pod kapturem, Flagg powiedział:

— Tak też myślałem, Wasza Wysokość.

Czy chciał tak los, czy był to tylko łut szczęścia, że Thomas zobaczył Flagga u ojca tego wieczoru, to jeszcze jedno pytanie, na które sami musicie sobie odpowiedzieć. Ja wiem, że go zobaczył, a stało się tak przede wszystkim dlatego, iż Flagg przez wiele lat specjalnie się starał zostać najlepszym przyjacielem tego nieszczęśliwego, pozbawionego przyjaciół chłopca.

Za chwilę to wyjaśnię — ale najpierw muszę skorygować pewien błąd, jaki być może robicie w ocenie magii.

W opowieściach o czarnoksięstwie występują trzy umiejętności, o których mówi się tak niedbale, jakby każdy pierwszy lepszy czarodziej miał je w małym palcu: przemienianie ołowiu w złoto, zmiana postaci i stawanie się niewidzialnym. Jednakże, po pierwsze, powinniście wiedzieć, że prawdziwa magia nigdy nie jest łatwa, a jeśli myślicie, że kłamię, to spróbujcie sprawić, żeby najmniej przez was lubiana ciotka zniknęła, kiedy następnym razem pojawi się, by spędzić u was tydzień lub dwa. Prawdziwa magia jest trudna, a chociaż czarna magia jest łatwiejsza niż biała, nawet ona sprawia spore kłopoty.

Ołów da się zamienić w złoto, jeśli zna się imiona, które trzeba wezwać, i ma się pod ręką kogoś, kto pokaże, jak należy właściwie rozszczepiać głowy ołowiu. Zmiana postaci i niewidzialność są jednak niemożliwe do wykonania... albo prawie niemożliwe, co na jedno wychodzi.

Od czasu do czasu Flagg, bardzo lubiący podsłuchiwać, nadstawiał ucha naiwnym opowiadaniom o tym, jak młodzi księżęta uciekają ze szponów złych duchów, stając się niewidzialni po wypowiedzeniu prostego magicznego zaklęcia, albo o pięknych młodych księżniczkach (w opowieściach są one zawsze piękne, chociaż doświadczenie nauczyło Flagga, że księżniczki w większości są zepsute do szpiku kości i, jako produkt końcowy małżeństw wewnątrz klanu, brzydkie jak noc, a na dodatek mało inteligentne), które swą sztuką zamieniały olbrzymów w muchy, a następnie szybko je zabijały. Na ogół w tych historiach księżniczki umiały też zabijać muchy, chociaż wiele z tych, które znał Flagg, nie potrafiłoby pozbawić życia nawet owada zdychającego w grudniu na wyziębionym parapecie.

W opowieściach wyglądało to bardzo prosto; ludzie bez przerwy zmieniali postać albo zamieniali się nawet w chodzące okna.

W rzeczywistości Flagg nigdy nie widział takich sztuczek. Znał niegdyś wielkiego maga anduańskiego, który sądził, iż opanował umiejętność zmieniania postaci, ale gdy po sześciu miesiącach medytacji i prawie tygodniu wygłaszania magicznych zwrotów w niezwykle niewygodnych pozycjach wyrzekł ostatnie straszliwe zaklęcie, osiągnął tylko tyle, że nos wydłużył mu się do trzech metrów, a on sam oszalał. Poza tym z nosa wyrastały mu paznokcie. Flagg uśmiechnął się kwaśno na to wspomnienie. Może i wielki mag, ale głupi.

Tak samo niemożliwa była niewidzialność, przynajmniej o tyle, o ile Flagg mógł stwierdzić. Ale można się było zrobić mglistym.

Tak, mglisty — upiorny, przezroczysty, niezauważalny to najlepsze określenia, chociaż na myśl mogą przyjść także inne. Niewidzialność znajdowała się poza zasięgiem Flagga, ale zjadając wołą pytę, a potem wypowiadając kilka zaklęć, można było stać się mglistym. Gdy osiągnęło się ten stan, a z przeciwka nadchodził korytarzem służący, wystarczyło usunąć się na bok, stać nieruchomo i pozwolić mu przejść. W większości wypadków wzrok służącego kierował się na jego własne stopy albo jakiś ciekawy punkt na suficie. Kiedy przechodziło się przez pokój, rozmowy milkły, ludzie zaś przez chwilę czuli się niepewnie, jakby im się zbierało na wiatry. Pochodnie zaczynały kopcić. Czasami gasły świece. Gdy było się mglistym, chować się należało tylko przed kimś dobrze znanym, bez względu bowiem na stan mglistości, jaki się osiągnęło, ludzie ci zawsze widzieli. Mglistość była użyteczna, ale nie dało jej się porównać z niewidzialnością.

Owej nocy, gdy Flagg niósł Rolandowi zatrute wino, najpierw uczynił się mglistym. Nie spodziewał się, że zobaczy kogoś znajomego. Było już po dziewiątej, król stary i chory, dni krótkie, więc mieszkańcy zamku chodzili wcześniej spać. Gdy Thomas zostanie panującym, pomyślał Flagg, spiesząc z winem przez korytarz, co noc będą się odbywały przyjęcia. Thomas odziedziczył po ojcu zamiłowanie do alkoholu, chociaż woli raczej wino niż piwo i miód. Zapoznanie go z paroma mocniejszymi napojami nie sprawi wiele kłopotu... W końcu czyż nie jestem jego przyjacielem? Tak, gdy Peter już zostanie zamknięty w Iglicy, a Thomas będzie królem, przyjęcia odbywać się będą co noc... aż ludzie na ulicach miasta i w baroniach zostaną na tyle stłamszeni, że wybuchnie krwawa rewolta. A wtedy odbędzie się ostatnie, największe przyjęcie... ale podejrzewam, że Thomasowi się

ono nie spodoba. Tak jak jego ojcu po dzisiejszym winie, i jemu na tym przyjęciu zrobi się za gorąco.

Nie spodziewał się zobaczyć nikogo znajomego i tak też się stało. Minęło go tylko paru służących, ale oni odsuwali się od miejsca, w którym stał prawie niewidoczny, jak gdyby poczuli zimny powiew powietrza.

A jednak został przez kogoś dostrzeżony. Thomas zobaczył go przez oczy Dziewięciaka, smoka, którego jego ojciec zgładził dawno, dawno temu. Udało się to dlatego, że Flagg zdradził mu tę tajemnicę.

Sposób, w jaki ojciec odrzucił zrobioną dla niego w prezencie łódź, głęboko zranił Thomasa i od tego czasu trzymał się on od Rolanda z daleka. Mimo to niezmiernie go kochał i bardzo chciał mu sprawić przyjemność, tak jak się to udawało Peterowi. Co więcej, pragnął, żeby ojciec kochał go tak jak Petera. Prawdę mówiąc, Thomas byłby uszczęśliwiony, gdyby Roland kochał go tylko w połowie tak jak Petera.

Problem polegał na tym, że Peter pierwszy miewał wszystkie dobre pomysły. Czasami próbował dzielić się nimi z Thomasem, ale ten albo uważał je za niemądre (dopóki nie okazywało się, że są trafne), albo bał się, że nie podoła wykonaniu swojej części pracy, tak jak to się stało, gdy trzy lata temu Peter zrobił ojcu zestaw do gry w bendoh.

— Dam ojcu coś lepszego niż głupie pionki do gry — powiedział Thomas wyniośle, ale w rzeczywistości pomyślał, że jeśli nie potrafił zrobić dla ojca zwykłej drewnianej żaglówki, to na pewno nie uda mu się pomóc w wykonaniu czegoś tak trudnego jak armia bendoh, składająca się z dwudziestu figur. Tak więc Peter w ciągu czterech miesięcy wystrugał figury sam: piechotę, rycerzy, łuczników, strzelca, generała i mnicha. No i oczywiście Roland zachwycił się nimi, chociaż były odrobinę niezdarne. Natychmiast odłożył jadeitowy komplet do gry w bendoh, wykonany dla niego przed czterdziestu laty przez Ellendra, i na jego miejscu znalazł się zestaw Petera. Thomas, zobaczywszy to, uciekł do swojego pokoju i położył się do łóżka, chociaż było dopiero popołudnie. Czuł się tak, jak gdyby ktoś sięgnął mu do klatki piersiowej, odciął kawałeczek serca i kazał je zjeść. Serce miało gorzki smak i dlatego zaczął nienawidzić Petera jeszcze bardziej, chociaż jakaś jego część nadal kochała tego przystojnego, starszego brata i nie zamierzała przestać.

Mimo że smak był gorzki, przypadł Thomasowi do gustu.

Bo to było jego własne serce.

A teraz sprawa wieczornego kieliszka wina.

Peter przyszedł do Thomasa i powiedział:

— Pomyślałem, że byłoby miło, gdybyśmy przynosili tacie co wieczór kieliszek wina, Tom. Pytałem podczaszego, ale on wyjaśnił, że nie może tak po prostu dać nam butelki wina, bo musi raz na pół roku rozliczać się z głównym winiarzem, ale powiedział też, że możemy złożyć się i kupić butelkę Barony Fifth Vat, które ojciec lubi najbardziej. Ono nie jest takie drogie. Zostało nam mnóstwo kieszonkowego. I...

— Myślę, że ten pomysł jest najgłupszy ze wszystkich! — wybuchnął Thomas. — Wszystko wino należy do ojca, wino w całym królestwie, i może go wypić tyle, ile zechce! Po co mamy wydawać nasze pieniądze, żeby dać ojcu coś, co i tak jest jego własnością? Napchamy tylko kieszeń temu tłustemu podczaszemu, i tyle!

Peter powiedział cierpliwie:

— Ale ojcu sprawi przyjemność, jeśli wydamy na niego pieniądze, nawet jeśli kupimy mu coś, co i tak do niego należy.

— A ty skąd to wiesz?

Z irytującą prostotą Peter odparł:

— Po prostu wiem.

Thomas popatrzył na niego spode łba. Jak mógł powiedzieć Peterowi, że zaledwie miesiąc temu główny winiarz złapał go w piwnicach, jak kradł butelkę wina? Tłusty wieprz długo nim wytrzymał i zagroził, że powie o wszystkim ojcu, jeśli Thomas nie da mu sztuki złota. Thomas zapłacił ze łzami wściekłości i wstydu. Gdyby to był Peter, poszedłbyś w drugą stronę i udawał, że nic nie widzisz, ty świnió, pomyślał. Gdyby to był Peter, odwróciłbyś się plecami. Bo już niedługo Peter zostanie królem, a ja zawsze będę tylko księciem. Przyszło mu też do głowy, że przede wszystkim Peter nigdy nie usiłowałby kraść wina, ale prawda zawarta w tej myśli spowodowała, iż jego złość na brata tylko wzrosła.

— Myślałem... — zaczął Peter.

— Myślałem, myślałem — przedrzeźniał go z furią Thomas. — To idź myśleć gdzie indziej! Gdy ojciec dowie się, że zapłaciłeś głównemu winiarzowi za jego własne wino, wyśmieje cię i powie, że jesteś głupi!

Ale Roland nie wyśmiał Petera ani nie nazwał go głupcem, lecz powiedział drżącym, prawie ławym głosem, że jest dobrym synem. Thomas wiedział o tym, bo zakradł się za Peterem, gdy ten zaniósł ojcu wino pierwszego wieczoru. Patrzył przez oczy smoka i widział wszystko.

Gdybyście zapytali Flagga wprost, dlaczego pokazał Thomasowi to miejsce i prowadzący do niego tajny korytarz, nie potrafiliby wam udzielić zadowalającej odpowiedzi. A było tak dlatego, że sam Flagg nie wiedział dokładnie, czemu to zrobił. Miał talent do prowadzenia intryg, tak jak inni ludzie zdolności do matematyki albo umiejętność odnajdywania kierunku. Zamek liczył już wiele lat i znajdowało się w nim mnóstwo tajnych drzwi i korytarzy. Flagg znał większość z nich (z tym, że nikt, nawet on, nie znał wszystkich), ale Thomasowi pokazał tylko jeden. Instynkt snucia intryg podpowiedział mu, że to może narobić zamieszania, więc Flagg po prostu go usłuchał. W końcu intrygi były dla niego chlebem powszednim. Co jakiś czas wpadał do pokoju Thomasa i wołał:

— Tommy, znowu jesteś ponury! Mam coś, co na pewno chciałbyś zobaczyć! Idziesz?

Prawie zawsze mówił: „Jesteś ponury, Tommy” albo: „Wygładasz, jakby ogarnęła cię czarna melancholia, Tommy”, lub: „Wygładasz, jakbyś siedział na szpilkach, Tommy”, bo miał talent do pojawiania się właśnie wtedy, gdy Thomas odczuwał szczególne przygnębienie lub smutek. Flagg wiedział, że chłopak się go boi i że starałby się wykręcić od pójścia z nim, chyba że czułby się wyjątkowo osamotniony... a równocześnie tak przygnębiony i nieszczęśliwy, że byłoby mu wszystko jedno, kim jest osoba, która ową samotność przełamie. Mag zdawał sobie z tego sprawę, ale Thomas nie — sam przed sobą ukrywał swój strach; bał się Flagga. Zazwyczaj uważał, że czarnoksiężnik to fajny, rozrywkowy facet. Czasami rozrywki, jakich dostarczał, okazywały się trochę złośliwe, ale to często odpowiadało nastawieniu Thomasa.

Czy wydaje się wam dziwne, że Flagg wiedział coś o Thomasie, o czym sam Thomas nie miał pojęcia? Nic w tym niezwykłego. Umysły ludzkie, a zwłaszcza dzieci, są niczym studnie — głębokie studnie, wypełnione czystą wodą. A czasami, jeśli jakaś myśl jest zbyt trudna do zniesienia, osoba, której przyszła ona do głowy, zamyka ją w solidnym pudełku i wrzuca do tej studni. Nadsłuchuje plusku... a potem pudełko znika. Oczywiście, naprawdę wcale tak nie jest. Flagg,

stary i mądry, prócz tego, że nikczemny, wiedział, iż nawet najgłębsza studnia ma dno, a to, że coś znikło nam z oczu, nie oznacza, iż przestało istnieć. Nadal leży tam, na dnie. I wiedział on także, że szkatułki, w których zamknięte są owe złe, przerażające myśli, mogą się rozpaść, a zawarta w nich złość wyleje się po jakimś czasie i zanieczyści wodę... a gdy studnia umysłu jest już porządnie zatruta, nazywamy to szaleństwem.

Jeśli czarnoksiężnik czasami pokazywał Thomasowi różne przerażające rzeczy, kryjące się w zamku, czynił to głównie z jednego powodu: wiedział, że im większy lęk będzie budził w Thomasie, tym więcej zdobędzie nad nim władzy... Był pewny, że uda mu się ją uzyskać, bo zdawał sobie sprawę z czegoś, o czym wam już mówiłem — Thomas był słaby, ojciec często go zaniedbywał. Flagg chciał, żeby Thomas się go bał, i pragnął mieć pewność, że w miarę upływu lat wrzuca on coraz więcej zamkniętych szkatulek w swoją mroczną studnię.

A jeśli po objęciu tronu ogarnie Thomasa szaleństwo, tym lepiej! Flaggowi będzie tylko łatwiej rządzić; dzięki temu jego władza może się jedynie zwiększyć.

Skąd Flagg wiedział, kiedy odwiedzać Thomasa i zabierać go na tajemnicze wędrowki po zamku? Czasami widział, co zasmuciło lub rozgniewało chłopaka, patrząc w swój kryształ. Jeszcze częściej po prostu odczuwał nagłe pragnienie, żeby pójść do Thomasa, i ulegał mu — instynkt intryganta rzadko go zawodził.

Raz zaprowadził Thomasa wysoko na Wschodnią Wieżę — wspinali się po schodach, aż Thomas zasapał się jak pies, ale Flagg sprawiał wrażenie zupełnie niezmużonego. Na szczycie znajdowały się drzwiczki tak maleńkie, że nawet Thomas musiał przez nie przejść na czworakach. Za nimi mieścił się ciemny pokój, pełen tajemniczych szelestów. Miał on jedno okno. Flagg zaprowadził go do niego bez słowa, a gdy Thomas zobaczył widok — całe Delain, sąsiednie miasta, a nawet wzgórza wznoszące się między miastami i Wschodnią Baronią i ginące w błękitnej mgiełce — pomyślał, że nie na darmo męczył nogi na schodach. Serce wezbrało mu radością na widok takiego piękna, więc odwrócił się do Flagga, żeby mu podziękować — ale coś w bladej, niewyraźnej pod kapturem twarzy czarnoksiężnika sprawiło, że słowa zamarły mu na ustach.

— A teraz patrz! — powiedział Flagg, unosząc rękę. Błękitny płomień wystrzelił mu ze wskazującego palca, a szelesty w pokoju, które Thomas z początku wzięła za wiatr, zmieniły się w rosnący szum rozkładanych skrzydeł. Chwilę później Thomas krzyczał i rozpaczliwie, na ślepo oganiał się rękami, uciekając w stronę maleńkich drzwiczek. Z okrągłego pokoiku na szczycie Wschodniej Wieży zamku

rozciągał się najlepszy widok na Delain, któremu jedynie widok z celi na szczycie Iglicy mógł dorównać, ale teraz Thomas zrozumiał, dlaczego nikt tu nie przychodził. W pomieszczeniu zagnieździły się olbrzymie nietoperze. Zaniepokojone światłem, które zapalił Flagg, zaczęły krążyć i pikować. Później, gdy już wyszli, a Flagg uspokoił chłopca — nienawidzący nietoperzy Thomas wpadł w histerię — czarnoksiężnik utrzymywał, że to był tylko żart, którym chciał mu poprawić humor. Thomas uwierzył mu... ale długie tygodnie potem budziły go po nocach koszmary senne, w których nietoperze trzepotały mu nad głową, wplątywały się we włosy i rozdzierały twarz swymi ostrymi pazurami i szczerzymi zębami.

Na kolejną wyprawę Flagg zabrał go do królewskiego skarbcza i pokazał stosy złotych monet, wysokie sterty sztab złota i głębokie skrzynie z napisami: SZMARAGDY, DIAMENTY, RUBINY, MGLISTE OGNIE i temu podobne.

— I one są naprawdę pełne klejnotów? — zapytał Thomas.

— Przyjrzyj się — odparł Flagg. Otworzył jedną ze skrzyń i zaczerpnął garść nieoszlifowanych szmaragdów. Zaśniły niesamowitym blaskiem w jego dłoni.

— Na imię mojego ojca! — wysapał Thomas.

— To jeszcze nic! Popatrz tutaj! Skarb piratów! — Pokazał Thomasowi stos łupów, zdobytych w spotkaniu z piratami anduańskimi około dwunastu lat wcześniej. Skarbiec Delainu zawierał wiele przedmiotów, nieliczni skarbnicy byli już starzy, więc ten akurat stos nie został jeszcze uporządkowany. Thomas podziwiał ciężkie miecze o rękojeściach inkrustowanych drogimi kamieniami, sztylety o ostrzach wykładanych rżniętymi diamentami, tak żeby mogły ciąć głębiej, ciężkie kolczaste kule, wykonane z rodochrozytu.

— I to wszystko należy do królestwa? — zapytał z podziwem Thomas.

— To wszystko należy do twojego ojca — odparł Flagg, chociaż właściwie Thomas miał rację. — A któregoś dnia będzie należało do Petera.

— I do mnie — powiedział Thomas z pewnością siebie dziesięciolatka.

— Nie — odrzekł Flagg z dokładnie takim jak trzeba odcieniem żalu w głosie. — Tylko do Petera. On jest starszy i on zostanie królem.

— Podzieli się ze mną — oświadczył Thomas, ale w jego głosie zabrzmiała nutka niepewności. — Peter zawsze się dzieli.

— Peter to dobry chłopiec i jestem pewien, że masz rację. Prawdopodobnie podzieli się z tobą. Ale wiesz, nikt nie może wymóc na królu, żeby się czymś podzielił. Nikt nie może zmusić króla do zrobienia czegoś, czego on nie chce. —

Popatrzył na Thomasa, żeby sprawdzić, jaki efekt wywarły jego słowa, a potem na duży, mroczny skarbiec. Gdzieś w głębi jeden z wiekowych urzędników monotonnym głosem liczył dukaty.

— Tyle skarbów, i wszystko dla jednego człowieka — zauważył Flagg. — Warto nad tym pomyśleć, nie, Tommy?

Thomas nie odpowiedział, ale Flagg był zadowolony z siebie. Widział, że Thomas rzeczywiście zaczął się nad tym zastanawiać, i uznał, że kolejna zatruta szkatułka leci już w głąb Thomasowej studni — chlup! I tak się też stało. Kiedy bowiem Peter zaproponował Thomasowi, że złożą się na cwieczorną butelkę wina dla ojca, Thomas przypomniał sobie wielką salę skarbcza — a potem, że wszystkie zawarte w nim skarby przypadną bratu. Łatwo ci proponować, żeby kupić wino! Czemu nie? Któregoś dnia i tak dostaniesz te wszystkie pieniądze! — pomyślał.

— Tommy, znowu jesteś smutny! — zawołał Flag. Tego dnia kaptur nie zakrywał jego twarzy, która wyglądała prawie normalnie.

Prawie.

Thomas był rzeczywiście smutny. Tego dnia musiał przez cały obiad wysłuchiwać, jak ojciec wychwala przed swymi doradcami Petera za doskonale stopnie z geometrii i nawigacji. Sam Roland nigdy nie znalazł się na tych przedmiotach. Wiedział, że trójkąt ma trzy boki, a kwadrat cztery; orientował się, że zgubiwszy się w lesie, można odnaleźć drogę, idąc za Starą Gwiazdą; ale na tym jego wiadomości się kończyły. Podobnie rzecz się miała z umiejętnościami Thomasa, który z tego powodu nie mógł się doczekać końca posiłku. Co gorsza, podano mięso, jakie najbardziej lubił ojciec — prawie surowe i krwiste. Takie zaś mięswo nieodmiennie przyprawiało Thomasa o mdłości.

— Obiad mi zaszkodził, i tyle — odpowiedział Flagowi.

— Hm, jest pewna rzecz, która znakomicie poprawi ci humor — odparł Flag. — Zdradzę ci pewną tajemnicę zamku, chłopcze.

Thomas bawił się żuczkiem trzęsaczką. Posadził go na biurku i ogroził książkami. Jeśli wydawało się, że pełznący żuk znajdzie drogę wyjścia, Thomas przestawiał którąś z książek, żeby mu to uniemożliwić.

— Jestem wykończony — powiedział Thomas. Nie kłamał. Słuchanie, jak wychwalają Petera, zawsze było dlań męczące.

— Spodoba ci się — rzekł Flag niemal kusząco... ale w jego głosie brzmiała też groźba.

Thomas popatrzył na niego z obawą.

— A nie ma tam żadnych nietoperzy?

Flag roześmiał się wesoło — ale śmiech ten i tak sprawił, że na ramionach Thomasa pojawiła się gęsia skórka. Czarnoksiężnik poklepał chłopca po plecach.

— Ani jednego! Ani kropelki wody! Żadnego przeciagu! Ciepłutko i miło! I możesz rzucić okiem na swojego ojca, Tommy!

Thomas wiedział, że rzucanie okiem oznaczało podglądanie, a podglądać nie należało — ale propozycja Flagga okazała się strzałem w dziesiątkę. Następnym razem, gdy żuczek trzęsaczek znalazł drogę między książkami, Thomas pozwolił mu wyjść.

— Zgoda — powiedział. — Tylko niech tam nie będzie nietoperzy.

Flagg otoczył ramieniem plecy chłopca.

— Żadnych nietoperzy, przysięgam, ale powiem ci coś, co da ci do myślenia, Tommy. Nie tylko zobaczysz swojego ojca, ale także będziesz go widział oczami jego największego trofeum!

Thomas ze zdziwienia szeroko otworzył oczy. Flagg odczuł zadowolenie. Rybka połknęła przynętę.

— Co to znaczy?

— Chodź i zobacz sam — powiedział tylko.

Poprowadził Thomasa labiryntem korytarzy. Zgubilibyście się w nich prawie natychmiast i ja prawdopodobnie też, ale Thomas szedł nimi tak pewnie, jak wy odnajdujecie po ciemku drogę do własnego pokoju — przynajmniej dopóki Flagg nagle nie skręcił.

Prawie dotarli do apartamentów króla, gdy czarnoksiężnik otworzył wpuszczone w mur drewniane drzwi, których Thomas nigdy przedtem właściwie nie zauważał. Oczywiście znajdowały się tam zawsze, ale w zamkach często są drzwi, a nawet całe skrzydła, które opanowały sztukę stawania się mglistymi.

Ten korytarzyk okazał się raczej wąski. Minęła ich sprzątaczką niosąca stertę prześcieradeł; spotkanie czarnoksiężnika w tym wąskim kamiennym gardle tak ją przeraziło, że chętnie wtopiłaby się w ścianę, żeby uniknąć wyminięcia się z nim. Thomas niemal wybuchnął śmiechem, bo sam często tak się czuł, gdy znajdował się w towarzystwie Flagga. Nikogo więcej nie spotkali.

Gdzieś pod nimi dało się słyszeć odległe szczekanie psów i to pomogło Thomasowi domyślić się, gdzie są. Jedynymi psami na zamku były myśliwskie ogary jego ojca, a czekały prawdopodobnie dlatego, że nadchodziła pora ich karmienia. Większość psów Rolanda była równie stara, jak on sam, a król, wiedząc, że od zimna okropnie łamie w kościach, kazał psiarnię umieścić na zamku. Żeby tam trafić, z głównego salonu ojca należało zejść schodami w dół, skręcić w prawo, a potem przejść około dziesięciu metrów wewnętrznym korytarzem. Tak więc Thomas wiedział, że są około dziewięciu metrów na prawo od prywatnych pokoi Rolanda.

Flagg zatrzymał się tak raptownie, że Thomas prawie na niego wpadł. Czarnoksiężnik rozejrzał się szybko, sprawdzając, czy są sami. Nie dostrzegł nikogo.

— Czwartry kamień od tego na dole ze szczerbą — powiedział Flagg. — Naciśnij go. Szybko!

A więc rzeczywiście był tu jakiś sekret, a Thomas uwielbiał sekrety. Zadowolony odliczył cztery kamienie w górę od tego ze szczerbą i przycisnął. Spodziewał się zwykłego drobnego cygaństwa — może odsuwanej płyty — ale na to, co się stało, zupełnie nie był przygotowany.

Kamień z łatwością przesunął się w głąb o jakieś siedem centymetrów. Coś stuknęło. A potem cały fragment ściany zniecka się zapadł, ukazując ciemną szparę. To wcale nie była ściana, tylko wielkie drzwi! Thomasowi opadła szczęka.

Flagg klepnął go po siedzeniu.

— Mówiłem „szybko”, ty głupku! — szepnął nerwowo. Tym razem napięcie w jego głosie nie było tylko przedstawieniem na użytek Thomasa, jak często zdarzało się z innymi objawami uczuć Flagga. Popatrzył na prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy korytarz jest nadal pusty.

— Rusz się! No już!

Thomas zająrzył w ciemną szczelinę i niepewnie pomyślał o nietoperzach. Ale rzut oka na twarz Flagga powiedział mu, że nie pora teraz na dyskusje.

Otworzył szerzej drzwi i wszedł w mrok. Flagg natychmiast podążył za nim. Thomas usłyszał cichy łopot szat czarnoksiężnika, który odwrócił się i pchnięciem zamknął drzwi. Panowały kompletne ciemności, powietrze było ciepłe i nieruchome. Zanim Thomas zdążył otworzyć usta i powiedzieć cokolwiek, na czubku palca Flagga zapłonął błękitny płomień, rzucając ostre białoniebieskie światło.

Thomas instynktownie skulił się i zakrył głowę rękami.

Flagg zaśmiał się chrapliwie.

— Żadnych nietoperzy, Tommy. Przecież obiecałem.

Nie kłamał. Sufit był niski i Thomas sam mógł się o tym przekonać. Żadnych nietoperzy, ciepłutko... dokładnie tak, jak obiecywał czarnoksiężnik. Światło magicznego ognia Flagga ukazywało, że znajdują się w tajnym korytarzu o długości około ośmiu metrów. Ściany, podłogę i sufit pokrywały deski z grabowego drewna. Thomas nie widział dobrze dalszego końca, ale wydawał się całkiem pusty.

Ciągle słyszał stłumione szczekanie psów.

— Jak mówię, że się masz pospieszyć, to się ruszaj — ponaglił Flagg.

Pochylił się nad Thomasem, niewyraźnie majaczący cień, sam w ciemnościach przypominający nietoperza. Chłopiec niepewnie cofnął się o krok. Jak zawsze czarnoksiężnik rozsiewał nieprzyjemny zapach — odór tajemniczych proszków i gorzkich ziół.

— Teraz już wiesz, gdzie jest korytarz, a ja nie zamierzam bronić ci z niego korzystać. Ale jeśli ktoś cię kiedykolwiek tutaj złapie, musisz powiedzieć, że odkryłeś to przejście przypadkiem.

Postać zamajaczyła bliżej, zmuszając Thomasa do cofnięcia się o następny krok.

— Jeśli powiesz, że to ja ci go pokazałem, Tommy, pożałujesz.

— Nie powiem, nigdy — zapewnił Thomas. Jego głos był cienki i drżący.

— Doskonale. Ale jeszcze lepiej, jeśli nikt nie zauważy, jak z niego korzystasz. Podglądanie króla to poważna sprawa, nawet jeśli podglądający jest księciem. A teraz chodź za mną. Tylko cicho.

Flagg doprowadził go do końca korytarza, który też wyłożony był grabową boazerią, ale gdy mag uniósł palec, na którym świecił płomień, Thomas zobaczył dwie małe klapki. Flagg ściągnął wargi i zdmuchnął światło.

W kompletnych ciemnościach szepnął:

— Nigdy nie otwieraj tych dwóch kłapek przy świetle. Może zobaczyć. Jest stary, ale wzrok ma nadal dobry. Może coś dostrzec, chociaż oczy są zrobione z ciemnego szkła.

— Co...

— Cśśś! Słuch ma też nie najgorszy.

Thomas zamilkł, ale serce waliło mu w piersi. Czuł niezrozumiałe dla siebie samego podniecenie. Później doszedł do wniosku, że działo się tak, ponieważ w jakimś sensie wiedział, co nastąpi.

Usłyszał w ciemności lekki szmer odsuwanej klapki i nagle słaby promień — światło pochodni — rozjaśnił mrok. Rozległ się drugi szmer i pojawił się drugi promień. Teraz znowu widział zarys postaci Flagga i własnych rąk, jeśli uniósł je przed oczy.

Thomas zobaczył, że czarnoksiężnik podchodzi do ściany i pochyla się nieco; przysłonił znacznie światło, gdy przytknął oczy do obu otworów, z których się

sączyło. Patrzył przez chwilę, następnie chrząknął i się odsunął. Skinął na Thomasa.

— Popatrz sobie — powiedział.

W narastającym podnieceniu Thomas ostrożnie przybliżył się do otworów. Widział całkiem wyraźnie, chociaż w dziwnej zielonożółtej poświacie — tak jakby patrzył przez zakopcone szkło. Ogarnęło go poczucie wspaniałego, pełnego zachwytu. Patrzył na bawialnię swojego ojca. Zobaczył jego samego przy kominku, rozwalonego w ulubionym fotelu — tym, który miał wysokie oparcie, rzucające cień na jego pomarszczoną twarz.

Był to prawdziwy salon myśliwego; w naszym świecie nazwalibyśmy go gabinetem, chociaż powierzchnią dorównywał niejednemu domowi. Wzdłuż ścian płonęły pochodnie. Wszędzie wisiały głowy zwierząt: niedźwiedzi, jeleni, łosi, gnu, kormoranów. Znajdował się tu nawet wspaniały pierzowiec, który jest krewniakiem legendarnego feniksa. Thomas nie widział głowy Dziewięciaka, smoka, którego ojciec upolował przed jego narodzinami, ale w pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi.

Ojciec bez zapału pojadał ciastko. Dzbanek z parującą herbatą stał pod ręką.

I tylko to działo się w tym wielkim pokoju, w którym zmieściłoby się (i czasami bywało tak rzeczywiście) do dwustu stojących ludzi — Roland, okutany w podbity futrem szlafrok, samotnie popijał herbatę. Ale Thomas przyglądał mu się, jak się wydawało, w nieskończoność. Nie da się opisać fascynacji i podniecenia, jakie wywołał w nim widok ojca. Serce, które przedtem łomotało mu w piersi, biło z podwójną szybkością. Krew szumiała w głowie. Ręce zacisnęły się w pięści tak mocno, że potem odkrył na dłoniach krwawe półksiężycy od paznokci.

Dlaczego widok starszego pana, spożywającego bez entuzjazmu ciastko, wywołał w nim takie podniecenie? Hm, przede wszystkim trzeba pamiętać, że starszy pan to nie był taki znowu pierwszy lepszy dziadek. To ojciec Thomasa. A podglądanie, co należy z przykrością stwierdzić, jest atrakcją samo w sobie. Kiedy obserwuje się kogoś, kto nie wie, że jest widziany, nawet jego najzwyczajniejsze czynności wydają się ważne.

Po chwili Thomas poczuł się trochę zawstydzony tym, co robi, a to wcale nie jest takie dziwne. Podglądanie kogoś to w końcu jakby kradzież — kradniemy widok tego, co robią ludzie, myśląc, że są sami. Ale jest to też zasadnicza atrakcja podglądania; Thomas mógłby tak patrzeć godzinami, gdyby Flagg nie mruknął:

— Wiesz, gdzie jesteś, Tommy?

— Eee... — Chciał powiedzieć, że chyba nie, ale oczywiście wiedział. Miał dobre wyczucie kierunku i przy odrobinie wysiłku potrafił wyobrazić sobie, co znajdowało się w miejscu, z którego rozciągał się taki widok. Nagle zrozumiał, co miał na myśli Flagg, mówiąc, że on, Thomas, zobaczy ojca przez oczy największej zdobyczy Rolanda. Patrzył na króla mniej więcej z połowy wysokości zachodniej ściany... a tam właśnie wisiała największa z głów, która należała do Dziewięciaka, ojcowskiego smoka.

„Może coś dostrzec, chociaż oczy są zrobione z ciemnego szkła” — teraz rozumiał i to. Thomas musiał zakryć sobie usta ręką, żeby nie wybuchnąć przenikliwym chichotem.

Flagg zasunął klapki... ale on też się uśmiechał.

— Zaczekaj! — szepnął Thomas. — Chcę jeszcze popatrzeć!

— Nie dziś — odparł Flagg. — Na dziś wystarczy. Możesz tutaj przychodzić, kiedy tylko zechcesz... ale jeśli będziesz robił to za często, na pewno ktoś cię przyłapie. Zbieraj się. Wracamy.

Flagg zapalił magiczny płomień i ponownie poprowadził Thomasa korytarzem. Na końcu zgasił światło i znów rozległ się szmer, gdy otworzył judasza. Naprowadził na niego rękę Thomasa, tak aby ten wiedział, gdzie jest, a potem kazał mu popatrzeć.

— Zauważ, że widzisz korytarz w obie strony — powiedział Flagg. — Zawsze pamiętaj, żeby popatrzeć, zanim otworzysz tajne drzwi, w przeciwnym razie któregoś dnia ktoś cię tutaj złapie.

Thomas przyłożył oko do judasza i ujrzał dokładnie po drugiej stronie korytarza ozdobne okno ze szklanymi bokami, które umieszczone były trochę pod kątem. Wydawało się ono zbyt ekstrawaganckie, jak na taki mały korytarz, ale Thomas zrozumiał natychmiast, że zostało tu umieszczone przez kogoś, kto zrobił tajne przejście. Patrząc w ustawione pod kątem szyby, rzeczywiście widział zamglone odbicie obu końców korytarza.

— Pusto? — szepnął Flagg.

— Tak — odpowiedział szeptem Thomas.

Flagg pchnął znajdującą się wewnątrz dźwignię (tym razem także naprowadzając na nią dłoń Thomasa, żeby w przyszłości mógł z niej korzystać sam), i wierzeje otwarły się ze stuknięciem.

— Teraz szybko! — błyskawicznie wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

Dziesięć minut później byli z powrotem w pokoju Thomasa.

— Dość już emocji na dziś — zawyrokował Flagg. — Pamiętaj, co ci powiedziałem, Tommy: nie korzystaj z korytarza za często, bo cię ktoś złapie, a jeśli cię złapią — oczy Flagga błysnęły ponuro — nie zapominaj, że znalazłeś się tam przypadkiem.

— Tak jest — potwierdził szybko Thomas cienkim głosem, piszczącym niby nienaoliwione zawiasy. Gdy Flagg patrzył nań w ten sposób, wydawało mu się, że jego serce jest ptakiem szamoczącym się w zamkniętej klatce.

Thomas trzymał się rady Flagga, żeby nie chodzić tam często, ale od czasu do czasu pojawiał się w tajnym przejściu i patrzył na swojego ojca przez szklane oczy Dziewięciaka — zaglądał do świata, w którym wszystko stawało się zielonożółte. Odchodząc z bólem głowy (co zdarzało się zawsze), myślał: Boli cię głowa, bo widziałeś świat tak, jak widzą go smoki — jak gdyby wszystko było suche i gotowe do podpalenia. A może intrygancki instykt Flagga wcale go nie zawiódł, bo podglądając ojca, Thomas nauczył się czegoś nowego w stosunku do niego. Zanim poznał tajemne przejście, kochał go i często smucił się, że nie potrafi sprawić mu przyjemności, a czasami też się go bał. Teraz nauczył się także nim gardzić.

Ilekcję Thomas zaglądał do komnaty ojca i stwierdzał, że jest on w towarzystwie, szybko się oddalał. Zostawał tylko wtedy, gdy Roland był sam. W przeszłości zdarzało się to rzadko nawet w takich miejscach jak gabinet, który w końcu stanowił część „prywatnych apartamentów króla”. Zawsze była jeszcze jedna sprawa niecierpiąca zwłoki, jeszcze jeden doradca, którego należało przyjąć, jeszcze jedna petycja do wysłuchania.

Ale czas władzy Rolanda się kończył. W miarę jak wraz ze słabnącym zdrowiem tracił znaczenie, przypominał sobie chwile, gdy wołał do Sashy albo Flagga: „Czy ci ludzie nigdy nie zostawią mnie w spokoju?”. Wspomnienie wywołało na jego ustach smutny uśmiech. Teraz, gdy miał spokój, tęsknił za ludźmi.

Thomas czuł pogardę, bo ludzie rzadko wyglądają korzystnie, gdy są sami. Zazwyczaj w takich chwilach odkładają na bok maski grzeczności, dobrego wychowania i kultury. A co się znajduje pod spodem? Jakiś porośnięty brodawkami potwór? Coś tak obrzydliwego, że ludzie uciekaliby z krzykiem na jego widok. Może czasami, ale zwykle nie jest to nic tak straszego. Zazwyczaj ludzie po prostu śmialiby się, zobaczywszy nas bez masek — śmiali, krzywili z obrzydzeniem albo jedno i drugie.

Thomas zobaczył, że ojciec, którego zawsze kochał i lękał się, który wydawał mu się największym człowiekiem na świecie, znajdując się sam, często dłubał w nosie. Najpierw długo grzebał w jednej dziurce, a potem w drugiej, póki nie natrafił na dużego zielonego gluta. Przyglądał mu się przez jakiś czas w blasku ognia na kominku, obracając znaleźisko na różne strony z zadowoleniem, tak jak jubiler mógłby oglądać szczególnie piękny szmaragd. Większość glutów następnie rozmywał pod siedzeniem fotela, na którym siedział. Niektóre, muszą jednak z przykrością stwierdzić, wkładał do ust i żuł z wyrazem intelektualnego zadowolenia na twarzy.

Wieczorem wypijał tylko jeden kieliszek wina — ten, który przynosił mu Peter — ale gdy syn już wyszedł, pochłaniał, jak się Thomasowi wydawało, ogromne ilości piwa (dopiero wiele lat potem Thomas zrozumiał, że ojciec nie chciał, żeby Peter widział go pijanego), a gdy zachciało mu się oddać mocz, rzadko używał stojącego w kącie nocnika. Najczęściej po prostu wstawał i sikał do kominka, często puszczając przy tym bąki.

Mówił do siebie. Czasami przechadzał się po wielkiej sali jak człowiek, który nie bardzo wie, gdzie jest, przemawiając albo w powietrze, albo do wypchanych głów.

— Pamiętam, jak cię dostaliśmy, Bonsey — mówił do jednej z głów łosiowych (do jego dziwactw należało też nadawanie imion wszystkim swoim trofeom). — Byłem z Billem Squathingsem i tym facetem, który ma wielką kulę na lewym policzku. Pamiętam, jak wyszedłeś spośród drzew i Bill strzelił, potem strzelił ten facet z kulą, a potem ja strzeliłem...

Wtedy ojciec pokazywał, jak strzelał, podnosząc nogę i pierdząc, równocześnie udając, że naciąga łuk i wypuszcza strzałę. A potem wybuchał piskliwym, nieprzyjemnym śmiechem starca.

Thomas po chwili zasuwał klapki i przemykał korytarzem z pulsującym bólem w głowie i niepewnym uśmiechem na twarzy — bólem głowy i uśmiechem chłopca, który najadł się zielonych jabłek i wie, że rano będzie się czuł jeszcze gorzej.

To ma być ojciec, którego zawsze kochał i którego tak się bał?

Stary człowiek, który pierdział.

To był król zwany przez poddanych Rolandem Dobrym?

Sikał do kominka, wzbijając kłęby pary.

To był człowiek, który złamał mu serce, bo nie spodobała mu się jego łódka?

Gadał do wypchanych głów na ścianie, nadając im idiotyczne imiona, jak Bonsey, Ogierek i Napięta Strzała; dłużył w nosie i czasem zjadał gluty.

Już mi na tobie nie zależy, myślał Thomas, sprawdzając przez judasza, czy korytarz jest pusty, a potem wślizgując się do swojego pokoju jak złodziej. Jesteś obłąnym starym dziadem i nic dla mnie nie znaczysz. Nic! Nic!

Jednakże znaczył coś dla Thomasa. Jakaś jego część nadal kochała Rolanda tak jak przedtem — jakaś jego część pragnęła iść do ojca, żeby miał lepszego słuchacza niż wypchane głowy na ścianach.

Ale istniała też ta druga część, która wolała podglądać.

Owego wieczoru, gdy Flagg poszedł do apartamentów króla Rolanda z kielichem zatrutego wina, Thomas odważył się podglądać po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. A miał po temu ważne powody.

Pewnej nocy, jakieś trzy miesiące wcześniej, nie mógł zasnąć. Kręcił się i przewracał na łóżku, aż usłyszał, że straż nocna ogłasza jedenastą. Wtedy wstał, ubrał się i wyszedł ze swych komnat. Niecałe dziesięć minut później patrzył na bawialnię swego ojca. Myślał, że może ten już śpi, ale tak nie było. Roland nie spał i był bardzo, bardzo pijany.

Thomas widział ojca w stanie upojenia już niejednym razem, ale nigdy nawet w przybliżeniu aż do tego stopnia. Chłopiec był przestraszony i mocno oszołomiony.

Są ludzie mający o wiele więcej lat niż Thomas w owym czasie, którzy hołubią pogląd, że na starość się łagodnieje — że osoba w podeszłym wieku jest pełna łagodnej mądrości, łagodnej opryskliwości lub sprytu albo może łagodnego zmieszania i zgrzybiałości. Przyznają starości te cechy, ale nie spodziewają się po niej ognia. Mają złudzenie, że po siedemdziesiątce wszelki ogień zamienił się już w popiół. Może to i prawda, ale tej nocy Thomas odkrył, że popiół czasami też potrafi buchnąć płomieniem.

Ojciec szybkim krokiem przemierzał swoją bawialnię, powiewając szlafrokiem na futrze. Szlafmyca mu spadła, a resztki włosów zwisały w potarganych puklach, przede wszystkim w okolicach uszu. Nie zataczał się, tak jak to robił zazwyczaj, poruszając się ostrożnie i macając przed sobą ręką, żeby nie wpadać na meble. Maszerował rozkołysanym marynarskim krokiem, ale się nie zataczał. Wpadłszy na jedno z krzeseł o wysokich oparciach, które stało przy ścianie pod wyszczerzoną paszczą rysia, Roland odrzucił je na bok z rykiem, od którego Thomasowi ścierpła skóra i zjeżyły się włoski na rękach. Krzesło przeleciało przez całą szerokość komnaty i uderzyło w przeciwległą ścianę. Oparcie z grabowego drewna pękło pośrodku — straszliwe pijaństwo na moment przywróciło królowi siły lat męskich.

Popatrzył na głowę rysia o czerwonych błyszczących oczach.

— Ugryź mnie! — ryknął. Jego ochryply głos sprawił, że Thomas znów się skulił. — Ugryź mnie, czego się boisz? Zejdź z tej ściany, Craker! Skacz! Oto moja pierś! — Szarpnięciem rozpiął szlafrok, ukazując chudy tors. Wyszczrzył swych kilka zębów do rozwartej paszczęki Crakera i podniósł głowę. — Oto mój kark! No, skacz! Uduśzę cię gołymi rękami! Wydrę ci twoje cuchnące flaki!

Stał przez chwilę z gołym tarsem i podniesioną głową, sam wyglądając jak zwierzę — stary, osaczony samiec, który nie ma innej nadziei, niż tylko umrzeć z godnością. A potem odwrócił się, poszedł dalej, zatrzymując się tylko, żeby pogrozić pięścią głowie niedźwiedzia i obrzucić go stekiem okropnych przekleństw; Thomas, skulony w ciemnościach, przez chwilę nawet bał się, iż oburzony duch zwierza zstąpi, ożywi wypchaną głowę, a potem rozszarpie ojca na jego oczach.

Ale Roland już stamtąd odszedł. Chwycił kufel, opróżnił go, a potem odwrócił się z ociekającym piwem podgardlem. Cisnął srebrnym naczyniem w poprzek pokoju z taką siłą, że gdy trafiło w kamienny róg kominka, w metalu powstała szczerba.

Teraz ojciec zbliżał się do niego, odrzucając na bok kolejne krzesło, a potem kopnięciem bosej stopy pozbywając się z drogi stołu. Podniósł oczy... i napotkał wzrok Thomasa. Tak — ich oczy się spotkały. Thomas czuł to wyraźnie i szary, mdlący strach przepełnił go niczym lodowaty oddech.

Ojciec zbliżył się do niego z godnością, jego poźółkłe zęby się wyszczrzyły, resztki włosów opadły na ramiona, a piwo ciekło mu z kącików ust na brodę.

— Ty — szepnął strasznym głosem Roland. — Czego się na mnie gapisz? Co się spodziewasz zobaczyć?

Thomas zamarł. Złapał mnie, przemknęło mu przez myśl. Złapał mnie; na wszystkich bogów przeszłych i przyszłych, złapał mnie i jak nic skaże na wygnanie!

Ojciec stał, wbijając wzrok w wypchaną smoczą głowę. Thomas czuł się winny; był pewien, że ojciec mówi do niego, ale okazało się, że Roland przemawiał tylko do Dziewięciaka, podobnie jak do innych głów. Ale skoro Thomas widział przez przyciemnione szklane oczy, tak samo ojciec musiał też coś przez nie dostrzegać. Gdyby chłopiec nie skamieniał ze strachu, być może uciekłby w panice — a jeśli zostało mu dosyć przytomności umysłu, żeby zostać na miejscu, i tak mrugnąłby odruchowo. Gdyby zaś Roland zobaczył, że oczy się ruszają, cóż wtedy by

pomyślał? Że smok wraca do życia? Może. Zważywszy na stan, w jakim się znajdował, jest to całkiem prawdopodobne. Jeżeliby Thomas wtedy tylko mrugnął, Flagg nie potrzebowałby używać trucizny. Król, stary i słaby, mimo chwilowego przypływu sił, wywołanego alkoholem, najprawdopodobniej umarłby ze strachu.

Roland nagle skoczył do przodu.

— Czego się na mnie gapisz?! — krzyknął, a w swym zamroczeniu myślał, że przemawia do Dziewięciaka, ostatniego smoka Delainu, ale oczywiście Thomas nie mógł tego wiedzieć. — Czego się tak na mnie gapisz? Robiłem, co mogłem, zawsze robiłem, co mogłem! Czy ja o to prosiłem? No, czy ja o to prosiłem? Odpowiedz mi, do cholery! Robiłem, co mogłem, i co się ze mną stało?! Popatrz na mnie! — Szeroko rozchylił szlafrok, ukazując ciało o skórze pokrytej czerwonymi, wywołanymi przez alkohol plamami. — Popatrz na mnie! — ryknął jeszcze raz, a potem łkając, opuścił głowę i popatrzył na siebie.

Thomas nie mógł tego dłużej znieść. Z trzaskiem zasunął klapki za szklanymi oczami smoka w tej samej chwili, gdy ojciec oderwał wzrok od Dziewięciaka, żeby spojrzeć na swoje starcze ciało.

Potyając się i objając o ściany, Thomas pobiegł czarnym korytarzykiem, z rozpędu wpadł na zamknięte drzwi, uderzył w nie głową i padł bez czucia. Po chwili poderwał się, nie zauważając, że krew z rozciętego czoła spływa mu po twarzy, i rzucił się na tajną dźwignię, aż drzwi stanęły otworem. Wypadł na korytarz, przez moment nawet nie pamiętając, żeby sprawdzić, czy kogoś na nim nie ma. Przed sobą wciąż miał wściekle, przekrwione oczy ojca, a w uszach jego krzyk: „Czego się na mnie gapisz?!”.

Nie mógł wiedzieć, że ojciec zdążył już zapaść w głęboki pijacki sen. Obudziwszy się następnego ranka, Roland stwierdził, że leży na podłodze, a pierwszą rzeczą, jaką uczynił, mimo że wściekle bolała go głowa i całe potłuczone ciało (jest wszak o wiele za stary na takie wyczyny), było rzucenie okiem na głowę smoka. Rzadko miewał sny po pijanemu — zazwyczaj zapadał się po prostu w lepką ciemność. Ale tej nocy przyśnił mu się okropny sen: szklane oczy w smoczej głowie poruszyły się i Dziewięciak wrócił do życia. Potwór zionął na niego swym morderczym, płomiennym oddechem, a chociaż Roland nie zobaczył ognia, czuł, że ciało rozpala mu się od środka.

Mając ten sen świeżo w pamięci, drżał na myśl o tym, co może zobaczyć nad głową. Ale wszystko było tak jak zwykle. Pysk Dziewięciaka wykrzywił okropny grymas, jego rozdwojony język zwieszał się między zębami prawie tak długimi,

jak słupy ogrodzeniowe, a zielonozłote oczy bezmyślnie patrzyły na ścianę komnaty. Nad tym wspaniałym trofeum wisiały skrzyżowane ceremonialnie wielki łuk Rolanda i strzała Młot na Wrogów o grocie wciąż czarnym od smoczej krwi. Król opowiedział Flaggowi o tym straszliwym śnie, ale mag tylko skinął głową i przybrał bardziej niż zwykle zamyślony wyraz twarzy. A potem Roland najzwyczajniej w świecie o wszystkim zapomniał. Thomasowi przyszło to ze znacznie większym trudem. Całymi tygodniami męczyły go nocą koszmary. W owych snach ojciec patrzył na niego i krzyczał: „Widzisz, co mi zrobiłeś!!” — i rozdzierał szlafrok, ukazując swoją nagość: stare, pomarszczone blizny, opadający brzuch, zwiotczałe mięśnie, jakby chciał powiedzieć, że to wszystko jest winą Thomasa, że gdyby nie podglądał...

— Dlaczego przestałeś pokazywać się u ojca? — zapytał go pewnego dnia Peter.
— Myślisz, że jesteś na niego obrażony.

— Ja jestem obrażony na niego? — powtórzył zaskoczony Thomas.

— Tak właśnie powiedział dziś podczas kolacji — odparł Peter. Przyjrzał się uważniej bratu, zauważając podkrążone oczy, błądźliwość policzków i czoła.

— Tom, co się stało?

— Może nic — odparł powoli Thomas.

Następnego dnia zjadł kolację z ojcem i bratem. Potrzebował do tego całej swojej odwagi, ale nigdy mu jej nie brakowało i zazwyczaj znajdował ją w sobie — zwłaszcza gdy został przyparty do muru. Ojciec ucałował go i zapytał, co się stało. Thomas wymamrotał, że nie czuł się dobrze, ale teraz już wszystko w porządku. Ojciec kiwnął głową, przytulił go niezręcznie, a potem wrócił do swego zwykłego zachowania, które polegało przede wszystkim na ignorowaniu Thomasa i zajmowaniu się Peterem. Tym razem Thomas był z tego zadowolony — wolał, żeby ojciec zanadto mu się nie przyglądał, przynajmniej przez jakiś czas. Nocą zaś, leżąc bezsennie w łóżku i słuchając, jak wiatr zawodzi za oknem, doszedł do wniosku, że niewiele brakowało... lecz jednak udało mu się wykręcić sianem.

Ale już nigdy więcej, pomyślał. Kilka tygodni później straszne sny zaczęły pojawiać się coraz rzadziej. Wreszcie się całkiem skończyły.

Jednak zamkowy stajenny Yosef miał rację co do jednego: chłopcom łatwiej przychodzi składać przyrzeczenia, niż ich dotrzymywać, a pragnienie Thomasa, żeby podglądać ojca, znów zaczęło przerastać zarówno jego strach, jak i dobre

intencje. I dlatego tej nocy, gdy Flagg przyszedł do Rolanda z zatrutym winem, Thomas tkwił na posterunku.

Gdy Thomas znalazł się na miejscu i odsunął obie klapki, jego ojciec i brat kończyli właśnie swój wieczorny kieliszek wina. Peter miał już prawie siedemnaście lat, był wysoki i przystojny. Siedzieli tak we dwóch przy kominku, popijając wino i gawędząc niczym starzy przyjaciele, a Thomas poczuł, jak dawna nienawiść napęłnia mu serce goryczą. Po krótkiej chwili Peter wstał i grzecznie pożegnał się z ojcem.

— Coraz wcześniej ostatnio wychodzisz — zauważył Roland.

Peter zaprotestował.

Roland się uśmiechnął. Był to szczery, smutny, w zasadzie bezzębny uśmiech.

— Słyszałem — zagadnął — że jest śliczna.

Peter wydawał się zakłopotany, co mu się rzadko zdarzało. Zająknął się — to było jeszcze bardziej niezwykle.

— Idź — rzekł Roland, nie czekając na odpowiedź. — Idź. Bądź dla niej delikatny i dobry... ale bądź też gorący, jeśli masz w sobie żar. Późniejsze lata ochłodzą cię, Peter. Bądź gorący, póki jesteś jeszcze młody, pełen ognia, i płomień bucha wysoko.

Peter się uśmiechnął.

— Mówisz, jakbyś był bardzo stary, ojcze, ale mnie wciąż wydajesz się silny i zdrowy.

Roland objął Petera.

— Kocham cię — powiedział.

Peter uśmiechnął się już bez zakłopotania.

— Ja też cię kocham, tato — odparł, a samotny w ciemnościach Thomas (bo zazwyczaj podgląda się w samotności i prawie zawsze w mroku) skrzywił się okropnie.

Peter wyszedł i przez następną godzinę niewiele się działo. Roland siedział z ponurą miną przy kominku, wychylając jeden kufel piwa po drugim. Nie ryczał, nie wrzeszczał ani też nie rozmawiał z głowami na ścianach; obeszło się również

bez niszczenia mebli. Thomas już się prawie zdecydował, żeby wyjść, kiedy nagle rozległo się dwukrotne pukanie do drzwi.

Roland patrzył w ogień, niemal zahipnotyzowany grą płomieni. Teraz otrząsnął się i zawołał:

— Kto tam?

Thomas nie usłyszał odpowiedzi, ale ojciec wstał i podszedł do drzwi, jakby dobiegł go jakiś głos. Otworzył je i początkowo Thomas myślał, że ojciec wprowadził nową odmianę do swych obyczajów — nie przemawiał już do głów na ścianach, lecz by ulżyć nudzie, zaczął wymyślać sobie niewidzialne ludzkie towarzystwo.

— Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj o takiej godzinie — rzekł Roland, najwyraźniej wracając od drzwi sam. — Myślałem, że po zapadnięciu zmroku zajmujesz się swoimi zaklęciami i czarami.

Thomas zamrugał, przetarł oczy i wreszcie zobaczył, że ktoś tam jednak jest. Przez chwilę nie widział dokładnie kto... a potem nie mógł pojąć, dlaczego wydawało mu się, że ojciec jest sam, kiedy tuż obok niego stoi Flagg, trzymając w rękach srebrną tacę, na której ustawiono dwa kieliszki wina.

— Bajki, panie. Czarnoksiężnicy zajmują się czarami o każdej porze dnia. Ale oczywiście musimy podtrzymać nasz mit tajemniczości.

Piwo zawsze zwiększało poczucie humoru Rolanda — tak bardzo, że często śmiał się z zupełnie niezabawnych rzeczy. Po tej uwadze odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem, jak gdyby był to najlepszy w świecie dowcip. Flagg uśmiechnął się błado.

Gdy Roland uspokoił się nieco, zapytał:

— Co to jest? Wino?

— Twój syn ledwo wyrósł z lat chłopięcych, ale jego szacunek do ojca i króla zawstydził mnie, dorosłego mężczyznę — rzekł Flagg. — Przyniosłem ci kieliszek wina, mój królu, żeby pokazać, że ja też darzę cię miłością.

Podał go Rolandowi, który okazywał absurdalne zgoła wzruszenie.

Nie pij tego, ojcze! — pomyślał nagle Thomas i ogarnął go wielki, niezrozumiały strach. Roland podniósł głowę i przechylił ją na bok, jakby go usłyszał.

— Peter to dobry chłopiec — powiedział.

— Oczywiście — odparł Flagg. — Wszyscy mieszkańcy naszego królestwa tak mówią.

— Naprawdę? — zapytał Roland, bardzo zadowolony. — Mówią tak?

— Ależ tak. Wypijmy za jego zdrowie. — Flagg uniósł kieliszek.

Ojcie, nie! — zawołał znów w myślach Thomas, ale jeśli nawet ojciec usłyszał jego pierwszy krzyk, drugi już do niego nie dotarł. Twarz Rolanda jaśniała miłością do starszego brata Thomasa.

— A więc zdrowie Petera! — Król wysoko uniósł kieliszek z zatrutym winem.

— Zdrowie Petera! — zgodził się z uśmiechem Flagg. — Zdrowie króla!

Thomas skulił się w ciemnościach.

Flagg wznosi dwa różne toasty! Nie wiem, co to znaczy, ale... ojcie!

Tym razem Flagg zwrócił na chwilę swoje mroczne, wyrachowane spojrzenie na głowę smoka, jak gdyby usłyszał myśli Thomasa. Chłopiec zamarł, a po chwili wzrok maga skierował się na Rolanda.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. A gdy ojciec jednym haustem pochłonął całe wino, Thomas poczuł, jak okrucieństwo lodu wbija mu się w serce.

Flagg odwrócił się na fotelu i wrzucił kieliszek do ognia.

— Zdrowie Petera!

— Zdrowie Petera! — powtórzył Roland i cisnął swój. Roztrzaskał się on na zakopconych ceglach w głębi kominka i wpadł w ogień, który buchnął na chwilę brzydkim zielonym płomieniem.

Roland podniósł dłoń do ust, jakby dla ukrycia, że mu się odbiło.

— Przyprawiałeś je? — zapytał. — Ma taki korzenny smak.

— Nie, panie — powiedział Flagg.

Thomasowi wydawało się jednak, że pod maską jego powagi wyczuwa śmiech, i odłamek lodu głębiej wbił mu się w serce. Nagle raz na zawsze odechciało mu się podglądania. Zasłonił otwory i przekradł się do swojego pokoju. Najpierw było mu gorąco, potem zimno, potem znowu gorąco. Rano obudził się chory. Zanim zdążył wyzdrowieć, ojciec nie żył, brata uwięziono w celi na szczycie Iglicy, a on sam, mając zaledwie dwanaście lat, został królem — Thomasem Dawcą Światła, jak go nazwano podczas ceremonii koronacyjnej. A kto został jego najbliższym doradcą? Zgadnijcie.

Opuściwszy Rolanda (starszy pan czuł się już wtedy lepiej niż zazwyczaj, co było pewnym znakiem, że Smoczy Piasek zaczyna działać), Flagg wrócił do swych mrocznych podziemnych komnat. Wyjął szczypczyki i paczuszkę zawierającą kilka pozostałych ziarenek piasku i położył je na swym wielkim starym biurku. A potem odwrócił klepsydrę i podjął lekturę.

Na dworze wiatr wył i gulgotał — stare kobiety, skulone w łózkach, budziły się i mówiły swoim mężom, że tej nocy Rhiannon, Czarna Wiedźma z Coos, jeździ na swej nienawistnej miotle i dzieje się coś złego. Mężowie chrząkali, odwracali się na drugi bok i radzili żonom, żeby wreszcie zasnęły i zostawiły ich w spokoju. W większości nie grzeszyli oni inteligencją; kiedy potrzeba kogoś, kto ma zwęszyć pismo nosem, dajcie mi starą kobietę.

Raz pajak przebiegał przez księgę Flagga, dotknął zaklęcia tak strasznego, że sam czarnoksiężnik nie miał odwagi go użyć, i natychmiast zamienił się w kamień.

Flagg wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Gdy klepsydra się opróżniła, przestawił ją ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze. W sumie odwrócił ją osiem razy, a gdy ósma godzina przesypywania piasku prawie już upłynęła, zabrał się do kończenia swego dzieła. W pokoju znajdującym się obok gabinetu trzymał wiele rozmaitych zwierząt i tam też udał się najpierw. Małe stworzonka uciekały i kulily się, gdy Flagg do nich podchodził. Nie miał im tego za złe.

W odległym kącie znajdowała się wiklinowa klatka, a w niej sześć polnych myszy — ten gatunek występował w całym zamku, i o to właśnie chodziło. Flagg miał też wielkie szczury, ale nie tego dzisiaj potrzebował. Szczur królewski został wytępiony na zamku; zwykła mysz wystarczy, żeby zbrodnia dotarła do wiadomości królewskich odszczurzaczy. Jeśli wszystko się uda, Peter wkrótce znajdzie się za kratkami jak te myszy.

Flagg sięgnął do klatki i wyjął jedną z nich. Drżała w jego dłoniach. Czuł, jak szybko bije jej serce, i wiedział, że wystarczy, by ją dłużej trzymał w ręku, a umrze

ze strachu.

Wysunął mały palec w stronę zwierzątką. Palec przez chwilę lśnił bladym błękitem.

— Śpij — rozkazał czarnoksiężnik, a mysz opadła na bok i zasnęła na jego otwartej dłoni.

Flagg zaniósł ją do gabinetu i położył na biurku, gdzie przedtem spoczywał obsydianowy przycisk do papieru. Podszedł do spiżarni i z dębowej baryłki utoczył odrobinę miodu na spodeczek. Dosłodził go cukrem. Postawił spodek na biurku, a potem wyszedł na korytarz i znów stanąwszy przy oknie, głęboko wciągał powietrze w płuca.

Wrócił, wstrzymując oddech, i za pomocą szczypczyków przesypał prawie wszystkie ziarenka Smoczego Piasku do osłodzonego miodu. Potem otworzył inną szufladę biurka i wyjął z niej nową, tym razem pustą paczuszkę, a następnie, sięgając do samego końca szuflady, wydobyl bardzo ważne pudełko.

Nowa paczuszka była zaczarowana, ale magia w niej zawarta nie miała wielkiej mocy. Utrzyma bezpiecznie Smoczy Piasek tylko przez krótki czas. A potem zacznie on działać na papier. Nie zapali go, znajdując się wewnątrz pudełka, bo nie ma w nim dosyć tlenu. Ale papier będzie tlić się i dymić, co w zupełności wystarczy. Właśnie tak.

Płuca Flagga domagały się powietrza, ale odczekał jeszcze chwilę, żeby popatrzeć na pudełko i złożyć sobie w duchu gratulacje. Ukradł je dziesięć lat temu. Gdyby ktoś go wtedy zapytał, dlaczego je wziął, nie umiałby odpowiedzieć, tak samo jak nie potrafiłby w swoim czasie powiedzieć, czemu pokazał Thomasowi tajne przejście, kończące się za głową smoka — jego intrygancki instynkt podpowiedział mu, że ma zabrać pudełko i że kiedyś mu się ono przyda, więc go usłuchał. A po wielu latach leżenia w biurku nadeszła właściwa chwila.

Na pokrywce napisane było PETER.

Sasha dała pudełko swojemu synkowi, on zaś położył je na chwilę na stole w holu, gdyż musiał po coś pobiec; nadszedł Flagg, zauważył je i schował do kieszeni. Peter oczywiście okropnie się smartwił, a gdy księżę się smuci — nawet jeśli ma tylko sześć lat — ludzie zwracają na to uwagę. Przeprowadzono poszukiwania, ale pudełka nigdy nie znaleziono.

Używając szczypczyków, Flagg ostrożnie przesypał ostatnich kilka ziarenek Smoczego Piasku ze starego, w pełni zaczarowanego opakowania do nowego, którego czar był niekompletny. Następnie podszedł do okna na korytarzu, żeby

zaczepnąć świeżego powietrza. Potem znów wstrzymywał oddech, dopóki nowa paczuszka nie znalazła się w drewnianym pudełku, a szczypczyki obok niej, pudełko nie zostało ostrożnie zamknięte, stare opakowanie zaś nie znalazło się w ścieku.

Teraz Flagg zaczął się spieszyć, ale był spokojny. Mysz śpi; pudełko zamknięte, a wewnątrz niego obciążający dowód. Wszystko szło doskonale.

Wysunął mały palec lewej ręki w stronę myszy rozłożonej na biurku niczym futrzak dla wrózek i rozkazał:

— Zbudź się.

Łapki myszy zadrżały. Oczka się otworzyły. Główka podniosła.

Uśmiechając się, Flagg zatoczył małym palcem kółko i rzekł:

— Biegaj.

Mysz zaczęła biegać w kółko. Flagg poruszył palcem w górę i w dół.

— Skacz.

Mysz zaczęła skakać na tylnych nóżkach jak psy w cyrku, wywracając przy tym oczami.

— A teraz pij — powiedział Flagg i wskazał małym palcem naczynko z osłodzonym miodem.

Za oknami zawył wiatr. W drugim końcu miasta suka urodziła dwugłowe szczenięta. Mysz zaczęła pić.

— Dosyć — rzekł Flagg, gdy wypięła wystarczającą ilość trucizny. — Zaśnij teraz znowu.

I mysz zapadła w letarg.

Flagg pospieszył do pokoi Petera. Pudełko umieścił w jednej ze swych licznych kieszeni — czarnoksiężnicy zawsze mają ich wiele — a śpiące zwierzątko w drugiej. Minął kilku służących i grupkę śmiejących się, pijanych dworzan, ale nikt go dostrzegł. Wciąż był mglisty.

Pokoje Petera zamknięto na klucz, ale dla kogoś o zdolnościach Flagga nie stanowiło to problemu. Trzy ruchy dłońmi i drzwi stanęły otworem. Apartament księcia okazał się rzeczywiście pusty; chłopak nadal przebywał w towarzystwie swej przyjaciółki. Flagg nie znał Petera tak dobrze, jak Thomasa, ale wystarczająco — wiedział na przykład, gdzie Peter trzyma tych kilka skarbów, które, jego zdaniem, zasługują na ukrycie.

Flagg skierował się prosto do szafki na książki i wyjął trzy lub cztery nudne podręczniki szkolne. Nacisnął drewnianą krawędź i usłyszał, jak zaskoczyła

sprężyna. Potem odsunął płytkę, odsłaniając wgłębienie z tyłu szafy. Nie było ono nawet zamknięte. Leżały w nim jedwabna wstążka do włosów, ofiarowana chłopcu przez jego damę serca, paczka listów od niej, kilka listów napisanych do niej przez Petera, tak płomiennych, że nie odważył się ich wysłać, i medalionik z portretem matki.

Czarnoksiężnik otworzył drewniane pudełko i bardzo ostrożnie naddarł róg paczuszki. Wyglądało to tak, jakby nadgryzła ją mysz. Nałożył pokrywkę i umieścił pudełko we wgłębieniu.

— Tak płakałeś, kiedy zginęło ci to pudełko, Peter — mruknął — ale będziesz jeszcze bardziej żałował, jak się znajdzie. — Zachichotał.

Położył uśpione stworzonko obok pudełka, zasunął drewnianą płytkę i starannie odstawił książki na miejsce.

Wrócił do siebie i spał dobrze. Nadchodziło wielkie zło, a on miał pewność, że działał tak, jak lubił najbardziej — w ukryciu, niedostrzeżony przez nikogo.

Przez następne trzy dni król Roland sprawiał wrażenie zdrowszego, energiczniejszego i bardziej zdecydowanego niż kiedykolwiek od wielu lat — cały dwór o tym mówił. Odwiedzając swego chorego, gorączkującego brata, Peter zauważył z podziwem, że resztki włosów ojca zmieniły kolor z niemowłeco białego, jaki miały w ciągu ostatnich czterech lat, na staloszary, jak w czasach, gdy był w średnim wieku.

Thomas uśmiechnął się, ale równocześnie przeszył go zimny dreszcz. Poprosił Petera o jeszcze jeden koc, ale tak naprawdę potrzebował czego innego: zapomnieć o ostatnim dziwnym toaście, a tego, oczywiście, nie dało się zrobić.

Aż wreszcie trzeciego dnia po kolacji Roland zaczął uskarżać się na niestrawność. Flagg zaproponował, żeby sprowadzić dworskiego medyka. Roland jednak odrzucił ten pomysł, twierdząc, że w ogóle to czuje się świetnie, lepiej niż od wielu miesięcy, a może nawet lat...

Odbiło mu się. Beknięcie było długie, miało suchy, grzechotliwy dźwięk. Wesoły tłum na sali balowej zamarł w zachwycie i oczekiwaniu, gdy król zgiął się w pół. Muzycanci usadowieni w kącie przestali grać. Gdy Roland się wyprostował, tłum jęknął. Policzki króla płonęły. Z oczu ciekły mu dymiące łzy. Jeszcze więcej dymu wydobywało się z ust.

W wielkiej sali jadalnej znajdowało się około siedemdziesięciu osób — skromnie ubrani jeźdźcy (my prawdopodobnie nazwalibyśmy ich rycerzami), elegancy dworzanie i ich damy, służący króla, kurtyzany, trefnisie, muzycanci, niewielki zespół aktorów, który miał później pokazać jakąś sztukę, i duża liczba sług. Ale to Peter podbiegł do ojca; wszyscy widzieli, jak właśnie on podbiega do cierpiącego ojca, co bardzo odpowiadało planom Flagga.

Peter. Będą pamiętać, że właśnie on.

Roland chwycił się jedną ręką za brzuch, a drugą za pierś. Z ust buchnął mu szarobiałym dym. Wyglądało to tak, jakby król nauczył się nowego, niezwyklego sposobu opowiadania o swoim największym zwycięstwie.

Nie była to jednak sztuczka, bo dymowi wydobywającemu się nie tylko z ust, ale także z nozdrzy, uszu i kącików oczu towarzyszył krzyk. Szyja króla nabrała barwy nieomal purpurowej.

— Smok! — zawołał król Roland i padł w ramiona swego syna. — Smok!
To były jego ostatnie słowa.

Starszy pan okazał się twardy — niezwykle twardy. Zanim umarł, bił od niego taki żar, że nikt, nawet najwierniejsi słudzy, nie mógł zbliżyć się do jego łoża bliżej niż na metr. Kilkakrotnie polewali biednego, umierającego króla wodą z wiader, gdy widzieli, że pościel zaczyna się tlić. Za każdym razem woda natychmiast zamieniała się w parę, która wypełniała sypialnię i przedostawała się do bawialni, gdzie dworzanie i jeźdźcy czekali w odrętwiałej ciszy, a damy zbierały się w grupki, łkając i załamując ręce.

Tuż przed północą zielony płomień wystrzelił z ust króla i Roland zmarł.

Flagg, pełen powagi, pojawił się w drzwiach między sypialnią a bawialnią i ogłosił wiadomość. Zapadła absolutna cisza, trwająca dłużej niż minutę. Przerwało ją jedno słowo, wypowiedziane przez kogoś stojącego w tłumie zebranych. Flagg nie miał pojęcia, kto je wyrzekł, ale było mu wszystko jedno. Wystarczyło, że to słowo padło. Prawdę mówiąc, przekupiłby kogoś, żeby je powiedział, gdyby nie było to dla niego nazbyt niebezpieczne.

— Morderstwo! — zakrzyknął ten ktoś.

Tłum jęknął.

Flagg godnie uniósł dłoń do ust, żeby ukryć triumfalny uśmiech.

Dworski lekarz rozszerzył tę wypowiedź na trzy słowa: morderstwo przez otrucie. Nie powiedział: „morderstwo za pomocą Smoczego Piasku”, bo trucizny tej nie znał w Delainie nikt poza Flaggiem.

Król zmarł tuż przed północą, ale o świcie oskarżenie znano już w całym mieście, a wieść o nim szybko rozprzestrzeniła się aż po najdalsze kresy Wschodniej, Zachodniej, Południowej i Północnej Baronii: morderstwo, królobójstwo, Roland Dobry zginął od trucizny.

Wcześniej jeszcze Flagg zorganizował przeszukiwanie zamku od najwyższego punktu (Wschodniej Wieży) do najniższego (lochów z kołami tortur, kajdanami i hiszpańskimi butami). Wszelkie dowody związane z tą okropną zbrodnią mają zostać natychmiast zbadane i przekazane jemu.

Zamek rozbrzmiewał poszukiwaniami. Przeczesywało go sześciuset zdeterminowanych ludzi. Tylko dwa miejsca na zamku zostały wyłączone; apartamenty obu książąt — Petera i Thomasa.

Thomas słabo sobie z tego zdawał sprawę; gorączka podniosła mu się tak, że dworski medyk poważnie się zaniepokoił. Thomas leżał, majacząc, gdy blask świtu zaczął zaglądać do jego okien. W majakach widział dwa wysoko wzniesione kieliszki wina i raz po raz słyszał, jak ojciec mówi:

„Przyprawiałeś je? Ma taki korzenny smak”.

Flagg nakazał poszukiwania, ale o drugiej nad ranem Peter doszedł do siebie na tyle, by móc przejąć nad nimi dozór. Flagg pozwolił mu na to. Nadchodzące godziny były niezmiernie ważne, podczas nich zdecyduje się, czy wygrał, czy przegrał, i mag wiedział o tym. Król nie żyje; państwo na krótko zostało pozbawione władcy. Ale tego samego dnia odbędzie się koronacja Petera u stóp Iglicy, chyba że szybko i jednoznacznie oskarży się go o zbrodnię.

W innych okolicznościach Peter, oczywiście, natychmiast stałby się głównym podejrzanym. Zawsze podejrzewa się tych, którzy zyskają najwięcej na czyjejś śmierci, a Peter był właśnie taką osobą. Trucizna to rzecz straszna, ale mogła mu dać koronę.

W tym wypadku jednak mieszkańcy królestwa mówili raczej o stracie, jaką chłopiec poniósł, niż o zysku. Naturalnie, Thomas też stracił ojca, dodawali po chwili — tak jakby zawstydzili się, że o tym zapomnieli. Ale Thomas to ponury, wiecznie nadąsany niezgrabiasz; chłopak, który często kłócił się z ojcem. Miłość zaś Petera i jego szacunek dla Rolanda były powszechnie znane. No i po co, pytano — jeśli nawet komuś wpadła do głowy tak niesłychana myśl — Peter miałby zabijać ojca dla korony, którą i tak z pewnością by odziedziczył za rok, trzy albo pięć?

Jednak gdyby znaleziono dowody winy w tajnej skrytce, znanej tylko Peterowi, schowku znajdującym się w jego własnych apartamentach, fala odwróciłaby się szybko. Ludzie zaczęliby widzieć twarz mordercy pod maską miłości i szacunku. Mówiliby, że dla młodych rok wydaje się trzema, trzy dziewięcioma, a pięć dwudziestoma pięcioma latami. Podkreślaliby, że król w ostatnich dniach życia wyglądał, jakby wychodził ze złego okresu — znów robił wrażenie zdrowego i pełnego wigoru. Może, powiedzieliby, Peter uznał, że ojciec wchodził w długą, zdrową późną starość, i wpadł w panikę — zrobił coś równie nierozsądnego, jak potwornego.

Flagg wiedział coś jeszcze — mianowicie to, że ludzie w głębi duszy instynktownie nie ufają wszelkim królom i książętom, bo są to osoby, które mogą jednym skinieniem głowy skazać ich na śmierć za przewinienia tak drobne, jak upuszczenie chustki do nosa w ich obecności. Wielkich królów się kocha, mniejszych toleruje; przyszli królowie stanowią element nowy i budzący lęk. Ludzie być może pokochaliby Petera, gdyby im dano szansę, ale Flagg wiedział też, że szybko go potępiają, jeśli przedstawi się im wystarczające dowody.

Czarnoksiężnik liczył na to, że dowody owe wkrótce wyjdą na światło dzienne.

Niewiele więcej niż mysz. Mało... ale na swój sposób wystarczająco dużo, żeby wstrząsnąć podstawami królestwa.

W Delainie uznawano tylko trzy stadia życia: dzieciństwo, wiek półmęski lub półkobięcy oraz wiek dojrzały. Te „półlata” trwały od czternastego do osiemnastego roku życia.

Gdy Peter osiągnął wiek półmęski, łajające niańki zastąpili Brandon, lokaj, i jego syn Dennis. Brandon miał zostać lokajem Petera na wiele lat, ale prawdopodobnie nie na zawsze. Peter był przecież bardzo młody, a Brandon zbliżał się do pięćdziesiątki. Gdy Brandon nie będzie mógł już pracować, jego miejsce zajmie Dennis. Rodzina Brandona służyła członkom królewskiego rodu od osmiuset lat i, co zrozumiałe, była z tego dumna.

Dennis wstawał każdego ranka o piątej, ubierał się, szykował uniform ojca i glansował do połysku jego buty. Potem zaspany wędrował do kuchni i jadł śniadanie. Za kwadrans szósta wyruszał z rodzinnego domu do zachodniej części zamkowej twierdzy i wchodził do głównego zamku przez Mniejszą Zachodnią Bramę.

Dokładnie o szóstej docierał do apartamentów Petera, cicho wchodził do środka i brał się do swych codziennych zajęć — rozpalał w kominku, piekł sześć rogalików na śniadanie, zagrzewał wodę na herbatę. Potem szybko przechodził pokoje, doprowadzając je do porządku. Nie miał z tym dużo pracy, gdyż młody książę nie należał do bałaganiarzy. W końcu wracał do gabinetu i nakrywał do śniadania, bo właśnie tam chłopiec lubił jeść, jeśli posilał się u siebie — zazwyczaj przy biurku stojącym koło wychodzącego na wschód okna, czytając przy tym jakąś książkę historyczną.

Dennis nie lubił wstawać rano, ale bardzo mu się podobała jego praca, lubił też swego pana, który zawsze okazywał mu dużo cierpliwości, nawet jeśli Dennis w czymś się pomylił. Peter podniósł na niego głos jeden jedyny raz, gdy chłopak na tacy z lekkim obiadem zapomniał położyć serwetkę.

— Najmocniej przepraszam, Wasza Wysokość — powiedział wtedy Dennis. — Po prostu nie przyszło mi na myśl..

— To następnym razem się zastanów — odparł Peter.

Nie krzyczał, ale był tego bliski. Dennis nigdy więcej nie zapomniał położyć serwetki na tacy dla księcia, a czasami, na wszelki wypadek, kładł dwie.

Skończywszy poranne zajęcia, młody sługa zniknął, a jego miejsce zajmował ojciec. Brandon był w każdym calu doskonałym lokajem — ze swym starannie zawiązanym fularem, włosami ciasno ściągniętymi w węzeł na karku, nieskazitelnym kaftanem i spodniami oraz lśniącymi jak lustro butami (lustrzany blask oczywiście był zasługą Dennisa). Ale wieczorem, gdy zdjął buty, odwiesił kaftan do szafy, rozluźnił fular i usiadł ze szklaneczką ginu w rękę, wydawał się Dennisowi o wiele bardziej przystępny.

— Powiem ci coś, o czym chcę, żebyś zawsze pamiętał, Denny — mawiał nieraz do syna, znalazłszy się już w tym błogim stanie. — Jest może tuzin rzeczy trwałych na tym świecie, ale nie więcej, a może i mniej. Płochą miłość niewiasty nie starcza na długo ani też siły biegacza czy oddech samochwały, zbiór siana latem, a roztopy wiosną. Ale są dwie rzeczy, które trwają: jedna z nich to królowie, a druga to służba. Jeśli będziesz dbał o swojego młodego pana aż do jego późnej starości, on zatroszczy się o ciebie. Służ mu, a on posłuży tobie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A teraz nalej mi jeszcze szklaneczkę i sobie też trochę, jeśli chcesz, ale tylko kropelkę, bo inaczej matka da nam po uszach.

Niewątpliwie niejeden syn szybko znudziłby się takimi przemowami, ale nie Dennis. Należał on do nietypowych dzieci; miał już dwadzieścia lat, lecz wciąż uważał, że ojciec jest od niego mądrzejszy.

Owego ranka, który nastąpił po śmierci króla, Dennis nie potrzebował zmuszać się do wstania z łóżka o piątej rano, gdyż o trzeciej Brandon obudził go, przynosząc wiadomość o zgonie Rolanda.

— Flagg rozpoczął rewizję — powiedział ojciec, a jego przekrwione oczy wyrażały rozpacz — i bardzo dobrze. Ale jestem pewien, że mój pan wkrótce przejmie od niego kontrolę, i idę mu pomóc szukać łotra, który to zrobił, jeśli mi na to pozwoli.

— Ja też! — zawołał Dennis, chwytając spodnie.

— Nic z tego — odparł ojciec z taką surowością, że chłopak natychmiast usłuchał. — Rzeczy muszą toczyć się zwykłym trybem. Morderstwo nie morderstwo, tym bardziej trzeba, żeby wszystko szło jak zawsze. Mój pan, a zarazem i twój, zostanie koronowany w południe, i niech tak się stanie, chociaż zły to czas na dojście do korony. Ale naga śmierć króla, jeżeli nie zdarzy się na polu bitwy, jest zawsze rzeczą niedobrą. Wszystko na pewno wróci do normy, lecz

na początku mogą pojawić się kłopoty. Dlatego będzie najlepiej dla ciebie, Dennisie, jeżeli zjawisz się w pracy tak jak zazwyczaj.

Oddalił się, zanim syn zdążył zaprotestować. A gdy nadeszła piąta, Dennis przekazał matce to, co mu powiedział ojciec, a także to, że powinien wykonać swoje poranne obowiązki, nawet jeśli wie, że Petera i tak nie będzie. Matka zgodziła się z nim bez zastrzeżeń. Umierała z ciekawości. Oczywiście, powiedziała mu, żeby poszedł... i żeby wrócił do niej jeszcze przed ósmą i zrelacjonował, czego się dowiedział.

Dennis udał się więc do komnat Petera, w których nie zastał absolutnie nikogo. Wypełnił jednak swoje poranne obowiązki, na koniec nakrywając do śniadania w gabinecie księcia. Popatrzył smutnie na talerze i szklanki, dżemy i galaretki, myśląc, że z pewnością żadne z owych dóbr nie zostanie spożytkowane tego ranka. Jednak sumienne wykonanie pracy sprawiło, że po raz pierwszy od chwili, gdy ojciec zerwał go z łóżka, poczuł się lepiej, bo zrozumiał, że na dobre czy złe, czasy się zmieniły i stare już nigdy nie wróci.

Szykował się do wyjścia, gdy usłyszał jakiś odgłos. Był on tak stłumiony, że Dennis nie potrafił powiedzieć, skąd dobiega — zdołał określić tylko ogólny kierunek. Spojrzał w stronę szafki na książki i serce zabiło mu gwałtownie w piersi.

Spomiędzy luźno ustawionych książek wydobywały się smużki dymu.

Dennis skoczył do szafy i oburącz zaczął wyrzucać książki. Zobaczył, że dym dochodzi ze szpar po jednej stronie dna szafy. A także stwierdził, że po wyjęciu książek odgłos stał się wyraźniejszy. Brzmiało to tak, jakby jakieś zwierzę pizczało z bólu.

Czując rosnącą panikę, Dennis zaczął obmacywać wnętrze szafy. W owych czasach rzeczą, której ludzie bali się najbardziej, był ogień.

Wkrótce palce Dennisa natrafiły na tajną sprężynę. Flagg też to przewidział — w końcu tajny schowek nie był taki trudny do odnalezienia; Peter raczej się nim bawił, niż traktował go serio. Dno szafy odsunęło się odrobinę na prawo, a zza niego buchnął kłęb dymu. Zapach, jaki mu towarzyszył, był bardzo nieprzyjemny — mieszanina pieczonego mięsa, spalonego włosia i tłącego się papieru.

Nie zastanawiając się, Dennis otworzył skrytkę na całą szerokość. Oczywiście natychmiast dostało się tam więcej powietrza. To, co się tliło, zaczęło się palić.

Był to decydujący moment, punkt, w którym Flagg musiał zrezygnować z pewności, że coś się stanie, i zadowolić się jedynie przypuszczeniem, że coś

najprawdopodobniej nastąpi. Wysiłki ostatnich siedemdziesięciu kilku lat zależały teraz od tego, co podczas najbliższych pięciu sekund zrobi lub czego nie zrobi syn lokaja, a Flagg zdecydował, że musi zaufać długoletniej tradycji i nienagannemu zachowaniu wiernych służących.

Gdyby Dennis zamarł ze strachu na widok rozkwitających płomieni albo odwrócił się i pobiegł po dzbanek wody, wszystkie misternie podrzucone przez Flagga dowody spaliłyby się w zielonkawych płomieniach. Morderstwa króla nigdy nie przypisano by Peterowi, który zostałby ukoronowany w południe.

Ale Flagg nie pomylił się w swych rachubach. Zamiast zastygnąć w bezruchu lub pobiec po wodę, Dennis sięgnął do środka i gołymi rękami ugasił płomień. Zajęło mu to mniej niż pięć sekund i nawet się bardzo nie poparzył. Żałosne piski trwały nadal i pierwszą rzeczą, jaką chłopak zobaczył, okazała się leżąca na boku mysz. Wiła się w agonii. Dennis zabił ich dziesiątki w ramach swoich obowiązków służbowych, nie czując choćby najmniejszej litości. Teraz jednak żał mu się zrobiło stworzenia. Działo się z nim coś straszego, coś, czego nie potrafił zrozumieć. Dym wznosił się z futra cienkimi nitkami. Dennis spróbował dotknąć myszy, ale z syknięciem cofnął rękę — poczuł żar, jakby dotknął ścianki maleńkiej kuchenki, takiej jak na przykład w domku dla lalek Sashy.

Więcej dymu sączyło się niespiesznie z rzeźbionego, drewnianego pudełka o lekko uchylonym wieczku. Dennis otworzył je szerzej. Zobaczył szczypczyki i paczuszkę. Kilka brązowych plam wykwitło na pakieciku, który tlił się leniwie, ale się nie palił, i teraz też nie buchnął płomieniem. Ogień zajął listy Peterowi, których oczywiście nie chroniło żadne zakłęcie. Podpaliła je mysz swym gorącym ciałem. Teraz jedynym źródłem dymu była paczuszka i coś ostrzegło Dennisa, żeby jej nie dotykał.

Bał się. Nie rozumiał, o co tu chodzi, i nie miał pewności, czy chciałby się tego dowiedzieć. Czuł jednak, że najlepiej wszystko natychmiast opowiedzieć ojcu. On będzie wiedział, co należy zrobić.

Dennis wziął łopatkę i wiaderko na popiół stojące koło pieca i wrócił do tajemnej skrytki. Łopatką wygarnął dymiące ciało myszy i wrzucił je do wiadra. Dla wszelkiej pewności zmoczył zwęglone rogi listów. Potem zamknął skrytkę, postawił książki na swoim miejscu i opuścił komnaty Petera. Zabrał z sobą wiaderko, ale czuł, że nie postępuje jak wierny sługa Petera, lecz jak złodziej — jego łupem padła nieszczęsna mysz, która zdechła, zanim Dennis przeszedł przez Zachodnią Bramę zamku.

Nim jeszcze zdążył dotrzeć do domu po drugiej stronie kasztelu, przyszło mu do głowy okropne podejrzenie — był pierwszym w Delainie, który pomyślał coś takiego, ale nie ostatnim.

Usiłował wyrzucić je z głowy, ale ciągle powracało. Jaka trucizna, zastanawiał się Dennis, zabiła króla Rolanda? Jakiego rodzaju?

Gdy dotarł do domu ojca, znajdował się w kiepskim stanie i nie chciał odpowiadać na pytania matki. Nie pokazał jej też, co przyniósł w wiadrze na popiół. Powiedział tylko, że musi zobaczyć się z ojcem natychmiast, gdy ten wróci do domu — sprawa jest absolutnie niecierpiąca zwłoki. Potem poszedł do swojego pokoju i zaczął się zastanawiać, jakiego rodzaju trucizny użyto przeciwko królowi. Wiedział tylko jedno, ale to wystarczyło. Trująca substancja wydzielala ciepło.

Brandon pojawił się w domu przed dziesiątą, zły, zmęczony i zupełnie nie w nastroju do żartów. Był brudny i spocony, na czole miał skaleczenie, a we włosach długie nici pajęczyn. Nie znaleziono żadnych śladów mordercy. Jedyna wieść, jaką przyniósł, dotyczyła przygotowań do koronacji Petera, które szły pełną parą na placu Iglicy pod przewodnictwem Andersa Peyny, Najwyższego Sędziego Delainu.

Żona powiedziała mu, że Dennis już wrócił. Czoło Brandona się zmarszczyło. Podszedł do drzwi pokoju syna i zastukał do nich nie zgiętym palcem, ale pięścią.

— Wyjdź no, chłopcze, i powiedz nam, dlaczego wróciłeś tutaj z wiaderkiem na popiół z gabinetu swojego pana.

— Nie — odparł Dennis. — Ty przyjdź do mnie, tato. Nie chcę, żeby matka zobaczyła, co przyniosłem, i nie chcę, żeby usłyszała, co mam ci zamiar powiedzieć.

Brandon wpadł do środka. Matka Dennisa stanęła koło pieca i czekała z niepokojem, spodziewając się, że chłopiec wymyślił jakieś na poły histeryczne głupstwo, jakąś niedowarzoną bajkę, i że wkrótce usłyszy krzyki syna, gdy jej zmęczony i zdenerwowany mąż, który od dzisiejszego południa obsługiwać ma nie księcia, lecz króla, zacznie wyładowywać swe lęki i frustracje na grzbiecie chłopca. Nie winiła syna; tego ranka wszyscy w kasztelu sprawiali wrażenie ogarniętych histerią, biegali jak chorzy dopiero co wypuszczeni z domu wariatów, powtarzając sto fałszywych wiadomości, żeby potem wrócić z następną setką nowych.

Ale zza drzwi pokoju Dennisa nie dobiegły podniesione głosy i żaden z mężczyzn nie pojawił się przed upływem godziny. A gdy to wreszcie nastąpiło, jedno spojrzenie na pobladłą twarz męża nieomal przyprawiło nieszczęsną kobietę o zemdlecie; Dennis wybiegł za ojcem jak przestraszony szczeniak.

Teraz Brandon niósł wiaderko na popiół.

— Dokąd idziecie? — zapytała nieśmiało.

Brandon nie odpowiedział. Dennis zaś, jak jej się wydało, nie mógł wydusić z siebie słowa. Przewrócił tylko oczami, a potem wyszedł za ojcem. Nie zobaczyła żadnego z nich przed upływem dwudziestu czterech godzin i zdążyła ich obu uznać za martwych albo, co gorsza, torturowanych w lochach inkwizycji pod zamkiem.

Jej ponure myśli nie były takie nieprawdopodobne, albowiem owa doba okazała się straszna dla Delainu. Mogłaby nie wywołać tak okropnego wrażenia tam, gdzie bunty, rewolty, alarmy i egzekucje o północy są na porządku dziennym... a miejsca takie, co muszą z przykrością stwierdzić, istnieją naprawdę. Ale w Delainie od lat — a nawet wieków — panował spokój, więc może zepsuło to nieco obywateli tego kraju. Czarny dzień zaczął się od południa, kiedy to nie nastąpiła koronacja Petera, a zakończył przerażającą nowiną, że książe będzie sądzony w Wielkiej Sali w Iglicy za zamordowanie swojego ojca. Gdyby w Delainie istniała giełda, tego dnia nastąpiłby na niej krach.

Budowa podium koronacyjnego rozpoczęła się o świcie. Miała to być prowizoryczna konstrukcja z nieheblowanych desek, ale, jak Anders Peyna wiedział, znajdzie się dosyć kwiatów i flag, które zakryją niedociągnięcia. Zgon króla nastąpił niespodziewanie, morderstwo zaś to coś, czego się nie da przewidzieć. Gdyby było inaczej, zbrodnie nie wydarzałyby się, a świat byłby niewątpliwie szczęśliwszy. Co więcej, nie chodziło o zorganizowanie hucznej ceremonii, lecz o to, by lud czuł ciągłość władzy. Jeśli obywatele nabiorą przekonania, że mimo tego straszego wydarzenia wszystko jest nadal w porządku, to Peyna nie zamierzał się martwić, ile dziewcząt roznoszących kwiaty wbije sobie drzazgę.

Ale o jedenastej prace budowlane raptownie przerwano. Kwiaciarki zostały odesłane — niejedna z płaczem — przez straż przyboczną.

O siódmej tego ranka większość z członków straży przybocznej zaczęła ubierać się w swoje wspaniałe, czerwone odświętne mundury i szykować wysokie szare czapy z wilczymi głowami. Mieli oni stworzyć ceremonialny szpaler, nawę, przez którą przejdzie Peter na koronację. O jedenastej zaś otrzymali nowe rozkazy — dziwne i niepokojące. Zrzucali wyjściowe mundury w gorączkowym pośpiechu i zamiast nich przywdziewali gładkie ciemnobrązowe mundury polowe. Ozdobne, ale nieporęczne ceremonialne miecze zastąpiono morderczymi krótkimi szpadami, które stanowiły codzienny ekwipunek. Imponujące, ale niepraktyczne czapy odłożono na bok, a na ich miejsce pojawiły się płaskie skórzane hełmy, należące do rynsztunku bojowego.

Mundur polowy — sama nazwa brzmi przygnębiająco. Czy jest coś takiego, jak zwykły mundur polowy? Nie sądzę. Ale żołnierze w takich ubiorach byli wszędzie, a na ich twarzach malował się wyraz surowości i powagi.

Książę Peter popełnił samobójstwo! Oto pierwsza plotka, jaka obiegła kasztel.
Książę Peter został zamordowany! — to następna.

Roland nie zginął, nastąpiła pomyłka w diagnozie, lekarza ścięto, ale stary król oszalał i nikt nie wie, co robić — głosiła trzecia.

Po nich przyniesiono jeszcze wiele innych, jedna głupsza od drugiej.

Nikt nie spał, gdy zapadły ciemności nad niewiele rozumiejącym, pograżonym w smutku kasztele. Zapalono wszystkie pochodnie na placu Iglicy, zamek płonął światłami, a w każdym domu w kasztelu i na znajdujących się poniżej wzgórzach widziało się blask świec i latarni, bo przestraszeni ludzie zbierali się, aby porozmawiać o wydarzeniach dnia. Wszyscy zgadzali się, że dzieje się coś złego.

Zdawało się, że noc trwa jeszcze dłużej niż dzień. Żona Brandona czekała na swoich mężczyzn w nieznośnej samotności. Siedziała przy oknie, ale po raz pierwszy w życiu zdarzyło się, że nie miała zbytnej ochoty słuchać plotek. No ale czy mogła ich nie słyszeć? Oczywiście, że nie.

Nadranne godziny ciągnęły się w nieskończoność, zaczęło jej się wydawać, iż świt nigdy już nie nadejdzie, gdy tymczasem jedna wieść zaczęła zastępować wszystkie inne — niewiarygodna, nieprawdopodobna, ale powtarzana z coraz większą pewnością, aż nawet strażnicy na swych stanowiskach zaczęli ją sobie szeptem podawać. Ta nowa wiadomość najbardziej przeraziła Brandonową, bo aż nazbyt dobrze pamiętała, jak błady był biedny Dennis, gdy wrócił do domu z wiaderkiem na popiół, wyniesionym z komnaty księcia. Wewnątrz znajdowało się coś, co cuchnęło niezdrową spalenizną, coś, czego nie chciał jej pokazać.

Książę Peter został aresztowany pod zarzutem zamordowania swojego ojca, brzmiała wieść. Został aresztowany... uwięziony... Książę zamordował własnego ojca!

Tuż przed świtem zrozpaczona kobieta położyła głowę na skrzyżowanych rękach i zaczęła płakać. Po chwili łkanie ucichło, a ona zapadła w niespokojny sen.

— A teraz mów, co jest w tym wiadrze, i to szybko! I żadnych wyglupów, Dennis, zrozumiałeś? — zaczął Brandon, gdy wszedł do pokoju syna i zamknął za sobą drzwi.

— Pokażę ci, tato — powiedział Dennis — ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie: od jakiego rodzaju trucizny zmarł król?

— Nikt nie wie.

— A jak działała?

— Pokaż mi, co jest w tym wiadrze, chłopcze. Ale już. — Brandon zwinął dłoń w wielką, ciężką pięść. Nie potrząsnął nią; wystarczyło, że trzymał ją w górze. — Pokaż mi albo dostaniesz.

Brandon długo i bez słowa patrzył na martwą mysz. Dennis przyglądał się przerażony, jak twarz ojca bładła, poważniała, szarzała. Oczy myszy paliły się, aż został z nich czarny popiół. Brązowe futro poskręcało się i pociemniało. Dym wciąż wydobywał się z uszek stworzenia, a zęby widoczne w pyszczku wykrzywionym grymasem śmierci były osmalone niczym krata w kominku.

Brandon uczynił ruch, jakby chciał dotknąć myszy, ale zaraz cofnął rękę. Podniósł głowę i zapytał ochryplym szeptem:

— Gdzie to znalazłeś?

Dennis zaczął coś bełkotać.

Brandon słuchał przez chwilę, a potem ścisnął syna za ramiona.

— Weź głęboki oddech i zberz myśli, Denny — rzekł. — Jestem po twojej stronie, tak jak zawsze, wiesz dobrze. Miałeś rację, że nie pokazywałeś tego biednego stworzenia matce. A teraz powiedz mi, jak to znalazłeś i gdzie.

Nieco uspokojony Dennis zdołał zrelacjonować ojcu wszystko — całą historię. Jego opowiadanie trwało nieco krócej niż moje, ale mimo to zabrało mu kilka minut.

Ojciec siedział w fotelu, przysłaniając zaciśniętą pięścią oczy. Nie zadawał żadnych pytań, nie wydał nawet jednego chrząknięcia.

Gdy Dennis skończył, ojciec wymamrotał półgłosem trzy słowa. Za ledwie trzy — ale na ich dźwięk serce chłopca zamarzło na kamień, a przynajmniej tak to wtedy odczuł.

— Jak wszyscy królowie.

Usta Brandona drżały ze strachu, mimo to usiłował się uśmiechnąć.

— Czy, twoim zdaniem, to zwierzę to Mysi Król, Denny?

— Tato... tato... ja...

— Znalazłeś tam pudełko?

— Tak.

— I paczuszkę?

— Tak.

— A paczuszka była zwęglona, ale nie spalona?

— Tak.

— I szczypczyki?

— Tak. Takie, jakich mama używa do wrywania włosów z nosa.

— Cśś — powiedział Brandon i znów wbił sobie pięść w czoło. — Muszę się zastanowić.

Upłynęło pięć minut. Brandon siedział bez ruchu, prawie jakby zasnął, ale Dennis wiedział, że tak nie jest. Brandon nie miał pojęcia, że matka Petera dała mu rzeźbione pudełko ani że Peter zgubił je, gdy był mały; oba te fakty zdarzyły się na długo przedtem, zanim ksiączę wszedł w wiek półmęski i Brandon został jego lokajem. Wiedział o skrytce; natrafił na nią na początku swojej służby u księcia. Jak być może już mówiłem, schowek ten nie należał do bardzo tajnych, w zupełności jednak wystarczał Peterowi, który nigdy nie odznaczał się skrytością. Brandon wiedział o schowku, ale nie zaglądał do środka poza pierwszym razem, kiedy to nie zawierał nic oprócz rupieci, które dla chłopców są bezcennymi skarbami — niekompletną talię kart do tarota, torebkę okrągłych kamyków, monetę na szczęście, splecione w warkoczyk włosy z grzywy Peonii. Sprawa, na jakiej dobry lokaj musi się koniecznie znać, to dyskrecja, która polega na szanowaniu życia prywatnego innych ludzi. Nigdy więc nie zaglądał już do skrytki. Byłoby to w pewnym sensie kradzieżą.

W końcu Dennis zapytał:

— Nie powinniśmy tam iść, tato, żebyś zobaczył pudełko?

— Nie. Musimy zanieść tę mysz do Najwyższego Sędziego, a ty musisz zrelacjonować mu tę historię, tak jak to uczyniłeś przed chwilą.

Dennis ciężko opadł na łóżko. Czuł się, jakby ktoś zadał mu cios w żołądek. Iść do Peyny, człowieka, który wydawał wyroki więzienia i egzekucji! Do Peyny o białej, odpychającej twarzy i wysokim, woskowatym czole! Do Peyny, który po królu stanowił najwyższą władzę w państwie!

— Nie — szepnął wreszcie. — Tato, nie mogę... ja...

— Musisz — rzekł surowo ojciec. — To okropna sprawa, najstraszniejsza, z jaką miałem kiedykolwiek do czynienia, ale trzeba ją załatwić do końca. Powiesz mu to, co powiedziałeś mnie, a reszta będzie należała do niego.

Dennis popatrzył ojcu w oczy i zobaczył, że Brandon nie ustąpi. Jeśli nie zechce pójść, to mimo jego dwudziestu lat ojciec chwyci go za kark i zawlecze do Peyny niczym kociaka.

— Tak, tato — powiedział żałośnie, myśląc, że gdy spoczną na nim zimne, wyrachowane oczy Peyny, po prostu padnie trupem na atak serca. A potem (z rosnącą paniką) przypomniał sobie, że zabrał wiadro na popiół z komnat księcia. Jeśli nie umrze ze strachu w chwili, gdy Peyna nakaże mu mówić, resztę życia spędzi prawdopodobnie w najgłębszych lochach zamku, oskarżony o kradzież.

— Nic się nie bój, Denny, przynajmniej spróbuj się nie bać. Peyna jest surowy, ale sprawiedliwy. Nie zrobiłeś nic, czego mógłbyś się powstydić. Opowiedz mu po prostu to samo co mnie.

— Dobrze — szepnął Dennis. — Idziemy?

Brandon podniósł się z krzesła i uklęknął.

— Najpierw się pomodlimy. Klęknij tu obok mnie, synu.

Co Dennis uczynił.

Peter został osądzony, uznany za winnego królobójstwa i skazany na dożywotnie uwięzienie w dwóch zimnych pokojach na szczycie Iglicy. Wszystko to stało się w ciągu zaledwie trzech dni. Zrelacjonowanie, jak gładko okrutna, zastawiona przez Flagga pułapka zatrasnęła się za chłopcem, nie zabierze wiele czasu.

Peyna nie nakazał zaprzestania przygotowań do koronacji natychmiast — prawdę mówiąc, myślał, że Dennis się pomylił, że istnieje jakieś sensowne wyjaśnienie. Jednakże stan myszy, tak podobny do stanu, w jakim znalazł się król, nie pozwalał zignorować tej historii, a rodzinę Brandonów od wielu lat uważano w królestwie za wzór rozsądku i uczciwości. Odgrywało to poważną rolę, ale chodziło o jeszcze jedną, dużo ważniejszą rzecz: w momencie koronacji opinia Petera musiała być bez skazy.

Peyna wysłuchał Dennisa, a potem wezwał Petera. Dennis rzeczywiście mógłby umrzeć ze strachu na widok swego pana, ale na szczęście pozwolono mu wyjść razem z ojcem do drugiego pokoju. Peyna z powagą wyjaśnił księciu, jaki postawiono mu zarzut... oskarżenie, że sam Peter mógł odegrać rolę w zamordowaniu Rolanda. Anders Peyna należał do ludzi, którzy mówią bez ogródek, nie bacząc na to, jaki może to komuś sprawić ból.

Chłopiec był zdumiony... oszołomiony. Musicie pamiętać, że nie zdążył jeszcze pogodzić się ze śmiercią ukochanego ojca, zamordowanego okrutną trucizną, która spaliła go żywcem. Musicie pamiętać, że przez całą noc kierował poszukiwaniami, nie spał i czuł się bardzo zmęczony.

A przede wszystkim nie zapominajcie, że chociaż osiągnął już wzrost i siły mężczyzny, miał dopiero szesnaście lat. Tak niesłychane oskarżenie po tym wszystkim sprawiło, że zareagował całkiem naturalnie, ale w sposób, jakiego powinien za wszelką cenę unikać, gdy świdrował go zimny, badawczy wzrok Peyny.

Gdyby Peter gorąco zaprzeczył oskarżeniu albo ogarnięty rozpaczą, doznawszy szoku, wybuchnął szalonym śmiechem po usłyszeniu tak absurdalnej

wiadomości, cała sprawa mogłaby się w tym punkcie zakończyć. Jestem pewien, że coś takiego nigdy nie wpadło Flaggowi do głowy, ale do jego nielicznych słabości należała skłonność do oceniania innych według tego, co działo się w jego złym, zimnym sercu. Flagg traktował wszystkich podejrzliwie i sądził, że każdy ma jakieś ukryte powody, dla których zachowuje się tak czy inaczej.

Jego skomplikowany umysł przypominał lustrzaną salę, w której wszystko odbijało się w dwóch różnych wymiarach.

Tok myśli Peyny biegł bardzo prosto. Sędzia z trudnością potrafił uwierzyć, że Peter mógł otruć ojca. Gdyby chłopiec wybuchnął gniewem albo głośnym śmiechem, sprawa prawdopodobnie zostałaby zamknięta nawet bez oglądania owego pudełka czy też pakiecika i szczypczyków, które miało ono zawierać. Łzy jednakże wywarły bardzo złe wrażenie. Wyglądały jak przyznanie się do winy chłopca na tyle dorosłego, żeby popełnić morderstwo, ale niedostatecznie dojrzałego, żeby je ukryć.

Peyna uznał, że musi sprawę zbadać dokładniej. Nie podobało mu się to wcale, oznaczało bowiem włączenie w to straży, a zatem wiadomość o chwilowym podejrzeniu mogła przeciec na zewnątrz i przyćmić pierwsze tygodnie panowania Petera.

Potem przyszło mu do głowy, że dałoby się tego uniknąć. Zabierze z sobą nie więcej niż sześciu strażników. Czterech postawi przy drzwiach. A gdy już to niesłychane podejrzenie zostanie rozwiane, wyśle się ich na najdalsze krańce królestwa. Brandona i jego syna też trzeba będzie odesłać, co Peyna uważał za sporą stratę, ale ludzie, zwłaszcza rozgrzani alkoholem, lubią mówić, a słabość starszego pana do ginu była powszechnie znana.

Tak więc Peyna nakazał tymczasowe zawieszenie prac przy platformie koronacyjnej. Był pewien, że za niecałe pół godziny zostaną one na nowo podjęte przez spoconych, klnących i uwijających się, żeby nadrobić stracony czas, robotników.

Niestety...

Pudełko, paczuszka i szczypczyki znajdowały się, jak pamiętacie, na miejscu. Peter przysiągł na imię matki, że nie miał takiego rzeźbionego pudełka; jego gorące zaprzeczenia brzmiały teraz bardzo naiwnie. Peyna ostrożnie podniósł szczypczykami zwęgloną paczuszkę, zajrzał do środka i zobaczył trzy ziarenka zielonego piasku. Były tak małe, że dostrzegało się je z trudnością, ale Peyna, pamiętając o tym, co przydarzyło się zarówno wielkiemu królowi, jak i skromnej myszy, włożył paczuszkę z powrotem do pudełka i zamknął pokrywkę. Nakazał dwu z czterech strażników czekających w holu wejść do środka, niechętnie przyznając w duchu, że sprawa z wolna nabiera powagi.

Pudełko wydzielające smużki dymu ostrożnie położono na biurku Petera. Jednego ze strażników wysłano po kogoś, kto wiedział o truciznach więcej niż ktokolwiek w całym królestwie.

Tym człowiekiem był oczywiście Flagg.

— Nie miałem z tym nic wspólnego, Anders — powiedział Peter. Przyszedł już do siebie, ale jego pobladła twarz wciąż miała żalospny wyraz, a oczy stały się bardziej niebieskie, niż to pamiętał stary sędzia.

— Ale to pudełko należy do ciebie?

— Tak.

— To dlaczego zaprzeczyłeś, że kiedykolwiek miałeś takie pudełko?

— Zapomniałem. Ostatnio widziałem je jedenaście lat temu. Matka mi je dała.

— I co się z nim stało?

Nie nazywa mnie już panem ani Waszą Wysokością, pomyślał z zimnym dreszczem Peter. Nie używa wobec mnie żadnego zwrotu wyrażającego szacunek. Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Ojciec otruty? Thomas poważnie chory? Peyna stoi tu i prawie oskarża mnie o zamordowanie ojca? A to pudełko — skąd, na wszystkich bogów, się tutaj wzięło i kto je schował do tajnej skrytki za książkami?

— Zgubiłem je — powiedział Peter powoli. — Anders, przecież pan chyba nie wierzy, że zamordowałem ojca?

Nie wierzyłem, ale teraz sam nie wiem, pomyślał Anders Peyna.

— Bardzo go kochałem — rzekł Peter.

Zawsze mi się tak wydawało, ale nie jestem już taki pewien, stwierdził w duchu Sędzia Najwyższy.

Flagg wpadł do komnaty i nie patrząc nawet na Peynę, zaczął natychmiast bombardować oszołomionego, przestraszonego i oburzonego księcia pytaniami na temat poszukiwań. Czy znaleziono jakiś ślad trucizny lub truciciela? Odkryto spisek? Jego zdaniem, mogła to być pojedyncza osoba, najprawdopodobniej niepoczytalna. Spędził cały ranek nad kryształem, ale ten pozostawał uparcie ciemny. Jemu jest wszystko jedno, chce robić coś więcej, niż potrząsać kośćmi i gapić się w kryształy. Pragnie czynu, nie zakłęb. Jeżeli tylko książę sobie życzy, zbada najciemniejsze kąty.

— Nie wzywaliśmy cię tutaj, żebyś paplał jak twoja papuga, gdy obie jej głowy mówią naraz — oznajmił zimno Peyna. Nie lubił Flagga. Zdaniem Peyny, z chwilą śmierci Rolanda czarnoksiężnik znalazł się na stanowisku dworskiego zera. Mógł powiedzieć im, czym są te złowieszcze zielone plamki w paczuszce, ale na tym kończyła się jego użyteczność.

Po koronacji Peter nie zechce mieć nic wspólnego z tym szczurem, pomyślał sędzia. Doszedł do tego wniosku, a potem jego myśl zawróciła z niesmakiem, bo szanse na koronację Petera malały z każdą chwilą.

— Nie — rzekł Flagg — na pewno nie po to. — Popatrzył na Petera i zapytał: — Dlaczego zostałem wezwany, o królu?

— Nie tytułuj go tak! — wybuchnął Peyna, zaskoczony wbrew samemu sobie.

Flagg dostrzegł oburzenie na twarzy Peyny i chociaż udawał, że nic nie rozumie, doskonale wiedział, co to oznacza, i poczuł zadowolenie. Robak podejrzliwości szukał drogi do samego środka zimnego serca Sędziego Najwyższego. Znakomicie.

Peter odwrócił od nich swą bladą twarz i popatrzył na miasto, usiłując znów się opanować. Zacisnął palce tak, że pobielewały mu kostki. W tej chwili wyglądała na znacznie więcej niż szesnaście lat.

— Widzisz to pudełko? — zapytał Peyna.

— Tak, Sędzio Najwyższy — potwierdził Flagg swym najbardziej służbistym głosem.

— Wewnątrz znajduje się paczuszka, która wygląda, jakby powoli się zwęgłała. Zawiera ona coś, co przypomina ziarnka piasku. Chciałbym, żebyś je zbadał i stwierdził, czy potrafisz rozpoznać, co to jest. Ostrzegam, że pod żadnym pozorem nie należy ich dotykać. Sądzę, że substancja zawarta w tej paczuszce mogła być przyczyną śmierci króla Rolanda.

Flagg pozwolił sobie przybrać zmartwioną minę. Ale prawdę mówiąc, czuł się świetnie. Odgrywanie jakiejś roli zawsze wprawiało go w znakomity humor. Lubił udawać.

Podniósł paczuszkę za pomocą szczypczyków. Zajrzał do środka. Wzrok mu się zaostrzył.

— Poproszę o kawałek obsydianu — powiedział. — Natychmiast.

— Leży u mnie na biurku — rzekł tępo Peter i wskazał kawałek kamienia.

Nie miał on takich rozmiarów jak obsydian wykorzystany i wyrzucony przez Flagga, ale był gruby. Księżę podał go jednemu ze strażników, który z kolei wręczył go Flaggowi. Czarnoksiężnik popatrzył na niego pod światło, lekko marszcząc brwi... ale w głębi jego duszy maleńki człowieczek aż podskakiwał w podnieceniu, wywijał salta i kręcił młynka. Obsydian przypominał jego własny, ale jeden z boków miał nierówny, jakby pękł. Ach, los, prawdziwy uśmiech losu! Wspaniale, znakomicie, cudownie.

— Upadł mi rok czy dwa lata temu — wyjaśnił Peter, widząc zainteresowanie Flagga. Nie wiedział, tak samo jak (przynajmniej w tej chwili) Peyna, że dołożył jeszcze jedną cegielkę do muru, który powstawał dookoła niego. — Tym bokiem, którym go trzymasz, obsydian wylądował na dywanie, co złagodziło uderzenie. Druga strona trafiła na kamienie i roztrzaskała się na tysiąc kawałków. Obsydian jest twardy, ale bardzo kruchy.

— Naprawdę, panie? — zapytał z powagą Flagg. — Nigdy nie widziałem skały tego rodzaju, chociaż oczywiście o niej słyszałem.

Położył obsydian na biurku Petera, odwrócił nad nim paczuszkę i wysypał trzy ziarnka piasku. Po chwili delikatne macki dymu zaczęły unosić się nad kamienia. Wszyscy obecni widzieli, że każde z ziarenek powoli zapada się w otwór, który wywierciło w najtwardszej ze znanych skał. Widząc to, strażnicy zaczęli szeptać niespokojnie.

— Cisz! — ryknął Peyna, odwracając się do nich gwałtownie.

Strażnicy cofnęły się, a ich twarze pobladły ze strachu. Wszystko to coraz bardziej przypominało im czary.

— Chyba wiem, co to za ziarnka i jak sprawdzić mój domysł — powiedział nagle Flagg. — Ale jeśli mam rację, próba musi zostać wykonana jak najprędzej.

— Dlaczego? — zapytał Peyna.

— Moim zdaniem, te ziarnka to Smoczy Piasek — rzekł Flagg. — Miałem ongiś jego niewielką ilość, ale, niestety, zginął mi, zanim mogłem dokładniej go zbadać. Niewykluczone, że został ukradziony.

Uwagi Flagga nie uszedł sposób, w jaki Peyna, słysząc to, spojrział na Petera.

— Od tej pory martwiłem się — ciągnął — bo uchodzi on za jedną ze straszliwszych trucizn na ziemi. Nie miałem szansy dokładniej zbadać jego właściwości, więc powątpiewałem w nie, ale z tego, co widzę, większość moich informacji na jego temat okazuje się prawdziwa.

Flagg wskazał na obsydian. Dołki, w których spoczywały trzy ziarnka zielonego piasku, miały już ze dwa centymetry głębokości — z każdego unosił się dym niczym z małego ogniska. Flagg domyślał się, że każde z ziarek dotarło do połowy grubości obsydianu.

— Te trzy drobiny piasku szybko przeżerają najtwardszą ze znanych skał — rzekł. — Podobno Smoczy Piasek ma taką moc, że może przegryźć każde ciało stałe. I że wytwarza straszliwe gorąco. Hej! Strażnik!

Flagg wskazał jednego ze strażników. Ten wystąpił naprzód, choć nie robił wrażenia zadowolonego, że został wybrany.

— Dotknij no boku tego kamienia — rzekł Flagg, a gdy mężczyzna niepewnie wyciągnął dłoń, żeby dotknąć przycisku do papieru, dodał ostro: — Tylko boku! Nie zbliżaj ręki do dziurek!

Strażnik dotknął przycisku i natychmiast cofnął dłoń z bolesnym syknięciem. Przyłożył ją do ust, ale przedtem Peyna zauważył, że na skórze zdążyły się już utworzyć pęcherze.

— Słyszałem, że obsydian przewodzi ciepło bardzo powoli — powiedział Flagg — ale ten kawałek jest tak gorący, jak blacha w piecu... a wszystko z powodu trzech ziarek piasku, które można swobodnie zmieścić na czubku paznokcia małego palca. Dotknij książącego biurka, Sędzio Najwyższy!

Peyna wykonał polecenie. Z przerażeniem i zdziwieniem poczuł pod dłonią gorąco. Za kilka chwil solidne drewno zaczęło się łuszczyć i węglić.

— Musimy działać szybko — oświadczył Flagg. — Biurko się zaraz zapali. Jeśli odetchniemy dymem, o ile opowieści, które słyszałem, są prawdziwe, wszyscy zginieją w ciągu paru dni. Na wszelki wypadek jeszcze jedno doświadczenie...

Słyszając to, strażnicy mieli bardzo niepewne miny.

— Dobrze — zgodził się Peyna. — Co to za doświadczenie? Szybko, człowieku!

— Nie cierpiał Flagga bardziej niż kiedykolwiek, ale w tej chwili zyskał niezłomną pewność, że niedoceniając go mogłoby okazać się zgubne. Pięć minut temu gotów był uznać czarnoksiężnika za dworskie zero. Teraz wydawało się, że ich życie i sprawa Peyny przeciwko Peterowi znajdują się w jego rękach.

— Trzeba napełnić wiadro wodą — rzucił Flagg szybko. Jego ciemne oczy załśniły.

Strażnicy i Peyna patrzyli na czarne tuneliki w obsydianie i na maleńkie smużki dymu z chorobliwą fascynacją ptaków zahipnotyzowanych przez kłęb wijących się pytonów. Jak głęboko ziarnka zdążyły już przeżreć obsydian? Nie sposób powiedzieć. Nawet Peter przyglądał się niezwykłemu zjawisku, chociaż smutek i zmieszanie wciąż malowały się na jego zmęczonej twarzy.

— Przynies wody z księżęcej pompy! — krzyknął Flagg do jednego ze strażników. — Ma być w wiadrze albo w głębokim naczyniu. Już! Natychmiast!

Strażnik popatrzył na Peynę.

— Wykonać — rzekł sędzia, starając się nie okazać strachu, ale bał się, Flagg o tym wiedział.

Strażnik wybiegł. Po chwili usłyszeli, jak pompuje wodę do wiadra, które znalazł w kredensie. Flagg przemówił znowu.

— Zamierzam zanurzyć palec w wiadrze i opuścić kroplę wody do jednej z tych dziurek — rzekł. — Obserwujmy dokładnie, Sędzio Najwyższy. Musimy zobaczyć, czy woda, która znajdzie się w dziurce, zabarwi się przez chwilę na zielono. To pewny znak.

— A co potem? — zapytał z napięciem Peyna.

Strażnik wrócił. Flagg wziął od niego wiadro i postawił je na biurku.

— Potem ostrożnie umieszczę krople wody w dwóch pozostałych otworach — wyjaśnił Flagg. Mówił spokojnie, ale jego zazwyczaj blade policzki pokryły się rumieńcem. — Twierdzi się, że woda nie zatrzyma Smoczego Piasku, ale ograniczy jego działanie. — Brzmiało to dramatycznie, lecz Flagg chciał zastraszyć obecnych.

— A może zalać go wodą? — wyrwał się jeden ze strażników.

Peyna skwitował ten występ groźnym spojrzeniem, Flagg jednak spokojnie odpowiedział na pytanie, zanurzając w wiadrze mały palec.

— Chcesz, żebym wypłukał te trzy ziarnka piasku z dziurek, które zrobiły w skale, gdzieś na biurko? — zapytał nieomal życzliwie. — Zostawimy cię tutaj,

żebyś ugasił ogień, gdy woda wyschnie, mój panie.

Strażnik milczał.

Flagg wyjął ociekający wodą palec z wiadra.

— A teraz patrzcie uważnie! — powiedział głośno, przypominając w tej chwili Peterowi wędrownego handlarza, który zamierza wykonać jakąś straszliwie oszukańczą sztuczkę.

Peyna jednak pochylił się skwapliwie. Strażnicy wyciągnęli szyje. Kropla wody zawisała na palcu Flagga, przez moment odbijając w sobie pokój Petera w doskonałej miniaturze. Wisiała... wydłużyła się... i spadła do zagłębienia.

Rozległ się syk przypominający syk tłuszczu wylanego na gorącą patelnię. Maleńki pióropusz dymu wznosił się nad zagłębieniem... ale przedtem Peyna wyraźnie widział kociooki błysk zieleni. W tej chwili los Petera został przypieczętowany.

— Na bogów, Smoczy Piasek! — szepnęła ochryple Flagg. — Na miłość boską, nie wdychajcie tej pary!

Odwaga Andersa Peyny dorównywała jego opinii twardego człowieka, ale teraz sędzia odczuwał lęk. Jeden rozbłysk zieleni wydawał mu się niesłychanym diabelstwem.

— Ugaś dwa pozostałe — rzucił zdławionym głosem. — Natychmiast!

— Przecież mówiłem — rzekł Flagg, ponownie zanurzając mały palec i przyglądając się obsydianowi. — Ich się nie da ugasić. No, jest jeden sposób, jak mówią, ale tylko jeden. Nie spodoba się panu. Ale wydaje mi się, że możemy ograniczyć ich działanie, a potem się ich pozbyć.

Ostrożnie wpuścił krople do dwóch pozostałych zagłębień. Za każdym razem pojawiały się ponury, zielony błysk i pióropusz dymu.

— Chyba mamy spokój na pewien czas — powiedział Flagg; jeden ze strażników głośno westchnął z ulgą. — Przynieście mi rękawice... albo dwa kawałki materiału... cokolwiek, przez co mogę podnieść ten kamień. Jest gorący jak wszyscy diabli, a te krople wody zaraz się wygotują.

Przyniesiono natychmiast dwie szmatki z kredensu. Flagg ujął przez nie obsydian. Podniósł kamień, uważając, żeby go nie przechylić, a potem wrzucił do wiadra. Gdy kamień się zanurzał, wszyscy wyraźnie widzieli, jak woda przybiera na chwilę kolor zielony.

— Teraz — rzekł swobodnie Flagg — wszystko jest dobrze. Jeden ze strażników musi wynieść to wiadro z zamku i pójść z nim do dużej pompy przy Starym

Drzewie na środku twierdzy. Tam niech naleje wody do dużego szaflika i wstawi do niego wiaderko. Szaflik należy przewieźć na środek Jeziora Johanny i zatopić. Może się zdarzyć, że za tysiąc lat Smoczy Piasek zagotuje wody jeziora, ale niech ci, którzy wtedy będą żyć, martwią się, co z tym począć.

Peyna milczał przez chwilę, przygryzając wargę, co było oznaką niezwykłego u niego niezdecydowania, aż w końcu powiedział:

— Ty, ty i ty. Zróbcie, jak kazał.

Wiadro zabrano. Strażnicy nieśli je jak bombę z odbezpieczonym zapalnikiem. Flagg czuł rozbawienie, bo w zasadzie prawie wszystko było przedstawieniem, jak zresztą Peter przez chwilę podejrzewał. Krople wody, które Flagg wpuścił do zagłębień, nie wystarczyły, żeby powstrzymać żrące działanie piasku — przynajmniej nie na długo — ale mag wiedział, że woda w wiadrze to uczyni. Nawet mniejsza ilość płynu mogła zahamować działanie większej ilości piasku... kielich wina, powiedzmy. Ale niech tamtym się wydaje, że tak nie jest; dzięki temu we właściwym czasie zaatakują Petera z większą zaciekłością.

Gdy strażnicy wyszli, Peyna zwrócił się do Flagga:

— Powiedziałeś, że jest sposób na zneutralizowanie działania Smoczego Piasku.

— Tak. Mówiono mi, że jeśli znajdzie się wewnątrz żywej istoty, będzie ona płonąć w mękach, aż zginie... a wtedy wszystko się kończy. Wraz ze śmiercią wygasa moc Smoczego Piasku. Chciałem to sprawdzić, ale zanim zdążyłem, próbka mi zginęła.

Peyna, pobladły, wpatrywał się we Flagga.

— A na jakiego rodzaju żywej istocie chciałeś wypróbować tę przeklętą substancję, czarnoksiężniku?

Flagg rzucił Peynie beczelnie niewinne spojrzenie.

— Oczywiście na myszy, panie sędzio.

O trzeciej po południu w Królewskim Sądzie Delainu, mieszczącym się u podstawy Iglicy — wielkiej sali, którą z biegiem lat zaczęto nazywać Sądem Peyny — odbyło się tajemnicze spotkanie.

Spotkanie — nie podoba mi się to słowo. Jest zbyt łagodne i grzeczne, żeby używać go w związku z wiekopomną decyzją, jaka została na nim podjęta. Nie mogę nazwać go przesłuchaniem ani rozprawą, gdyż zgromadzenie owo nie miało żadnego statusu prawnego, lecz mimo to było bardzo ważne, co do czego, jak mi się wydaje, zgodzicie się ze mną bez trudu.

Sala ta może pomieścić pięćset osób, ale tym razem siedziało ich tu tylko siedem. Sześć z nich stłoczyło się razem, jak gdyby przebywanie w pomieszczeniu przeznaczonym dla tak wielu wprawiało je w zakłopotanie.

Królewski herb — jednorożec przebijający smoka — wisiał na jednej z zaokrąglonych kamiennych ścian i Peter zauważył, że stale wraca do niego spojrzeniem. Poza nim w sali znajdowali się Peyna, Flagg (ten, oczywiście, siedział odrobinę odsunięty od reszty) i czterech spośród wielkich radców królestwa.

W sumie było ich dziesięciu, ale pozostałych sześciu przebywało na odległych krańcach Delainu, rozpatrując sprawy sądowe.

Peyna zdecydował, że nie może na nich czekać. Wiedział, że musi działać szybko i zdecydowanie, w przeciwnym razie poleje się krew. Zdawał sobie z tego sprawę, ale goryczą napawał go fakt, że potrzebuje pomocy tego zimnego, małoletniego mordercy, aby uniknąć rozlewu krwi. Anders Peyna bowiem zdążył już zdecydować w swym sumieniu, że Peter jest winien. Nie z powodu pudełka, zielonego piasku ani nawet płonącej myszy. Przyczynę jego decyzji stanowiły łyży Petera. Należało mu jednak przyznać, że teraz nie sprawiał wrażenia ani winnego, ani słabego. Był blady, ale spokojny i odzyskał już całkowicie panowanie nad sobą.

Peyna odchrząknął. Chrząknięcie zabrzmiało głuchym echem pośród surowych kamiennych ścian sali sądowej. Przyłożył dłoń do czoła i bez zdziwienia stwierdził, że pokrywa je warstewka zimnego potu. Wysłuchiwał

zeznań w setkach wielkich i poważnych spraw; wysłał więcej, niż wolałby pamiętać, ludzi pod topór kata. Ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że weźmie udział w takim jak to „spotkaniu” albo w procesie sądowym, w którym księżę zostanie oskarżony o zamordowanie swego królewskiego ojca... do procesu takiego na pewno dojdzie, jeśli dzisiejszego popołudnia wszystko potoczy się tak, jak miał nadzieję. Dlatego też pomyślał, że słusznie oblał go pot i że jest on, jak powinien, zimny.

Zwykłe spotkanie. Nic usankcjonowanego prawem, nic oficjalnego, nic w związku ze sprawami królestwa. Ale ani Peyna, ani Flagg, ani wielcy radcy, ani nawet sam Peter nie dali się zwieść. To była prawdziwa rozprawa. Tu znajdowała się władza. Płonąca mysz uruchomiła bieg wielkich wydarzeń. Mógł on zostać odwrócony w tej chwili, tak jak wielka rzeka może zostać zawrócona u źródeł, gdy jest jeszcze małym potokiem, ale gdy pozwoli jej się płynąć, nabiera w drodze potęgi, aż żadna siła na świecie nie zdoła odwrócić jej biegu lub stanąć jej na drodze.

Zwykłe spotkanie, pomyślał Anders Peyna i znów otarł pot z czoła.

Flagg z zainteresowaniem obserwował rozprawę. Podobnie jak Peyna, wiedział, że tutaj wszystko się rozstrzygnie, i był pewien swego.

Peter stał z podniesioną głową. Wzrok miał spokojny. Spojrzał w oczy każdemu z członków tego nieformalnego sądu.

Kamienne ściany patrzyły groźnie na całą siódemkę. Ławki dla publiczności były puste, ale Peynie wydawało się, że czuje wzrok widmowych oczu, które domagają się, aby wymierzyć sprawiedliwość w tej okropnej sprawie.

— Panie — rzekł wreszcie Peyna — słońce uczyniło cię królem trzy godziny temu.

Peter popatrzył na Peynę z zaskoczeniem, lecz bez słowa.

— Tak — powiedział Peyna, jak gdyby odpowiadając Peterowi. Wielcy radcy kiwali głowami i mieli poważne miny. — Koronacja się nie odbyła, ale koronacja to jedynie ceremonia publiczna. Mimo całej swojej powagi jest tylko przedstawieniem. Bóg, prawo i słońce tworzą królów, a nie koronacja. W tej chwili jesteś królem i masz prawo wydawać mi polecenia, nam wszystkim, całemu królestwu. To tworzy wielki problem. Rozumiesz, o co chodzi?

— Tak — rzekł Peter z powagą. — Myślicie, że wasz król jest mordercą.

Peyna odczuł lekkie zaskoczenie taką bezpośredniością, ale nie niezadowolenie. Peter był zawsze chłopcem szczerym; szkoda, że taka powierzchowna otwartość pokrywała otchłań wyrachowania, ale najważniejsze, że owa bezpośredniość, prawdopodobnie wynikająca z głupiej, chłopięcej brawury, przyspieszy tylko bieg spraw.

— Nieważne, co my myślimy, panie. Niewinność lub winę ustali sąd, tak mnie zawsze uczono i wierzę w to całym sercem. Ale jest jeden wyjątek. Królowie są ponad prawem. Rozumiesz?

— Tak.

— Jednakże — Peyna uniósł palec — zbrodnia ta została popełniona, zanim zostałeś królem. O ile wiem, podobnie okropna sytuacja nigdy jeszcze nie była przedmiotem rozważań żadnego sądu w Delainie. Rezultaty mogą okazać się

straszliwe. Anarchia, chaos, wojna domowa. Aby tego uniknąć, panie, potrzebna nam jest twoja pomoc.

Peter popatrzył na niego z powagą.

— Pomogę, jeśli leży to w mojej mocy — zapewnił.

A ja mam nadzieję — modłę się — że zgodzisz się na moją propozycję, pomyślał Peyna. Czuł, że pot znowu wystąpił mu na czoło, ale tym razem go nie wycierał. Peter to tylko chłopiec, ale nie brak mu inteligencji — może to poczytać za oznakę słabości. Powiesz, że się zgadzasz dla dobra królestwa, ale ktoś, kto ma dość potwornej, wypaczonej odwagi, żeby zabić własnego ojca, być może, mam nadzieję, liczy na to, że uda mu się z tego wykręcić. Wierzysz, że pomogę ci wszystko ukryć, ale, o panie, jakże się mylisz.

Flagg, który nieomal czytał te myśli, podniósł dłoń do ust, żeby ukryć uśmiech. Peyna nienawidził go, ale nie mając o tym pojęcia, stał się jego najważniejszym pomocnikiem.

— Chcę, żebyś odłożył koronę — rzekł Peyna.

Peter popatrzył na niego z powagą, lecz i zdziwieniem.

— Zrezygnować z tronu? — zapytał. — No... nie wiem, Sędzio Najwyższy. Musiałbym się zastanowić, zanim powiem tak lub nie. Mógłbym zaszkodzić królestwu, próbując mu pomóc, tak jak lekarz może zabić chorego, dając mu za dużą dawkę lekarstwa.

Chłopak jest niegłupi, pomyśleli jednocześnie Peyna i Flagg.

— Nie zrozumiałeś mnie. Nie chodzi mi o rezygnację z tronu, tylko o to, żebyś odłożył koronę do chwili rozwiązania tej sprawy. Jeśli zostaniesz uznany za niewinnego morderstwa swego ojca...

— Co niewątpliwie nastąpi — powiedział Peter. — Gdyby mój ojciec rządził tak długo, aż ja stałbym się stary i bezzębny, sprawiłoby mi to największą radość. We wszystkim, co robiłem, chciałem mu tylko służyć i pomagać, i kochać go.

— Ale twój ojciec nie żyje, a poszlaki wskazują na ciebie.

Peter skinął głową.

— Jeśli zostaniesz uznany za niewinnego, podejmiesz koronę. Jeśli zaś okażesz się winny...

Na te słowa wielcy radcy okazali zdenerwowanie, ale Peyna ani drgnął.

— Jeśli okażesz się winny, zostaniesz zabrany na szczyt Iglicy, gdzie spędzisz resztę życia. Nikogo z rodziny królewskiej nie można skazać na karę śmierci; tak mówi tysiącletnie prawo.

— A Thomas zostanie królem? — spytał w zamyśleniu Peter.

Flagg lekko zesztywniał.

— Tak.

Peter, zmarszczywszy brwi, zamyślił się głęboko. Wyglądał na okropnie zmęczonego, ale nie zmieszanego albo przestraszonego, i Flagg poczuł, jak budzi się w nim lekki niepokój.

— A jeśli odmówię?

— Jeśli odmówisz, zostaniesz królem mimo strasznego oskarżenia, którego nie obalono. Wielu z twoich poddanych, zapewne zdecydowana większość, poznawszy dowody, uzna, że rządzi nimi młody człowiek, który zamordował swojego ojca, żeby zdobyć tron. Myślę, że nastąpią bunty i wojna domowa i że zacznie się to wkrótce. Ja sam zrezygnuję ze swego stanowiska i wyruszę na zachód. Jestem już za stary, żeby zaczynać od początku, ale mimo to spróbuję. Prawo stanowi treść mojego życia, więc nie mógłbym służyć królowi, który nie ugiął się przed nim w sprawie takiej jak ta.

W sali zapadła cisza, która trwała bardzo długo. Peter siedział ze spuszczoną głową, opierając czoło na dłoniach. Pozostali przyglądali mu się i czekali. Teraz nawet Flagg poczuł, że czoło pokrywa mu pot. Wreszcie Peter podniósł głowę i odsłonił oczy.

— Dobrze — rzekł. — Oto moje królewskie postanowienie. Odłożę koronę do czasu, aż zostaną oczyszczeni z zarzutu zamordowania ojca. Ty — zwrócił się do Peyny — zostaniesz kanclerzem królestwa na czas bezkrólewia. Chciałbym, żeby proces odbył się jak najszybciej, nawet jutro, jeśli to możliwe. Dostosuję się do decyzji sądu. Lecz nie ty mnie będziesz sądził.

Wszyscy zamrugali i wyprostowali się, słysząc suchy, władczy ton, ale Yosef w stajniach nie czułby się nim zaskoczony; poznał go, gdy Peter był jeszcze dzieckiem.

— Zajmie się tym jeden z pozostałej czwórki — ciągnął Peter. — Nie będę sądzony przez człowieka, który dierży władzę zamiast mnie... człowieka, którego sam wygląd i zachowanie wskazują, że w swym sercu zdążył już uznać mnie za winnego tej okropnej zbrodni.

Peyna poczuł, że się czerwieni.

— Jeden z czterech — powtórzył Peter, zwracając się do wielkich radców. — Niech cztery kamienie, trzy czarne i jeden biały, zostaną umieszczone w naczyniu.

Osoba, która wyciągnie biały kamień, zostanie sędzią głównym na moim procesie. Zgadza się?

— Tak, panie — rzekł powoli Peyna, nienawidząc siebie za rumieniec, który nie chciał zniknąć z jego policzków.

Flagg musiał znowu podnieść rękę do ust, żeby ukryć uśmiezek. I to, mój zgubiony książę, jest jedyne postanowienie, które wydasz jako król Delainu, pomyślał.

Spotkanie, które rozpoczęło się o trzeciej, dobiegło końca kwadrans po czwartej. W izbach senackich i sejmowych gada się przez wiele dni i miesięcy, zanim zostanie podjęta jakakolwiek decyzja — a często nie następuje to nigdy mimo tych wszystkich dyskusji — ale wielkie postanowienia nie zabierają zwykle dużo czasu. Trzy godziny później zaś, gdy zapadał zmrok, nastąpiło wydarzenie, które naocznie udowodniło Peterowi, że choć mogło się to wydawać absurdem, zostanie uznany za winnego straszliwej zbrodni.

Odprowadzono go do jego komnat pod eskortą poważnych, milczących strażników. Pościłki, jak zapowiedział Peyna, miały mu być przynoszone.

Kolację dostarczył krzepki strażnik ze szczeciną zarostu na twarzy. Niósł tacę. Na niej znajdowały się szklanka mleka i duży, parujący talerz gęstej zupy. Gdy strażnik wszedł, Peter wstał. Sięgnął po tacę.

— Jeszcze nie, mój panie — powstrzymał go strażnik jadowitym głosem. — Moim zdaniem, trzeba to trochę przyprawić. — To mówiąc, napluł do zupy. Potem uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby rzadkie jak kołki w zaniedbanym płocie i wysunął tacę przed siebie. — Masz.

Peter nie ruszył się, żeby ją wziąć. Był kompletnie zaskoczony.

— Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego naplułeś do mojego talerza?

— Czy dziecko, które morduje swojego ojca, zasługuje na coś lepszego, mój panie?

— Nie. Ale ktoś, kto jeszcze nawet nie został osądzony, tak — powiedział Peter. — Zabierz to i przynieś mi nową tacę. Czekam piętnaście minut, a jak nie, to dzisiejszej nocy będziesz spał w lochach pod Flaggiem.

Złośliwy grymas na chwilę znikł z twarzy strażnika, ale natychmiast pojawił się znowu.

— Nie sądzę — rzekł. Przechylił tacę początkowo tylko trochę, a potem coraz bardziej. Szklanka i talerz roztrzaskały się na kamiennej posadzce. Gęsta zupa rozbryznęła na wszystkie strony. — Wyliz to — powiedział strażnik. — Wyliz to jak pies, którym jesteś.

Odwrócił się, żeby wyjść. Peter z nagłym gniewem skoczył do przodu i uderzył go w twarz. Odgłos uderzenia zabrzmiał jak strzał.

Krzepki strażnik ryknął wściekle i wyciągnął swój krótki miecz.

Uśmiechając się bez wesołości, Peter uniósł głowę i odsłonił szyję.

— Proszę — rzekł. — Człowiek zdolny do naplucia drugiemu do zupy nie będzie się wzdragał przed podcięciem gardła niewinnemu. No, proszę. Świnie też spełniają rozkazy boże, jak sądzę, a moja wina i wstyd są wielkie. Jeśli Bóg chce, żebym żył, będę żył, ale jeśli wolą Jego jest, bym zginął, i wysłał tu taką świnie jak ty, żeby mnie zgładzić, niech i to się spełni.

Gniew strażnika zamienił się w zmieszanie. Po chwili mężczyzna schował broń.

— Nie zbrukam swego miecza — rzucił, ale jego głos zabrzmiał niepewnie, a oczy nie wytrzymały spojrzenia Petera.

— Przynieś mi nowe jedzenie i picie — polecił cichym głosem Peter. — Nie wiem, z kim rozmawiałeś, strażniku, i nic mnie to nie obchodzi. Nie wiem, dlaczego tak chętnie oskarżasz mnie o zamordowanie ojca, skoro nie przedstawiono jeszcze żadnych dowodów, lecz o to też nie dbam. Ale przyniesiesz mi nowe jedzenie i picie, a do tego jeszcze serwetkę, zanim zegar zdąży wybić wpół do siódmej, albo zadzwonię po Peynę i dzisiejszej nocy będziesz spał pod Flaggiem. Wina nie została jeszcze udowodniona, Peyna jest nadal pod moimi rozkazami i przysięgam ci, że to, co mówię, jest prawdą.

Strażnik bładł coraz bardziej, bo widział, że Peter nie kłamie. Lecz nie był to jedyny powód owej bladeści. Gdy koledzy powiedzieli, że złapano księcia na gorącym uczynku, uwierzył im — bo chciał im wierzyć — ale teraz zaczął powątpiewać. Peter nie wyglądał ani nie mówił jak człowiek winny.

— Tak, panie — powiedział mężczyzna i wyszedł.

Po chwili drzwi się otwały i ukazał się w nich kapitan.

— Wydawało mi się, że słyszę jakieś zamieszanie — rzekł. Jego wzrok padł na potłuczone szkło i porcelanę. — Jakieś kłopoty?

— Nie — odparł spokojnie Peter. — Upuściłem tacę. Strażnik poszedł po drugi posiłek.

Kapitan kiwnął głową i się oddalił.

Przez następnych dziesięć minut Peter siedział na łóżku w głębokim zamyśleniu. Rozległo się krótkie pukanie do drzwi.

— Wejść — rzekł Peter.

Wszedł brodaty, szczerbaty strażnik z nową tacą.

— Panie, przyjmij moje przeprosiny — powiedział sztywno i niezręcznie. — Nigdy w życiu się tak nie zachowałem i nie wiem, co mnie napadło. Nie mam pojęcia, przysięgam. Ja...

Peter machnął ręką. Czuł się bardzo zmęczony.

— Czy inni myślą podobnie jak ty? Inni strażnicy?

— Panie — rzekł strażnik, ostrożnie stawiając tacę na biurku Petera. — Nie jestem pewien, czy ja sam jeszcze tak myślę.

— Ale czy inni uważają, że jestem winien?

Nastąpiła dłuższa przerwa, aż wreszcie żołnierz kiwnął głową.

— A czy podają jakiś zasadniczy powód?

— Mówią o płonącej myszy... i o tym, że płakałeś, gdy Peyna postawił ci zarzuty...

Peter ponuro pokiwał głową. Tak. Płacz okazał się poważnym błędem, ale nie potrafił go opanować... stało się.

— Większość z nich jednak mówi, że zostałeś złapany, że chciałeś zostać królem, więc tak musiało być.

— Chciałem zostać królem, więc tak musiało być — powtórzył Peter.

— Tak, panie. — Strażnik stał i patrzył żałośnie na Petera.

— Dziękuję. Odejdź teraz, proszę.

— Panie, chciałbym przeprosić...

— Przeprosiny przyjęte. Idź, proszę. Muszę się zastanowić.

Wyglądając w tej chwili jak człowiek, który żałuje, że w ogóle się urodził, strażnik wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Peter rozłożył serwetkę na kolanach, ale nie jadł. Głód, który wcześniej odczuwał, znikł bez śladu. Skubnął serwetkę i pomyślał o matce. Był zadowolony, bardzo się cieszył, że nie dożyła, żeby to zobaczyć — być świadkiem jego upadku. Przez całe życie miał szczęście, czasami wydawało się, że nie może mu się przydarzyć pech. Teraz wyglądało na to, że wszystkie nieszczęścia, jakie mogły nastąpić w ciągu całego jego życia, zostały zebrane i trzeba za nie zapłacić natychmiast, z procentem za szesnaście lat.

„Większość z nich jednak mówi, że chciałeś zostać królem, więc tak musiało być”.

Miało to pewne głębsze znaczenie. Chcieli dobrego króla, którego można kochać. Ale chcieli także wiedzieć, że o włos uratowali się od złego króla. Pragnęli

mroków i tajemnic; strasznych opowieści o zepsuciu rodziny królewskiej. Bóg jeden wiedział dlaczego.

„Mówią, że chciałeś zostać królem, więc tak musiało być”.

Peyna uwierzył, pomyślał Peter, i strażnik uwierzył; wszyscy uwierzą. To nie jest koszmarny sen. Zostałem oskarżony o zamordowanie ojca i nic — ani moje dobre sprawowanie, ani miłość do niego — nie ochroni mnie przed tym zarzutem. A część z nich po prostu chce wierzyć, że ja to zrobiłem.

Peter starannie złożył serwetkę i przykrył nią talerz. Odechciało mu się jedzenia.

Proces się odbył, wszyscy dziwowali się wielce i napisano mnóstwo historii na ten temat, które możecie sobie przeczytać. Ale całą sprawę można streścić w sposób następujący: Peter, syn Rolanda, został postawiony przed Sędzią Najwyższym przez płonącą mysz; osądzony przez spotkanie siedmiu, które nie było rozprawą sądową; skazany przez strażnika, który ogłosił wyrok, plując do zupy. Oto cała opowieść, ale czasami opowieści mówią więcej niż księgi historyczne, i to o wiele zwięźlej.

Gdy Ulrich Wicks, który, wyciągnąwszy białą kulę, zajął miejsce Peyny, ogłosił werdykt sądu, widzowie — większość z nich od lat przysięgała, że Peter zostanie najlepszym królem w długiej historii Delainu — zaczęli wściekle bić brawo. Poderwali się na nogi, rzucili do przodu i gdyby nie powstrzymał ich kordon strażników z dobytymi mieczami, być może obaliliby wyrok dożywotniego więzienia i wygnania na szczyt Iglicy i zlinczowali młodego księcia. Gdy go wyprowadzano, ślina padała niczym deszcz. Peter był cały mokry. Jednak szedł z podniesioną głową.

Drzwi po lewej stronie wielkiej sali sądowej prowadziły do wąskiego przedsionka. Miał on długość mniej więcej czterdziestu kroków, a potem zaczynały się spiralne schody. Wiodły one coraz wyżej i wyżej, aż na sam szczyt Iglicy, gdzie na Petera oczekiwały dwa pokoje, w których miał od tej pory mieszkać do końca życia. Schody liczyły w sumie trzysta stopni. Wrócimy do Petera, gdy znajdzie się już na górze, w swoich pokojach, we właściwym czasie; musicie bowiem wiedzieć, że jego historia jeszcze się nie skończyła. Ale nie będziemy z nim wchodzić na górę; była to haniebna wspinaczka, odejście z prawie należnego miejsca króla na dole i wspinanie się, nadal z wyprostowanymi ramionami i podniesioną głową, na stanowisko więźnia stanu na górze — nie wypadałoby iść za nim ani za kimkolwiek innym w taką drogę.

Zamiast tego porozmawiamy przez jakiś czas o Thomasie i zobaczymy, co się stało, gdy odzyskał zmysły i dowiedział się, że został królem Delainu.

— Nie — szepnął Thomas głosem, w którym nagle zabrzmiało przerażenie. Oczy rozszerzyły mu się w bladej twarzy. Usta zdrząły.

Flagg właśnie powiedział mu, że zasiądzie na tronie Delainu, ale Thomas nie wyglądał jak chłopiec, którego poinformowano, że został królem, lecz jak ktoś, kogo powiadomiono, że następnego ranka zostanie z pewnością rozstrzelany.

— Nie — powtórzył. — Nie chcę zostać królem. — Mówił prawdę. Przez całe życie gorzko zazdrościł Peterowi, ale jedyną rzeczą, jakiej nie pragnął, było objęcie tronu. Stanowiło to odpowiedzialność, o jakiej Thomas nie marzył nawet w najbardziej szalonych snach. A teraz jeden koszmar następował po drugim. Jakby nie wystarczało, że wróciwszy do przytomności, dowiedział się o uwięzieniu brata w Iglicy za zamordowanie ich ojca, króla. Teraz pojawił się Flagg z okropną wieścią, że Thomas otrzymał zamiast Petera koronę.

— Ale ja nie chcę zostać królem, nie będę królem. Ja... odmawiam! Stanowczo odmawiam!

— Nie możesz odmówić, Thomas — powiedział energicznie Flagg.

Zdecydował, że tak najlepiej podejść do chłopca: przyjaźnie i energicznie. Thomas potrzebował Flagga bardziej niż kogokolwiek w życiu. Flagg wiedział to, ale zdawał sobie również sprawę, że znajduje się całkowicie na jego łasce. Chłopak przez jakiś czas będzie dziki i narowisty, gotów na wszystko, więc należy uzyskać panowanie nad nim tu i teraz.

Potrzebujesz mnie, Tommy, pomyślał, ale nie popełnię błędu i ci o tym nie powiem. Nie, to ty musisz mi to powiedzieć. Nie może istnieć żadna wątpliwość co do tego, kto tu rządzi. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

— Nie mogę odmówić? — szepnął Thomas. Poderwał się na łokciach, gdy usłyszał okropną nowinę Flagga. Teraz ponownie opadł na poduszki. — Nie mogę? Znow mi słabo. Czuję, że wraca gorączka. Poślij szybko po doktora. Chyba trzeba będzie mi przystawić pijawki. Ja...

— Czujesz się świetnie — oświadczył Flagg, wstając. — Naszpikowałem cię doskonałymi lekarstwami, gorączka ci przeszła i teraz potrzebujesz tylko

świeżego powietrza. Ale jeśli chcesz, żeby doktor powiedział ci to sam, Tommy — czarnoksiężnik postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiała nutka wyrzutu — wystarczy zadzwonić. — Flagg wskazał dzwonek i uśmiechnął się lekko. Nie był to zbyt przyjemny uśmiech. — Rozumiem, że chcesz schować się w łóżku, ale nie byłbym twoim przyjacielem, gdybym ci nie powiedział, że wszelkie schronienie, jakie, twoim zdaniem, zapewniają łóżko albo próby pozostania chorym, jest złudne.

— Złudne?

— Radzę ci wstać i zacząć pracować nad odzyskaniem sił. Ceremonia koronacyjna odbędzie się za trzy dni. Zostaniesz zaniesiony w łóżku na podwyższenie, gdzie będzie czekał Peyna z koroną i berłem, co jest dość upokarzającym sposobem objęcia władzy, ale zapewniam cię, że jeśli zajdzie potrzeba, Peyna nie cofnie się przed tym. Królestwo bez władcy to niepewne królestwo. Peyna dopilnuje, żebyś został ukoronowany jak najprędzej.

Thomas leżał oparty o poduszki, usiłując przyjąć do wiadomości te informacje. Przypominał wystraszonego zająca.

Flagg zdjął swój podbity czerwoną materią płaszcz z oparcia łóżka, narzucił na ramiona i zapiął złoty łańcuch u szyi. Następnie wziął z kąta laskę o srebrnej główce. Wykonał nią obrót, a następnie złożył Thomasowi głęboki ukłon. Płaszcz... kapelusz... laska... wszystko to przeraziło chłopca. Nadeszła straszna chwila, w której potrzebował starego maga bardziej niż kiedykolwiek w życiu, a Flagg wyglądał, jakby... jakby...

Jakby się wybierał w podróż.

Panika, w jaką Thomas wpadł przed chwilą, wydała mu się łagodnym odczuciem w porównaniu z uściskiem lodowatych dłoni, które teraz pochwyciły jego serce.

— A więc, drogi Tommy, życzę ci zdrowia na całe życie, dużo, dużo szczęścia, pomyślnego panowania... i do widzenia!

Ruszył w stronę drzwi i już mu się zaczęło wydawać, że panika sparaliżowała chłopca i on sam będzie musiał wymyślić jakiś pretekst, by powrócić do jego łóżka, gdy Thomasowi udało się wypowiedzieć zdławionym głosem jedno słowo:

— Zaczekaj!

Flagg odwrócił się z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy.

— Mój królu?

— Dokąd... dokąd się wybierasz?

— Jak to... — Flagg wyglądał na zdziwionego, jakby nigdy przedtem nie przyszło mu na myśl, że Thomas może się tym w ogóle zainteresować. — Na początek skieruję się do Andui. Jej mieszkańcy są znakomitymi żeglarzami, a za Morzem Jutra jest wiele ziem, których jeszcze nie znam. Niekiedy kapitanowie są skłonni zabrać na pokład czarnoksiężnika, żeby przynosił szczęście, wyczarowywał wiatr, gdy zapada cisza morską, i przepowiadał pogodę. A jeśli nikt nie będzie potrzebował czarnoksiężnika... hm, no cóż, nie jestem już tak młody jak wtedy, gdy przybyłem do Delainu, ale jeszcze nadaję się do ciągnięcia lin i rozwijania żagli. — Uśmiechając się, Flagg udał, że to robi, nie upuszczając swej laski.

Thomas znów uniósł się na łokciach.

— Nie! — prawie krzyczał. — Nie!

— Mój panie i królu...

— Nie nazywaj mnie tak!

Flagg podszedł do niego, pozwalając teraz swojej twarzy przybrać wyraz głębokiej troski.

— A więc, Tommy. Drogi Tommy. O co ci chodzi?

— O co mi chodzi? O co mi chodzi? Jak możesz być taki głupi? Ojciec otruty. Peter uwięziony w Iglicy za tę zbrodnię, ja muszę zostać królem, ty zamierzasz odjechać i jeszcze się pytasz, o co chodzi? — Thomas wybuchnął dzikim, piskliwym śmiechem.

— Ale tak musi być, Tommy — powiedział łagodnie Flagg.

— Nie mogę zostać królem — rzekł Thomas. Chwycił Flagga za ramię, wbijając głęboko paznokcie w nieziemskie ciało czarnoksiężnika. — Peter miał zostać królem, on zawsze był inteligentny, ja jestem głupi, głupi, nie nadaję się na króla!

— Bóg tworzy królów — odparł Flagg. Bóg... a czasami czarnoksiężnicy, pomyślał, chichocząc w duchu. — Uczynił cię królem i zapamiętaj to, Tommy, zostaniesz nim. Albo to, albo zostaniesz pogrzebany.

— To niech mnie pogrzebią! Zabiję się!

— Nie zrobisz nic takiego.

— Wolę się zabić, niż zostać pośmiewiskiem na tysiąc lat jako książe, który umarł ze strachu.

— Zostaniesz królem, Tommy. Nic się nie bój. Ale ja muszę iść. Dni są teraz chłodne, a noce zimne. A ja chciałbym przed zmrokiem opuścić miasto.

— Nie, zostań! — Thomas kurczowo chwycił za płaszcz Flagga. — Jeśli już ja muszę być królem, to zostań i służ mi jako doradca, tak jak służyłeś mojemu ojcu! Nie odchodź! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego chcesz odejść! Przecież byłeś zawsze!

No, nareszcie, pomyślał Flagg. To dobre, doprawdy, to pyszne.

— Przyznaję, że trudno mi odchodzić — rzekł Flagg z powagą. — Bardzo trudno. Kocham Delain. I kocham ciebie, Tommy.

— To zostań!

— Nie rozumiesz mojej sytuacji. Anders Peyna to człowiek potężny, ma wielką władzę. Nie lubi mnie. Prawdę mówiąc, myślę, że mnie nienawidzi.

— Dlaczego?

Częściowo dlatego, pomyślał Flagg, że wie, jak długo — jak bardzo długo — już tu jestem. A co więcej, naprawdę trafnie wyczuwa, czym jestem dla Delainu.

— Trudno powiedzieć, Tommy. Zapewne dlatego, iż jest potężnym człowiekiem, a tacy ludzie zazwyczaj nie lubią, gdy ktoś inny im dorównuje. Ktoś, kto na przykład jest najbliższym doradcą króla.

— Tak jak ty byłeś najbliższym doradcą ojca?

— Tak. — Flagg ujął rękę Thomasa i ścisnął ją przez chwilę. Potem wypuścił jego dłoń i westchnął smutnie. — Doradcy króla przypominają zwierzyne w parkach królewskich. Zwierzęta takie są rozpieszczane, karmione z ręki. Tacy doradcy, podobnie jak oswojone zwierzęta, prowadzą przyjemne życie, ale niejeden już raz widziałem oswojone parkowe sarny na stole króla, gdy w rezerwacie nie udało się znaleźć dzikiego jelenia na medalion z dzicyzny czy gulasz. A gdy umiera panujący, starym doradcom zdarza się zniknąć.

Thomasa ogarnął zarówno gniew, jak i strach.

— Czy Peyna ci groził?

— Nie... był bardzo grzeczny — powiedział Flagg. — Bardzo cierpliwy. Ale czytam w jego oczach i wiem, że tej cierpliwości nie wystarczy na długo. Jego spojrzenie mówi mi, że klimat anduański na pewno okaże się dla mnie zdrowszy. — Wstał raz jeszcze, powiewając peleryną. — Dlatego... chociaż nie mam wielkiej ochoty...

— Zaczekaj! — zawołał znowu Thomas, a Flagg zobaczył na jego ściągniętej, pobladłej twarzy spełnienie wszystkich swoich ambicji. — Jeśli byłeś bezpieczny za panowania mojego ojca, bo służyłeś jako jego doradca, czyż nie będziesz bezpieczny teraz, gdy ja zostanę królem, jako mój?

Flagg wyglądał, jakby zastanawiał się głęboko i poważnie.

— Tak, chyba tak... gdybyś bardzo wyraźnie dał Peynie do zrozumienia... ale naprawdę bardzo wyraźnie... że wszelkie kroki przeciwko mnie spotkają się z królewską niełaską. Bardzo poważną niełaską.

— Ależ oczywiście! — zapiszczał skwapliwie Thomas. — Jasne, że mu tak powiem. Więc zostaniesz? Proszę cię. Jeśli odejdziesz, to się zabiję! Nie znam się nic a nic na sprawowaniu władzy i nie żartuję, naprawdę tak zrobię!

Flagg stał z pochyloną głową, z twarzą w cieniu kaptura. Wyglądał na pogrążonego w myślach. W rzeczywistości się uśmiechał.

Ale gdy podniósł głowę, na jego twarzy malowała się powaga.

— Służyłem Królestwu Delainu prawie przez całe moje życie — rzekł — i przypuszczam, że jeśli rozkazałbyś mi zostać... zostać i służyć ci jak najlepiej...

— A więc rozkazuję! — krzyknął Thomas drżącym, rozgorączkowanym głosem.

Flagg przyklęknął na jedno kolano.

— Panie! — zawołał.

Thomas padł mu w ramiona ze szlochem ulgi. Flagg chwycił go i przytulił.

— Nie płacz, moje królewiatko — szepnął. — Wszystko będzie dobrze. Tak, wszystko pójdzie dobrze i tobie, i mnie, i królestwu. — Uśmiechnął się szeroko, ukazując bardzo białe i bardzo mocne zęby.

Thomas nie zasnął ani na chwilę w noc poprzedzającą koronację na placu Iglicy, a wczesnym rankiem dostał okropnego, wywołanego zbyt napięciem nerwów, ataku wymiotów oraz biegunki. Trema opanowała go bez reszty. Słowo to brzmi niemądrze i śmiesznie, ale w tym wypadku nie ma nic śmiesznego ani niemądrego. Thomas wciąż jeszcze był małym chłopcem, a to, co czuł w nocy, gdy jest się najbardziej samotnym, sięgnęło granic strachu tak ogromnego, że można by go nazwać śmiertelnym przerażeniem. Zadzwoił po służącego i kazał mu przyprowadzić Flagga. Sługa, przerażony błądząco Thomasa i zapachem wymiocin, pobiegł pędem i prawie nie czekając na pozwolenie wejścia, wpadł do komnat Flagga z krzykiem, że młody książę ciężko zachorował i być może jest umierający.

Flagg, który domyślał się przyczyny kłopotów, kazał słudze iść i powiedzieć swemu panu, że on zaraz przyjdzie i żeby się nie bał. Zjawił się po dwudziestu minutach.

— Nie zniosę tego — jęknął Thomas. Wymiotował do łóżka i teraz jego pościel śmierdziała. — Nie mogę zostać królem, nie mogę, proszę, musisz sprawić, żeby to nie nastąpiło, jak mam wziąć w tym udział, jeśli może się zdarzyć, że zwymiotuję przed Pezną i całą resztą, zwymiotuję albo... albo...

— Wszystko będzie dobrze — rzekł spokojnie Flagg. Przygotował napój, który ułagodzi żołądek Thomasa i na jakiś czas zablokuje mu jelita.

— Wypij to.

Thomas wypił.

— Zaraz umrę — powiedział, odstawiając szklanekę. — Nie będę się musiał zabijać. Po prostu serce mi pęknie ze strachu. Ojciec opowiadał, że czasami zające giną w ten sposób w sidłach, nawet jeśli nie są poważnie zranione. A ja jestem takim zającem w pułapce, umierającym ze strachu.

Po części masz rację, drogi Tommy, pomyślał Flagg. Nie umierasz ze strachu, jak ci się wydaje, ale rzeczywiście jesteś zwierzyną schwytaną w sidła.

— Myślę, że zmienisz zdanie — rzekł Flagg. Mieszał następny napój. Miał on barwę różową, kolor kojący nerwy.

— Co to jest?

— Coś, co cię uspokoi i pomoże zasnąć.

Thomas wypił. Flagg siedział przy nim na łóżku. Wkrótce chłopiec zapadł w sen — tak głęboki, że gdyby sługa zobaczył go w tej chwili, mógłby przypuszczać, że jego przepowiednia się sprawdziła i Thomas nie żyje. Mag podniósł dłoń śpiącego chłopca i poklepał ją niemal z czułością. Na swój bowiem sposób kochał Thomasa, ale Sasha wiedziałaby, czym naprawdę jest uczucie Flagga — miłością pana do ulubionego psa.

On jest taki podobny do ojca, pomyślał Flagg, a starszy pan nigdy się tego nie domyślił. Och, Tommy, czekają nas piękne chwile, ciebie i mnie, a zanim skończę, kraj spłynie królewską krwią. Zniknę, lecz nie na długo, przynajmniej na początku. Wrócę w przebraniu, żeby popatrzeć na twoją spuchniętą głowę zatkniętą na pal... i żeby rozciąć mym mieczem pierś twojego brata, wydobyć jego serce i zjeść je na surowo, tak jak jego ojciec zjadł serce swego ukochanego smoka.

Wychodząc z komnaty, Flagg się uśmiechał.

Koronacja odbyła się bez żadnych kłopotów czy komplikacji. Służący Thomasa (w jego wieku jest się za młodym na własnego lokaja, ale miało się to wkrótce zmienić) ubrali go na tę okazję w piękny strój z czarnego aksamitu, przyozdobiony klejnotami (to wszystko jest moje, pomyślał Thomas z zachwytem i rosnącą chciwością, teraz to wszystko należy do mnie), oraz wysokie czarne buty z najdelikatniejszej kozłej skóry. Gdy Flagg pojawił się punktualnie o wpół do dwunastej i powiedział, że już czas, Thomas był mniej zdenerwowany, niż przypuszczał. Środek uspokajający, zaaplikowany przez czarnoksiężnika, wciąż jeszcze działał.

— Weź mnie za rękę — powiedział — na wypadek gdybym się potknął.

Flagg ujął dłoń Thomasa. W nadchodzących latach miało się to stać dobrze znanym na dworze widokiem — Flagg, podtrzymujący króla chłopca, jak gdyby ten był starszym człowiekiem, a nie młodzieńcem w pełni sił.

Wyszli razem na oświetlony jaskrawym zimowym słońcem dziedziniec.

Powitała ich owacja tak głośnie, jak szum fal rozbijających się na rozległych, pustych plażach Wschodniej Baronii.

Thomas rozejrzał się ze zdziwieniem, a jego pierwszą myślą było: Gdzie jest Peter? Oni z pewnością witają Petera. A potem przypomniał sobie, że Peter znajduje się w Iglicy, i zrozumiał, że owację przeznaczono dla niego. Poczuł, że zaczyna mu to sprawiać przyjemność... Radość zaś owa, muszę wam powiedzieć, nie wynikała tylko ze świadomości, że to jego tak witają. Thomas wiedział, że Peter zamknięty w swych pustych komnatach na wieży też słyszy owację.

Czy to ważne, że zawsze byłeś lepszy w nauce? — pomyślał Thomas z małą radością, która równocześnie sprawiła mu przyjemność i ból. Czy to ważne, Jesteś uwięziony w Iglicy, a ja... ja jestem królem! Czy to ważne, że co wieczór przynosiłeś mu kieliszek wina i...

Ale ta ostatnia myśl sprawiła, że niemiły, lepki pot wystąpił mu na czoło, więc szybko się jej pozbył.

Okrzyki rozlegały się cały czas, gdy on i Flagg szli najpierw na plac Iglicy, a potem przechodzili pod łukiem utworzonym przez uniesione ceremonialne miecze straży przybocznej, przyodzianej znowu w galowe czerwone mundury i wysokie czapy z głowami wilków. Thomasowi podobało się to coraz bardziej. Uniósł dłoń w geście pozdrowienia, a wiwaty zabrzmiały jak grzmot. Mężczyźni wyrzucali w powietrze kapelusze. Kobiety płakały z radości. Okrzyki: „Król! Król! Patrzcie na króla! Thomas Dawca Światła! Niech żyje król!” — rozlegały się wszędzie. Thomas, który nie wyszedł jeszcze z wieku dziecięcego, pomyślał, że przeznaczone są one dla niego. Flagg, który być może nigdy nie był chłopcem, wiedział lepiej. Krzyczano, bo minęły już chwile niepewności. Cieszono się, że wszystko będzie tak jak dawniej, że wolno znowu otworzyć sklepy, że srodzy żołnierze w skórzanych hełmach nie będą już pilnowali nocą zamku, a po tej uroczystej ceremonii będzie można się upić bez obaw, iż o północy obudzą wszystkich odgłosy rewolty. Ni mniej, ni więcej. Thomasa mógł zastąpić ktokolwiek, bo był pionkiem.

Ale Flagg postara się, żeby nigdy się tego nie dowiedział. A w każdym razie dopóki nie będzie za późno.

Sama ceremonia nie trwała długo. Prowadził ją Anders Peyna, wyglądający dwadzieścia lat starzej niż tydzień temu. Thomas odpowiadał „tak”, „będę” i „przysięgam” we wszystkich właściwych momentach, jak go nauczył Flagg. Pod koniec ceremonii, przeprowadzonej w tak uroczystej ciszy, że nawet ci, którzy stali na samym końcu wielkiego tłumu, mogli ją słyszeć wyraźnie, na głowie Thomasa umieszczono koronę. Owacje buchnęły znowu, głośniejsze niż poprzednio, a chłopiec popatrzył w górę, spoglądał coraz wyżej i wyżej, aż ujrzał czubek okrągłociennej Iglicy, gdzie znajdowało się tylko jedno okno. Nie widział, czy Peter obserwuje uroczystość, ale miał nadzieję, że tak. Miał nadzieję, że brat mocno przygryza wargi ze złością, aż krew spływa mu po brodzie, tak jak Thomas przygryzał swoje — tak często, że pod dolną wargą utworzyła mu się delikatna siateczka blizn.

Słyszysz to, Peter? — zapiszczał w myślach. Krzyczą na moją cześć! Krzyczą na moją cześć! Wreszcie krzyczą na moją cześć!

Pierwszej nocy swego panowania Thomas Dawca Światła obudził się, siedząc na łóżku, z wytrzeszczonymi oczami i wyrazem przerażenia na twarzy, zasłaniając dłonią usta, jakby chciał zdławić krzyk. Przed chwilą przyśnił mu się straszny sen, o wiele gorszy niż te, w których ponownie przeżywał okropne popołudnie spędzone we Wschodniej Wieży.

Tym razem sen także dotyczył minionych wydarzeń. Thomas znajdował się w tajemnym przejściu i podglądał ojca. Zdarzyło się to owej nocy, gdy Roland tak strasznie się upił i szalał z gniewu, przemierzając komnatę i wykrzykując obelgi do zwierzęcych głów na ścianach. Ale gdy dotarł do głowy Dziewięciaka, powiedział coś innego.

„Dlaczego się na mnie gapisz? — zawołał ojciec we śnie. — Zabił mnie i przypuszczam, że nie potrafiłbyś temu zapobiec, ale jak mogłeś pozwolić, żeby skazano za to twojego brata? Gadaj, do cholery! Robiłem, co mogłem, a teraz popatrz na mnie! Spójrz na mnie!”.

Ojciec zaczął płonąć. Twarz jego przybrała czerwoną barwę jak dobrze rozpalone ognisko. Dym buchnął mu z oczu, nosa i ust. Ojciec zwinął się z bólu i Thomas zobaczył, że palą się również jego włosy. Wtedy właśnie się obudził.

To wino, pomyślał ze zgrozą. Flagg poczęstował go winem tamtej nocy! Wszyscy wiedzieli, że przynosił mu je Peter, więc uznano, że to on je zatruł. Ale Flagg też mu je podał owej nocy, choć przedtem nigdy tego nie czynił. I trucizna pochodzi od Flagga! Mówił, że skradziono mu ją wiele lat temu, jednak...

Nie może sobie pozwolić na takie myśli. Nie może. Bo gdyby zaczął się nad tym zastanawiać...

— On mnie zabije — szepnęła Thomas ze zgrozą.

Mógłbym iść do Peyny. Sędzia Najwyższy nie lubi maga, pomyślał. No właśnie, mógłby tak zrobić. Ale wtedy powróciła zastarzała niechęć i zazdrość wobec Petera. Gdyby wszystko opowiedział Peynie, brat zostałby wypuszczony z Iglicy i zająłby jego miejsce jako król. Thomas znowu stałby się nikim, księciem waśniakiem, którego panowanie trwało jeden dzień.

Dzień ten zaś wystarczył chłopcu na odkrycie, że królowanie może mu się spodobać — nawet bardzo, jeśli będzie miał Flagga do pomocy. Poza tym przecież tak naprawdę nic nie wiedział. Coś mu się tylko wydawało. A jego opinie zawsze okazywały się niesłuszne.

„Zabił mnie i przypuszczam, że nie potrafiłbyś temu zapobiec, ale jak mogłeś pozwolić, żeby skazano za to twojego brata?”

Nieważne, pomyślał Thomas. Coś mi się pomieszało, na pewno się pomyliłem, a nawet jeśli nie, to dobrze mu tak.

Przewrócił się na drugi bok, zdecydowany zasnąć. I po długim, długim czasie sen nadszedł.

W nadchodzących latach koszmar miał pojawiać się co jakiś czas — ojciec oskarżający swego podglądającego syna, a potem zwijający się z bólu, dym, płomień. W owych latach Thomas odkrył dwie rzeczy: poczucie winy i tajemnice nigdy nie spoczywają w spokoju, niczym kości zamordowanego; ale z tą świadomością da się żyć.

Gdyby ktoś go o to zapytał, Flagg odparłby z pogardliwym uśmiechem, że Thomas nie potrafiłby ukryć tajemnicy przed nikim poza osobami słabymi na umyśle, a może nawet i to nie. Na pewno nie umiałby zachować sekretu, powiedziałby, przed kimś, kto doprowadził do jego wstąpienia na tron. Ale ludzi takich jak Flagg przepęlnia pycha i czasami bywają dziwnie zaślepieni. Czarnoksiężnik nigdy się nie domyślił, że Thomas znajdował się owej nocy za Dziewięciakiem i że widział, jak Flagg podaje Rolandowi kieliszek zatrutego wina. Ten sekret Thomas potrafił zachować.

Wysoko na górze, na szczycie Iglicy, Peter stał w małym okienku, patrząc w dół. Tak jak się spodziewał Thomas, widział i słyszał wszystko od pierwszych wiwatów, gdy brat ukazał się prowadzony za rękę przez Flagga, aż do ostatnich, gdy zniknął na powrót w pałacu, również wraz z czarnoksiężnikiem.

Stał w oknie przez prawie trzy godziny po zakończeniu ceremonii, przyglądając się tłumom. Ludzie mieli sobie tyle do powiedzenia. Ten musiał poinformować tamtego, gdzie się dokładnie znajdował, gdy usłyszał, że stary król nie żyje, a potem obaj musieli porozmawiać z kimś innym. Kobiety po raz ostatni płakały nad Rolandem i dziwiły się, jak ładnie wyglądał Thomas i jaki był spokojny. Dzieci ganiały się, udawały, że są królowymi, toczyły koła, przewracały się, obcierały sobie kolana, płakały, a potem śmiały się i znowu bawiły w berka. Mężczyźni poklepywali się po plecach i mówili, że teraz już chyba wszystko będzie dobrze — ostatni tydzień dostarczył im okropnych przeżyć, ale wreszcie sprawy się ułożą. Jednak rozmowy te zawierały w sobie matowożółtą nić niepokoju, jakby wiedziano, że wszystko nie jest dobrze, że zło spowodowane przez zamordowanie króla nie zostało jeszcze naprawione.

Peter oczywiście nie mógł tego stwierdzić ze swego odosobnienia wysoko na Iglicy, ale coś wyczuwał.

O trzeciej, trzy godziny wcześniej niż zwykle, otwarto karczmy, oficjalnie, żeby uczcić koronację nowego króla, ale w rzeczywistości dlatego, że stanowiło to dobry interes. Ludzie chcieli pić i się bawić. O siódmej wieczorem większość ludności miasta zataczała się po ulicach, pijąc zdrowie Thomasa Dawcy Światła (albo wdając się między sobą w bójki). Zapadał zmrok, gdy świętujący zaczęli się rozchodzić.

Peter odwrócił się od okna, podszedł do jedynej zydła w swojej „bawialni” (nazwa ta brzmiała w jego uszach jak zły żart) i usiadł na nim z rękami złożonymi na kolanach. Siedział i patrzył, jak zapada zmrok. Przyniesiono kolację — tłuste mięso, wodniste piwo, chleb z grubej mąki, tak słony, że gdyby się go zjadło, paliłby w ustach. Ale Peter nie tknął mięsa ani chleba i nie wypił piwa.

Około dziewiątej, gdy na ulicach znowu zaczął się ruch (tym razem tłum był bardziej niesforny, jakby miały się rozpocząć zamieszki), Peter poszedł do drugiego pokoju, rozebrał się do podkoszulka, umył w misce, klęknął przy łóżku i odmówił modlitwę.

Potem się położył. Miał tylko jeden koc, chociaż w maleńkiej sypialni było bardzo zimno. Peter podciągnął go pod brodę, założył ręce pod głowę i zapatrzył się w mrok.

Z dołu dobiegały krzyki, wiwaty i śmiech. Od czasu do czasu dał się słyszeć trzask odpalanych fajerwerków, a raz, około północy, rozległ się głośny wybuch prochu, gdy pijany żołnierz odpalił ślepy ładunek (następnego dnia za ten pijacki salut na cześć nowego króla pechowy żołnierz został wysłany na najdalszy wschodni kraniec Delainu — proch stanowił rzadkość w królestwie i był starannie pilnowany).

Mniej więcej o pierwszej w nocy Peter wreszcie zamknął oczy i zasnął.

Następnego ranka wstał o siódmej. Ukląkł, drżąc z zimna, z ust wydobywały mu się białe obłoczki pary, a na gołych rękach i nogach pojawiła się gęsia skórka; modlił się. Skończywszy, ubrał się, poszedł do „bawialni” i w milczeniu stał przy oknie przez prawie dwie godziny, przyglądając się, jak w dole ożywa miasto. Budzenie się trwało tego dnia dłużej i oporniej niż zwykle — większość dorosłych mieszkańców Delainu miała okropnego kaca. Powoli wygrzebywali się do pracy, a humory im nie dopisywały. Wielu mężczyzn szykowało się do swoich zajęć przy akompaniamencie kazań wygłaszanych przez rozgniewane małżonki, które nie żywiły zbyt wielkiego współczucia dla ich bolących głów (Thomas cierpiał na to samo — wypił za dużo wina poprzedniego wieczoru — ale przynajmniej los oszczędził mu marudnej żony).

Posiłek, który przyniósł Peterowi Beson, jego główny strażnik (też dręczony kaczem), składał się z płatków owsianych bez cukru, wodnistego mleka, które szybko skwaśniało, i następnej porcji przesolonego chleba. Stanowił jaskrawy kontrast ze smakowitymi śniadankami, jakie Peter zwykł spożywać w swoim gabinecie, więc też go nie tknął.

O jedenastej jeden ze strażników zabrał je w milczeniu.

— Nasze książątka postanowiło głodować — poinformował Besona.

— Świetnie — odparł obojętnie zagadnięty. — Mniej będzie kłopotu z utrzymaniem go.

— Może obawia się trucizny — odważył się zasugerować strażnik, a Beson zaśmiał się, mimo iż bolała go głowa. Dowcip był przedni.

Peter spędził większą część dnia, siedząc na zydlu. Późnym popołudniem podszedł do okna. Nie miało ono krat. Tylko ptak mógł się stąd wydostać inaczej, niż spadając. Nikt, ani Peyna, ani Flagg, ani Aron Beson, nie obawiał się, że więzień w jakiś sposób zdoła zejść na dół. Zaokrąglony mur Iglicy był idealnie gładki. Coś takiego mogło się więc udać musze, ale nie człowiekowi.

A jeśli przygnębienie skłoniłoby go do skoku, kto się tym przejmie? Nikt. Oszczędzi to państwu wydatków na utrzymanie mordercy o błękitnej krwi.

Słońce zaczęło przesuwac się po podłodze, a potem po ścianie. Peter siedział i obserwował je. Przyniesiono obiad — tłuste mięso, wodniste piwo i słony chleb. Peter nie tknął posiłku.

Gdy słońce zaszło, siedział w ciemnym pokoju aż do dziewiątej, a potem poszedł do sypialni. Rozebrał się do podkoszulka, ukląkł i modlił się, a z ust jego wydobywały się białe obłoczki pary. Położył się do łóżka, założył ręce pod głowę i leżał na wznak, patrząc w mrok. Rozmyślał o tym, na co mu przyszło. Około pierwszej w nocy zasnął.

To samo wydarzyło się drugiego dnia.

I trzeciego.

I czwartego.

Dokładnie przez tydzień Peter nie jadł, nie odzywał się i nie robił nic poza wyglądaniami przez okno albo siedzeniem na zydlu w „bawialni” i obserwowaniem, jak słońce przesuwa się po podłodze, ścianie i dociera do sufitu. Beson był przekonany, że chłopiec znalazł się w otchłani czarnej rozpacz i wyrzutów sumienia — widział już takie rzeczy, zwłaszcza pośród przedstawicieli królewskiego rodu. Uznał, że chłopiec umrze jak dziki ptak, który nie znosi zamknięcia. Zmarnieje, a on pozbędzie się kłopotu.

Ale ósmego dnia Peter posłał po Arona Besona i wydał mu pewne polecenia... jednak nie zachowywał się jak więzień.

Zachowywał się jak król.

Rozpacz nie ominęła Petera... ale nie była ona tak głęboka, jak sądził Beson. Pierwszy tydzień w Iglicy chłopiec spędził, szczegółowo rozważając swoje położenie, usiłując zdecydować, co powinien robić dalej. Pościł, aby odzyskać jasność myśli. W końcu osiągnął to, ale przez jakiś czas czuł się okropnie zagubiony, a powaga sytuacji ciążyła mu niczym młot kowalski. Potem przypomniał sobie prosty fakt: on sam wiedział przecież, że nie zabił ojca, nawet jeśli wszyscy obywatele królestwa uważali, że tak było.

Przez dwa pierwsze dni walczył z bezsensownymi uczuciami. Dziecko krzyczało w nim: To niesprawiedliwe! Stała się niesprawiedliwość! Była to oczywiście prawda, ale tego rodzaju myślenie do niczego nie prowadzi. W miarę upływu czasu odzyskiwał panowanie nad sobą. Pusty żołądek pomagał mu wyzbyć się tego, co pozostało w nim z dziecka. Czuł się czystszy, jakby odrzucił wszystkie plewy, pusty... jak kielich czekający na napełnienie. Po dwóch lub trzech dniach niejedzenia burczenie w brzuchu przycichło, a on zaczął wyraźniej słyszeć swoje prawdziwe myśli. Modlił się, ale zdawał sobie sprawę, że robi coś więcej; rozmawiał z sobą, wsłuchiwał się w siebie, zastanawiał się, czy istnieje wyjście z tego podniebnego więzienia, do którego tak zręcznie go zapakowano.

Nie zabił ojca. To sprawa podstawowa. Ktoś rzucił na niego podejrzenie. To po drugie. Kto? Istniała tylko jedna osoba, która mogła to zrobić, oczywiście; jedyna osoba w całym Delainie mogła mieć tak straszliwą truciznę jak Smoczy Piasek.

Flagg.

Pasowało znakomicie. Flagg wiedział, że w królestwie rządzonym przez Petera nie będzie dla niego miejsca. Flagg zadbał, żeby zaprzyjaźnić się z Thomasem... i żeby Thomas się go bał. W jakiś sposób Flagg zamordował Rolanda, a potem dostarczył dowodów, które zaprowadziły Petera na wieżę.

Peter doszedł do tego wniosku trzeciego wieczoru panowania Thomasa.

Co miał zatem czynić? Pogodzić się z losem? Przenigdy. Uciec? Nie potrafił. Nikt nigdy nie uciekł z Iglicy.

Chyba że...

W mroku zabłysło mu słabe światelko. Stało się to czwartego wieczoru, gdy patrzył na tacę z obiadem. Tłuste mięso, wodniste piwo, słony chleb. Gładki, biały talerz. Brak serwetki.

Chyba że...

Światelko stało się jaśniejsze.

Być może znalazł drogę ucieczki. Być może. Będzie ona wielce niebezpieczna, a przygotowania zabiorą dużo czasu. A na samym końcu może się zdarzyć, że czeka go śmierć mimo wszelkich jego wysiłków. Ale... jest to jakiś sposób.

No a jeśli nawet uda mu się uciec, to co dalej? Czy potrafi udowodnić czarnoksiężnikowi morderstwo? Peter nie miał pojęcia. Flagg to stary, przebiegły lis — na pewno nie zostawił żadnych dowodów, które mogłyby go kiedyś obciążać. Czy Peter zdolny jest wydobyć od niego przyznanie się do winy? Istnieje pewne prawdopodobieństwo, pod warunkiem że Peter dostanie go w swoje ręce — przypuszczał bowiem, że czarnoksiężnik może rozwiać się jak dym, jeśli dowie się o jego ucieczce z Iglicy. Czy ktokolwiek uwierzy w zeznania Flagga, nawet jeśli Peterowi uda się go do nich zmusić? O tak, przyznał się do zamordowania Rolanda, powiedzą ludzie. Peter, zbiegły ojcobójca, przyłożył mu miecz do gardła. W takiej sytuacji ja przyznałbym się do wszystkiego, nawet do zamordowania samego Pana Boga!

Macie może ochotę śmiać się z Petera, który zastanawiał się nad takimi problemami, wciąż jeszcze znajdując się w więzieniu sto metrów nad ziemią. Moglibyście powiedzieć, że postawił sprawy odrobinę na głowie. Ale Peter wiedział już, jak może próbować ucieczki. Oczywiście, istniało spore ryzyko, że okaże się to sposobem na śmierć w kwiecie wieku, ale jemu wydawało się, że są pewne szanse sukcesu. Jednak... czy warto podejmować się takiego zadania, jeśli w końcu nic z tego nie wyjdzie? Albo, jeszcze gorzej, gdyby miało to przynieść dalsze szkody królestwu, szkody, których w tej chwili niepodobna przewidzieć?

Myślał o tym wszystkim i modlił się żarliwie. Minęła czwarta noc... piąta... szósta. Siódmej nocy Peter podjął decyzję: lepiej próbować, niż zaniechać; lepiej usiłować naprawić zło, nawet gdyby miał przy tym zginąć. Stała się niesprawiedliwość. Peter odkrył pewne dziwne zjawisko — to, że właśnie jego ona spotkała, nie było w połowie tak ważne jak to, że w ogóle się zdarzyła. Należało to naprawić.

Ósmego dnia panowania Thomasa posłał po Besona.

Beson wysłuchał mowy uwięzionego księcia z niedowierzaniem i rosnącą furią. Peter skończył, a Aron Beson wydobył z siebie stek rysztozkowych przekleństw, które nawet dorożkarza przyprawiłyby o purpurowy rumieniec wstydu.

Peter przeczekał to, nieporuszony.

— Ty zbrodniczy, zarozumiały gnojku! — zakończył Beson tonem, w którym brzmiały nutki zdumienia. — Wydaje ci się, że nadal żyjesz w cholernym luksusie i masz służących, którzy przybiegną, ilekroć zagniesz jeden ze swoich perfumowanych paluszków. Ale tutaj to nie przejdzie, mój młody książę. O nie.

Beson pochylił się do przodu, wysuwając nieogolony podbródek, i chociaż jego zapach — potu, taniego wina i łuszczącego się aż brudu — zbijał z nóg, Peter się nie cofnął. Nie dzieliły ich kraty; Beson nie zaczął jeszcze bać się więźniów, a tym bardziej takiego smarkacza. Główny strażnik miał pięćdziesiątkę na karku, był niski, miał szerokie bary i duży brzuch. Tłuste włosy otaczały strąkami jego policzki i opadały na plecy. Gdy wszedł do pokoju Petera, jeden z pomniejszych strażników zamknął za nim drzwi na klucz.

Beson zwinął lewą dłoń w pięść i potrząsnął nią Peterowi przed nosem. Prawą rękę wsunął do kieszeni u pasa i zamknął na gładkim metalowym walcu. Jedno celne uderzenie tak wzmocnioną pięścią potrafi złamać ludzką szczękę. Beson nieraz już to robił.

— Możesz dać się wypchać swoimi żądaniami, książątko. A następnym razem, jeśli przyjdzie ci do głowy wzywać mnie z powodu takich bzdur, popamiętasz.

Beson skierował się do drzwi, niski, zgarbiony, do złudzenia przypominając trolla. Poruszał się w obłoku swojego własnego smrodu.

— Grozi ci popełnienie bardzo poważnego błędu — rzekł Peter. Mówił cicho, ale stanowczo i dobitnie.

Beson odwrócił się do niego z wyrazem niedowierzania na twarzy.

— Coś ty powiedział?

— Słyszałeś — odparł Peter. — A kiedy następnym razem się do mnie odezwiesz, śmierdzielu, to lepiej pamiętaj, że przemawiasz do osoby z królewskiego rodu. Moje pochodzenie nie zmieniło się, gdy wszedłem tu na górę.

Przez chwilę Beson nie znajdował odpowiedzi. Otworzył i zamknął usta jak ryba wydobyta z oceanu — chociaż każdy rybak, złowiwszy coś tak paskudnego jak Beson, z pewnością wrzuciłby to na powrót do morza. Spokojne żądania Petera — wygłaszane tonem niepozostawiającym wątpliwości, że są w rzeczywistości rozkazami, których wykonania nie można odmówić — doprowadziły szefa strażników do krańcowej wściekłości. Jedno z nich było żądaniem człowieka kompletnie zniewieściałego albo po prostu wariata. Beson natychmiast uznał je za nonsens albo błazeństwo. Drugie zaś miało związek z posiłkami. Oba połączone z faktem, że oczy Petera wyrażały ożywienie i zdecydowanie, oznaczały, iż młody książę porzucił rozpacz i zdecydował się żyć.

Perspektywy dni spędzanych na nieróbstwie i nocnych pijatykach wyglądały kusząco. Teraz jednak się oddalały. Ten chłopak wyglądał na bardzo zdrowego i silnego. Może żyć jeszcze długo, a Beson spędzi resztę swych dni, patrząc na twarz młodego mordercy — na taką myśl aż zazgrzytał zębami! No i...

Śmierdziel? Czy on naprawdę nazwał go śmierdzielem?

— Mój drogi książę — powiedział wreszcie Beson. — Myślę, że to ty popełniłeś błąd... ale obiecuję ci, że już nigdy więcej go nie powtórzysz.

Usta rozwarły mu się w uśmiechu, ukazując kilka poczerwiałych, zepsutych zębów. Szykując się do ataku, poruszał się z nieoczekiwaną płynnością. Prawa ręka wysunęła się z kieszeni, zaciskając mocno kawałek metalu.

Peter cofnął się o krok, patrząc to na zaciśnięte w pięści dłonie Besona, to na jego twarz. Za plecami mężczyzny otworzyło się małe, zakratowane okienko w drzwiach. Dwóch strażników cisnęło się tam, nieogolony policzek przy nieogolonym policzku, uśmiechając się radośnie w oczekiwaniu.

— Wiesz, że królewscy więźniowie mają pewne ulgi w drobnych sprawach — przypomniał Peter, wciąż cofając się i krążąc. — Taki jest zwyczaj. A ja nie poprosiłem cię o nic niewłaściwego.

Beson uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyobrażał sobie, że usłyszał strach w głosie Petera. Mylił się. Ten błąd miał wkrótce zostać wyjaśniony w sposób, do jakiego nie przywykł.

— Za takie zwyczaje się płaci, nawet w rodach królewskich, moje książątko. — Beson potarł kciuk lewej ręki o palec wskazujący. Prawa mocno zaciskała się na

kawałku metalu.

— Jeśli chodzi o jakieś pieniądze od czasu do czasu, to się da załatwić — rzekł Peter, ciągle oddalając się łukiem od Besona. — Ale pod warunkiem że natychmiast przestaniesz się tak nierozsądnie zachowywać.

— Boisz się, co?

— Bać to się możesz ty — powiedział Peter. — Najwyraźniej chcesz zaatakować królewskiego brata.

Cios był celny i Beson zawahał się na chwilę. Potem rzucił okiem na otwartego judasza w drzwiach, zobaczył swoich strażników i twarz znowu mu pociemniała. Gdyby się teraz wycofał, miałyby z nimi kłopoty — nic, z czym nie potrafiłby sobie dać rady, oczywiście, ale tak czy owak, byłby to jeszcze jeden problem z winy tego smarkacza.

Rzucił się naprzód i zamachnął obciążoną pięścią. Uśmiechał się. Krzyki księcia padającego na kamienną posadzkę, trzymającego się kurczowo za rozbity, krwawiący nos, będą, jak sądził, cienkie i dziecięce.

Peter cofnął się lekko, poruszając się płynnie niczym w tańcu. Złapał pięść Besona, nie pozwalając się zaskoczyć jej obciążeniem — zauważył błysk metalu pomiędzy spuchniętymi palcami. Szarpnął z siłą, o jaką Beson nie posądziłby go pięć minut wcześniej. Strażnik poleciał łukiem i huknął w półokrągłą ścianę „bawialni” Petera tak, że zgrzytnęły mu resztki zębów. W oczach zobaczył gwiazdy. Metalowy walec wypadł mu z ręki i potoczył się po podłodze. I zanim Beson zaczął z wolna wracać do siebie, Peter skoczył i porwał kawałek metalu. Poruszał się z gracją i płynnością kota.

To się nie może dziać, pomyślał Beson z rosnącym niesmakiem; czuł jakieś otępiełe niedowierzanie. To się przecież nie dzieje.

Nigdy nie żywił obaw przed wejściem do dwupokojowego więzienia na szczycie Iglicy, bo nigdy nie znajdował się w nim więzień, czy to krwi szlacheckiej, czy królewskiej, który zdołałby mu dorównać. O tak, odbyło się w tym pomieszczeniu kilka sławnych walk, ale wszystkich swych oponentów potrafił nauczyć, kto tu rządzi. Na dole może stali na szczycie hierarchii, ale tutaj on był panem, i szybko nabierali szacunku dla jego nabitych, pokrytych warstwą brudu mięśni. A teraz ten dzieciak...

Rycząc z wściekłości, Beson oderwał się od ściany, potrząsając głową, żeby prędzej oprzytomnieć i rzucić się na Petera, który trzymał już metalowy cylinder ukryty w prawej dłoni. Strażnicy stali, gapiąc się z ogłupiałym podziwem na ten

nieoczekiwany zwrot wydarzeń. Żadnemu nie przyszło do głowy się wtrącać; podobnie jak Beson, nie wierzyli własnym oczom.

Przeciwnik ruszył w stronę Petera z wyciągniętymi ramionami. Skoro ksiązę wytrącił mu z ręki ciężarek, nie miał najmniejszego zamiaru wdawać się w pozbawione wszelkich reguł młócenie pięściami, które uważał za „boks”. Dążył do zwania, chciał go złapać, przewrócić na podłogę, usiąść na nim i dusić go, dopóki młokos nie straci przytomności.

Ale Peter zniknął z miejsca, w którym znajdował się przed chwilą, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wykonując krok w bok i się kuląc. Gdy krępy, trollowaty główny strażnik mijał go, usiłując zawrócić, Peter uderzył go trzykrotnie prawą pięścią, w której zaciskał metalowy walec. To nieuczciwe, ale cóż, to nie ja przyniosłem tutaj ten kawałek metalu, pomyślał chłopak. Ciosy nie wydawały się silne. Gdyby Beson obserwował jakąś walkę i zobaczył te trzy szybkie, krótkie uderzenia, zaśmiałby się i powiedział, że to „babskie ciosy”. Dla niego bowiem uderzenie zadane przez mężczyznę to cios z szerokiego zamachu, przy którym aż świszcze powietrze.

Ale to nie były babskie ciosy, jak mogliby pomyśleć Beson i jemu podobni. Każdy z nich został wyprowadzony z ramienia, tak jak pokazywał Peterowi jego nauczyciel boksu podczas lekcji odbywanych dwa razy w tygodniu w ciągu ostatnich sześciu lat. Ciosy były oszczędne, nie wywoływały świstu powietrza, ale Beson poczuł się, jakby został trzykrotnie, raz za razem, kopnięty przez bardzo małego kucyka o bardzo dużych kopytach. Poczuł ostry ból w lewej stronie twarzy; gdy pękła kość policzkowa, Besonowi wydało się, jakby trzasnęła mu w głowie gałązka. Znów poleciał na ścianę. Uderzył w nią niczym szmaciana lalka, a potem ugięły się pod nim nogi. Patrzył na księcia ze zrozumiałym przerażeniem.

Strażników przyglądających się przez otwór w drzwiach zatkało. Beson pokonany przez dzieciaka? Równie trudno w to uwierzyć, jak w deszcz padający z bezchmurnego nieba. Jeden z nich rzucił okiem na trzymany w ręku klucz, przez moment zastanawiał się, czy nie należałoby wejść do środka, ale wybrał bezpieczniejsze rozwiązanie. Można tam było oberwać. Wsunął klucz do kieszeni, żeby móc potem twierdzić, że o nim zapomniał.

— Będziesz teraz rozsądny? — Peter nawet się nie zadyszał. — To bez sensu. Żądam od ciebie tylko dwóch drobnych uprzejmości, za które nie ominie cię dobra zapłata. Ty...

Rycząc wściekle, Beson raz jeszcze rzucił się na Petera. Tym razem nie spodziewał się on ataku, lecz mimo to zdołał wykonać unik, tak jak matador usuwa się z drogi przed nieoczekiwaną szarżującym bykiem — matador może zostać zaskoczony, a nawet przeбитy rogiem, ale rzadko zdarza mu się przy tym stracić grację. Peter uskoczył z wdziękiem, lecz został zraniony. Beson miał długie, nierówne i brudne pazury — przypominające raczej szpony niż ludzkie paznokcie — i lubił opowiadać swoim podwładnym (zwłaszcza w ponure, zimowe wieczory, gdy wydawało mu się, że pragnęliby posłuchać jakiejś makabrycznej historii) o czasach, gdy od ucha do ucha rozorał szyję więźnia paznokciem kciuka.

Teraz, gdy Beson miał Petera, jeden z owych szponów narysował krwawą linię na lewym policzku chłopca. Rozcięcie biegło od skroni do brody, omijając lewe oko zaledwie o centymetr. Skóra została przecięta do kości, a Peter do końca życia nosił bliznę jako pamiątkę spotkania z Besonem.

Teraz poczuł gniew. Wszystko to, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu dni, nagle ułożyło mu się w głowie w całość i na chwilę ogarnęła go taka złość, że prawie — ale nie do końca, tylko prawie — gotów był zabić brutalnego głównego strażnika, zamiast dać mu jedynie nauczkę, której nigdy, ale to nigdy nie zapomni.

Gdy Beson się odwrócił, zbiła go z nóg seria lewych sierpowych i prawych prostych. Proste w normalnych warunkach nie wyrządziłyby mu wielkiej krzywdy, ale półtora funta w dłoni Petera przydało im morderczej siły. Jeden z ciosów wybił Besonowi szczękę. Strażnik zawył z bólu i usiłował przejść do zwarcia. Okazało się to błędem. Rozległ się chrzęst łamanego nosa i krew buchnęła Besonowi do ust i na brodę. Pocięła po jego brudnym kaftanie. A potem szef strażników poczuł przesywający ból, gdy obciążona prawa pięść Petera zamknęła mu usta. Beson wypluł ząb na podłogę i usiłował się wycofać. Zapomniał o przyglądających się strażnikach, którzy teraz obawiali się włączyć do walki. Nie pamiętał też już o swoim gniewie, wywołanym zachowaniem młodego księcia, i utracił wszelką chęć dania mu nauczki.

Po raz pierwszy podczas swojej służby jako główny strażnik Beson się bał.

Powodem jego strachu nie był fakt, że Peter bił go teraz, jak chciał. Zdarzały się Besonowi już gorsze pobicia, chociaż nigdy z rąk więźnia. Nie, to wyraz oczu Petera tak go przeraził. To spojrzenie króla. Bogowie, ratujcie mnie, to twarz króla — jego gniew pali niczym słoneczny żar.

Peter rzucił Besona na ścianę, ocenił odległość do jego szczęki i zamierzył się prawą, wycelowaną do ciosu pięścią.

— Chcesz, żebym cię dalej przekonywał, śmierdzielu? — zapytał ponuro.

— Już nie — wymamrotał Beson, ciężko dysząc. — Już nie, królu, miej litość, poddaję się.

— Co? — zapytał Peter ze zdumieniem. — Jak ty mnie nazwałeś?

Ale Beson powoli osuwał się po zaokrąglonej ścianie. Gdy zwrócił się do Petera „królu”, zrobił to podświadomie. Nie pamiętał potem, żeby tak powiedział, ale Peter nie zapomniał tego nigdy.

Beson leżał nieprzytomny przez ponad dwie godziny. Gdyby nie ciężki, chrapliwy oddech, Peter zaczęłby się obawiać, że naprawdę zabił głównego strażnika. Był on opasłą, złośliwą i wredną świnia... ale mimo wszystko Peter nie chciał pozbawiać go życia. Strażnicy na zmianę gapili się przez okienko w dębowych drzwiach, a oczy mieli okrągłe ze zdziwienia — niczym mali chłopcy, obserwujący anduańskiego tygrysa ludożercę w królewskiej menażerii. Żaden nie próbował iść na ratunek zwierchnikowi, a na ich twarzach odmalowało się przerażenie; bali się, że w każdej chwili Peter może rzucić się na nieprzytomnego Besona i rozszarpać mu gardło. Najprawdopodobniej zębami.

No ale czemu mieliby tak nie myśleć, zastanawiał się z goryczą Peter. Uważają, że zabiłem własnego ojca, a człowiek zdolny do takiego czynu nie zawaha się przed najgorszym, nawet przed zamordowaniem nieprzytomnego przeciwnika.

Wreszcie Beson zaczął jęczeć i się poruszać. Jego prawa powieka zadrgała i otworzyła się — lewa nie, i tak miało pozostać jeszcze przez kilka dni.

Prawe oko patrzyło na Petera nie z nienawiścią, lecz z nieukrywanym strachem.

— Jesteś gotów rozmawiać rozsądnie?

Beson odpowiedział coś, czego Peter nie potrafił zrozumieć. Brzmiało to jak bełkot.

— Nie rozumiem.

Beson spróbował od nowa.

— Mogłeś mnie zabić.

— Nigdy nikogo nie zabiłem — oświadczył Peter. — Może nadejść czas, kiedy zostanę do tego zmuszony, ale mimo to nie chciałbym zaczynać od nieprzytomnych strażników.

Beson usiadł, opierając się o ścianę i patrząc na Petera otwartym okiem. Wyraszył głębokiego zamyślenia, absurdalny i trochę przerażający wobec opuchlizny i siniaków, zagościł na jego twarzy.

W końcu udało mu się wydobyć z siebie jeszcze jedno bełkotliwe zdanie. Peterowi wydawało się, że zrozumiał, ale chciał mieć absolutną pewność.

— Powtórz, proszę, panie główny strażniku. — Beson odczuł zaskoczenie. Tak jak Yosefa nigdy nie nazywano głównym stajennym, tak dla Besona nowość stanowiło określenie „główny strażnik”.

— Możemy się dogadać — powiedział.

— Doskonale.

Beson powoli i z trudnością podniósł się na nogi. Nie chciał mieć więcej do czynienia z Peterem, przynajmniej tego dnia. Miał inne problemy. Jego strażnicy dopiero co byli świadkami, jak został ciężko pobity przez chłopca, który od tygodnia nic nie jadł. Patrzyli, tchórzliwe moczymordy, i nic więcej. Bolała go głowa, ale zanim pójdzie spać, dobrze byłoby wybatożyć nieszczęsnych głupców.

Wychodził, gdy Peter zawołał za nim.

Beson się odwrócił. To powiedziało wszystko. Obaj wiedzieli, kto tu rządzi. Beson został pokonany. Gdy jego więzień kazał mu zaczekać, czekał.

— Mam ci coś do oznajmienia. Będzie dla nas obu lepiej, jeśli to powiem.

Beson się nie odezwał. Stał tylko i przyglądał się bacznie Peterowi.

— Każ im — Peter skinął głową w stronę drzwi — zamknąć judasza.

Beson popatrzył na Petera, a potem odwrócił się do podglądających strażników i wydał im polecenie.

Strażnicy, którzy w owej chwili gapili się bezmyślnie przez otwór w drzwiach, dalej stali bez ruchu, nie rozumiejąc niewyraźnej mowy Besona... albo tylko udając. Beson oblizał pokryte zakrzepłą krwią wargi i odezwał się wyraźniej, choć sprawiło mu to ból. Tym razem judasz został zamknięty od zewnątrz... ale przedtem Beson usłyszał pogardliwy śmiech swoich podwładnych. Westchnął ze znużeniem — będzie musiał udzielić im paru lekcji, zanim pójdzie do domu. Na szczęście tchórze uczą się szybko. Książę, cokolwiek by się o nim powiedziało, do nich nie należał. Beson rozważał, czy rzeczywiście chce się dogadywać z Peterem.

— Dam ci list, który trzeba zanieść do Andersa Peyny — rzekł Peter. — Mam nadzieję, że pójdziesz do niego dziś wieczorem.

Beson nie odpowiedział, albowiem zastanawiał się usilnie. Sprawy przybrały niespodziewany obrót. Peyna! List do Peyny! Przeżył nieprzyjemny moment, gdy Peter przypomniał mu, że jest bratem króla, ale to było o wiele gorsze. Peyna, o bogowie!

Im dłużej nad tym myślał, tym mniej mu się to podobało.

Król Thomas przypuszczalnie by się nie zmartwił, że jego brata maltretują w Iglicy. Po pierwsze, zamordował on ojca; w tej chwili Thomas prawdopodobnie nie żywił do niego nadmiaru braterskiej miłości. Co więcej, Beson nie odczuwał zbytniego strachu, gdy wymieniano imię króla Thomasa Dawcy Światła. Podobnie jak prawie wszyscy w Delainie, Beson zdążył już nabrać dla niego pewnej pogardy. Ale Peyna... o, to coś zupełnie innego.

Dla Besona i jemu podobnych Anders Peyna był postacią o wiele bardziej przerażającą niż cały regiment królów. Król to odległa, nieprzystępna istota, świetlista i tajemnicza jak słońce. Wszystko jedno, czy słońce zaszło za chmury i spowodowało mróz, czy też wyłoniło się, lejąc z nieba żar i piekąc człowieka żywcem — można to było jedynie przyjąć do wiadomości, bo działania słońca znajdują się daleko poza zasięgiem zrozumienia czy też wpływu istot śmiertelnych.

Peyna należał do postaci o wiele bardziej ziemskich. Można je rozumieć... i się ich bać. Peyna o wąskiej twarzy i lodowato niebieskich oczach. Peyna w swoich szatach sędziego, który decyduje, kto pozostanie przy życiu, a kto pójdzie pod topór kata.

Czy ten chłopiec naprawdę mógł wydawać ze swej celi na szczytcie Iglicy polecenia Peynie? Czy był to rozpaczliwy błąd?

Jak może błądować, jeśli chce napisać do niego list, który ja mam zanieść? — zastanawiał się Beson.

— Gdybym był królem, Peyna musiałby słuchać wszystkich moich rozkazów — powiedział Peter. — Teraz, uwięziony, już nim nie jestem. Jednak niedawno wyświadczyłem mu uprzejmość, za którą, jak sądzę, jest mi bardzo wdzięczny.

— Rozumiem — rzekł Beson, starając się mówić wymijająco.

Peter westchnął. Poczul nagłe zmęczenie i pomyślał, że goni za mrzonkami. Czyżby rzeczywiście uwierzył, że stawia pierwsze kroki na drodze do wolności, bijąc głupiego strażnika i zmuszając go, żeby czynił, co mu każe? Czy miał jakąkolwiek gwarancję, że Peyna zechce zrobić cokolwiek dla niego? Może przysługa, jaką mu zawdzięczał, istnieje tylko w wyobraźni Petera?

Ale trzeba było to sprawdzić. Przecież doszedł do wniosku podczas długich samotnych nocy, spędzonych na medytacjach, gdy opłakiwał los ojca i swój własny, że największym grzechem jest rezygnacja.

— Peyna nie jest moim przyjacielem — ciągnął Peter. — Nie mam zamiaru próbować ci tego wmawiać. Zostałem skazany za zamordowanie swojego ojca,

króla tego kraju, i nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek żywił wobec mnie przyjazne uczucia w całym Delainie, od najdalszej północy po samo południe. Zgadzasz się, panie główny strażniku?

— Tak — potwierdził martwym głosem Beson. — Zgadzam się.

— Jednakże przypuszczam, że Peyna podejmie się dostarczenia ci gratyfikacji, jakich oczekujesz od więźniów.

Beson skinął głową. Ilekroć w Iglicy znajdował się, obojętne jak długo, więzień szlacheckiego rodu, on zazwyczaj starał się, żeby dostawał lepsze jedzenie niż tłuste mięso i wodniste piwo, co tydzień świeżą pościel, a czasami zezwalał na wizytę żony albo ukochanej. Nie robił tego za darmo, oczywiście. Więźniowie tacy pochodzili zazwyczaj z bogatych rodzin, w których zawsze znajdował się ktoś skłonny zapłacić Besonowi za jego usługi, bez względu na rodzaj przestępstwa popełnionego przez więźnia.

Ta zbrodnia była szczególnie ohydna, ale chłopiec utrzymywał, że nie kto inny, lecz sam Anders Peyna okaże się skłonny zapłacić łapówkę.

— Jeszcze jedno — rzekł cicho Peter. — Sądzę, że Peyna zrobi to, bo jest człowiekiem honoru. A gdyby miało mi się coś stać, gdybyście ty i kilku twoich podwładnych wpadli tu w nocy i pobili mnie w zemście za to, co ja ci zrobiłem, na przykład, przypuszczam, że Peyna mógłby zainteresować się tą sprawą.

Peter przerwał.

— Osobiście się zainteresować. — Popatrzył uważnie na Besona. — Rozumiesz?

— Tak — powiedział Beson, a potem dodał: — panie.

— Dostarczysz mi pióro, kałamarz, bibułę i papier?

— Tak.

— Podejdź tu.

Beson usłuchał z lekkim drżeniem.

Główny strażnik cuchnął okropnie, ale Peter się nie cofnął — odkrył, że odór zbrodni, o jaką go oskarżono, uodpornił go na zapach potu i brudu. Popatrzył na Besona z cieniem uśmiechu.

— Szepnij mi do ucha — polecił. Beson zamrugał niepewnie.

— Co mam szepnąć, panie?

— Liczbę — rzekł Peter.

Po chwili namysłu Beson szepnęła.

Jeden ze strażników przyniósł Peterowi żądane materiały piśmienne. Rzucił na niego ostrożne spojrzenie, niczym bezpieczni kot, który nieraz już dostał kopniaka, i umknął, zanim zdążył mu przypaść w udziale los podobny do losu Besona.

Peter usiadł przy chwiejnym stole koło okna, wydychając obłoczki pary. Słuchał niespokojnego zawodzenia wiatru wokół czubka Iglicy i patrzył w dół, na światła miasta.

„Szanowny Panie Sędzio Najwyższy” — napisał i przerwał.

Czy zobaczywszy, od kogo jest ten list, zgnieciesz go w dłoni i wrzucisz bez czytania w ogień? Czy też przeczytasz i z pogardą wyśmiejesz głupca, który zamordowawszy ojca, ośmielił się oczekiwać pomocy od Najwyższego Sędziego królestwa? A może raczej przejrysz intrygę i domyślisz się, jakie są moje zamiary?

Tego wieczoru Peter miał lepszy humor niż zazwyczaj, więc pomyślał, że odpowiedź na te trzy pytania będzie prawdopodobnie brzmiała „nie”. Jego plan może się powieść, albowiem istnieje niewielka tylko możliwość, że ktoś rozumujący w sposób tak metodyczny i uporządkowany jak Peyna zgadnie, o co w nim chodzi. Prędzej Sędzia Najwyższy przywdzieje suknię i zacznie tańczyć przy dźwiękach kobzy na środku placu Iglicy podczas pełni księżyca, niż domyśli się, jakie są zamiary Petera. A on przecież żąda tak niewiele. Ciężko uśmiechu znów pojawił się na jego ustach. Peter miał nadzieję i wierzył, że tak będzie.

Pochyliwszy się, zanurzył gęsie pióro w kałamarzu i zaczął pisać.

Następnego wieczoru, wkrótce po wybiciu dziewiątej, lokaj Andersa Peyny usłyszał niezwykle o tak późnej porze pukanie, otworzył drzwi i spojrział z góry na stojącą w progu postać głównego strażnika. Arlen — tak nazywał się lokaj — znał Besona z widzenia; podobnie jak pan Arlena, stanowił on część maszyny prawnej królestwa. Ale teraz go nie poznał. Ślady cięgów, jakie Beson otrzymał od Petera, goiły się dopiero jeden dzień, więc na twarzy mężczyzny malowały się barwy zachodu słońca — czerwienie, purpury, żółcie. Lewe oko otwierało się trochę, tworząc tylko wąską szparkę. Wyglądał jak karłowaty wampir, więc ujrawszy go, lokaj chciał natychmiast zamknąć drzwi.

— Zaraz, zaraz — warknął Beson ostro, co sprawiło, że Arlen się zawahał. — Przynoszę list dla twojego pana.

Lokaj zatrzymał się na chwilę, ale potem znów chciał zamknąć drzwi. Ponura, opuchnięta twarz przeraziła go. A może to naprawdę karzeł z północy? Podobno ostatni potomkowie tych dzikich, ubierających się w skóry szczepów wymarli albo zostali wyniszczeni za czasów jego dziadka, ale jednak... nigdy nic nie wiadomo...

— Przysyła mnie książę Peter — rzekł Beson. — Jeśli zamkniesz te drzwi, to twój pan nie pogłaszcze cię za to po główce.

Arlen zawahał się znowu, rozdarty między chęcią zatrzęsienia drzwi przed nosem tego wampira a posłuszeństwem wobec władzy, jaką wciąż znamionowało imię Petera. Jeśli ten człowiek został przysłany przez niego, to znaczy, że jest głównym strażnikiem Iglicy. Ale...

— Nie wyglądasz jak Beson — powiedział.

— A ty nie wyglądasz jak twój ojciec, Arlenie, więc zastanawiam się, gdzie też włączyła się twoja matka — odparł beczelnie opasły karzeł i wsunął ubrudzoną kopertę przez szparę we wciąż uchylonych drzwiach. — Masz... zanieś mu to. Poczekam. Jak chcesz, to zamknij drzwi, chociaż cholernie tu zimno.

Dla Arlena mogło być i dwadzieścia stopni poniżej zera. Nie dopuści przecież, żeby ten okropny stwór grzał sobie stopy przy kominku w kuchni dla służby.

Porwał kopertę, zamknął drzwi, zatrzasnął zasuwę i ruszył na pokoje... a potem wrócił sprawdzić, czy zasuwka na pewno dobrze trzyma.

Peyna siedział w swoim gabinecie, patrząc w ogień i rozmyślając. Gdy koronowano Thomasa, księżyc znajdował się w nowiu; nie zdążył się jeszcze znaleźć w drugiej kwadrze, a sytuacja w królestwie przestała się Peynie podobać. Flagg — to najgorsze. Flagg. Czarnoksiężnik miał teraz więcej władzy niż za czasów panowania Rolanda. Roland był przynajmniej mężczyzną w pełni lat, mimo że niezbyt inteligentnym. Thomas to zaledwie chłopiec, więc Peyna obawiał się, że Flagg wkrótce zapanuje nad Delainem, rządząc w imieniu młodego władcy. A to nie wyjdzie królestwu na zdrowie... ani też jemu, Andersowi Peynie, który nigdy nie ukrywał swojej niechęci do czarnoksiężnika.

W gabinecie przyjemnie się siedziało przed trzaskającym w kominku ogniem, ale Peyna pomyślał, że mimo to czuje na stopach zimny powiew. To był wiatr, który mógł nadejść i wymieść... wszystko.

Dlaczego, Peter? Dlaczego nie mogłeś poczekać? I dlaczego sprawiałeś wrażenie tak doskonałego, kryjąc w sobie tyle zepsucia? Dlaczego?

Peyna nie wiedział... i sam przed sobą nie przyznałby się, nawet teraz, że zaczęły go ogarniać wątpliwości, czy Peter jest naprawdę tak przeniknięty zgnilizną moralną.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Peyna wstał, rozejrzał się i zawołał niecierpliwie:

— Wejść! I lepiej niech to będzie coś ważnego!

Pojawił się Arlen, wzburzony i zmieszany. W rękę trzymał kopertę.

— No, co tam?

— Panie... za drzwiami czeka człowiek... a przynajmniej coś, co wygląda jak człowiek... to znaczy, jego twarz jest okropnie spuchnięta, jakby ktoś go bardzo pobił... albo... — Głos Arlena zamarł.

— A co mnie to obchodzi? Wiesz przecież, że nie przyjmuję o tej porze. Powiedz mu, żeby sobie poszedł. Niech idzie do diabła!

— Utrzymuje, że jest Besonem, panie — wyjąkał jeszcze bardziej zmieszany Arlen. Podniósł wysmarowaną kopertę, jakby chciał się nią zasłonić. — Przyniósł

to. Mówi, że to list od księcia Petera.

Peynie serce podskoczyło do gardła, ale spojrzął tylko jeszcze srożej na Arlena.

— No a jest?

— Od księcia Petera? — Arlen prawie bełkotał. Stracił kompletnie zwykłe panowanie nad sobą, co bardzo zainteresowało Peynę. Nie wierzył on dotąd, by Arlen mógł utracić spokój nawet podczas pożaru, powodzi albo inwazji smoków.

— Panie, skąd mam wiedzieć... To znaczy ja...

— Czy to Beson, idioto?

Arlen nerwowo oblizał wargi — naprawdę je oblizał. To było niesłychane.

— No, może tak, panie... istnieje pewne podobieństwo... ale ten osobnik jest okropnie posiniaczony i spuchnięty... ja... — Arlen przełknął ślinę. — Wydawało mi się, że wygląda jak karzeł — wydusił z siebie najgorszą, jego zdaniem, wiadomość i usiłował ją złagodzić nieszczerym uśmiechem.

To jest Beson, pomyślał Peyna. To Beson, a jeśli wygląda, jakby go ktoś pobił, to znaczy, że dostał lanie od Petera. Dlatego właśnie przyniósł list. Peter stłukł go, a on bał się odmówić. Ciężki to jedyna rzecz, jaka może przemówić do jemu podobnych.

Serce Peyny przepełniło nagle uczucie uniesienia: czuł się jak ktoś, kto znajdując się w ciemnej jaskini, nagle zobaczy promyk światła.

— Daj mi ten list — powiedział.

Arlen usłuchał. Potem uczynił gest, jakby chciał umknąć, co też było czymś nowym, bo Arlen nigdy nie zmykał. Przynajmniej, uściślił prawniczy umysł Peyny, ja nigdy nie widziałem, żeby zmykał.

Pozwolił Arlenowi dojść aż do drzwi, jak doświadczony wędkarz pozwala płynąć rybie, która złapała haczyk, a potem zatrzymał go znieacka.

— Arlen.

Lokaj się odwrócił. Zebrał się w sobie, czekając na reprimendę.

— Karły nie istnieją. Twoja matka chyba ci to powiedziała?

— Tak — odparł niechętnie Arlen.

— Bardzo rozsądnie. Mądra kobieta. Te bzdury, które sobie wbiłeś do głowy, pochodzą w takim razie od twojego ojca. Wpuść głównego strażnika. Do kuchni dla służących — dodał pospiesznie. — Nie chcę go tutaj. Cuchnie. Ale wpuść go do kuchni dla służących, żeby się ogrzał. Noc jest zimna.

Od śmierci Rolanda, pomyślał Peyna, wszystkie wieczory stały się chłodne, stanowiąc jakby wyrzut wobec sposobu, w jaki zginął król, który płonął od

wewnątrz.

— Tak, panie — powiedział Arlen z wyraźną niechęcią.

— Zaraz na ciebie zadzwonię i powiem, co z nim robić dalej.

Arlen pokornie wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Peyna kilka razy obrócił kopertę w dłoniach, nie otwierając jej. Smugi brudu pochodziły niewątpliwie od lepkich palców Besona. Prawie czuł zapach potu tego łobuza. Kopertę zapieczętowano stearyną nakapaną ze zwykłej świecy. Pomyślał sobie: Lepiej chyba zrobię, jeśli wrzucę ten list do ognia i natychmiast o nim zapomnę. Tak, cisnę go w ogień, a potem wezwę Arlena i każę dać temu pokurczowatemu głównemu strażnikowi — on rzeczywiście wygląda jak karzeł, jeśli się nad tym zastanowić — szklanekę gorącego grogu, a potem go odesłać. Tak właśnie powinienem postąpić.

Ale wiedział, że tego nie robi. Bezsensowne uczucie — jak gdyby widział promyk światła w ciemnościach — nie chciało go opuścić. Wsunął kciuk w róg koperty i oderwał pieczęć, wyjął krótki list i zaczął go czytać w blasku płonącego na kominku ognia.

Andersie Peyna, zdecydowałem, że będę żył.

Niewiele czytałem o Iglicy, zanim się w niej znalazłem, i chociaż słyszałem nieco więcej, to głównie plotki. Mówiono mi więc, że za pieniądze można uzyskać tu pewne drobne względy. Z tego, co widzę teraz, jest to prawda. Oczywiście nie mam własnych funduszy, ale pomyślałem, że może Pan mógłby pokryć koszty. Jakiś czas temu wyświadczyłem Panu przysługę, więc gdyby zechciał Pan zapłacić głównemu strażnikowi osiem guldenów — i ponawiać to na początku każdego roku, który spędzę w tym nieprzyjemnym miejscu — uważałbym, że odplacił mi Pan za nią z nawiązką. Suma, jak Pan widzi, jest niewielka. Wynika to stąd, że proszę tylko o dwie rzeczy. Jeśli załatwi Pan, żeby Beson milczał, i umożliwi mi otrzymanie wspomnianych względów, nie będę Panu więcej zawracał głowy.

Wiem, że znalazłby się Pan w bardzo niekorzystnej sytuacji, gdyby wyszło na jaw, że udzielił mi Pan pomocy nawet w tej drobnej kwestii. Proponuję więc, żeby zatrudnił Pan jako pośrednika mojego przyjaciela, Bena, jeśli zdecydowałby się Pan zająć moją sprawą. Nie rozmawiałem z nim od czasu aresztowania, ale myślę i mam nadzieję, że pozostał mi wierny. Poprosiłbym raczej jego niż Pana, ale Staaowie nie są bogaci, a Ben nie ma własnych funduszy. Wstyd mi, że muszę prosić o pieniądze, ale nie znam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Zrozumiem oczywiście, jeśli uzna Pan, że nie może spełnić mojej prośby.

Nie zabiłem ojca.

Piotr

Peyna przyglądał się temu zadziwiającemu listowi przez dłuższy czas. Wzrok jego powracał do pierwszej linijki i do ostatniej.

„Zdecydowałem, że będę żył”.

„Nie zabiłem ojca”.

Nie dziwił się, że chłopiec powtarzał zapewnienie o swojej niewinności — znał zbrodniarzy, którzy czynili to przez lata, mimo że ich wina okazała się oczywista. Ale jego słowa nie brzmiały, jakby wygłaszał je ktoś winny, były zbyt śmiałe.

Zbyt... władcze.

Tak, to właśnie najbardziej zaskoczyło go w tym liście — władczy ton. Prawdziwy król, pomyślał Peyna, nie zmieni się na wygnaniu ani w więzieniu, ani nawet w wyniku tortur. Prawdziwy król nie będzie tracił czasu na usprawiedliwienia czy wyjaśnienia. Po prostu oznajmi swoją wolę.

„Zdecydowałem, że będę żył”.

Peyna westchnął. Po dłuższym czasie sięgnął po kałamarz, wyjął z szuflady arkusz delikatnego pergaminu i zaczął pisać. Jego list był krótszy niż Petera. Wystarczyło mu niecałych pięć minut, żeby go napisać, osuszyć, posypać piaskiem, złożyć i zalakować. Co uczyniwszy, zadzwonił na Arlena.

Lokaj, wyglądając jak człowiek ciężko doświadczony przez los, pojawił się prawie natychmiast.

— Czy Beson wciąż u nas jest? — zapytał Peyna.

— Chyba tak, panie — odparł Arlen. W rzeczywistości wiedział, że Beson jeszcze jest, bo podpatrywał przez dziurkę od klucza, jak tamten niespokojnie spaceruje po kuchni z kąta w kąt, trzymając w ręku niczym maczugę kurzą nogę. Gdy znikło z niej wszystko mięso, Beson zaczął gryźć kości, wydając przy tym okropne zgrzytanie, a potem ze smakiem wyssał szpik.

Arlen nabrał jeszcze pewności, że ta istota nie jest karłem... a może nawet trollem.

— Daj mu to — rzekł Peyna, wręczając lokajowi list — i to, za fatygę. — Dwa guldeny z brzękiem spadły do drugiej ręki Arlena. — Powiedz mu, że może być

odpowiedź. Jeśli tak, niech ją przyniesie nocą, tak jak tym razem.

— Tak, panie.

— I nie zatrzymuj go na pogaduszki — ostrzegł Peyna. W dziedzinie dowcipu stanowiło to szczyt jego możliwości.

— Nie, panie — odrzekł ponuro Arlen i wyszedł. Wciąż miał w pamięci odgłos, z jakim Beson kruszył w zębach kości kurczęcia.

— Proszę — burknął gderliwie Beson, wchodząc następnego dnia do celi Petera i rzucając kopertę w jego stronę. Prawdę mówiąc, czuł się źle. Dwa guldeny, które wręczył mu Arlen, stanowiły nieoczekiwaną gratkę i Beson spędził większą część nocy, przepijając je. Za dwa guldeny można kupić dużo miodu, więc dziś miał spuchniętą, obolałą głowę. — Zamieniam się w cholernego chłopca na posyłki.

— Dziękuję — powiedział Peter, odbierając kopertę.

— No i co? Nie otworzysz?

— Jak wyjdiesz.

Beson wyszczerzył zęby i zacisnął pięści. Peter stał bez ruchu, patrząc na niego. Po chwili Beson opuścił ręce.

— Cholerny chłopiec na posyłki, i tyle! — powtórzył i wyszedł, zatrzaskując za sobą ciężkie drzwi. Rozległ się łoskot przekręcanych zamków, potem stukot przesuwanych zasuw; było ich trzy, a każda z nich miała grubość równą przegubowi Petera.

Gdy nastąpiła cisza, Peter otworzył list. Składał się on tylko z trzech zdań.

„Znam owe wieloletnie zwyczaje, o których piszesz. Sumę, o którą prosisz, da się znaleźć. Dostarczę ją wówczas, gdy dowiem się, jakie przysługi chcesz kupić od naszego wspólnego przyjaciela”.

Peter się uśmiechnął. Królewski Sędzia Najwyższy Peyna nie należał do ludzi podstępnych — tak jak na przykład Flagg — ale był bardzo, ale to bardzo ostrożny. List dowodził tego jasno. Peter spodziewał się, że Peyna postawi taki warunek. Czułby się zaniepokojony, gdyby Peyna nie zapytał, czego on chce. Ben zostanie pośrednikiem, Peyna wkrótce przestanie brać bezpośredni udział w dawaniu łapówek, ale mimo to zachował ostrożność, jak człowiek, który idzie po ruchomych kamieniach, mogących w każdej chwili usunąć mu się spod nóg.

Peter podszedł do drzwi swej celi, zastukał w nie i po krótkiej rozmowie z Besonem ponownie otrzymał kałamarz i brudne gęsie pióro. Beson znowu mamrotał, że zamieniają go w cholernego chłopca na posyłki, ale ogólnie sytuacja raczej mu odpowiadała. Może dostanie następne dwa guldeny.

— Jeśli będą do siebie pisać długo, to jak nic zostaną bogatym człowiekiem —
powiedział w zasadzie do nikogo i ryknął śmiechem, mimo że bolała go głowa.

Peyna rozwinął drugi list Petera i spostrzegł, że tym razem nie wymienił on ani jednego nazwiska. Chłopak uczył się szybko. Ale czytając list, Peyna uniół brwi ze zdziwieniem.

„Życzenie Pana, żeby dowiedzieć się, o co mi chodzi, jest być może przesadne, a być może nie. Nie ma to wielkiego znaczenia, znajduję się bowiem na Pana łasce. Oto dwie rzeczy, które otrzymam za Pańskich osiem guldenów rocznie:

1. Dom dla lalek mojej matki. Zawsze wiódł mnie do przyjemnych miejsc i wesołych przygód i jako dziecko bardzo go lubiłem.
2. Przy każdym posiłku serwetkę należącą do królewskiej wyprawy. Herb może zostać usunięty, jeśli jest to dla Pana istotne.

Oto moje żądania”.

Kilkakrotnie przeczytał list, zanim go wrzucił do ognia. Czuł się nim zaniepokojony, bo go nie rozumiał. Chłopiec coś knuł... a może nie? Do czego chciał użyć domu dla lalek swojej matki? O ile Peyna wiedział, znajdował się on gdzieś na zamku, pod zakurczonym pokrowcem, i nie widział powodów, dla których miałyby odmówić Peterowi. Oczywiście uprzednio zatrudniłoby się fachowca, żeby go dokładnie obejrzał i usunął zeń wszystkie ostre przedmioty — maleńkie nożyki i tym podobne rzeczy. Peyna przypomniał sobie, jak Peter zachwycał się domem Sashy, kiedy był mały. Pamiętał też, acz bardzo niejasno, jak Flagg upierał się, że zabawa lalkami nie jest odpowiednia dla chłopca, który pewnego dnia ma zostać królem. Roland nie usłuchał wtedy rady Flagga... bardzo mądrze, pomyślał Peyna, bo Peter we właściwym czasie sam przestał zajmować się domem.

Aż do dziś.

Czy oznaczało to, że zwariował?

Zdaniem Peyny, nie.

No a serwetka... to przynajmniej rozumiał. Peter zawsze domagał się serwetki przy każdym posiłku, zawsze starannie rozpościł ją na kolanach niczym maleńki obrus. Nawet podczas wypraw z ojcem zawsze używał serwetek. To dla

niego bardzo charakterystyczne — nie prosił o jedzenie lepsze niż ubogie racje, czego przede wszystkim żądałby każdy więzień ze szlacheckiego lub królewskiego rodu. Nie, prosił zamiast tego o serwetki.

To staranie, żeby zawsze być schludnym... zawsze mieć serwetkę... to wpływ jego matki. Jestem tego pewien, myślał Peyna. Czy te dwa żądania mają w jakiś sposób coś wspólnego? Ale co? Serwetki... i dom dla lalek Sashy. Co to ma znaczyć?

Peyna nie wiedział, ale nadal czuł absurdalną nadzieję. Pamiętał, że Flagg nie chciał, żeby Peter jako dziecko zatrzymał dom. Teraz, wiele lat później, chłopiec znowu o niego poprosił.

Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, zawarta w poprzednich, jak nadzieje w pierogu. Jej treść poważnie zaniepokoiła Peynę. Przypuśćmy — wyobraźmy sobie — że Peter nie zamordował ojca, to kto pozostał? Oczywiście osoba, która była pierwszym właścicielem ohydnej trucizny. Osoba, która stałaby się nikim w królestwie, gdyby Peter objął schedę po ojcu... a teraz stała się prawie wszystkim, gdy Thomas zasiadł na tronie zamiast Petera.

Flagg.

Ale myśl ta wzbudziła w Peynie niesmak. Oznaczała, że sprawiedliwość w jakiś sposób zblądziła, a to bardzo niedobrze. Sugerowała także, iż prosta logika, która zawsze stanowiła przedmiot jego dumy, znikła w odmętach obrzydzenia, jakie odczuł na widok łez Petera, i właśnie ta myśl — myśl, że podjął najważniejszą w swym życiu decyzję na podstawie emocji, nie faktów — była jeszcze gorsza.

Co komu szkodzi, że chłopak dostanie dom dla lalek, jeśli usunie się z niego wszystkie ostre przedmioty?

Peyna wziął przybory do pisania i skreślił krótki list. Beson otrzymał następne dwa guldeny do przepicia — ogólna suma wynosiła połowę tego, co miał dostawać rocznie, w zamian za drobne grzeczności dla księcia. Liczył tedy na dalszą korespondencję, ale się zawiódł.

Peter otrzymał już to, czego chciał.

W dzieciństwie Ben Staad był szczupłym, błękitnookim chłopcem o jasnych kręconych włosach. Dziewczęta wzdychały i chichotały na jego widok od czasu, gdy skończył dziewięć lat.

— To szybko minie — powiedział ojciec Bena. — Wszyscy Staadowie w wieku chłopięcym są urodziwi, ale dorósłszy, chłopak będzie wyglądał jak inni: włosy mu ściemnieją, wzrok się zepsuje i będzie miał tyle szczęścia, co tłusta świnia w królewskiej jatce.

Ale żadna z dwu pierwszych przepowiedni się nie sprawdziła. Ben był pierwszym od wielu pokoleń Staadem, którego włosy pozostały jasne, gdy osiągnął lat siedemnaście, i który potrafił odróżnić jastrzębia od krogulca z odległości czterystu metrów. Zamiast stać się żalonym krótkowidzem, Ben miał oczy niezwykle bystre... a dziewczęta nadal wzdychały i chichotały na jego widok, chociaż dawno już skończył dziewięć lat.

Jeśli zaś chodzi o szczęście... o, to zupełnie inna sprawa. Nie ulegało wątpliwości, że co najmniej od czterystu lat większość męskich potomków rodu Staadów miała pecha. W rodzinie Bena uważano, że może on wydobędzie bliskich ze szlachetnego ubóstwa. W końcu włosy mu nie ściemniały i nie stał się krótkowidzem, więc czemu miałby nie umknąć również złemu losowi? Przecież księżę Peter został jego przyjacielem, a pewnego dnia Peter będzie królem.

A potem Petera osądzono i skazano za zamordowanie ojca. Znalazł się w Iglicy, zanim ktokolwiek z zaskoczonych członków rodziny Staadów zdołał zrozumieć, co się dzieje. Ojciec Bena, Andrew, poszedł na koronację Thomasa i wrócił do domu z podrapanym policzkiem — skaleczeniem, o którym jego żona nie uznała za stosowne rozmawiać.

— Jestem pewien, że Peter jest niewinny — oznajmił Ben podczas kolacji. — Nie mam zamiaru uwierzyć...

Chwilę potem leżał na podłodze z obolałym uchem. Ojciec stał nad nim, zupa grochowa ciekła mu po wąsach, a twarz przybrała kolor prawie purpurowy,

mała zaś siostra Bena, Emmaline, zanosila się płaczem na swoim wysokim krzeselku.

— Nigdy więcej nie wymieniaj imienia tego mordercy w moim domu — nakazał ojciec.

— Andrew! — zawołała matka. — Andrew, on nie rozumie!...

Ojciec, zazwyczaj najłagodniejszy z ludzi, odwrócił głowę i spojrział na matkę Bena.

— Zamilcz, kobieto — rzekł i coś w jego głosie kazało jej usiąść. Nawet Emmaline przestała płakać.

— Ojciec — szepnęła Ben — nawet nie pamiętam dnia, kiedy ostatni raz mnie zbiłeś. Musiały już minąć lata, jak sądzę. I nie wydaje mi się, żebyś kiedykolwiek uderzył mnie w gniewie. Ale nie zmienię zdania. Nie wierzę...

Andrew Staad uniósł ostrzegawczo palec.

— Mówiłem, że nie wolno ci wymieniać jego imienia — rzekł — i tak ma być, Ben. Jesteś moim najukochańszym synem, ale jeśli wypowiesz jego imię, natychmiast opuścisz ten dom.

— Nie wypowiem go — odparł Ben, wstając — ale dlatego, że też cię kocham, tato. Nie dlatego, że się ciebie boję.

— Dość tego! — zawołała z rosnącym przerażeniem pani Staad. — Nie będziecie mi się tutaj tak kłócić! Chcecie mnie doprowadzić do szaleństwa?

— Nie, mam, nie martw się, już po wszystkim — zapewnił Ben. — Prawda, tato?

— Tak — rzekł ojciec. — Jesteś dobrym synem i zawsze nim byłeś, ale nigdy o nim nie mów.

Zdaniem Andrew Stada, istniały sprawy, o których nie powinien rozmawiać z synem. Mimo że Ben miał już lat siedemnaście, Andrew wciąż uważał go za małego chłopca. Zdziwiłby się niepomierne, gdyby się dowiedział, że syn rozumie doskonale, dlaczego ojciec go uderzył.

Zanim sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, jak to już wicie, przyjaźń Bena z księciem zaczęła wpływać na los Staadów. Ich farma w Centralnych Baroniach była ongiś bardzo duża. W ciągu ostatnich stu lat musieli sprzedawać ziemię kawałek po kawałku. Zostało im teraz mniej niż sześćdziesiąt rotek, z czego większość była oddana w zastaw.

Ale od dziesięciu lat sytuacja zaczęła się poprawiać. Bankierzy, dawniej surowi, okazywali się bardziej skłonni do prolongowania terminów spłat,

a nawet oferowali nowe pożyczki na niesłychanie korzystnych warunkach. Andrew Staada ogromnie bolało, gdy patrzył, jak ziemia jego przodków odpada od niego rolka po rolce, a najszcześniejszy okazał się dzień, gdy mógł pójść do Halvaya, właściciela sąsiedniej farmy, i powiedzieć mu, że zmienił zdanie i nie sprzedaje mu trzech rolek, które Halvay chciał kupić od dziewięciu lat. Wiedział też, komu zawdzięcza tę cudowną odmianę. Swemu synowi... synowi, który został bliskim przyjacielem księcia — następcy tronu.

A teraz Staadowie znowu stali się pechowami. Nie było to jednak wszystko; w takim wypadku po prostu wróciliby do dawniejszego życia, co zniósłby, nie będąc zmuszony uderzyć swojego syna przy obiedzie... czego już zaczynał się wstydić. Ale nie chodziło tylko o powrót do dawnej sytuacji. Sprawy się pogorszyły.

Czułość Andrew została uśpiona, gdy bankierzy zaczęli zachowywać się jak owce zamiast jak wilki. Zaciągnął spore pożyczki, niektóre na odkupienie ziemi ongiś sprzedanej, inne, żeby dokonać inwestycji — zbudował na przykład nowy wiatrak. Teraz był pewien, że bankierzy zrzucą owcze skóry, a farma przepadnie od razu, w całości; nie będzie tracił ziemi, jak dawniej, kawałek po kawałku.

Ale to nie wszystko. Jakiś instykt podpowiadał mu, żeby zakazać członkom swojej rodziny iść na koronację Thomasa, a on go usłuchał. Dziś cieszył się z tego.

Rzecz zdarzyła się po uroczystościach i prawdopodobnie powinien był to przewidzieć. Wszedł do karczmy na drinka przed powrotem do domu. Cała smutna sprawa morderstwa króla i uwięzienia Petera przygnębiła go ogromnie, więc zapragnął się napić. Ojca Bena znali wszyscy.

— Czy twój syn pomagał swemu przyjacielowi, Staad? — zawołał jeden z pijaków, po czym rozległ się nieprzyjemny śmiech.

— Czy przytrzymał naszego pana, gdy ksiądz wlewał mu do gardła płonące wino? — chciał wiedzieć drugi.

Andrew odstawił na w pół opróżniony kufel. Nie powinien tu przesiadywać. Musi wyjść. Jak najszybciej.

Ale zanim zdążył się wydostać na zewnątrz, trzeci pijak — olbrzym cuchnący niczym kupa gnijącej kapusty — wciągnął go z powrotem do środka.

— Ciekawe, co ty wiesz? — zapytał basem.

— Nic — odparł Andrew. — Nie wiem nic o tej sprawie i mój syn też nie. Chcę wyjść.

— Wyjdiesz wtedy, kiedy ci pozwolimy, jeżeli w ogóle — oświadczył olbrzym i pchnął go w ramiona oczekujących pijaków.

Zaczęła się szarpanina. Popychali Staada jeden do drugiego, raz uderzając go, raz szturchając łokciem, a czasem podstawiając mu nogę. Nikt nie odważył się uderzyć go pięścią, ale niewiele brakowało; widział w ich oczach, jak bardzo tego pragnęli. Gdyby było później, a oni bardziej pijani, mógłby znaleźć się w poważnych tarapatach.

Andrew nie był wysoki, ale miał szerokie bary i silne mięśnie. Oceniał, że w ucziwej walce dałby sobie radę z każdym z tej grupki nierobów — poza olbrzymem, chociaż może i temu udałoby się przetrzepać skórę. Jeden, dwóch, może nawet trzech... ale ich było razem ośmiu czy dziesięciu. Gdyby miał tyle lat co Ben, jego dumę i gorącą krew, być może zaatakowałby napastników. Ale skończył już czterdzieści pięć lat i nie bawiła go myśl o tym, że przywłókłby się do czekającej w domu rodziny zbity na kwaśne jabłko. To przeraziłoby domowników i sprawiło im ból, a zresztą co mu przyjdzie z tej bójkii? No cóż, wrócił z nową siłą odwieczny pech Staadów i trzeba mu się po prostu poddać. Barman stał, przyglądając się, nie robiąc nic, nie usiłując interweniować.

W końcu tamci pozwolili mu uciec.

Teraz bał się o żonę... córkę... a najbardziej o syna. Ben stanie się głównym celem ataków podobnych drabów. Gdyby zamiast mnie znalazł się tu Ben, pomyślał, pięści poszłyby w ruch. Pobiliby go do nieprzytomności... albo jeszcze gorzej.

Tak więc, dlatego że kochał syna i bał się o niego, uderzył go i zagroził, że wygna z domu, jeśli Ben kiedykolwiek wymieni imię księcia.

Ludzie są czasami dziwni.

Czego Ben nie zdążył zrozumieć w teorii na temat nowego stanu rzeczy, nauczył się w praktyce następnego dnia.

Zaprowadził sześć krów na targ i sprzedał je za dobrą cenę (handlarzowi, który go nie znał, inaczej cena nie okazałaby się tak korzystna). Wracał do bram miasta, gdy grupka włóczących się mężczyzn napadła na niego, wyzywając go od morderców, współników mordercy albo jeszcze gorzej.

Ben sprawił się znakomicie. W końcu pobili go dosyć poważnie — było ich siedmiu — ale zapłacili za tę przyjemność rozkwaszonymi nosami, podbitymi oczami i wyplutymi zębami. Ben podniósł się i wrócił do domu, pojawiając się w nim dopiero po zmroku. Bolało go wszystko, ale ogólnie rzecz biorąc, czuł się raczej zadowolony z siebie.

Ojcu wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się domyślić, co się stało.

— Powiedz matce, że upadłeś — rzekł.

— Tak, tato — odparł Ben, wiedząc, że matka nie uwierzy w coś takiego.

— A teraz ja będę prowadził krowy na targ, zawoził zboże czy co tam trzeba... przynajmniej zanim przyjdą bankierzy i zabiorą nam wszystko.

— Nie, tato — powiedział Ben równie spokojnie, jak przedtem wyrzekł „tak”. Jak na młodego człowieka, który dopiero co dostał tęgie lanie, znajdował się w bardzo dziwnym nastroju, prawie wesołości.

— Co to znaczy „nie”? — spytał zaskoczony ojciec.

— Jeśli ucieknę albo ukryję się, przyjdą po mnie. Jeśli będę się bronił, w końcu się znudzą i znajdą sobie inną rozrywkę.

— Jeżeli któryś z nich wyciągnie nóż zza cholewy — wyraził swoją największą obawę Andrew — nie dożyjesz tej chwili.

Ben objął ojca i mocno go przytulił.

— Człowiek nie oszuka bogów — powiedział, cytując jedno z najpopularniejszych porzekadeł w Delainie. — Sam wiesz, tato. A ja będę walczył za P... za tego, kogo nie pozwalasz mi nazywać po imieniu.

Ojciec popatrzył na niego ze smutkiem i zapytał:

— Nigdy w niego nie zwątpisz?

— Nie — odparł z uporem Ben. — Nigdy.

— Myślę, że zanim się obejrzałem, stałeś się mężczyzną — powiedział ojciec. — Szkoda, że nastąpiło to za sprawą ulicznych bójek z ciemnymi typami. Ale nadchodzą złe czasy dla Delainu.

— Tak — zgodził się Ben. — Złe i smutne.

— Niech ci bogowie dopomagają — rzekł Andrew — i niech mają litość nad tą nieszczęśliwą rodziną.

Thomas został ukoronowany pod koniec długotrwałej, ostrej zimy. W piętnastym dniu jego panowania ostatnia z wielkich zamieci spadła na Delain. Śnieg sypał szybko i gęsto, a jeszcze długo po zapadnięciu zmroku wyl wiatr, tworząc zasy wielkie niczym wydmy.

O dziewiątej wieczorem tego nieprzyjemnego dnia, gdy już wszyscy rozsądni ludzie wrócili do domów, czyjaś pięć zastukała do drzwi Staadów. Uderzenia nie były lekkie ani nieśmiałe; zabrzmiały mocno i stanowczo na solidnym dębowym drewnie. „Niech no ktoś tu podejdzie, ale szybko — mówiły. — Nie mam czasu”.

Andrew i Ben czytali przy kominku. Susan Staad, żona Andrew, a matka Bena, ulokowała się pomiędzy nimi, pracując nad makatką, na której po ukończeniu miał widnieć napis: BOŻE, BŁOGOSŁAW KRÓLA. Emmaline od dawna już spała. Usłyszawszy stukanie, wszyscy troje podnieśli głowy, a potem popatrzyli na siebie. Wzrok Bena wyrażał tylko ciekawość, ale Andrew i Susan natychmiast poczuli instynktowny lęk.

Andrew wstał i włożył do kieszeni okulary, których używał do czytania.

— Tato? — odezwał się pytająco Ben.

— Ja otworzę — rzekł Andrew.

Może to tylko jakiś szukający schronienia podróżnik, który się zgubił w ciemnościach, pomyślał z nadzieją, ale gdy otworzył drzwi, na ganku zobaczył silnego i barczystego królewskiego żołnierza w skórzanym hełmie bojowym. U pasa żołnierz miał krótki miecz.

— Twój syn — powiedział, a Andrew poczuł, że nogi się pod nim uginają.

— Czego od niego chcesz?

— Przychodzę od Peyny — rzekł żołnierz, a Andrew zrozumiał, że nie otrzyma dalszych wyjaśnień.

— Tato? — odezwał się Ben zza jego pleców.

Nie, pomyślał żałośnie Andrew, to już za wielki pech, nie zabierajcie mojego syna...

— Czy to ten?

Zanim Andrew zdążył zaprzeczyć — chociaż nie przyniosłoby to większego pożytku — Ben wystąpił naprzód.

— Ja jestem Ben Staad — powiedział. — Czego ode mnie chcecie?

— Pójdiesz ze mną — odparł żołnierz.

— Dokąd?

— Do domu Andersa Peyny.

— Nie! — krzyknęła matka od drzwi ich niedużej bawialni. — Nie, jest późno, zimno, na drogach pełno śniegu...

— Mam sanie — rzekł nieustępliwie żołnierz, a Andrew Staad zobaczył, że jego ręka spoczęła na rękojeści miecza.

— Pójdę — powiedział Ben, sięgając po płaszcz.

— Ben... — zaczął Andrew, myśląc: Nigdy już go nie zobaczymy, zabierają go, bo przyjaźnił się z księciem.

— Wszystko będzie dobrze, tato — odparł Ben i uściśnął ojca.

A gdy Andrew poczuł silne ramiona syna, prawie w to uwierzył. Ale, pomyślał, on jeszcze nie wie, co to strach. Nie nauczył się, jak okrutny potrafi być świat.

Andrew Staad objął ramieniem żonę. Stali w drzwiach i patrzyli, jak Ben i żołnierz przedierają się przez zasy do sań, które majaczyły w mroku, połyskując zapalonymi po obu stronach latarniami. Żadne z nich nie odezwało się, gdy Ben wsiadał z jednej strony, a żołnierz z drugiej.

Jeden żołnierz, pomyślał Andrew, nie jest najgorzej. Może chcą go tylko przesłuchać. O Boże, żeby się okazało, że to tylko przesłuchanie!

Staadowie stali w milczeniu pośród wirujących u ich stóp płatków śniegu, gdy sanie odjeżdżały, migocząc latarniami i pobrzękując dzwonekami.

Gdy znikły, Susan wybuchnęła płaczem.

— Nigdy już go nie zobaczymy — załkała. — Nigdy! Nigdy! Zabrali go! Przeklęty Peter! Niech go diabli wezmą za to, co zrobił naszemu synowi! Niech go diabli! Niech go diabli!

— Cśś, matko — powiedział Andrew, obejmując ją. — Cicho. Zobaczymy go, zanim nadejdzie ranek. A najpóźniej w południe.

Ale ona usłyszała, że głos mu drży, i zaczęła jeszcze bardziej lamentować. Jej płacz (a także przeciąg z otwartych drzwi) obudził małą Emmaline i dopiero po długim czasie udało się ją ukołysać do snu. W końcu Susan zasnęła razem z córką w małżeńskim łóżu.

Andrew Staad nie zmrzążył oka tej nocy.

Siedział przy kominku, podtrzymywany bezrozumną nadzieją, ale w głębi serca przeczuwał, że już nigdy więcej nie ujrzy syna.

Godzinę później Ben Staad stał w gabinecie Andersa Peyny. Czuł ciekawość, odrobinę podziwu, ale nie strach. Uważnie wysłuchał tego, co Peyna miał mu do powiedzenia, a potem rozległ się brzęk monet przechodzących z rąk do rąk.

— Zrozumiałeś wszystko, chłopcze? — zapytał Peyna surowym głosem, jakiego używał na sali sądowej.

— Tak, panie.

— Muszę mieć pewność. Ta sprawa to nie zabawa w Indian. Powtórz, co masz zrobić.

— Iść do zamku i znaleźć Dennisa, syna Brandona.

— A jeśli Brandon się wtrąci? — zapytał ostro Peyna.

— Mam powiedzieć, żeby porozmawiał z panem.

— Tak jest — rzekł Peyna, siadając wygodniej w fotelu.

— Mam nie mówić: „Proszę to wszystko zachować w sekrecie”.

— Aha — przytaknął Peyna. — Wiesz dlaczego?

Ben zastanawiał się ze spuszczoną głową. Peyna dał mu na to chwilę. Podobał mu się ten chłopiec; wyglądał na opanowanego i odważnego. Wielu innych, znalazłszy się w środku nocy przed obliczem Peyny, trzęsłoby się ze strachu jak galareta.

— Bo gdybym powiedział coś takiego, doniesie prędezej, niż jeśli nie powiem nic — rzekł w końcu Ben.

Na ustach Peyny pojawił się lekki uśmiezek.

— Dobrze. Co dalej?

— Dał mi pan dziesięć guldenów. Dwa ma dostać Dennis: jednego dla siebie, drugiego dla osoby, która znajdzie dom dla lalek, należący niegdyś do matki Petera. Pozostałych osiem przeznaczone jest dla Besona, głównego strażnika. Ktokolwiek znajdzie dom, przekaże go Dennisowi. Dennis doręczy go mnie. Ja oddam go Besonowi. Serwetki zaś zanieś Besonowi sam Dennis.

— Ile?

— Dwadzieścia jeden co tydzień — odpowiedział szybko Ben. — Serwetki z wyprawy królewskiej, ale bez herbu. Pański człowiek zatrudni kobietę, która będzie go usuwać. Od czasu do czasu przyśle pan kogoś do mnie z pieniędzmi dla Dennisa albo Besona.

— Ale nic dla ciebie? — zapytał Peyna. Raz już oferował chłopakowi pieniądze, lecz Ben odmówił.

— Nie. To chyba już wszystko.

— Jesteś bystry.

— Żałuję tylko, że nic więcej nie mogę zrobić.

Peyna wyprostował się, a jego twarz przybrała surowy wyraz.

— Nie wolno ci i nie zrobisz nic — rzekł. — To jest wystarczająco niebezpieczne. Wyświadczasz przysługę człowiekowi, który został skazany za popełnienie ohydny morderstwa, drugiego co do ohydy, jakie człowiek może popełnić.

— Peter jest moim przyjacielem — oświadczył Ben z godną podziwu prostotą.

Anders Peyna uśmiechnął się lekko i uniosł palec, aby wskazać nim na powoli niknące zdrapania i siniaki na twarzy Bena.

— Domyślam się — rzekł — że zdążyłeś już zacząć płacić za tę przyjaźń.

— Zapłacę tysiąc razy więcej — odparł Ben. Zawahał się na chwilę, a potem powiedział śmiało: — Nie wierzę, że Peter zabił ojca. Kochał króla Rolanda tak, jak ja kocham swojego tatę.

— Naprawdę? — zapytał z pozorną obojętnością Peyna.

— Oczywiście! — zawołał Ben. — Czy pan wierzy, że on zamordował ojca? Naprawdę pan w to wierzy?

Na twarzy Peyny pojawił się tak chłodny i zacięty uśmiech, że zdołał ostudzić nawet gorącą krew Bena.

— Gdybym nie wierzył, uważałbym, komu o tym mówię — odrzekł sędzia. — Bardzo bym się pilnował. Inaczej mogłoby się zdarzyć, że wkrótce poczułbym na szyi zimny topór kata.

Ben patrzył na niego w milczeniu.

— Mówisz, że jesteś jego przyjacielem, i wierzę ci. — Peyna wyprostował się na fotelu i wymierzył w Bena palec. — Jeśli tak jest naprawdę, rób po prostu to, o co cię poprosiłem, i nic więcej. Jeżeli jego tajemnicze żądania pozwalają ci się domyślać, w jaki sposób mógłby się uwolnić, a po twojej twarzy widzę, że tak jest, porzuć te przypuszczenia.

Zamiast zadzwonić po Arlena, Peyna sam odprowadził chłopca do tylnych drzwi. Żołnierz, który go tu dziś przyprowadził, jutro znajdzie się w drodze do Zachodniej Baronii.

W drzwiach Peyna powiedział:

— Pamiętaj, nie waż się ani o włos odstąpić od tego, co ci każę zrobić. Jak widać po twoich siniakach, przyjaciele Petera nie są dzisiaj w Delainie cenieni.

— Będę walczył! — zawołał gorąco Ben. — Z każdym z osobna i ze wszystkimi naraz!

— Aha — rzekł Peyna, wciąż z tym samym chłodnym i zaciętym uśmiechem. — Tylko że to nie koniec burz nad Delainem, lecz dopiero początek. — Otworzył drzwi; zawiało śniegiem. — Wracaj teraz do domu, Ben. Myślę, że rodzice bardzo się ucieszą na twój widok.

Delikatnie powiedziane. Rodzice w nocnej bieliźnie czekali przy drzwiach, gdy Ben je otwierał. Usłyszeli brzęczenie dzwonek zbliżających się sań. Matka, płacząc, chwyciła go w objęcia. Ojciec, czerwony, ze łzami w oczach ścisnął mu dłoń, aż zaczęła go boleć. Ben przypomniał sobie słowa Peyny: „To nie koniec burz nad Delainem, lecz dopiero początek”.

A nieco później, leżąc w łóżku z rękami pod głową, patrząc w mrok i słuchając poświstywania wiatru, Ben zdał sobie sprawę, że Peyna właściwie pominął jego pytanie — nie powiedział, czy wierzy, że Peter jest winny.

Siedemnastego dnia panowania Thomasa syna Brandona, Dennis, dostarczył pierwszych dwadzieścia jeden serwetek do Iglicy. Przyniósł je z magazynu, którego nie znali ani Peter, ani Thomas, ani też Ben Staad czy nawet sam Peyna — chociaż wszyscy mieli się o nim dowiedzieć, zanim zakończy się ponura sprawa uwięzienia Petera. Dennis wiedział o magazynie, gdyż był synem lokaja z rodziny piastującej to stanowisko od wielu pokoleń, ale ponieważ nie ceni się tego, co się zna, nie zastanawiał się zbyt nad miejscem, z którego przynosił serwetki. Porozmawiamy sobie jeszcze później o tym pomieszczeniu; teraz powiem wam tylko, że wszyscy byliby zachwyceni, widząc je, zwłaszcza Peter. Gdyby bowiem wiedział o tej sali, dla Dennisa najwykleszej w świecie, spróbowałby pewnie ucieczki ni mniej, ni więcej, tylko trzy lata wcześniej... i wiele mogłoby się zmienić na dobre albo na złe.

Królewski herb usuwała z każdej serwetki kobieta, którą Peyna zatrudnił z powodu jej zręczności w posługiwaniu się igłą oraz małomówności. Codziennie zasiadała w bujanym fotelu tuż za drzwiami do magazynu i wypruwała ścięgi zrobione wiele lat temu. Gdy się tym zajmowała, usta jej zaciskały się nie tylko dlatego, że była małomówna; prucie tak pięknych haftów wydawało jej się prawie świętokradztwem, ale w rodzinie się nie przelewało, a pieniądze od Peyny okazały się zgoła darem niebios. Tak więc siedziała, nie wiedząc, że będzie to czynić przez parę ładnych lat, pochylając się nad robotą jak jedna z tych niesamowitych sióstr, o których może słyszeliście w innej bajce. Nie rozmawiała z nikim o swej codziennej niszczyielskiej działalności, nawet z własnym mężem.

Serwetki pachniały dziwnie — nie pleśnią, ale raczej lekką stęchlizną, jakby od dawna ich nie używano — ale poza tym nie miały żadnych widocznych wad; każda miała wymiary pięćdziesiąt na pięćdziesiąt centymetrów, co wystarczało, żeby przykryć kolana nawet najbardziej zamięłowanego smakosza.

Pierwsza dostawa serwetek miała w sobie coś z komicznego przedstawienia. Dennis kręcił się koło Besona, oczekując napiwku. Beson pozwolił mu na to, gdyż spodziewał się, że prędzej czy później ten nierozgarnięty chłopak da mu parę groszy. Obaj doszli wreszcie do wniosku, że nie mogą się tego po sobie nawzajem spodziewać. Dennis skierował się do wyjścia, a Beson pomógł mu kopniakiem. To wywołało wybuch śmiechu obu strażników. Potem, ku ich jeszcze większej ucieście, Beson udawał, że wyciera sobie siedzenie serwetką, ale pilnował się, żeby nie zrobić tego naprawdę — w końcu w tej sprawie brał udział Peyna, a z nim należało uważać.

Ale może Peyna nie utrzyma się długo. W gospodach i winiarniach Beson zaczął słyszeć szept, że cień Flagga padł na Sędziego Najwyższego i że jeśli Peyna nie zachowa ostrożności, może wkrótce oglądać procedurę sądową z jeszcze wyższego miejsca niż ława, na której zwykle zasiadał, patrząc w okno, mówili żartownisie, zasłaniając dłonią usta — z jednego z kalców na murze zamkowym.

Osiemnastego dnia panowania Thomasa na przyniesionej tego ranka tacy ze śniadaniem dla Petera leżała pierwsza serwetka. Była tak wielka, a posiłek tak skąpy, że go zupełnie przykryła. Peter uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili, gdy przybył do swego zimnego, wysoko ponad ziemią położonego więzienia. Policzki i podbródek pokrywał mu cień brody, która miała urosnąć na bujną i długą w tych dwóch pełnych przeciągów pokojach, i wyglądał naprawdę na podejrzaną osobę... dopóki się nie uśmiechnął. Uśmiech rozjaśnił mu twarz niczym latarnia i można sobie było wyobrazić, jak na jego widok żołnierze wiwatują podczas bitwy.

— Ben — mruknął, podnosząc serwetkę za róg. Ręka drżała mu nieco. — Wiedziałem, że ci się uda. Dziękuję, przyjacielu.

Pierwszą rzeczą, do jakiej Peter użył owej serwetki, było otarcie łez, które płynęły mu obficie po policzkach.

Nagle otwarto judasza w solidnych drewnianych drzwiach. Dwaj strażnicy ukazali się w otworze niczym dwie głowy papugi Flagga, wciskając się, nieogolony policzek przy nieogolonym policzku, w ciasną przestrzeń.

— Mam nadzieję, że dzidzia nie zapomni wytrzeć sobie buzi! — zawołał jeden z nich skrzekliwym głosem.

— Żeby tylko dzidzia nie zapomniała sobie wytrzeć jajeczka z ubranka! — krzyknął drugi, po czym obaj wybuchnęli szyderczym rechotem.

Peter spojrział na nich, a uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Strażnicy dostrzegli to i przestali dowcipkować. Było w nim coś, co kazało im zamilknąć.

W końcu zamknęli judasza i zostawili Petera samego. Z obiadem przyniesiono następną serwetkę. A kolejną z kolacją.

Serwetki docierały do samotnej celi Petera przez następnych pięć lat.

Dom dla lalek przybył trzydziestego dnia panowania Thomasa Dawcy Światła. Przy drogach pojawiły się już modraki, te pierwsze zwiastuny wiosny (które my nazywamy bławatkami), tworząc urocze bukieciki. Thomas zaś zdążył już zatwierdzić podwyżkę podatku dla farmerów, która szybko została przezwana Czarnym Podatkiem Toma. Zgodnie z nowym dowcipem opowiadany w karczmach i winiarniach, król wkrótce zmieni swój przydomek na Dawcę Podatków. Zwyczajka wynosiła nie osiem procent, co byłoby sprawiedliwe, ani osiemnaście, co dałoby się wytrzymać, ale osiemdziesiąt. Thomas z początku miał pewne wątpliwości, ale Flagg szybko je rozwiął.

— Musimy policzyć im wyższe podatki od tego, do czego się przyznają, żeby przynajmniej odzyskać to, co nam się należy, bo przecież oni ukrywają swoje prawdziwe dochody przed poborcą — wyjaśnił Flagg.

Thomas oszołomiony winem, które płynęło teraz na dworze strumieniami, skinął głową, przybierając, jak miał nadzieję, mądry wyraz twarzy.

Peter w tym czasie zaczął się lękać, że przez tyle lat dom dla lalek gdzieś się zagubił — i był bliski prawdy. Ben Staad polecił Dennisowi go znaleźć. Po kilku dniach bezskutecznych poszukiwań Dennis zawierzył sekret swemu ukochanemu ojcu — jedynej osobie, której odważyłby się zaufać w tak poważnej sprawie. Brandon potrzebował jeszcze pięciu dni, żeby znaleźć dom w jednym z pomniejszych magazynów na dziewiątym piętrze w Zachodniej Wieży, gdzie ukryte pod starym (i lekko nadjeżdżonym przez mole), poszarzałym pokrowcem ukrywały się jego wesołe sztuczne trawniki i rozległe skrzydła. Całe oryginalne wyposażenie pozostało nienaruszone i przez trzy dni Brandon, Dennis oraz specjalnie wybrany przez Peynę żołnierz usuwali z niego wszystkie ostre przedmioty. Wreszcie dom został wniesiony przez dwóch paziów, którzy w pocie czoła wspinali się po trzystu stopniach, dźwigając ciężki, nieporęczny przedmiot, przybity do deski. Beson podążał tuż za nimi, klnąc i grożąc straszliwymi konsekwencjami, czekającymi ich, gdyby upuścili dom. Pot spływał im strumieniami po twarzach, ale nie odzywali się słowem.

Gdy otwarto drzwi więzienia i wniesiono dom dla lalek, Peterowi aż dech zaparło z zaskoczenia — nie tylko dlatego, że dom wreszcie się tu znalazł, lecz także dlatego, że jednym z niosących go chłopców był Ben Staad.

Nie zdradź się! — błysnął oczami Ben.

Nie patrz na mnie zbyt długo — odpowiedział spojrzeniem Peter.

Peyna byłby zaskoczony, gdyby zobaczył, że mimo jego rady Ben się tu pojawił. Zapomniał on, że rozsądek starszych, znających świat ludzi niewiele ma wspólnego z logiką, jaką kieruje się serce chłopca, jeśli jest ono wielkie, dobre i pełne przywiązań. Serce Bena miało wszystkie te trzy cechy.

Zastąpienie jednego z paziów, którzy mieli zanieść dom na szczyt Iglicy, stanowiło rzecz najłatwiejszą w świecie. Za guldena — prawdę mówiąc, wszystkie pieniądze, jakie Ben posiadał — Dennis mu to załatwił.

— Nie mów o tym swojemu ojcu — ostrzegł Ben Dennisa.

— Dlaczego nie? — zapytał Dennis. — Mówię ojcu prawie wszystko... a ty nie?

— Kiedyś tak — powiedział Ben, pamiętając, jak ojciec zabronił mu wymieniać w domu imię Petera. — Ale gdy dorastasz, czasami się to zmienia. Jakkolwiek by było, nie wolno ci mu o tym mówić, Dennis. On może zawiadomić Peynę, a ja znajdę się wtedy w poważnych kłopotach.

— Zgoda — obiecał Dennis. I dotrzymał słowa. Ciężko przeżył oskarżenie, a potem skazanie pana, którego bardzo kochał. W ciągu ostatnich paru dni Ben zaczął stopniowo zajmować puste miejsce w jego sercu.

— To świetnie — rzekł Ben i klepnął Dennisa po plecach. — Chcę go widzieć przez chwilę i podnieść go na duchu.

— Był twoim najlepszym przyjacielem, tak?

— Jest nim nadal.

Dennis patrzył na niego zaskoczony.

— Jak możesz uważać człowieka, który zamordował własnego ojca, za swojego przyjaciela?

— Bo nie wierzę, że to zrobił — odparł Ben. — A ty?

Ku bezbrzeżnemu zdumieniu Bena Dennis wybuchnął płaczem.

— Serce mówi mi to samo, a jednak...

— Więc go słuchaj — rzekł Ben i uściskał Dennisa niezgrabnie. — A teraz wytrzymaj gębę, zanim ktoś zobaczy, że mażesz się jak mała dzidzia.

— Zanieście to do drugiego pokoju — powiedział Peter, gdy obaj pojawili się w więzieniu, przerażony drżeniem własnego głosu.

Beson nie zauważył tego; zbyt był zajęty wymyślaniem obu chłopcom za ich powolność, głupotę, samo istnienie. Odtransportowali dom do sypialni i postawili go na podłodze. Jeden z paziów, ten o niezbyt inteligentnej twarzy, opuścił swój koniec za szybko i raptownie. Rozległ się cichy trzask, jakby coś się w środku złamało. Peter skrzywił się boleśnie. Beson dał chłopakowi szturchańca — ale czyniąc to, uśmiechał się. To była pierwsza przyjemność, jaka mu się przytrafiła, od chwili gdy chłopcy pojawili się z tą przeklętą przesyłką.

Gamoniowaty chłopak wyprostował się, pocierając policzek, który zaczynał już puchnąć, i gapił się na Petera ze szczerym zdziwieniem i strachem, otwierając przy tym szeroko usta; Ben pozostał jeszcze przez chwilę na kolanach. Przed frontowymi drzwiami domku leżała maleńka plecionka z trzciny — coś, co my nazwalibyśmy wycieraczką, jak sądzę. Przez krótką chwilę Ben zatrzymał nad nią kciuk i popatrzył Peterowi w oczy.

— A teraz się wynoście! — krzyknął Beson. — Obaj wynocha! Wracajcie do domów i przeklnijcie wasze matki za to, że wydały na świat takich powolnych, niezdarnych głupków!

Chłopcy przeszli koło Petera — prostak, odsuwając się od niego, jak gdyby książe mógł zarazić go jakąś chorobą. Wzrok Bena napotkał raz jeszcze oczy Petera, a ten zadrżał, widząc, ile zawiera on w sobie serdeczności. Po chwili już chłopaków nie było.

— Więc masz go w końcu, moje książątko — powiedział Beson. — A czego teraz zechcesz? Sukieneczek z falbankami? Jedwabnych majtek?

Peter odwrócił się powoli i popatrzył na Besona. W jego wzroku było coś wzbudzającego lęk i Beson musiał sobie przypomnieć, że baba czy też nie, Peter sprawił mu lanie, po którym przez dwa dni bolały go żebra, a przez tydzień miał zawroty głowy.

— No, to twoja sprawa — mruknął. — Ale skoro już go masz, mógłbym skombinować ci lepszy stół. I krzesło, żebyś miał na czym usiąść, gdy... — skrzywił się — ...gdy będziesz się nim bawił.

— A ile to będzie kosztowało?

— Tylko trzy guldeny.

— Nie mam więcej pieniędzy.

— Ale znasz potężne osobistości.

— Już nie — odparł Peter. — Wyświadczone mi przysługę za przysługę, to wszystko.

— To siedź na podłodze i odmroź sobie tyłek, niech cię diabli! — rzucił Beson i wyszedł z pokoju. Strumyczek guldenów, który spływał do jego kieszeni od chwili, gdy Peter pojawił się w Iglicy, najwyraźniej wysechł. Wprawiło to Besona w zły humor na wiele dni.

Peter odczekał, aż rozlegnie się zgrzytanie zamków i zasuw, a potem podniósł trzciniową matę, którą Ben potarł kciukiem. Pod spodem znalazł kwadracik papieru nie większy niż znaczek pocztowy. Obie strony zostały zapisane gęstym maczkiem. Litery były bardzo małe; Peter z trudnością je odczytał i domyślał się, że Ben pisał, używając szkła powiększającego.

„Peter! Zniszcz to po przeczytaniu. Nie wierzę, że to zrobiłeś. Inni z pewnością też tak myślą. Nadal jestem Twoim przyjacielem. Kocham Cię jak zawsze. Dennis też nie wierzy. Jeśli mogę okazać się pomocny, skontaktuj się ze mną przez Peynę. Bądź dzielny”.

Podczas czytania listu oczy Petera wypełniły się ciepłymi łzami wdzięczności. Moim zdaniem, prawdziwa przyjaźń zawsze wyzwala w nas takie serdeczne uczucia, bo świat zazwyczaj wydaje się surową pustynią, a kwiaty, które na nim kwitną, czynią to wbrew naturze.

— Poczciwy Ben! — szeptał Peter. Jego wezbrane serce nie podsunęło mu innych słów — Kochany Ben! Kochany Ben!

Po raz pierwszy nieśmiało pomyślał, że jego plan, szalony i niebezpieczny, ma szansę na realizację.

Potem wrócił do sprawy listu. Ben zaryzykował życie, żeby go napisać. Był szlachcicem — prawie — ale w jego żyłach nie płynęła królewska krew; tak więc nic nie chroniło go przed toporem kata. Gdyby Beson albo któryś z jego szakali znalazł ten list, domyśliliby się, że jego autorem jest któryś z chłopców transportujących dom dla lalek. Prostak nie wyglądał na kogoś, kto potrafiłby przeczytać litery nawet w książce dla dzieci, a już na pewno nie zdołałby napisać tak małych. Tak więc uwaga strażników skierowałaby się na drugiego chłopca, a wówczas Ben znalazłby się niebezpiecznie blisko katowskiego topora.

Peterowi udało się wymyślić tylko jeden pewny sposób pozbycia się listu i nie zawahał się przed zastosowaniem go; zgniótł papierek między kciukiem a palcem wskazującym prawej ręki, a potem połknął.

Jestem pewien, że zdążyliście się już domyślić, jak wyglądał plan ucieczki, ułożony przez Petera, bo wiecie o wiele więcej niż Peyna, gdy czytał jego list. Jednak nadszedł czas, żeby powiedzieć wam o tym wprost. Peter chciał użyć bawełnianych nici, żeby zrobić z nich linę. Nitki miały oczywiście pochodzić z brzegów serwetek. Po linie spuści się na dół i w ten sposób ucieknie. Śmiejecie się pewnie z tego pomysłu. Uciekać ze stumetrowej wieży po linie z nitek wyciągniętych z serwetek, powiecie. Któryś z was oszalał, autor albo Peter!

Nic podobnego. Peter zdawał sobie sprawę, jak wysoko wznosiła się Iglica, i sądził, że nie powinien wypruć za dużo nitki z każdej serwetki. Jeśli będzie ich brakowało zbyt wiele, ktoś może się tym zainteresować. Niekoniecznie główny strażnik; na przykład praczka zdziwi się, że serwetki zaczęły się zmniejszać. Powie to przyjaciółce... która z kolei przekaże to innej... i tak plotka się rozniesie... ale to nie ewentualnym spostrzeżeniem Besona martwił się Peter. Beson, prawdę mówiąc, nie grzeszył inteligencją. Odznaczał się nią za to Flagg. Flagg zabił ojca... i słuchał, co w trawie piszczy.

Wielka szkoda, że Peter nigdy nie zastanowił się nad lekkim zapachem stęchlizny, jaki wydzielają serwetki, ani nie zapytał, czy zwolniono osobę zatrudnioną do usuwania z nich królewskich herbów, gdy już ich wyprała kilkadziesiąt, czy też pracuje ona nadal — ale oczywiście miał wiele innych zmartwień. Zauważył oczywiście, że serwetki są bardzo stare, co stanowiło duży plus — mógł zabierać z każdej z nich o wiele więcej włókien, niż przypuszczał w najśmielszych marzeniach. Ale że ich liczbę dałoby się znacznie zwiększyć, dowiedział się o wiele później.

Mimo to już słyszę, jak mówicie: to niemożliwe, by zrobić z nitki wyprutej z serwetki linę, która sięgnie z okna najwyższej celi w Iglicy do jej stóp. Linę, która utrzyma osiemdziesiąt kilogramów. Wciąż nam się wydaje, że autor nie mówi serio!

Ci z was, którzy tak myślą, zapomnieli o domu dla lalek... i znajdującym się w nim warsztacie tkackim, tak miniaturowym, że nitki z serwetek doskonale

pasowały do maleńkiego czółenka. No i zapomnieli też, że wszystko w domu dla lalek było nieduże, lecz działało doskonale. Usunięto wszelkie ostre rzeczy, w tym nóż, ale reszta pozostała nietknięta.

I właśnie ten dom, co do którego dawno temu Flagg miał niejasne wątpliwości, dostarczył teraz Peterowi jedynej realnej szansy ucieczki.

Musiałbym być o wiele zdolniejszym pisarzem, niż — jak sądzę — jestem, żeby zdołać wam opowiedzieć, jak Peter przeżył owych pięć lat, które spędził na szczycie Iglicy. Jadł, spał, wyglądał przez okno wychodzące na zachodnią część miasta; rano, w południe i wieczorem gimnastykował się; śnił sny o wolności. Latem w jego apartamencie panowała siękota. Zimą mróz. Podczas drugiej zimy złapał ciężką grypę, która o mało nie pozbawiła go życia.

Z wysoką temperaturą i kaszlem Peter leżał w łóżku. Najpierw bał się tylko, że w gorączce zacznie majaczyć na temat liny, której zgrabny zwój leżał pod dwoma kamieniami we wschodniej części pokoju sypialnego. Gdy temperatura podniosła się jeszcze, lina utkana na maleńkim warsztacie stała się mniejszym problemem — zaczął się obawiać, że nie przeżyje.

Beson i jego podwładni byli o tym przekonani. Prawdę mówiąc, robili zakłady, kiedy to nastąpi. Pewnej nocy, jakiś tydzień od wystąpienia gorączki, gdy na dworze zaczął szaleć wiatr, a temperatura spadła do zera, Peterowi pojawił się we śnie Roland. Peter był przekonany, że przybył on po to, żeby go zabrać na Dalekie Pola.

— Jestem gotów, tato! — krzyknął. W malignie nie wiedział, czy powiedział to we śnie, czy na głos. — Idę!

— Jeszcze nie umierasz — odrzekł ojciec, będący snem... albo wizją... a może czymś jeszcze innym. — Masz wiele do zrobienia, Peter.

— Ojciec! — zawołał Peter.

Głos jego zabrzmiał tak donośnie, że strażnicy pod nim, nie wyłączając Besona, zadrżeli, myśląc, iż Peter widzi dymiącego ducha zamordowanego króla Rolanda, który przyszedł zabrać duszę syna do piekła. Tej nocy przestali się zakładać, a jeden z nich poszedł następnego dnia do Świątyni Wielkich Bogów i nawrócił się, a później został kapłanem. Nazywał się Curran; może kiedyś opowiem wam jego historię.

Peter rzeczywiście w pewien sposób widział ducha — chociaż nie potrafię powiedzieć, czy zobaczył cień ojca w rzeczywistości, czy też pojawił się on tylko

w jego wyobraźni.

Głos więźnia przeszedł w mamrotanie i strażnicy nie dosłyszeli reszty.

— Tak tu zimno... a mnie jest tak gorąco.

— Biedaku — powiedział ojciec. — Przeszedłeś ciężką próbę, czeka cię zaś jeszcze niejedna. Ale Dennis będzie wiedział...

— Co? — wysapał Peter. Policzki mu płonęły, za to czoło miał białe jak stearyna ze świecy.

— Dennis będzie wiedział, dokąd poszedł lunatyk — szepnął ojciec i znikł.

Peter zapadł w omdlenie, które wkrótce przeszło w głęboki, zdrowy sen. Podczas niego spadła mu gorączka. Chłopak, który w ostatnim roku wykonywał codziennie sześćdziesiąt pompek i sto skłonów, zbudził się następnego ranka zbyt słaby, żeby wstać... ale wróciła mu jasność umysłu.

Beson i jego strażnicy poczuli się rozczarowani. Ale po tej nocy zaczęli traktować Petera z lęklwym podziwem i starali się nie podchodzić do niego za blisko.

Co, oczywiście, znakomicie ułatwiło mu pracę.

Wszystko to opisuje się całkiem prosto, chociaż wolałbym móc powiedzieć z całą pewnością, czy Peterowi ukazał się duch, czy też nie. Ale podobnie jak w innych sprawach, będących częścią większej opowieści, sami musicie o tym zdecydować.

Jak mam wam jednak opowiedzieć o nieskończenie żmudnej pracy przy miniaturowym warsztacie? To przerasta moje możliwości. Jak opisać wszystkie te godziny, podczas których czasem mróz zamieniał oddech w parę, a innym razem upał sprawiał, że twarz sphywała potem, jak zawrzcć w słowach ciągły strach przed wykryciem; wszystkie te długie godziny, gdy jedynym towarzystwem były Peterowi własne myśli i prawie absurdalna nadzieja? Mogę wam przedstawić różne szczegóły, ale nie potrafię odzwierciedlić tych godzin i dni, podczas których czas zwalnia bieg, lecz prawdopodobnie nie zdołały tego uczynić nikt, może tylko któryś z wielkich opowiadaczy, należących do wymarłego już dzisiaj gatunku. Jest jednak coś, co w pewien sposób mogłoby dać wyobrażenie o tym, ile czasu Peter spędził w swych dwóch pokoikach — jego broda. Gdy tu przybył, była ona tylko cieniem na policzkach i plamą pod nosem — zarostem chłopca. Podczas następnych tysiąca ośmiuset dwudziestu pięciu dni urosła bujnie; pod koniec sięgała mu do piersi i chociaż miał wtedy dopiero

dwadzieścia jeden lat, przetykała ją siwizna. Jedyne miejsce, gdzie nie urosła, to długa poszarpana blizna, pozostawiona przez paznokiec Besona.

Pierwszego roku Peter odważał się wyciągać po pięć nitok z każdej serwetki — piętnaście w ciągu dnia. Trzymał je pod materacem, a pod koniec tygodnia zbierało się ich sto pięć. A każda nić miała pięćdziesiąt centymetrów.

Utkął pierwszą partię tydzień potem, jak otrzymał dom dla lalek, ostrożnie posługując się warsztatem. Praca przy nim okazała się trudniejsza w wieku lat siedemnastu niż w wieku lat pięciu. Palce mu urosły, warsztat zaś nie. Poza tym Peter okropnie się denerwował. Gdyby któryś ze strażników zaskoczył go przy tym zajęciu, Peter mógłby powiedzieć, że tka luźne nitki ze starych serwetek dla zabawy... ale czy by mu uwierzono? Nie miał też pewności, czy warsztat okaże się sprawny. Wątpliwości jego rozwiały się jednak, gdy zobaczył pierwszy, idealnie utkany cieniutki sznureczek, wyłaniający się z warsztatu. Ujrawszy to, uspokoił się nieco, potem odkrył, że potrafi tkać znacznie szybciej; podsuwał nowe nitki, pociągał je, żeby szły prosto, i naciskał kciukiem pedał nożny. Warsztat z początku nieco skrzypiał, ale stary smar wkrótce się rozprowadził i maszyna działała doskonale, tak jak w jego dzieciństwie.

Ale uzyskany sznurek był okropnie cienki; miał pięć milimetrów przekroju. Peter zawiązał końce i pociągnął na próbę. Trochę się pocieszył. Sznurek okazał się o wiele mocniejszy, niż się wydawało, a Peter pomyślał, że właściwie powinien taki być. W końcu nitki pochodziły z królewskich serwetek, wykonanych z najlepszej bawełny w kraju, a on tkał ciasno. Pociągnął mocniej, usiłując zgadnąć, jaką siłę stosuje wobec cienkiego bawełnianego sznurka.

Szarpnął silniej, ale linka nie pękła, i do serca zaczęła mu się wkradać nadzieja. Ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie Yosefa.

To właśnie on, główny stajenny, opowiedział mu o tym tajemniczym i strasznym zjawisku, zwanym „napięciem krytycznym”. Był wtedy środek lata, a oni obserwowali, jak wielkie anduańskie woły ciągną kamienne bloki do wybrukowania nowego targu. Na karku każdego wołu siedział spocony, klnący poganiacz. Peter dopiero co ukończył wtedy jedenaście lat i podobało mu się to bardziej niż cyrk. Yosef zwrócił uwagę chłopca na fakt, że każdy wół ma na sobie ciężką skórzaną uprzęż. Łańcuchy, które ciągnęły ociosane kamienne bloki, przymocowano do uprząży po obu stronach karku zwierzęcia. Yosef powiedział Peterowi, że kamieniarze musieli dobrze obliczać, ile waży każdy z bloków.

— Bo jeśli są za ciężkie, woły mogą sobie zrobić krzywdę, usiłując je ruszyć z miejsca — rzekł Peter. Nie powiedział tego nawet w formie pytania, tak był pewny swego. Żałował wołów, które musiały ciągnąć te wielkie bloki skalne.

— Nie — odparł Yosef. Zapalił skręta z pszenicznych łusek, o mało nie upalając sobie przy tym czubka nosa, a potem z zadowoleniem zaciągnął się głęboko.

Towarzystwo młodego księcia zawsze sprawiało mu przyjemność.

— Nie! Woły nie są głupie. To tylko ludzie tak o nich myślą, bo są duże, łagodne i pomocne. A to więcej mówi o nich samych niż o wołach, jeśli chcesz wiedzieć, więc dajmy temu spokój. Jeśli wół może uciągnąć kamień, to go pociągnie; jeśli nie, no to spróbuje jeszcze raz czy dwa i stanie ze spuszczoną głową. I będzie tak czekał, nawet jeśli zły pan posieka mu batem skórę na drobne paseczki. Woły wyglądają na głupie, ale nie są. Ani trochę.

— To dlaczego kamieniarze muszą się domyślać, ile waży ociosywany przez nich blok, skoro wół wie, co może uciągnąć, a czego nie?

— Nie chodzi o kamienie, ale o łańcuchy. — Yosef wskazał na jednego z wołów, który włókł blok wielkości, jak się Peterowi wydawało, niedużego domu. Zwierzę spuściło głowę i patrzyło cierpliwym wzrokiem przed siebie, a siedzący na jego grzbiecie poganiacz kierował nim za pomocą lekkich uderzeń kijka. Na końcu podwójnego łańcucha powoli posuwał się blok kamienny, ryjąc bruzdę w ziemi. Była ona tak głęboka, że małe dziecko musiałoby wspinać się po jej brzegach, żeby się z niej wydostać. — Jeśli wół może uciągnąć kamień, robi to, ale zwierzę nie wie nic o łańcuchach ani napięciu krytycznym.

— A co to jest?

— Jeżeli szarpniesz jakiś przedmiot za silnie, może on się rozerwać — powiedział Yosef. — A gdyby pękły te tutaj łańcuchy, poleciałyby jak wściekle na wszystkie strony. Lepiej nie widzieć, co się dzieje, gdy ciężki łańcuch puści, pociągnięty z całą mocą przez wołu. Może polecieć w każdą stronę. Zazwyczaj jednak do tyłu. Trafia wtedy w poganiacza i rozdziera go na strzępy albo ucina nogi zwierzęciu.

Yosef raz jeszcze pociągnął swojego skręta, a potem cisnął go na ziemię. Zmierzył Petera bystrym, życzliwym spojrzeniem.

— Napięcie krytyczne — powiedział — to rzecz, o której książę powinien wiedzieć. Łańcuchy mają swoje granice wytrzymałości, ale ludzie też. Pamiętaj o tym.

Teraz więc Peter to sobie przypomniał, sprawdzając wytrzymałość pierwszego kawałka linki. Jaką siłę do niej przykładał? Pięć ruli? Co najmniej. Dziesięć? Może. Ale chyba trochę przesadził. Raczej osiem. Nie, siedem. Jeśli ma się pomylić, to lepiej na stronę bezpieczeństwa. Jeżeli dokona złej oceny... hm, bruk placu Iglicy jest bardzo, bardzo twardy.

Pociągnął jeszcze mocniej, napinając mięśnie ramion. Gdy pierwszy kawałek linki wreszcie pękł, Peter domyślał się, że prawdopodobnie przyłożył siłę piętnastu ruli — prawie trzydziestu kilogramów.

Rezultat wydał mu się zadowalający.

Później tego wieczoru wyrzucił przez okno przerwany sznurek, żeby następnego ranka zmiataacze sprzątnęli go razem z resztą śmieci walających się na placu Iglicy.

Matka Petera, zauważywszy zainteresowanie chłopca domem dla lalek i jego miniaturowym wyposażeniem, nauczyła go, jak tkać sznurki, a potem spletała je w maleńkie chodniki. Gdy nie zajmujemy się czymś dosyć długo, zazwyczaj zapominamy, jak się to dokładnie robi, ale Peter miał mnóstwo czasu i po paru eksperymentach przypomniał sobie sztukę splatania chodników.

„Skrećanie” — tak nazywała tę czynność matka, dlatego on także nazywał ją tak w myślach, ale w zasadzie nie jest to właściwe określenie; ściśle mówiąc, chodzi tu o splot wykonany ręcznie z dwu linek. Do wyrobu chodników stosuje się splot — to znaczy ręcznie tka się dwie lub trzy linki. Robiąc splot, kładziemy dwie linki obok siebie, tak żeby końce znajdowały się na równej wysokości. Trzecią umieszcza się pomiędzy nimi, ale tak, by jej koniec wystawał. Ten wzór powtarza się raz za razem. Wyrób przypomina trochę chińskie plecionki... albo plecione dywaniki w domu waszej ukochanej babci.

Peter potrzebował trzech tygodni, żeby zgromadzić tyle włókien, ile potrzeba na wypróbowanie tej techniki, i większą część czwartego, żeby sobie dokładnie przypomnieć, jak to się robi. Ale gdy skończył, miał prawdziwą linę. Była cienka i próba jej użycia mogłaby się wam wydawać szaleństwem, ale okazała się o wiele mocniejsza, niż na to wyglądało. Peter stwierdził, że może ją przerwać, ale dopiero gdy owinie końce dookoła dłoni i szarpnie, napinając do ostateczności mięśnie ramion i klatki piersiowej, a na szyi wystąpią mu żyły jak postronki.

Dach pokoju sypialnego opierał się na solidnych, dębowych belkach, a więc on wypróbuje, jak zachowa się lina pod ciężarem jego ciała, gdy już uplecie jej dostatecznie dużo. Jeśli pęknie, będzie musiał zacząć od początku... ale takie myśli

to tylko strata czasu, z czego Peter doskonale zdawał sobie sprawę — więc po prostu zabrał się do roboty.

Każda nić, którą wyciągał, miała pięćdziesiąt centymetrów długości, ale traciło się około pięciu na tkanie i wykonanie splotu. Potrzebował trzech miesięcy na wykonanie sznura z trzech skrętek, a każda składała się ze stu pięciu bawełnianych włókien o długości około metra. Pewnego wieczoru, gdy upewnił się, że wszyscy strażnicy na dole albo popili się, albo grają w karty, przywiązał swój warkocz do jednej z belek. Po zaciągnięciu pętli zostało mniej niż pół metra.

Lina robiła wrażenie żałośnie cienkiej.

Jednak Peter chwycił ją i uwiesił się na niej całym ciężarem, zaciskając usta i spodziewając się, że w każdej chwili linka może pęknąć, a on spadnie. Ale wytrzymała.

Wytrzymała.

Nie wierząc własnym zmysłom, Peter wisiał na linie tak cienkiej, że prawie niewidocznej. Pozostał tak przez całą minutę, a potem stanął na łóżku i rozwiązał węzeł. Ręce mu się trzęsły, więc dwa razy się do tego przymierzał, tym bardziej że lzy zaćmiły mu wzrok. Uczucia takiego szczęścia nie zaznał od czasu, gdy czytał króciutki list od Bena.

Przechowywał linę pod materacem, ale zdawał sobie sprawę, że wkrótce zabraknie tam miejsca. Iglica miała sto cztery metry wysokości do czubka swego stożkowatego dachu; okno znajdowało się prawie dokładnie sto metrów nad poziomem bruku. Peter miał metr osiemdziesiąt wzrostu i sądził, że odważy się skoczyć z wysokości około sześciu metrów od końca liny. Ale nawet w najlepszym wypadku musiał ukryć linę długości ponad dziewięćdziesięciu metrów.

Odkrył w podłodze przy wschodniej ścianie swej sypialni ruszający się kamień i ostrożnie go podniósł. Z zaskoczeniem i radością stwierdził, że znajduje się pod nim nieco wolnej przestrzeni. Nie widział dobrze, więc sięgnął ręką i macał w ciemnościach, sztywny i napięty, jakby spodziewał się, że znajduje się tam coś, co wpełźnie mu na rękę... albo go ugryzie.

Nic takiego nie nastąpiło i już chciał cofnąć dłoń, gdy natrafił palcem na jakiś przedmiot z metalu. Peter wydobył go. Okazał się on medalionem w kształcie serca, zawieszonym na cienkim łańcuszku. I łańcuszek, i medalion wykonano ze złota. Sądząc wedle wagi, było ono prawdziwe. Obmacawszy medalion, Peter znalazł miniaturowy zameczek. Naciśnął go i medalion się otworzył. Wewnątrz znajdowały się dwa portrety, po jednym z każdej strony — były równie ładne, jak maleńkie obrazki w domu dla lalek Sashy, a może jeszcze piękniejsze. Peter patrzył na przedstawione na nich twarze ze szczerym podziwem. Mężczyzna był bardzo przystojny, kobieta urocza. Na ustach mężczyzny malował się lekki uśmiech, a oczy patrzyły śmiało. Kobieta miała ciemne oczy, w których gościł wyraz powagi. Zachwyt Petera wynikał częściowo z faktu, że medalion musiał być bardzo stary, sądząc po strojach osób na portretach. Ale wynikał on także z tego, że twarze te wydawały mu się znajome. Już je kiedyś widział.

Zamknął medalion i popatrzył na jego odwrotną stronę. Miał nadzieję, że znajdzie tam inicjały, ale były tak ozdobne, że nie potrafił ich odczytać.

Niewiele myśląc, sięgnął raz jeszcze do skrytki. Tym razem natrafił na papier. Wydobył cienką kartkę bardzo starego, kruszącego się papieru, lecz pismo okazało się wyraźne, a podpis dał się odczytać. Nazwisko brzmiało Leven Valera

i należało do niesławnego Czarnego Księcia z Południowej Baronii. Valera, który był następcą tronu, zamiast go objąć, spędził ostatnich dwadzieścia pięć lat swego życia w pokoju na szczycie Iglicy, ukarany za zamordowanie żony. Nic dziwnego, że Peter znalazł portrety w medalionie! Mężczyzna to Valera, a kobieta — jego zamordowana żona, Eleanor, o której piękności do dziś jeszcze śpiewa się ballady.

Atrament, jakiego użył Valera, miał dziwnie rdzawy kolor, a pierwsza linijka tekstu zmroziła Peterowi serce. Cały list zaś napełnił go zgrozą nie tylko dlatego, że podobieństwo między losem Valery a jego własnym okazało się zbyt wielkie, żeby być dziełem przypadku.

Do Znalazcy listu tego — piszę krwią własną, dobytą z żyły na lewym przedramieniu otwartej i piórem z kości długo na kamiennej posadzce sypialni ostrzonej. Ćwierć wieku nieledwie spędziłem tu, pod niebiosami, młodzieńcem przybywszy; teraz jestem już stary. Ataki kaszlu i gorączki wróciły znowu, więc chyba niewiele mi życia zostało.

Nie zabiłem żony. Chociaż dowody na mnie wskazały, nie zabiłem swojej żony. Kochałem ją i nadal kocham, mimo iż obraz jej drogiej twarzy zbladł w mojej zdradzieckiej pamięci.

Sądzę, że to królewski czarnoksiężnik ją życia pozbawił i tak sprawy ułożył, iżby mnie usunąć, albowiem stałem na drodze jego. Plan ów powiódł się i rzeczy poszły po jego myśli; wierzę jednak, iż istnieją bogowie, za których sprawą zło w końcu zostanie ukarane. Dzień jego nadejście — ja zaś śmierć coraz rychlejszą czując, wierzę, iż pomsty na nim dokona ktoś, kto do tego miejsca też przybędzie, ktoś, kto znajdzie i przeczyta ten list krwią pisany.

Jeśli tak się stanie, do Ciebie wołam: Zemsty, zemsty, zemsty! Nie dbaj o mnie i lata me stracone, jeśli musisz, ale nigdy, przenigdy nie zapomnij o drogiej mej Eleanor, we śnie zamordowanej! To nie ja zatrąłem jej wino. Imię mordercy tu kreślę krwią własną: Flagg! To Flagg! Flagg!

Weź medalion i pokaż mu go, zanim zbawisz ten świat od największego na nim lotra — pokaż mu, żeby w ostatniej swej chwili wiedział, że ja też przyczyniłem się do jego upadku, człowiek z za grobu, niesłusznie o mord posądzony.

Leven Valera

Może teraz rozumiecie, co stanowiło główny powód, dla którego Peter odczuł zgrozę, a może nie. Jednak pomoże wam chyba, jeśli przypomnę, że Flagg, chociaż

wyglądał na zdrowego i krzepkiego człowieka w średnim wieku, naprawdę był bardzo, bardzo stary.

Peter czytał to i owo na temat przypuszczalnej zbrodni Levena Valery. Ale książki, które ją opisywały, traktowały na temat historii. Starożytnej. A ten kruchy, pożółkły pergamin najpierw wymienił królewskiego czarnoksiężnika, a potem imię Flagga. Wymienił? Wołał, krzyczał — krwią.

Ale rzekomą zbrodnię Valera miał popełnić za panowania Alana II, a rządził on Delainem czterysta pięćdziesiąt lat temu.

— O Boże, wielki Boże — szepnął Peter. Na chwiejnych nogach podszedł do łóżka i usiadł na nim, zanim odmówiły mu posłuszeństwa. — On już kiedyś zrobił coś podobnego! Uczynił to dokładnie w taki sam sposób, ale zdarzyło się to mniej niż czterysta lat temu!

Twarz Petera okryła się śmiertelną bledością, a włos zjeżył mu się na głowie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że Flagg, czarnoksiężnik królewski, w rzeczywistości jest Flaggiem potworem, znowu grasującym w Delainie, służącym nowemu królowi — jego małoletniemu, nieinteligentnemu, łatwowiernemu bratu.

Na początku przyszło Peterowi do głowy, że mógłby obiecać Besonowi następną łapówkę za odniesienie medalionu i rozsypanych arkusza papieru do Andersa Peyny. W pierwszym przypiływie podniecenia wydawało mu się, że list ten wskaże niezbitcie na Flagga, a jemu pozwoli odzyskać wolność. Po chwili zastanowienia uznał jednak, że coś takiego może wydarzyć się w powieści, ale nie w prawdziwym życiu. Peyna wyśmiałby go i uznał wszystko za oszustwo. A gdyby potraktował to serio? Wtedy mógłby nastąpić koniec zarówno Sędziego Najwyższego, jak i uwięzionego księcia. Peter dobrze nadstawiał ucha i znał plotki z karczm i winiarni, przekazywane sobie nawzajem przez Besona i jego strażników. Słyszał o podwyższonym podatku dla farmerów, poznał gorzki żart, że Thomas Dawca Światła powinien raczej zwać się Dawcą Podatków. Dowiedział się także, że kilku co śmielszych dowcipnisiów proponowało zmienić mu imię na Stale Pijanego Toma Który Nie Wie Nic. Topór kata opadał jednostajnie, przypominając tykanie zegarka od czasu, gdy Thomas wstąpił na tron, i zegar ten mówił: zdrada — bunt, zdrada — bunt, zdrada — bunt z regularnością, którą można by uznać za monotonną, gdyby nie była tak straszliwa.

Teraz Peter zaczął się domyślać, jaki jest cel Flagga: doprowadzić do obalenia monarchii w Delainie. Medalion i list zostałyby wyśmiane albo zmusiłyby Peynę do podjęcia jakichś działań. W każdym wypadku czekałaby ich obu śmierć.

W końcu Peter schował medalion i list tam, gdzie je znalazł. Razem z nimi umieścił ponadpółmetrową linkę, której uplecenie zabrało mu miesiąc. Ogólnie czuł się zadowolony z wyników pracy tego wieczoru. Lina okazała się mocna, a odkrycie medalionu i listu po z górą czterystu latach dowodziło z pewnością jednego — kryjówka nie jest łatwa do wykrycia.

Peter miał jednak wiele spraw do przemyślenia i długo nie mógł zasnąć tej nocy.

A gdy już to nastąpiło, wydawało mu się, że słyszy ochryply szept Levena Valery: „Zemsty, zemsty, zemsty!”.

Czas — o tak — Peter miał go wiele, siedząc pod szczytem Iglicy. Urosła mu długa broda, oczywiście, poza miejscem, w którym policzek przecinała blizna o kształcie błyskawicy. W miarę jak to się działo, Peter dostrzegł wiele zmian, patrząc przez swoje okno. Słyszał zaś o jeszcze gorszych sprawach. Częstotliwość egzekucji nie malała; wręcz przeciwnie, topór kata opadał coraz częściej, nucąc: zdrada — bunt, zdrada — bunt, i czasami nie mniej niż pół tuzina głów spadało w ciągu jednego dnia.

Podczas trzeciego roku, spędzonego przez Petera w więzieniu, roku, w którym po raz pierwszy udało mu się podciągnąć na środkowej belce w sypialni trzydzieści razy z rzędu, Peyna, pełen niesmaku, zrezygnował ze stanowiska Sędziego Najwyższego. Mówiło się o tym w karczmach i winiarniach przez tydzień, dozorczy Petera zaś dyskutowali o tym przez dni osiem. Strażnicy sądzili, że Flagg uwięzi Peynę, zanim jeszcze zdąży on opuścić ławę sędziowską, i wkrótce potem obywatele Delainu dowiedzą się nareszcie, czy w jego żyłach płynie krew, czy zimna woda. Ale Peyna pozostał na wolności, a plotki ucichły. Peter cieszył się, że nie został on aresztowany. Nie żywił do niego urazy mimo skwapliwości, z jaką stary sędzia uwierzył w jego winę, a wiedział już, że dowody zostały sfabrykowane przez Flagga.

Również w trzecim roku spędzonym przez Petera w Iglicy zmarł ojciec Dennisa, Brandon. Odszedł spokojnie i z godnością. Zakończył dzień pracy mimo okropnego klucia w klatce piersiowej i boku, a potem powoli wrócił do domu. Usiadł w małej bawialni, mając nadzieję, że ból przejdzie. Zamiast tego zaczął się on nasilać. Brandon wezwał więc żonę i syna, ucałował oboje, a potem poprosił o kieliszek ginu. Otrzymał go. Wypił wódkę do dna, raz jeszcze ucałował żonę, a potem kazał jej wyjść z pokoju.

— Służ dobrze swemu panu, Dennis — powiedział. — Jesteś teraz mężczyzną i musisz sprostać swym zadaniom.

— Będę służył królowi najlepiej, jak potrafię, tato — odparł Dennis, chociaż myśl o przejściu obowiązków ojca napełniała go przerażeniem. Jego pocziwa,

brzydka twarz lśniła od łez. W ciągu ostatnich trzech lat Brandon i Dennis obsługiwali Thomasa, a obowiązki Dennisa w większości nie zmieniły się od czasów Petera; ale nie były takie same — nawet w przybliżeniu.

— Thomasowi — uściślił Brandon, a potem szepnął: — Ale gdy nadejdzie pora służyć twemu pierwszemu panu, Dennis, nie wahaj się. Ja nigdy...

Brandon chwycił się za lewy bok, zeszywniał i skonał.

Zmarł tak, jak tego pragnął, w swoim własnym fotelu przed kominkiem.

W czwartym roku uwięzienia Petera — lina pod kamieniami systematycznie się wydłużała — znikła rodzina Staadów. Korona przejęła resztki ziemi, jakie im pozostały, tak jak to się działo, gdy przepadały inne szlacheckie rodziny. A im dłużej panował Thomas, tym częściej zdarzały się takie zniknięcia.

Sprawa Staadów stanowiła tylko mały okruch plotek wygłaszanych przy kufelku piwa w tygodniu pełnym zdarzeń obejmujących cztery egzekucje, zwiększenie podatku dla sklepikarzy i zamknięcie w kazamaty starej kobiety, która przez trzy dni chodziła przed pałacem, krzycząc, że jej syn został uwięziony i torturowano go, ponieważ skrytykował zeszloroczny podatek od bydła. Ale gdy Peter usłyszał podczas rozmowy strażników nazwisko Staadów, serce zabiło mu mocno.

Ciąg wydarzeń prowadzących do zniknięcia Staadów stanowił już dziś chleb powszedni dla wszystkich mieszkańców Delainu. Regularne jak w zegarku egzekucje mocno wyniszczyły szeregi szlachty. Wielu ludzi zginęło, bo ich rodziny służyły królestwu przez setki, a nawet tysiące lat, oni więc nie potrafili uwierzyć, że mógłby ich spotkać tak okrutny los. Inni, widząc krwawe pismo na murze, uciekali. Staadowie wybrali to drugie wyjście.

Zaczęły się też naszeptywania.

Opowiadano, zasłaniając sobie usta, że szlachta owa nie rozbiegła się po prostu na wszystkie strony świata, ale zbierała się gdzieś, może w gęstych lasach na północnych krańcach królestwa, aby planować obalenie tronu.

Opowieści te docierały do Petera niczym wiatr wpadający przez okno, przeciągi pod drzwiami... Należały do marzeń z szerokiego świata. Ale on pracował nad swoją liną. W pierwszym roku przedłużała się ona o około pół metra co trzy tygodnie. Pod koniec tego roku miał już około ośmiu metrów liny, która przynajmniej teoretycznie powinna utrzymać jego ciężar. Ale istnieje różnica między wiszeniem u belki w sypialni a zwieszaniem się nad stumetrową

przepaścią, i Peter zdawał sobie z tego sprawę. Można powiedzieć, że dosłownie powierzał linie swoje życie.

Co więcej, osiem metrów rocznie to niewątpliwie za mało; potrzebowałyby więcej niż ośmiu lat, zanim mógłby podjąć jakieś próby, a wiadomości, jakie do niego docierały z drugiej ręki, zaczynały się robić niepokojące. Przede wszystkim królestwo musi przetrwać — nie może nastąpić bunt i chaos. Krzywdy należy naprawić, lecz za pomocą prawa, a nie łuków, proc, pałek i maczug. Thomas, Leven Valera, Roland, on sam, a nawet Flagg stawali się wobec tego nieważni. Prawo przede wszystkim.

Jakże uradowałby się, słysząc te słowa, Anders Peyna, starzejący się i gorzkniejący przy swym kominku.

Peter postanowił, że musi spróbować ucieczki jak najprędzej. W związku z tym dokonał wielu pracochłonnych obliczeń, rachując w pamięci, żeby nie zostawić śladów. Sprawdził wszystko kilkakrotnie, upewniając się, czy nie popełnił jakiegось błędu.

Drugiego roku pobytu w Iglicy zaczął wyciągać dziesięć nitek z każdej serwetki, trzeciego piętnaście, a czwartego dwadzieścia. Liny przybywało. Miał jej około dwudziestu metrów, gdy minął rok drugi, czterdzieści po trzecim, a około sześćdziesięciu metrów po upływie czwartego.

W owym momencie sięgała ona czterdzieści metrów powyżej powierzchni placu.

W ostatnim roku Peter wypruwał po trzydzieści nitek z każdej serwetki i po raz pierwszy dawało się to zauważyć — każda z nich była wyraźnie wystrzępiona ze wszystkich czterech stron, jak gdyby nadgryzły ją myszy. Peter z niepokojem oczekiwał wykrycia swojej kradzieży.

A jednak nie została ona odkryta ani wtedy, ani potem. Nikt nawet o nic nie zapytał. Peter spędzał nieskończenie długie noce (a przynajmniej tak mu się wydawało), zastanawiając się i martwiąc, że Flagg usłyszy coś, czego nie powinien, jakąś fałszywą nutę, i przejrzy plan ucieczki. Wyśle najprawdopodobniej któregoś z podwładnych, a ten zacznie go wypytywać. Peter przemyślał wszystko z największą dokładnością, ale zrobił jedno złe założenie — prowadziło ono do drugiego (jak to się często zdarza), a to drugie wiodło prosto na manowce. Peter uznał, że istnieje pewien zapas serwetek — na przykład około tysiąca — i że używa się ich po kolei. Więcej się nad tą sprawą nie zastanawiał. Dennis mógłby mu powiedzieć, że sprawy mają się inaczej, i oszczędzić mu co najmniej dwóch lat pracy, ale nikt go nie zapytał. Prawda była prosta, lecz oszałamiająca. Skrawki materiału, z których Peter wyciągał swe nici, nie pochodziły z zapasu tysiąca, dwóch czy nawet dwudziestu tysięcy: wynosił on prawie pół miliona starych, zatęchłych serwetek.

Na jednej z kondygnacji zamkowych podziemi znajdował się magazyn tak wielki jak sala balowa. Wypełniały go serwetki... serwetki... i nic prócz serwetek. Peter czuł, że trącą stęchlizną, i nic w tym dziwnego — większość z nich niesamowitym przypadkiem pochodziła z czasów odrobinę tylko późniejszych niż uwięzienie i śmierć Levena Valery, a istnienie swoje — przypadkiem, a może i nie — zawdzięczały one, pośrednio oczywiście, działaniom Flagga. W pewien sposób stał się on przyczyną ich powstania.

Były to rzeczywiście czarne czasy dla Delainu. Chaos, jakiego z całej duszy pragnął Flagg, zapanował w całym kraju. Valera został usunięty; po nim na tron wstąpił szalony król Alan. Gdyby żył dziesięć lat dłużej, królestwo niewątpliwie spłynęłoby krwią... lecz Alan zginął porażony błyskawicą, gdy podczas ulewy grał w łokcie na zamkowym trawniku (jak wam powiedziałem, miał nie po kolei w głowie). Niektórzy mówili, że piorun ten zesłali sami bogowie. Po nim panowała jego siostrzenica, Kyla, którą znano jako Kylę Dobrą... a od niej linia wiodła przez pokolenia prosto do Rolanda i braci będących bohaterami naszej

opowieści. To Kyla, Dobra Królowa, uratowała kraj od ruiny i ubóstwa. Aby to osiągnąć, prawie doprowadziła Królewski Skarb do bankructwa, bo wiedziała, że pieniądź — mocna waluta — musi krążyć w krwiobiegu królestwa. Większość zasobów finansowych Delainu przepadła podczas szalonych rządów Alana II, króla, który czasami pił krew z nadciętych uszu swoich służących i utrzymywał, że potrafi latać; króla bardziej zainteresowanego nekromancją niż zyskiem i stratą oraz dobrem swoich poddanych. Kyla wiedziała, że potrzeba wielkiego napływu zarówno miłości, jak i guldenów, żeby znaleźć zajęcie dla wszystkich zdolnych do pracy obywateli Delainu, od najstarszych do najmłodszych.

Wielu starszych mieszkańców zamkowej twierdzy zostało zatrudnionych do robienia serwetek — nie dlatego, że ktoś ich potrzebował (chyba już wam mówiłem, co myślała o nich większość szlachty i dworu), lecz po to, by dać ludziom pracę. Niektórzy nie zaznali jej od dwudziestu, a czasem więcej lat, więc trudzili się ochoczo, tkając na warsztatach identycznych z tym, który znajdował się w domu dla lalek Sashy... tylko, oczywiście, większych!

Przez dziesięć lat ci postarzali ludzie, w liczbie więcej niż tysiąca, produkowali serwetki i pobierali za swą pracę pieniądze ze skarbcza Kyli. Przez dziesięć lat osoby nieco młodsze i sprawniejsze zносиły je na dół, do chłodnego, suchego magazynu pod zamkiem. Peter zauważył, że niektóre z serwetek nie tylko pachniały stęchlizną, ale były też nadgryzione przez mole. Istny cud, chociaż on nawet się tego nie domyślał, że aż tyle z nich tak znakomicie się przechowało.

Dennis mógłby mu powiedzieć, że serwetki były przynoszone, używane raz, zabierane (minus kilka nitki, które Peter z nich wypruwał) i po prostu wyrzucane. A czemu by nie! Leżało ich tam tyle, że wystarczyłyby dla pięciuset księżąt na pięćset lat... i jeszcze dłużej. Gdyby Anders Peyna nie okazał się człowiekiem miłosiernym, a nie tylko surowym, rzeczywiście używano by pewnej określonej liczby serwetek. Ale wiedział on, jak bardzo bezimienna kobieta w bujaku potrzebowała pracy i tych kilku groszy, które za nią otrzymywała (Kyla Dobra też sobie zdawała z tego sprawę), więc nie zwalniał jej, tak samo jak pilnował, żeby do Besona nadal napływały guldeny, gdy Staadowie musieli ratować się ucieczką. Zadomowiła się więc owa stara, milcząca kobieta przed drzwiami magazynu z serwetkami, używając swej igły do prucia zamiast do szycia. Siedziała w bujaku rok po roku, usuwając dziesiątki tysięcy królewskich herbów, nic więc dziwnego, że wieść o drobnej kradzieży Petera nie dotarła do uszu Flagga.

Tak tedy widzicie, że gdyby nie jedno błędne założenie i jedno niezadane pytanie, Peter mógłby zakończyć swą pracę o wiele pręcej. Czasami wydawało mu się, że serwetki nie kurczą się tak szybko, jak powinny, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, by podważyć swoje podstawowe (choć niejasne) założenie, iż te, których używał, regularnie do niego powracają. Gdybyż tak zadał sobie to jedno proste pytanie!

Ale może w końcu wszystko obróciło się na dobre. A może nie. To jednak musicie ocenić sami.

W końcu Dennis pokonał strach, jaki odczuwał, pracując dla Thomasa. Młody król prawie nie zwracał na niego uwagi, poza tym że czasami beształ go, gdy lokaj zapomniał wystawić mu buty (zazwyczaj to on sam gdzieś je zostawiał i nie pamiętał o tym), a niekiedy nalegał, żeby Dennis napił się z nim wina. Lokaj cierpiał potem zazwyczaj na lekkie zaburzenia żołądkowe, znacznie bardziej więc wolał kieliszeczek ginu przed snem. Mimo to dotrzymywał Thomasowi towarzystwa. Nawet bez pouczeń ojca wiedział, że nie odmawia się królowi, który zaprasza na drinka. Czasami, zwykle popiwszy sobie, Thomas nie pozwalał Dennisowi iść do domu i kazał mu nocować w swoim apartamencie. Dennis przypuszczał, słusznie zresztą, że w owe noce samotność doskwiera królowi w sposób nieznośny. Wygłaszał on bowiem długie, bezsensowne, rozwlekłe mowy o tym, jak trudno być władcą, że stara się jak najlepiej spełniać swe obowiązki i rządzić sprawiedliwie i że wszyscy go nienawidzą, każdy z innego powodu. Thomas często szlochał podczas swych przemówień albo ni stąd, ni zowąd wybuchał dzikim śmiechem, ale zazwyczaj zapadał w sen podczas nieudolnej obrony jakiegoś podatku. Czasami dotaczał się do swego łóża i Dennis mógł spać na kanapie. Częściej jednak król zasypiał — albo tracił przytomność — na kanapie, a lokaj szykował sobie niewygodne posłanie przy stygnącym kominku. Prawdopodobnie rzadko który królewski lokaj wiódł takie życie, ale oczywiście Dennisowi wydawało się ono najzupełniej normalne, bo przecież innego nie znał.

To, że Thomas nie zwracał na niego uwagi, to jedna sprawa. Ale że Flagg go ignorował, stanowiło problem zupełnie innego rodzaju i wagi. Czarnoksiężnik bowiem kompletnie zapomniał o roli, jaką Dennis odegrał w jego planie wysłania Petera do Iglicy. Lokaj stanowił dla niego tylko instrument — narzędzie, które spełniło swoją funkcję i można je odłożyć na bok. Gdyby zastanowił się nad tym, uznałby, że narzędzie zostało sownie wynagrodzone: w końcu Dennis został królewskim lokajem.

Ale pewnej nocy na samym początku zimy, w roku, gdy Peter skończył dwadzieścia jeden, a Thomas szesnaście lat, cienka lina Petera zaś prawie osiągnęła niezbędną długość, Dennis zobaczył coś, co zmieniło wszystko — i właśnie od tego, co widział owej mroźnej nocy, muszę zacząć relację końcowych wydarzeń naszej historii.

Noc ta przypominała ów straszny czas tuż przed śmiercią Rolanda i tuż po tym tragicznym wydarzeniu. Wiatr, wyjąc, hulał po czarnym niebie i jęczał na ulicach Delainu. Pastwiska Centralnych Baronii i bruk zamkowych podwórców ściał mróz. Początkowo księżyc znajdujący się w trzeciej kwadrze błyskał pośród pędzących chmur, ale około północy zakryły one całe niebo, a o drugiej, gdy Thomas obudził Dennisa, poruszając klamką w drzwiach między bawialnią a korytarzem, zaczął padać śnieg.

Usłyszawszy chrobot klamki, Dennis usiadł, krzywiąc się boleśnie, bo plecy miał zeszywniałe i zdrętwiały mu nogi. Tej nocy Thomas zasnął na kanapie, zamiast dopełnić do łóżka, tak więc młodemu lokajowi pozostało tylko sąsiedztwo kominka. Teraz ogień już gasł. Bok od strony ognia nagrzał się Dennisowi jak piec, drugi zaś zmarzł na kość.

Popatrzył w stronę, skąd dobiegał szmer... i na chwilę sparaliżował go strach. Wydało mu się bowiem, że zobaczył u drzwi ducha, i niewiele brakowało, by krzyknął. A potem zrozumiał, że to Thomas w białej nocnej koszuli.

— P-panie?

Thomas nie zareagował. Oczy miał otwarte, ale nie patrzył na klamkę; sennym wzrokiem wpatrywał się w nicość. Dennis natychmiast zrozumiał, że młody król chodzi we śnie.

Dennis obserwował Thomasa; najwyraźniej król zdał sobie sprawę, iż klamka nie otwiera drzwi, ponieważ zasuwka jest nadal zamknięta. Odsunął ją i wyszedł na korytarz, jeszcze bardziej przypominając ducha w świetle migoczących tam kaganków. Zawirował obrąbek koszuli nocnej i bosonogi Thomas zniknął.

Przez chwilę siedzący po turecku Dennis zamarł przy kominku, zapominając o zdrętwiałych nogach, czując tylko, jak wali mu serce. Na dworze wiatr cisnął śniegiem w romboidalne szybki w oknie bawialni i zawył histerycznie. Co robić? — pomyślał Dennis.

Istniała oczywiście tylko jedna odpowiedź — młody król jest jego panem. Dennis musi więc pójść za nim.

Może właśnie szalona noc przywiodła Thomasowi tak żywo na myśl Rolanda, ale niekoniecznie — prawdę mówiąc, chłopiec często wspominał ojca. Poczucie winy jest jak rana, stale absorbuje uwagę osoby, która ją ma, domaga się ponownego oglądania i rozdrapywania, tak że nie może się nigdy zagoić. Thomas wypił tego wieczoru o wiele mniej niż zwykle, ale, o dziwo, wydawał się Dennisowi znacznie bardziej nietrzeźwy. Mówił bełkotliwie i niewyraźnie, otwierał szeroko mętne oczy, połyskując białkami.

Stało się tak przede wszystkim dlatego, że Flagg odjechał. Rozeszły się plotki, że zdrajcy — a w ich szeregach Staadowie — gromadzili się w Puszczy Kresowej na północnych krańcach królestwa. Flagg poprowadził pułk krzepkich, zaprawionych w bojach żołnierzy na ich poszukiwania. Thomasa zawsze ogarniał niepokój, gdy Flagg się oddalał. Wiedział, że wynikało to z jego całkowitego uzależnienia od czarnoksiężnika... ale w sposób, który nie zawsze był dlań w pełni zrozumiały. Nadużywanie wina nie stanowiło jedyne grzechu Thomasa. Często sen nie jest dany osobom, w których posiadaniu znajdują się sekrety, tak więc Thomas cierpiał na bezsenność. Nie zdając sobie z tego sprawy, uzależnił się od napojów Flagga. Wyruszając na północ, mag pozostawił mu zapas leku, ale spodziewał się, że nieobecność jego potrwa około trzech, najwyżej czterech dni. Od trzech dni Thomas spał źle albo wcale. Czuł się dziwnie, nigdy nie w pełni obudzony, nigdy naprawdę śpiący. Dręczyły go wspomnienia ojca. Wydawało mu się, że pośród wiatru słyszy głos starego króla, wołający: „Czego się na mnie patrzysz? Czego się tak na mnie gapisz?”. Wizje wywołane winem... obraz ponurej radości na twarzy Flagga... widok płonących włosów ojca... to wszystko nie pozwalało mu spocząć i zmuszało do czuwania z otwartymi oczami przez całą noc, podczas gdy inni pogrążeni byli we śnie.

Gdy Flagg nie wrócił ósmego wieczoru (biwakował wraz ze swymi żołnierzami osiemdziesiąt kilometrów od zamku i humor miał kiepski — jedyne odkryte ślady zdrajców znajdowały się na zmrożonym śniegu i mogły mieć kilka dni, a może nawet kilka tygodni), Thomas posłał po Dennisa. I właśnie w nocy, która nastąpiła po owym wieczorze, wstał z kanapy i ruszył na wędrowkę po zamku.

Tak więc Dennis podążył za swym królem, panem i władcą długimi, pełnymi przeciągów, kamiennymi korytarzami, a jeśli i wy dotarliście aż tak daleko, to musicie się też dowiedzieć, gdzie w końcu znalazł się Thomas Dawca Światła.

Późna, burzliwa noc stała się wczesnym, wietrznym porankiem. Po korytarzach nie chodził nikt, a przynajmniej Dennis nikogo nie zobaczył. Gdyby jednak pojawił się ktoś, z pewnością uciekłby w przeciwnym kierunku, być może z krzykiem, sądząc, że widzi dwa wędrujące duchy, pierwszego w długiej, białej nocnej koszuli, którą łatwo wziąć za całun, a drugiego w prostym kaftanie, ale boso, z twarzą tak bladą, że mogłaby należeć do nieboszczyka. Tak, sędzę, że ktokolwiek by ich zobaczył, oddaliłby się jak najprędzej, a potem długo modlił się przed zaśnięciem... ale nawet wiele modlitw być może nie zdołałoby odegnać koszmaru.

Thomas zatrzymał się na środku korytarza, do którego Dennis rzadko się zapuszczał, i otworzył drzwi we wnęce, których Dennis w zasadzie nigdy nie zauważał. Młody król podążył następnym korytarzem (tym razem nie minęła ich żadna sprzątaczką z naręczem pościeli, jak to się zdarzyło, gdy Flagg prowadził tę drogą księcia kilka lat temu; wszystkie porządne sprzątaczką od dawna znajdowały się w łózkach) i w połowie drogi zatrzymał się tak raptownie, że lokaj prawie na niego wpadł.

Thomas rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi, i jego nieprzytomny wzrok spoczął na postaci Dennisa. Na chłopcu ścierpła skóra, zamarł, ale dzięki temu udało mu się powstrzymać okrzyk przestrachu. Świece w tym zapomnianym korytarzu migotały i paskudnie cuchnęły olejem, błyskając słabym, niesamowitym blaskiem. Młody lokaj czuł, jak włosy stają mu dęba na głowie, gdy spojrzenie tych pustych oczu — oczu niby martwe latarnie, odbijające tylko światło księżycy — przesunęło się po nim.

Był tu przecież, stał przed nim, ale Thomas go nie zauważył; dla niego lokaj okazał się mglisty.

Muszę uciekać, szepnęło coś z rozpaczą w duszy Dennisa, ale jemu wydało się, że cichy, rozpaczliwy szept zabrzmiał niczym krzyk. Muszę uciekać, on nie żyje, umarł we śnie, a ja idę za chodzącym trupem! Ale potem usłyszał głos ojca, swojego drogiego zmarłego taty, który powiedział: „Gdy nadejdzie pora służyć twemu pierwszemu panu, Dennis, nie wahaj się”.

Inny zaś, nieco głośniejszy niż poprzednie szept poinformował go, że owa chwila właśnie nadeszła. A Dennis, prosty sługa, który raz już zmienił losy królestwa, odkrywając płonąca mysz, być może uczynił to po raz drugi, nie schodząc z posterunku mimo strachu, jaki sparaliżował mu mięśnie i sprawił, że serce podeszło do gardła.

Dziwnym, niskim głosem, zupełnie nieprzypominającym sposobu, w jaki mówił normalnie (ale brzmiącym dziwnie znajomo dla Dennisa), Thomas powiedział:

— Czwarty kamień od tego na dole ze szczyrbą. Naciśnij go. Szybko!

Nawyk posłuszeństwa wpojono Dennisowi tak głęboko, że chciał wykonać polecenie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, iż Thomas wydał samemu sobie rozkaz we śnie, mówiąc głosem kogoś innego. Król nacisnął kamień, zanim młody sługa zdążył zrobić więcej niż jeden krok. Kamień zagłębił się może na siedem centymetrów. Rozległ się trzask. Dennis otworzył usta, gdy fragment ściany się zapadł. Thomas pchnął go i lokaj zobaczył, że znajdują się tu ukryte drzwi. Tajemne wejścia przypomniały mu ruchome ścianki, te zaś nasunęły chłopakowi myśl o płonących myszach. Znowu owładnęło nim pragnienie ucieczki, ale i tym razem je opanował.

Thomas wszedł do środka. Przez chwilę widać było tylko jaśniejącą w mroku koszulę nocną, koszulę pustą w środku.

A potem kamienna ściana się zamknęła. Po wejściu nie pozostał nawet znak.

Dennis stał, przestępując z jednej bosej nogi na drugą. Co ma teraz robić?

I znowu wydawało mu się, że słyszy głos ojca, już zniecierpliwiony, nieznoszący sprzeciwu: „Idź za nim, nędzniku! Ruszaj, ale szybko! Pora nadeszła! Idź!”.

Tato, tam jest ciemno...

Dennisowi wydało się, że poczuł bolesnego kuksańca, i pomyślał histerycznie: Nawet po śmierci masz ciężką rękę, tato! No dobrze, już idę!

Odliczył do czterech od kamienia ze szczyrbą i nacisnął. Drzwi zapadły się około dziesięciu centymetrów, odsłaniając ciemność. Ponurą ciszę, panującą

w tajnym przejściu, przerwało ciche grzechotanie — jakby przeszła mysz zrobiona z kamienia. Po chwili Dennis zrozumiał, że to szczękają jego własne zęby.

— Tato, tak się boję — jęknął... a potem ruszył w mrok za królem Thomasem.

Osiemdziesiąt kilometrów dalej, zawinięty w pięć koców, aby ochronić się przed mrozem i szalejącą wichurą, Flagg krzyknął przez sen dokładnie w tej chwili, gdy Dennis wszedł za królem do tajnego przejścia. Na pobliskim pagórku zawtórowały czarnoksiężnikowi wilki. Żołnierz śpiący po lewej obok Flagga zmarł natychmiast na atak serca, przekonany, że pożera go ogromny lew. Żołnierz leżący po prawej odkrył następnego ranka, że oślepl. Światy czasami ulegają wstrząsom i zmieniają bieguny — i to właśnie wtedy się zdarzyło. Flagg wyczuwał coś, ale nie potrafił tego zrozumieć. Wszelkie dobro na świecie ratuje jedynie to, że w chwilach wielkiej wagi zło nieoczekiwanie traci wzrok. Gdy królewski czarnoksiężnik obudził się następnego dnia, pamiętał, że śniło mu się coś nieprzyjemnego, pochodzącego z dawno zapomnianej przeszłości, ale nie potrafił powiedzieć co.

Wewnątrz sekretnego korytarza panowały kompletne ciemności, a suchego powietrza nie poruszał najmniejszy przeciąg. Gdzieś z głębi dobiegały Dennisa okropne, żalosne dźwięki.

Król płakał.

Usłyszawszy to, lokaj trochę przestał się bać. Odczuł wielki podziw i ogromną litość dla Thomasa, który zawsze robił wrażenie nieszczęśliwego. Jako król stał się tłusty i pryszczaty — bywał blade i trzęsły mu się ręce od nadużywania alkoholu, zazwyczaj też brzydko pachniało mu z ust. Jego nogi stopniowo nabierały łukowatego kształtu, a gdy nie było przy nim Flagga, miał skłonność do chodzenia ze spuszczoną głową i włosami opadającymi na twarz.

Dennis wysunął ręce przed siebie i po omacku odnajdywał drogę. Rozlegające się w mroku łkanie zbliżało się... a potem nagle ciemności stały się jakby mniej nieprzeniknione. Usłyszał cichy szmer, następnie dostrzegł Thomasa. Stał na końcu korytarza, a słabe, bursztynowe światło dobiegało z dwóch niedużych otworów. Dennisowi przypominały one unoszące się w powietrzu oczy.

Zaczął nabierać przekonania, że wszystko będzie dobrze, że uda mu się przetrwać tę niesamowitą nocną wędrówkę, gdy Thomas zaczął krzyżeć. Wrzeszczał przeraźliwie — można by się obawiać, że zerwie sobie struny głosowe. Dennis stracił władzę w nogach, przycisnął dłonie do ust, aby zdławić swój własny krzyk, i zaczęło mu się wydawać, że tajne przejście zapełniają duchy podobne do trzepoczących skrzydłami nietoperzy, które w każdej chwili mogą wplątać mu się we włosy; o tak, Dennisowi zdawało się, że miejsce to wypełnia atmosfera nagłej śmierci, i być może miał rację.

Prawie zemdłał... prawie... ale nie całkiem. Gdzieś pod nim rozległo się szczekanie psów i lokaj zdał sobie sprawę, że znajdują się nad psiarniami starego króla. Kilka ogarów Rolanda żyło jeszcze i nikt nie usunął ich z zamku. Były jedynymi żywymi istotami — poza samym Dennisem — które usłyszały te dzikie krzyki. Ale psy istniały rzeczywiście, a nie jako duchy, i lokaj uchwycił się tej myśli niczym tonący masztu unoszącego się na wodzie.

Kilka chwil później zdał sobie sprawę, że krzyk Thomasa nie był jedynie wrzaskiem — udało mu się odróżnić słowa. Na początku rozumiał tylko jedno powtarzane bez końca zdanie: „Nie pij tego wina! Nie pij tego wina! Nie pij tego wina!”.

Trzy noce później rozległo się lekkie stukanie do zamkniętych drzwi bawialni na farmie w jednej z Centralnych Baronii, znajdującej się niedaleko miejsca, gdzie niegdyś mieszkała rodzina Staadów.

— Wejść! — warknął Anders Peyna. — I lepiej niech to będzie coś ważnego, Arlenie!

Lokaj postarzał się od czasu, gdy Beson pojawił się u drzwi Peyny z listem od Petera. Ale zmiany, jakie w nim zaszły, były nieznaczne, jeśli porównało się go z Peyną. Dawny Sędzia Najwyższy stracił prawie wszystkie włosy. Szczupła sylwetka stała się chuda. Ale i włosy, i chudość niewiele znaczyły w porównaniu z tym, co stało się z jego twarzą. Dawniej malowała się na niej surowość. Teraz twarz stała się ponura. Pod oczami pojawiły się ciemnobrązowe podkowy. Piętno rozpaczy odcisnęło się wyraźnie na tej twarzy, a były po temu ważne powody. Właściciel jej przyglądał się, jak dzieło jego życia doprowadzono do ruiny... z zapierającą dech łatwością i w przerażająco krótkim czasie. O tak, przypuszczam, że mądrzy ludzie wiedzą, jak kruchymi w istocie rzeczami są prawo, sprawiedliwość i cywilizacja, ale wolą o tym nie pamiętać, bo zakłóca im to spokój i psuje apetyt.

Przyglądanie się, jak ktoś niszczy dzieło twego życia z taką łatwością, jakby to był domek z klocków, jest samo w sobie nieprzyjemne, ale była jeszcze inna, o wiele gorsza sprawa, która nękała Peynę w ciągu ostatnich czterech lat. Wiedział on mianowicie, że Flagg nie doprowadził do owych ponurych zmian sam. Peyna mu w tym pomógł. Któż bowiem jak nie on dopilnował, żeby rozprawa Petera odbyła się tak szybko? Któż był dogłębnie przekonany o jego winie... i to na podstawie tak niepewnego dowodu, jak łzy zrozpaczonego młodego chłopca?

Od dnia, gdy Petera zaprowadzono na szczyt Iglicy, pień, na którym ścinano głowy na placu, nabrał koloru złowrogiej czerwieni. Nawet największy deszcz nie potrafił go domyć. A Peynie wydawało się, że widzi, jak owa złowieszczą barwa się rozprzestrzenia — pokrywa plac, ulice wiodące do targu, boczne uliczki. W swych niespokojnych snach obserwował strumyki świeżej krwi, sączące się

jaskrawymi, oskarżycielskimi smużkami pomiędzy kamieniami bruku i spływające strużkami do rynsztoków. Widział szańce Zamku Delain, połyskujące krwawo w słońcu. Spostrzegł w fosie pływającego brzuchem do góry karpia, zatrutego krwią, która obficie wypływała ze ścieków i wydobywała się ze źródeł w głębi ziemi. Zobaczył, jak posoka zalewa pola i lasy. W owych nieszczęśliwych czasach słońce zaczęło mu przypominać nabiegłe krwią, martwiejące oko.

Flagg pozostawił go przy życiu. W karczmach ludzie szeptali, zasłaniając usta ręką, że Peyna zawarł porozumienie z czarnoksiężnikiem — że może podał mu nazwiska niektórych zdrajców albo „miał coś” na Flagga, znał jakąś jego tajemnicę, która wyszłaby na jaw po śmierci sędziego. Oczywiście nie miało to najmniejszego sensu. Flagg nie należał do ludzi dających się zastraszyć — ani Peynie, ani komukolwiek innemu. Nie istniały żadne tajemnice. Nie zawarto żadnych układów ani porozumienia. Flagg po prostu pozwolił mu żyć... a Peyna wiedział dlaczego. Po śmierci znalazłby prawdopodobnie spokój. Żyjąc, musiał znosić tortury własnego sumienia. Musiał przyglądać się strasznym zmianom, jakie mag wprowadzał w Delainie.

— No? — zapytał z irytacją. — O co chodzi, Arlenie?

— Przyszedł jakiś chłopak, panie. Mówi, że musi się z panem zobaczyć.

— Odeślij go — odparł z niezadowoleniem Peyna. Pomyślał, że jeszcze rok temu usłyszałby stukanie do drzwi frontowych, ale teraz wydawało mu się, że traci słuch z dnia na dzień. — Wiesz doskonale, że nie przyjmuję po dziewiątej. Wiele się zmieniło, ale to nie.

Arlen odchrząknął.

— Znam go. To Dennis, syn Brandona. Jest teraz lokajem króla.

Peyna patrzył na Arlena, nie wierząc własnym uszom. Może głuchnie jeszcze szybciej, niż myślał. Kazał słudze powtórzyć, ale słowa brzmiały identycznie jak poprzednio.

— Przyjmę go. Każ mu wejść.

— Tak jest, panie. — Arlen skierował się do drzwi.

Podobieństwo do tamtego wieczoru, gdy Beson przyszedł z listem od Petera — nawet tak samo wył wiatr za oknami — wydało się Peynie uderzające.

— Arlenie! — zawołał.

Lokaj się odwrócił.

— Tak, panie?

Prawy kącik ust Peyny leciutko drgnął.

— A jesteś pewien, że to nie karzeł?

— Najzupełniej, panie — odparł Arlen, a lewy kącik jego ust zadrżał odrobinę.

— Nie ma karłów na świecie. W każdym razie tak mówiła mi matka.

— Była to niewątpliwie kobieta rozsądna i mądra, która starała się właściwie wychować swego syna, i nie należy obciążać jej odpowiedzialnością za materiał, z jakim musiała pracować. Przyrowadź mi zaraz tego chłopaka.

— Tak, panie. — Drzwi się zamknęły.

Peyna znów popatrzył w ogień i zatarł swe zniekształcone przez reumatyzm starcze dłonie z niezwykłym u niego podnieceniem. Lokaj Thomasa. Tutaj. Teraz. Dlaczego?

Ale domysły nie prowadziły do niczego; drzwi zaraz się otworzą i odpowiedź wkroczy przez nie w postaci drżącego z zimna, a może nawet odmrożonego chłopca.

Dennisowi byłoby o wiele łatwiej znaleźć Peynę, gdyby mieszkał on nadal w swym pięknym domu w centrum miasta, ale dawny Sędzia Najwyższy był zmuszony go sprzedać, żeby wyrównać „zaległe podatki”, jakimi obciążono go po rezygnacji z urzędu. Kilkaset guldenów, które zdołał odłożyć podczas czterdziestu lat pracy, pozwoliło mu kupić nieduży, wyziębiony przeciągami wiejski dom i nadal płacić Besonowi. Dom znajdował się zasadniczo na terenie Centralnych Baronii, ale leżał wiele kilometrów na zachód od zamku... a na dworze było bardzo zimno.

Usłyszał szmer głosów w holu. Teraz. Zaraz pozna odpowiedź na swoje pytania. Nagle owładnęło nim szalone uczucie — błysnęła nadzieja, niczym jaskrawy promień światła w ciemnej jaskini. Za chwilę usłyszę odpowiedź, pomyślał i przez moment wydawało mu się, że rzeczywiście okaże się to prawdą.

Sięgając po swoją ulubioną fajkę, Anders Peyna spostrzegł, że drżą mu dłonie.

Chłopiec okazał się mężczyzną, ale określenie Arlena także było usprawiedliwione — przynajmniej tego wieczoru. Peyna zauważył, że przybyły zmarł, jednak takie drżenie, jakie opanowało Dennisa, nie mogło być wyłącznie rezultatem zimna.

— Dennis! — rzekł Peyna, pochylając się raptownie do przodu (i ignorując wywołany tym ruchem ból w plecach). — Czy coś się stało królowi? — Przerazające wizje różnych potwornych sytuacji nagle osaczyły Peynę: król albo zmarł z powodu nadużycia alkoholu, albo popełnił samobójstwo. Wszyscy w Delainie wiedzieli, że często wpada w przygnębienie.

— Nie... to znaczy... tak... ale nie... nie w taki sposób, jak pan myśli... to znaczy nie tak, jak ja myślę, że się panu wydaje...

— Podejź do ognia — polecił sucho Peyna. — Arlen, nie gap się tak! Przynieś koc! Albo lepiej dwa. Zawiń w nie tego chłopca, zanim roztrzęsie się na śmierć niczym żuczek trzęsaczek!

— Tak, panie — odrzekł Arlen.

Nigdy w życiu się nie gapił — i doskonale o tym wiedział, tak samo jak jego pan. Ale natychmiast zrozumiał powagę sytuacji i oddalił się szybko. Zdjął dwa koce ze swojego własnego łóżka — pozostałe dwa w tym domu, będącym niewiele więcej niż chłopską chatą, należały do Peyny — i przyniósł je do bawialni. Podszedł do Dennisa, który kulił się tak blisko ognia, jak tylko mógł bez ryzyka, że stanie w płomieniach. Szron pokrywający grubą warstwą jego włosy zaczął się topić i spływał mu po policzkach niczym lzy. Dennis zawiął się w koce.

— A teraz herbaty. Mocnej. Filiżanka dla mnie i dzbanek dla chłopca.

— Ależ, panie, mamy tylko pół puszki w całym...

— Do diabła z tym, ile nam zostało! Filiżanka dla mnie i dzbanek dla chłopca. — Zastanowił się. — I sobie też zrób filiżankę, Arlenie, a potem przyjdź tu posłuchać.

— Panie? — Nawet doskonale wyszkolenie nie uchroniło Arlena przed przybraniem wyrazu szczerzego zaskoczenia.

— Do cholery! — ryknął Peyna. — Czy to ma znaczyć, że stałeś się równie głuchy jak ja? Bierz się do roboty!

— Tak, panie — powiedział Arlen i udał się, aby zaparzyć ostatnią herbatę w tym domu.

Peyna nie zapomniał jeszcze całej sztuki prowadzenia przesłuchań; prawdę mówiąc, zapomniał bardzo niewiele albo zgoła nic. Spędził niejedną bezsenłą noc, marząc, by udało mu się wyrzucić z pamięci to i owo.

Podczas gdy Arlen parzył herbatę, Peyna zajął się uspokajaniem przestraszonego, a raczej śmiertelnie przerażonego młodego człowieka. Zapytał, jak się ma matka Dennisa. Chciał wiedzieć, czy usterki w kanalizacji, które tak gnębiły mieszkańców zamku, zostały usunięte. Dopytywał się, co Dennis sądzi o wiosennym sadzeniu. Trzymał się z daleka od wszystkich niebezpiecznych tematów... i młody lokaj stopniowo się rozgrzewał i zaczął się uspokajać.

Gdy Arlen podał herbatę, gorącą, parującą i mocną, Dennis wypił połowę filiżanki jednym haustem, skrzywił się, a potem pochłonął resztę. Jak zawsze nieporuszony Arlen nalał mu więcej.

— Spokojnie, chłopcze — powiedział Peyna, zapalając fajkę. — Spokój to najlepszy sposób na gorącą herbatę i nerwowe konie.

— Było tak strasznie zimno. Myślałem, że zamarznę na kość.

— Szedłeś piechotą? — Peyna nie potrafił ukryć zdziwienia.

— Tak. Prosiłem matkę, żeby zawiadomiła innych służących, że jestem chory na grypę. To wystarczy na kilka dni, wszyscy ją łapią o tej porze... albo mogą złapać. Szedłem. Całą drogę. Nie odważyłem się poprosić o podwiezienie. Nie chciałem, żeby mnie ktoś zapamiętał. Nie zdawałem sobie sprawy, że to tak daleko. Gdybym wiedział, może zaryzykowałbym podróż wozem. Wyruszyłem o trzeciej. — Zadrżał, przelknął łyk herbaty, a potem wybuchnął: — Nie wrócę tam, za nic w świecie! On teraz na mnie tak patrzy po powrocie! Łypie spode łba swoimi czarnymi oczyskami! Nigdy tak na mnie nie patrzył, nigdy przedtem nie zwracał na mnie uwagi! Wie, że coś widziałem! Że usłyszałem coś! Nie wie co, ale coś wyczuwa! Słyszysz myśli w mojej głowie niczym dzwony w Świątyni Wielkich Bogów! Gdybym został, wydobyłby to ze mnie! Na pewno!

Peyna przyglądał się chłopcu ze zmarszczonymi brwiami, usiłując połapać się w tej nieoczekiwanej powodzi informacji.

W oczach Dennisa pojawiły się łzy.

— To znaczy, F...

— Cicho, Dennis — powstrzymał go Peyna. Mówił łagodnie, ale patrzył srogo.

— Wiem, kogo masz na myśli. Ale nie wypowiadaj tego imienia na głos.

Dennis spojrział na niego ze szczerą wdzięcznością i zamilkł na chwilę.

— A teraz powiedz mi, z czym przyszedłeś — rzekł Peyna.

— Tak. Tak, dobrze.

Młody lokaj zawahał się, usiłując się opanować i uporządkować myśli. Peyna czekał spokojnie, starając się nie okazywać rosnącego podniecenia.

— Widzi pan — zaczął wreszcie Dennis — trzy dni temu Thomas kazał mi nocować u siebie, jak to czasami robi. A o północy albo coś koło tego...

Dennis opowiedział historię, którą już znacie, ale należy mu przyznać, że nie próbował oszukiwać na temat strachu, jaki przeżył, ani też go pomijać. Gdy mówił, wiatr wyl za oknami, a w miarę jak przygasał ogień na kominku, oczy Peyny płonęły coraz jaśniej. Oto, pomyślał, sprawy mają się o wiele gorzej, niż sobie wyobrażał. Nie tylko Peter otruł króla, ale Thomas był tego świadkiem.

Nic dziwnego, że młody król tak często bywał smutny i przygnębiony. Może plotki, które słyszało się po karczmach, że Thomas jest już na poły szalony, nie odbiegały tak daleko od prawdy, jak to się Peynie wydawało.

Ale gdy Dennis przerwał, żeby się napić herbaty (Arlen nalał mu gorzkie resztki z dzbanka), Peyna odrzucił tę myśl. Jeżeli Thomas widział, jak Peter otruł Rolanda, to czemu Dennis znalazł się tutaj... i to w tak wielkim strachu przed Flaggiem?

— Usłyszałeś coś jeszcze — powiedział Peyna.

— Tak, panie Sędzio Najwyższy — odparł Dennis. — Thomas... majaczył przez pewien czas. Siedzieliśmy długo w ciemnościach.

Dennis usiłował mówić jaśniej, ale nie potrafił znaleźć słów, aby oddać straszne chwile, spędzone w zamkniętym korytarzyku z Thomasem krzyczącym w ciemnościach i kilkoma jeszcze żyjącymi psami zmarłego króla, szczekającymi na dole. Żadne słowa nie opiszą zapachu panującego w tym miejscu — woni tajemnic, które skwaśniały niczym mleko wylane w ciemnościach. Nie potrafił też wyrazić rosnącego strachu, że Thomas, wciąż znajdując się we śnie, oszalał.

Wykrzykiwał bowiem imię królewskiego czarnoksiężnika raz za razem; błagał króla, żeby spojrział do kielicha i zobaczył mysz, równocześnie płonąca i utopioną w winie. „Dlaczego się tak na mnie gapisz?” — wołał. A potem: „Przyniosłem kieliszek wina, panie, żeby pokazać, że ja także cię kocham!”. W końcu krzyknął słowa, które Peter poznałby z łatwością, słowa liczące z górą czterysta lat: „To Flagg! Flagg! To Flagg!”.

Dennis sięgnął po filiżankę, podniósł ją do ust, a następnie upuścił. Rozprysła się na tysiąc kawałków na kamiennym kominku.

Wszyscy trzej patrzyli na potłuczoną porcelaną.

— A potem? — zapytał Peyna z podejrzaną łagodnością.

— Nic przez bardzo długi czas — odparł Dennis przerywanym głosem. — Wzrok... przyzwyczaiał mi się trochę do ciemności i zacząłem go widzieć. Zasnął... zapadł w sen przy tych dwóch otworkach z brodą opartą o pierś.

— I długo tak pozostawał?

— Nie wiem, panie. Psy się uspokoiły. I może ja... ja...

— Też się trochę zdrzemnąłeś? Myślę, że tak właśnie się stało, Dennisie.

— A potem wyglądało na to, że się obudził. W każdym razie otworzył oczy. Zasnął otwory w ścianie i znów zapadł w ciemności. Usłyszałem, że się porusza, i podciągnąłem nogi, żeby się o nie nie potknął... jego nocna koszula... musnęła moją twarz...

Dennis skrzywił się, przypominając sobie wrażenie, jakie wywołał ten dotyk — jakby pajęczyny poruszonej oddechem.

— Udałem się za nim. Wydostał się na korytarz. Dalej za nim szedłem. Zamknął drzwi tak, że znów niczym nie odróżniały się od ściany. Wrócił do swoich komnat, a ja za nim.

— Czy spotkaliście kogoś? — zapytał Peyna tak ostro, że Dennis podskoczył. — Kogokolwiek?

— Nie. Nie, panie Sędzio Najwyższy. Ani żywej duszy.

— Aha — odetchnął z ulgą Peyna. — To doskonale. Czy coś jeszcze wydarzyło się tej nocy?

— Nie, panie. Poszedł do łóżka i spał jak zabity. — Dennis zawahał się, a potem dodał: — Ja nie zmrużyłem oka ani tej nocy, ani w następnę.

— A rano?

— Nic nie pamiętał.

Peyna chrząknął. Złożył dłonie i patrzył przez palce na gasnący ogień.

— Czy poszedłeś jeszcze raz do tajnego przejścia?

Nieoczekiwanie Dennis zapytał:

— A ty wróciłeś tam, panie?

— Owszem — odparł sucho Peyna. — Ale chciałbym wiedzieć, czy ty to zrobiłeś.

— Tak.

— Oczywiście. Ktoś cię zobaczył?

— Nie. Sprzątaczką minęła mnie w przedpokoju. Z tego, co wiem, pralnie znajdują się piętro niżej. Czuję zapach szarego mydła, takiego jak używa moja

mama. A gdy już sprzątaczką sobie poszła, odliczyłem cztery kamienie od tego ze szczyrbą i wszedłem do środka.

— Żeby zobaczyć, co widział Thomas?

— Tak, panie.

— I widziałeś to?

— Tak, panie.

— Co to było? — zapytał Peyna, mimo że wiedział. — Gdy odsunąłeś klapki zasłaniające otwory w ścianie, co zobaczyłeś?

— O panie, bawialnię króla Rolanda — powiedział Dennis. — Z tymi wszystkimi głowami na ścianach. I... panie... — Mimo dogasającego na kominku ognia młody lokaj zadrżał. — One... jakby na mnie patrzyły.

— Ale jednej z nich nie widziałeś — rzekł Peyna.

— Ależ nie, widziałem je wszystk... — przerwał, szeroko otwierając oczy. — Dziewięć! — sapnął. — Te otworki... — Przerwał, a oczy miał już teraz wielkości spodków.

W bawialni znów zapadła cisza. Na dworze zimowy wiatr zawodził i jęczał. A wiele kilometrów od nich Peter, prawy król Delainu, kulił się nad małym warsztatem tkackim wysoko pod niebem i pracował nad liną tak cienką, że prawie niewidoczną.

W końcu Peyna westchnął ciężko. Dennis popatrzył na niego ze swojego miejsca przy kominku błagalnie... z nadzieją... ze strachem. Stary sędzia powoli pochylił się do przodu i dotknął jego ramienia.

— Słusznie zrobiłeś, przychodząc tutaj, Dennisie, synu Brandona. Dobrze się też stało, że podałeś jakiś powód swojej nieobecności, całkiem zresztą wiarygodny. Przenocujesz dzisiaj u nas, na strychu. Jest tam zimno, ale myślę, że będzie ci się spało lepiej niż ostatnio. Mam rację?

Dennis powoli skinął głową, a potem z prawego oka spłynęła mu łza i z wolna potoczyła się po jego policzku.

— A czy twoja mama wie przynajmniej, dlaczego musiałeś odejść?

— Nie.

— Więc może jej to nie dotknie. Arlen cię zaprowadzi na górę. Koce należą do niego, więc musisz mu je oddać. Ale leży tam trochę siana i jest czysto.

— Jeden koc mi w zupełności wystarczy, panie — zapewnił Arlen.

— Cicho! Młoda krew jest gorąca nawet podczas snu, Arlenie. Twoja zaś już ostygła. A koce mogą okazać ci się potrzebne... na wypadek gdyby przyśniły ci się

karły i trolle.

Arlen uśmiechnął się lekko.

— Rano jeszcze sobie porozmawiamy, Dennisie, a chyba przez jakiś czas nie zobaczysz swojej mamy; muszę ci to powiedzieć wprost, chociaż widzę po twojej minie, że sam się już tego domyślasz: powrót do Delainu mógłby okazać się dla ciebie niezdrowy.

Dennis próbował się uśmiechnąć, ale w oczach czaił mu się strach.

— Miałem na myśli coś więcej niż grypę, gdy wyruszyłem tutaj, taka jest prawda. A teraz okazało się, że wystawiłem na szwank pana zdrowie.

Peyna uśmiechnął się sztywno.

— Jestem stary i Arlen też. Ludzie w naszym wieku rzadko cieszą się kwitnącym zdrowiem. Dlatego czasami są ostrożni aż do przesady... a niekiedy gotowi wiele poświęcić. — Zwłaszcza, pomyślał, jeśli mają wiele do odkupienia. — Porozmawiamy sobie jeszcze rano. Teraz jednak należy ci się odpoczynek. Oświeć mu drogę, Arlenie.

— Tak, panie.

— I zajdź potem do mnie.

— Tak, panie.

Arlen wyprowadził wyczerpanego Dennisa z pokoju, zostawiając Peynę dumającego nad dogasającymi płomieniami w kominku.

Gdy stary lokaj wrócił, Peyna powiedział cicho:

— Musimy teraz ułożyć plan, Arlenie, ale przedtem utocz nam trochę wina. Lepiej zaczekać, aż chłopiec zaśnie.

— Panie, spał, zanim dotknął głową siana.

— Doskonale. Ale mimo to nalej wina.

— Więcej i tak nie ma.

— Świetnie. Przynajmniej w drodze nie będą nas bolały głowy.

— Panie?

— Jutro wyruszamy na pomoc, Arlenie, wszyscy trzej. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. Dennis twierdzi, że w Delainie szaleją zarazki, i tak też jest; a zwłaszcza jeden z nich czyha na nas. Wyjdziemy z powodów zdrowotnych.

Arlen powoli skinął głową.

— Byłoby zbrodnią zostawiać dobre wino poborcy podatków. Dlatego wypijemy je... a potem pójdziemy spać.

— Jak rozkażesz, panie.

Oczy Peyny zabłysły.

— Ale zanim udasz się do łóżka, wejdiesz na strych i zabierzesz koc, który zostawiłeś chłopcu wbrew mojemu stanowczemu i wyraźnemu poleceniu.

Arlen popatrzył na Peynę, otwierając głupekowato usta. Peyna wielce udanie przedrzeźnił jego minę. Po raz pierwszy i ostatni podczas swego zatrudnienia u Peyny Arlen wybuchnął głośnym śmiechem.

Peyna położył się, lecz nie mógł zasnąć. Ale to nie wiatr mu przeszkadzał, tylko zimny śmiech, rozbrzmiewający w jego własnej głowie.

Gdy nie mógł go dłużej znieść, wstał, wrócił do bawialni i usiadł przed kominkiem, w którym popiół już stygł. Głowę starego sędziego otaczały białe obłoczki włosów. Nieświadom, że wygląda dosyć komicznie (ale nawet gdyby sobie z tego zdawał sprawę, nie przejąłby się), siedział zawinięty w swoje kocie niczym najstarszy na świecie Indianin i patrzył w wygasły ogień.

Tracimy dumę przed upadkiem, mawiała mu matka, gdy był jeszcze dzieckiem, i Peyna to rozumiał. Wcześniej czy później rozśmieszymy siedzącego w nas obcego, mówiła też, ale wtedy tego nie pojmował... dopiero teraz. Dzisiejszego wieczoru obcy śmiał się do rozpuku. Za bardzo, by pozwolić sędziemu zasnąć, nawet jeśli jutro czekał ich ciężki dzień.

Peyna potrafił docenić ironię sytuacji, w której się znalazł. Całe życie służył prawu. Pojęcia takie jak „ucieczka z więzienia” i „zbrojny bunt” zawsze napawały go odrazą. Tak było i teraz, ale mimo to musiał przyjąć do wiadomości pewne prawdy. Na przykład to, że w Delainie powstała machina buntu. Peyna wiedział, że szlachta, która zbiegła na północ, nazywa siebie „uchodźcami”, zdawał też sobie sprawę, że niewiele brakuje, aby bardziej przystawało do uciekinierów określenie „buntownicy”. A jeśli ma zapobiec wybuchowi owej rebelii, powinien wykorzystać jej mechanizmy, aby pomóc zbiec z Iglicy więźniowi. To właśnie był żart, z którego obcy wewnątrz śmiał się tak głośno, że nie pozwalał mu zasnąć.

Działania podobne do tych, nad którymi się teraz zastanawiał, przejmowały go wstrętem, ale musiał je podjąć, nawet gdyby miało się to dla niego źle skończyć (co było całkiem prawdopodobne). Peter został niesłusznie uwięziony. Prawdziwy król Delainu siedział nie na tronie, lecz w zimnym, dwuizbowym więzieniu na szczycie Iglicy. A jeśli jedynie bezprawie mogło przywrócić właściwy stan rzeczy, to trudno. Ale...

— Te serwetki — mruknął Peyna. Stale wracał do nich myślą. — Zanim odwołamy się do siły zbrojnej, aby uwolnić prawowitego króla i z powrotem

osadzić go na tronie, trzeba zbadać sprawę serwetek. Powinno się o to zapytać Dennisa... i może chłopaka Staadów... tak...

— Panie? — odezwał się Arlen za plecami Peyny. — Źle się czujesz? — Arlen, czujny jak wszyscy lokaje, usłyszał, że jego pan wstał.

— Tak — przyznał ponuro Peyna. — Ale lekarz nic nie pomoże.

— Przykro mi, panie.

Peyna odwrócił się do Arlena i skierował na niego swoje lśniące, zapadnięte oczy.

— Zanim zostaniemy banitami, chcę wiedzieć, dlaczego poprosił o dom dla lalek swojej matki... i serwetki do posiłków.

— Mam wracać na zamek? — zapytał Dennis tak zachrypnięty, że w zasadzie mógł tylko szeptać. — Wracać tam, gdzie on jest?

— Jeśli uważasz, że nie możesz, nie nalegam — powiedział Peyna. — Ale, moim zdaniem, znasz zamek na tyle, żeby nie wejść mu w drogę. To znaczy, o ile wiesz, jak się tam wślizgnąć niepostrzeżenie. Źle by się stało, gdyby ktoś cię zauważył. Wyglądasz zbyt zdrowo jak na kogoś, kto powinien leżeć w łóżku.

Dzień był zimny i słoneczny. Śnieg na rozległych, łagodnie falujących wzgórzach Centralnych Baronii lśnił diamentowo, co wywoływało łzawienie oczu. Do południa zapadnę na śnieżną ślepotę, i dobrze mi tak, pomyślał zrędlawie Peyna. Obcy wewnątrz niego uznał, iż perspektywa ta jest bardzo zabawna.

Zamek Delain widniał w oddali, majacząc błękitnawo na horyzoncie, a jego mury i wieże przypominały ilustracje w książkach z bajkami. Dennis jednak nie czuł się jak szukający przygód bohater takich opowieści. W oczach miał strach, a wyraz twarzy człowieka, który uciekł z klatki z lwami... tylko po to, żeby się okazało, że zostawił w niej drugie śniadanie i teraz musi po nie wrócić, choć całkiem już stracił apetyt.

— Znajdzie się jakiś sposób — powiedział. — Ale jeżeli mnie wywęszy, to droga wejścia i miejsce ukrycia przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie. Jak mnie wyczuje, to koniec.

Peyna skinął głową. Nie chciał powiększać strachu chłopca, ale w tej sytuacji nie wolno mu było kłamać.

— Masz rację.

— I mimo to pragnie pan, żebym tam poszedł?

— Jeśli możesz.

Podczas skąpego śniadania Peyna powiedział Dennisowi, czego ma się dowiedzieć, i podsunął kilka sposobów, jak Dennis może zdobyć te informacje. Teraz chłopak pokręcił głową nie w odmowie, ale ze zdziwieniem.

— Serwetki — rzekł.

Peyna skinął głową.

— Serwetki.

Przerażony wzrok Dennisa powędrował w stronę zamku lśniącego gdzieś w dali na horyzoncie.

— Umierając, mój ojciec powiedział, że jeśli tylko nadarzy się okazja, żeby wyświadczyć przysługę memu pierwszemu panu, nie wolno mi się zawahać. Wydawało mi się, że dokonałem tego, przychodząc tutaj. Ale jeśli muszę wracać...

Dołączył do nich Arlen, który właśnie zamknął drzwi domu.

— Daj mi swój klucz, Arlenie — powiedział Peyna. Lokaj wręczył mu klucz, a Peyna przekazał go Dennisowi.

— Arlen i ja udajemy się na północ do... — zawahał się i odchrząknął — ... uchodźców. Daję ci klucz Arlena do tego domu. Gdy dotrzemy do ich obozu, dam swój człowiekowi, którego znasz, jeśli go tam znajdę. Ale chyba tak.

— Kto to? — zapytał Dennis.

— Ben Staad.

Twarz młodego lokaja zaślniła radością.

— Ben? Jest z nimi?

— Przypuszczam, że tak — odparł Peyna. Prawdę mówiąc, wiedział, że cała rodzina Staadów dołączyła do uchodźców. Bacznie przysłuchiwał się, co w trawie piszczy, a uszy miał jeszcze wystarczająco dobre, aby mało co umknęło jego uwagi.

— I wyśle go pan na zamek?

— Tak, jeśli się zgodzi — odparł Peyna.

— Po co? Niezupelnie rozumiem, panie.

— Ja też nie — powiedział Peyna z gniewem. Odczuwał jednak coś gorszego niż złość: miał w głowie chaos. — Spędziłem całe życie, robiąc pewne rzeczy, bo wydawały mi się logiczne, i nie robiąc innych, które nimi nie były. Widziałem, co się dzieje z ludźmi kierującymi się intuicją albo nielogicznymi przesłankami. Czasami rezultaty okazywały się niedorzeczne i żenujące, a czasami po prostu straszne. A teraz co? Sam chętnie popatrzyłbym w kryształową kulę.

— Nie rozumiem, panie.

— Ja też nie, Dennisie. Ja też nie. Jaki dziś dzień?

Dennis, zaskoczony nagłą zmianą tematu, zamrugał oczami.

— Eee, wtorek.

— Wtorek. Znakomicie. A teraz chciałbym ci zadać pytanie, które, jeśli wierzyć przekłętą intuicji, może okazać się bardzo ważne. Jeśli nie znasz odpowiedzi albo

nie jesteś jej pewien, na miłość boską, przyznaj się do tego! Jesteś gotów?

— Tak, panie — zapewnił Dennis, chociaż wcale nie był o tym przekonany. Przenikliwy wzrok niebieskich, przysłoniętych gęstymi, siwymi brwiami oczu Peyny napawał go strachem. Pytanie niewątpliwie okaże się szalenie trudne.

Peyna zadał mu je, a Dennis się odprężył. Nie miało dla niego wielkiego sensu — związane było z idiotyczną sprawą serwetek — ale znał na nie odpowiedź i udzielił jej.

— Jesteś pewien? — dopytywał się Peyna.

— Tak, panie.

— Doskonale. A teraz słuchaj, co masz zrobić.

Peyna mówił przez pewien czas, stojąc z dwoma towarzyszami w mroźny i słoneczny poranek przed swym „ustroniem”, do którego miał już nie wrócić. Dennis słuchał z uwagą, a gdy Peyna kazał mu powtórzyć instrukcję, zrobił to całkiem dokładnie.

— Dobrze — rzekł Peyna. — Znakomicie.

— Cieszę się, że jest pan zadowolony.

— Nie jestem z niczego zadowolony w tej sprawie, Dennisie. Ani trochę. Jeśli znajdę Bena Staada pośród tych nieszczęsnych wyrzutków w Puszczy Kresowej, to wyślę go ze względnie bezpiecznego miejsca tam, gdzie grozi mu śmierć, dlatego że być może zdoła się w jakiś sposób przysłużyć królowi Peterowi. Posyłam cię z powrotem do zamku, bo serce podpowiada mi, że serwetki, o które poprosił... i dom dla lalek kryją w sobie jakąś tajemnicę. Czasami wydaje mi się, że prawie wiem, o co chodzi, a potem znowu mi to umyka. Jestem przekonany, że nie żądał ich bez celu. Ale nie mam pewności. — Peyna ze złością klepnął się po udzie. — Wystawiam dwóch dzielnych młodzieńców na straszne niebezpieczeństwo i coś mi podpowiada, że robię słusznie, ale... nie wiem dlaczego!

A w głębi duszy człowieka, który kiedyś skazał chłopca za to, że płakał, obcy śmiał się, śmiał się i śmiał.

Dwaj starsi mężczyźni ruszyli w drogę. Wymienili z Dennisem uścisk dłoni, on zaś ucałował pierścień sędziego, na którym wryta była Wielka Pieczęć Delainu. Peyna zrezygnował ze swego stanowiska, ale nie potrafił rozstać się z sygnetem, który stanowił symbol wszystkiego, co w prawie najlepsze. Wiedział, że od czasu do czasu popełniał błędy, ale nie załamywał się tym. Zdawał sobie sprawę, że na tej ziemi droga do piekła wybrukowana jest dobrymi chęciami — ale rozumiał też, że czasami tylko one się liczą. Być może aniołom nie grozi potępienie, ale istoty ludzkie nie mają tego szczęścia i zawsze znajdują się blisko piekła.

Nie chciał, żeby Dennis całował pierścień, lecz chłopak się uparł. Potem Arlen uściśnął mu dłoń i życzył rychłego powrotu. Uśmiechając się (ale Peyna widział, że w oczach czai mu się strach), Dennis wyraził nadzieję, że im także wszystko pójdzie gładko. Potem młody lokaj zwrócił się na wschód, w stronę zamku, a dwaj starsi panowie udali się w kierunku zachodnim, na farmę niejakiego Charlesa Reechfula. Zajmował się on zawodowo hodowlą anduańskich psów husky, płacił bez skargi drastyczne podatki, nakładane przez króla, i w związku z tym uważano, że jest wiernym poddanym... ale Peyna wiedział, że Reechful pomaga uchodźcom obozującym w Puszczy Kresowej i ułatwia innym nawiązanie z nimi kontaktu. Nigdy nie przypuszczał, że będzie kiedykolwiek potrzebował usług Reechfula, ale teraz nadeszła właśnie taka chwila.

Najstarsza córka gospodarza, Naomi, powiozła Peynę i Arlena saniami ciągniętymi przez dwanaście najsilniejszych psów. W środę wieczorem znaleźli się na skraju Puszczy Kresowej.

— Kiedy dotrzemy do obozu uchodźców? — zapytał Peyna Naomi.

Dziewczyna cisnęła w ogień cienkie, paskudnie cuchnące cygareto, które paliła.

— Za jakieś dwa dni, jeśli się utrzyma pogoda. Cztery, o ile zacznie padać śnieg. Albo nigdy, jeżeli rozszaleje się zamieć.

Peyna poszedł się położyć. Zapadł w sen prawie natychmiast. Może i nie miało to sensu, ale sypiał obecnie lepiej niż w ostatnich latach.

Następnego dnia pogoda się utrzymała, tak samo w piątek. Tego dnia o zmroku — czwartego od czasu, gdy Peyna i Arlen rozstali się z Dennisem — dotarli do niedużego skupiska namiotów i prowizorycznych szałasów, których Flagg szukał daremnie.

— Hej! Kto idzie i jakie jest hasło? — zawołał jakiś głos. Brzmiał pewnie, radośnie i nie słyszało się w nim lęku. Peyna rozpoznał go natychmiast.

— Naomi Reechful — odchrzyknęła dziewczyna — a hasło dwa tygodnie temu brzmiało „egzamin”! Jeśli się zdążyło zmienić, Benie Staad, to strzelaj, a ja wrócić cię straszyc!

Zza skały wyłonił się roześmiany Ben.

— Nie odważyłbym się stawić czoła twojemu duchowi, Naomi, jesteś dostatecznie przerażająca za życia!

Nie zwracając więcej uwagi na Bena, dziewczyna odwróciła się do Peyny.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmiła.

— Tak — odparł. — Widzę.

I cieszę się, że tu trafiliśmy... bo coś mi mówi, iż zostało już bardzo mało czasu, pomyślał.

Peter odnosił to samo wrażenie.

W niedzielę, dwa dni potem, jak Peyna i Arlen znaleźli się w obozie uchodźców, lina sięgała, według jego obliczeń, około dziewięciu metrów nad ziemię. Oznaczało to, że gdyby zawisł na jej końcu na wyciągniętych rękach, od powierzchni bruku dzieliłoby go jeszcze więcej niż siedem metrów. Zdawał sobie sprawę, że byłoby rozsądniej, gdyby popracował nad liną cztery miesiące dłużej — a przynajmniej dwa. Gdyby spadając, źle wylądował i złamał obie nogi, a strażnicy znaleźliby go podczas obchodu jęczącego na kamieniach, zmarnowałyby więcej niż cztery lata, po prostu dlatego, że zabrakło mu cierpliwości do kontynuowania pracy przez jeszcze cztery miesiące.

Tego rodzaju rozumowanie spodobałoby się Peynie, ale Peter miał stanowcze przekonanie, że musi się spieszyć. Niegdyś Peyna wyśmiałby sugestię, iż lepiej polegać na przecuciach niż na logice... ale teraz nie byłby chyba taki pewien siebie.

Petera nawiedzał sen — powtarzał się co noc już prawie od tygodnia i za każdym razem stawał się coraz wyraźniejszy. Przedstawiał Flagga pochylonego nad jakimś jaskrawo lśniącym przedmiotem, rzucającym niezdrowy, żółtozielony blask na twarz czarnoksiężnika. We śnie tym zawsze nadchodziła chwila, w której oczy maga rozszerzały się jakby w zdumieniu, a potem zwęzły w wąskie, okrutne szparki. Brwi marszczyły się, czoło mroczyło, a gorzki grymas wykrzywił usta. Ten wyraz twarzy oznaczał dla Petera jedną rzecz: śmierć. Flagg wypowiadał jakieś słowo, pochylając się, aby zdmuchnąć błyszczący przedmiot, który gasł jak świeca pod oddechem czarnoksiężnika. Tak, to był jeden wyraz, ale jaki? Słowo dobiegające z ust Flagga było imieniem Petera, wypowiedzianym tonem gniewnego zaskoczenia.

Poprzedniej nocy, w sobotę, księżyc otaczała lisa czapa.

Strażnicy przypuszczali, że niedługo zaczną padać. Patrząc w niebo dziś po południu, Peter uznał, że mają rację. To ojciec nauczył go czytać znaki przepowiadające nadchodzącą pogodę, a jego wspomnienie wzbudziło w Peterze

żał... i na nowo wznieciło w nim chłodny gniew... pragnienie, aby naprawić krzywdy.

Zrobię próbę pod osłoną ciemności i zamieci, pomyślał. Może spadnie trochę śniegu, który złagodzi upadek. Myśl ta wywołała uśmiech na jego twarzy — kilka centymetrów śnieżnego puchu pomiędzy nim a kamieniami bruku, to tak czy owak bardzo mało. Albo niebezpiecznie cienka lina pęknie... albo go utrzyma. Zakładając, że utrzyma, będzie musiał skoczyć. A wtedy jego nogi zniosą upadek... albo nie.

A jeśli zniosą, to dokąd na nich pójdziesz? — szepnął cichy głos. Wszyscy, którzy mogli cię ochronić albo ci pomóc... na przykład Ben Staad... dawno już musieli uciekać z twierdzy... a o ile wiesz, nawet z terenu królestwa.

Musi w takim razie zdać się na łut szczęścia. To rzecz, o której ojciec często mu opowiadał. Są królowie, którzy mają szczęście, a są i tacy, którym go brak. A gdy ty zostaniesz królem, przekonasz się, do których należysz. Ja jednak myślę, że ci ono dopisze, mówił.

Peter był królem Delainu — przynajmniej w duchu — od pięciu lat i uważał, że niepowodzenia, jakich doświadczył, najlepiej zrozumiałyby rodzina Staadów z ich przesławnym pechem. Ale może dzisiejsza noc wszystko zmieni.

Lina, nogi, szczęście. Albo wytrzymają, albo nie, być może równocześnie. Nieważne. Musi im zawierzyć bez względu na to, ile są warte.

— Dziś w nocy — mruknął, odwracając się od okna... Ale podczas kolacji wydarzyło się coś, co spowodowało, że zmienił zdanie.

Peyna i Arlen zużyli cały wtorek na pokonanie szesnastu kilometrów dzielących ich od farmy Reechfula i dotarli tam zupełnie wykończeni. Odległość do Zamku Delain była dwukrotnie większa, ale Dennis prawdopodobnie stukałby do Zachodniej Bramy — gdyby okazał się na tyle szalony, aby zrobić coś takiego — o drugiej po południu, mimo że dzień przedtem również odbył długi marsz. Taka jest oczywiście różnica między ludźmi młodymi i starymi. Ale co mógłby zrobić, jest nieistotne, bo Peyna wydał mu bardzo dokładne polecenia (zwłaszcza jak na kogoś, kto twierdził, że nie ma pojęcia, do czego zmierza), a Dennis miał zamiar wykonać je co do joty. W rezultacie, zanim znalazł się na zamku, miało upłynąć jeszcze trochę czasu.

Przeszedłszy połowę odległości, zaczął szukać miejsca, w którym mógłby ukryć się przez kilka dni. Do tej pory nie spotkał nikogo po drodze, ale minęło już południe i wkrótce ludzie zaczną wracać z odbywającego się na zamku targu. Dennis nie chciał, żeby ktokolwiek go zauważył i zapamiętał. W końcu powinien teraz leżeć chory w domu. Wkrótce tedy znalazł schronienie, które wydało mu się odpowiednie. Była to opuszczona chata, niegdyś zadbana, ale teraz popadająca w ruinę. Dzięki Thomasowi Dawcy Podatków na drogach wiodących do twierdzy znajdowało się wiele takich domostw.

Dennis pozostał tam aż do późnego popołudnia w sobotę — w sumie cztery dni. Ben Staad i Naomi ruszyli już w drogę powrotną z Puszczy Kresowej na farmę Peyny — dziewczyna poganiała psy, zmuszając je do maksymalnego wysiłku. Wiadomość ta niewątpliwie poprawiłaby Dennisowi humor, ale, niestety, nie miał o tym pojęcia i czuł się bardzo samotny.

Na gorze nie znalazł nic do jedzenia, za to w piwnicy natknął się na kilka kartofli i trochę rzepy. Zjadł ziemniaki (Dennis nie cierpiał rzepy: dawniej, teraz i tym bardziej potem), wykrawając nożem zgniłe miejsca — co oznaczało, że wyrzucał trzy czwarte. Została mu garść białych kulek wielkości gołębih jaj. Zjadł ich kilka, popatrzył na rzepę w koszyku i westchnął. Czuł, że bez względu na to, czy ją lubi, czy nie, najdalej w piątek nie pozostanie mu nic innego.

Jeśli będę wystarczająco głodny, pomyślał z nadzieją, to może smak mi się zmieni. Może po prostu pochłonę te stare rzepy i poproszę o jeszcze!

W końcu rzeczywiście musiał zjeść ich kilka, ale stało się to dopiero w sobotnie popołudnie. Wtedy to zaczęły wyglądać apetycznie, ale, niestety, nadal smakowały ohydnie.

Dennis, przewidując, że nadchodzące dni okażą się trudne, zjadł je mimo to.

W piwnicy Dennis znalazł także parę starych rakiet. Paski okazały się nieco za szerokie, ale miał dużo czasu, żeby je skrócić. Sznurówki trochę zbutwiały, na co Dennis nie znalazł sposobu, ale miał nadzieję, że wytrzymają. Będzie ich potrzebował tylko przez krótki czas.

Spał w piwnicy, obawiając się zaskoczenia, ale gdy w czasie tych czterech dni świeciło słońce, przesiadywał w saloniku opuszczonego domu, patrząc na przejeżdżających ludzi — niewielki ruch zaczynał się około trzeciej i przeważnie kończył o piątej, gdy zapadał wczesny zimowy zmrok. Salonik był smutnym miejscem. Kiedyś panowała tu wesołość, gdy wieczorem rodzina zbierała się, aby porozmawiać o zdarzeniach całego dnia. Teraz należał do myszy... no i oczywiście do Dennisa.

Peyna usłyszawszy, że młody lokaj potrafi czytać i pisać „całkiem niezłe jak na służącego”, i widząc, jak kreśli duże litery (wydarzyło się to we wtorek po śniadaniu — ostatnim prawdziwym posiłku, jak Dennis jadł od czasu poniedziałkowego lunchu, który wspominał ze zrozumiałym sentymentem), dał mu kilka arkuszy pergaminu i ołówek. Podczas długich godzin, spędzonych w opuszczonym domu, Dennis ciężko pracował nad listem. Pisał, skreślał, przepisywał, marszczył czoło, czytał, drapał się po głowie, ponownie ostrzył ołówek i pisał znowu. Wstydział się błędów ortograficznych i obawiał, że zapomni o którejś z informacji, jakie Peyna kazał mu umieścić. Kilka razy jego biedny, wyczerpany umysł odmawiał współpracy, a wtedy Dennis żałował, że Peyna nie został godzinę dłużej w nocy i sam nie napisał listu albo nie podyktował go Arlenowi. Przez większość czasu jednak cieszył się, że ma jakieś zadanie. Całe życie ciężko się trudził, więc nieróbstwo napełniało go niepokojem. Wolałby oczywiście zajęcie, przy którym pracowałyby jego silne mięśnie, a nie słaby umysł, ale praca jest pracą i Dennis i tak był rad.

W sobotnie południe list wydawał mu się zadowolający (i bardzo dobrze, bo zostały już tylko dwie kartki). Dennis przyglądał mu się z niejakim podziwem. Zajmował on obie strony i był najdłuższym tekstem, jaki zdarzyło mu się w życiu

napisać. Chłopak zwinął go tak, że list miał rozmiary pastylki, a potem wyrzucił przez okno bawialni, z niecierpliwością czekając, kiedy będzie mógł wyruszyć. Podobnie jak Peter ze swego saloniku na szczycie Iglicy, Dennis zobaczył zbierające się chmury; obaj nauczyli się od ojców — króla i lokaja tegoż władcy — jak czytać niebo, więc chłopiec wiedział, że jutro zacznie padać śnieg.

O czwartej długi, błękitnawy cień domu zaczął wypęłzać spod fundamentów, a Dennis stracił ochotę na wymarsz. Czekano go zagrożenie... śmiertelne niebezpieczeństwo. Miał udać się tam, gdzie być może już teraz Flagg dumiał nad swoimi piekielnymi czarami albo sprawdzał, co dzieje się z pewnym chorym lokajem. Jednak Dennis uznał, że jego uczucia nie są ważne — należało wypełnić obowiązek, więc jak to czynili lokaje w jego rodzinie od wieków, on również dał z siebie wszystko.

O zachodzie słońca wyszedł z domu, przypiął rakiety i ruszył przez pole prosto w stronę twierdzy zamkowej. Trochę się bał wilków, ale miał nadzieję, że ich nie napotka, a jeśli tak, to że go zostawią w spokoju. Nie wiedział, iż Peter zdecydował się podjąć niebezpieczną próbę ucieczki następanej nocy, ale podobnie jak Peyna — i sam Peter — czuł, że trzeba się spieszyć. Przyszłość wydawała mu się równie zachmurzona jak horyzont.

Brnąc przez opustoszałe, pokryte śniegiem pola, Dennis rozmyślał nad tym, jak wejść niepostrzeżenie do zamku. Wreszcie wydało mu się, że znalazł na to skuteczny sposób, oczywiście, jeśli Flagg go nie wywęszy.

Zaledwie wspomniał czarnoksiężnika, pośród nieruchomej białej pustyni zawył wilk. W mrocznej komnacie w zamkowych podziemiach Flagg poderwał się na fotelu, budząc się z drzemki nad uczoną księgą o czarach.

— Kto mnie wołał? — szepnął czarnoksiężnik, a dwugłowa papuga wydała z siebie ochryply wrzask.

Suchy i szorstki niczym odwłok pająka głos Flagga rozległ się w uszach Dennisa wędrującego pośród wielkiego, pustego białego pola. Lokaj stanął w miejscu, wstrzymując oddech. Gdy wreszcie wypuścił powietrze, z jego ust wydobył się obłoczek pary. Dennis cały przemarzł, ale na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

Usłyszał, jak — trach, trach, trach! — pękły mu zbutwiałe sznurowadła rakiet.

Znowu rozległo się wycie wilka. Brzmiało drapieżnie i bezlitośnie.

— Nikt — mruknął Flagg w swej bawialni. Rzadko chorował (pamiętał tylko kilka takich wypadków w swoim długim życiu), ale przeziębiał się podczas

wyprawy na północ, śpiąc na zmarzniętej ziemi, i chociaż już wracał do zdrowia, nie czuł się jeszcze najlepiej. — Nikt. Przyśniło mi się, to wszystko.

Zdjął z kolan księgę, zamknął ją, położył na małym stoliku — jego blat pokrywała gustownie ludzka skóra — i wygodniej usadowił się w fotelu. Po chwili znowu zapadł w sen.

Na zachód od zamku, pośród pokrytych śniegiem pól, Dennis powoli się uspokajał. W roztargnieniu wytarł kroplę gryzącego potu, która spłynęła mu do oka. Pomyślał o Flaggu... i w jakiś sposób czarnoksiężnik go usłyszał. Ale czarny cień myśli Flagga przeleciał nad nim tak, jak cień jastrzębia na chwilę zasłania kulącego się zająca. Dennis westchnął ciężko. Czuł, że nogi mu drżą. Spróbuje — zrobi wszystko, żeby więcej nie myśleć o czarnoksiężniku. Lecz gdy nadeszła noc i na niebo wypłynął księżyc w swej niesamowitej lisiej czapie, okazało się, że łatwiej postanowić coś, niż tego dotrzymać.

O ósmej Dennis znalazł się na skraju pól i wszedł do Rezerwatu Królewskiego. Znał go całkiem nieźle. Pomagał ojcu, gdy ten służył starem królowi na łowach, a Roland wybierał się na nie często, nawet gdy osiągnął podeszły wiek. Thomas polował rzadziej, ale za każdym razem Dennis zobowiązany był mu towarzyszyć. Wkrótce więc natrafił na znajomą ścieżkę i tuż przed północą dotarł na drugi kraniec tej miniaturowej puszczy.

Stał za drzewem, przyglądając się murom zamku. Aby do nich dojść, należało pokonać około ośmiuset metrów otwartego, śniegiem tylko pokrytego terenu. Księżyc wciąż świecił, a Dennis aż nazbyt dobrze pamiętał o przechadzających się na murach wartownikach. Zanim ruszy przez ów otwarty teren, musi poczekać, aż książe Ailon przeprowadzi swój srebrny rydwan na drugą stronę świata. Ale nawet wtedy będzie się znajdował na widoku. Dennis od początku zdawał sobie sprawę, że ten odcinek stanowi najniebezpieczniejszą część całej wyprawy. Gdy rozstawał się z Peyną i Arlenem w pełnym słońcu, ryzyko wydawało mu się do przyjęcia. Teraz uważał, że to szaleństwo.

Uciekaj, prosił tchórzliwy głosik w duszy Dennisa, ale chłopiec wiedział, że nie wolno mu tego zrobić. Ojciec nałożył na niego zobowiązanie, więc jeśli bogowie uważali, że ma zginąć, próbując je wypełnić, niech tak się stanie.

Dalekie, lecz wyraźne niczym głos słyszany we śnie, rozległo się zawołanie miejskiego obwoływacza, dobiegające z głównej wieży zamku: „Dwunasta! Wszystko w porządku...”.

Nic nie jest w porządku, pomyślał żałośnie Dennis. Ani jedna rzecz. Otulił się ciałniej cienkim płaszczem i rozpoczął trudne zadanie od oczekiwania na zachód księżyca.

Opuścił on wreszcie niebo, a Dennis uznał, że pora ruszać. Czasu było coraz mniej. Wstał, odmówił krótką modlitwę i zaczął maszerować przez otwartą przestrzeń tak szybko, jak potrafił, obawiając się w każdej chwili wołania: „Kto idzie?” z murów zamku. Okrzyk taki jednak się nie rozległ. Chmury zgęstniały na nocnym niebie. Wszystko, co znajdowało się pod murami zamku, pogrążyło się

w ciemnościach. W niespełna dziesięć minut Dennis znalazł się nad fosą. Usiadł na chrzęszczącym śniegu i zdjął rakiety, po czym zsunął się na powierzchnię zamarznętej i również pokrytej śniegiem wody.

Walące jak młotem serce Dennisa powoli się uspokajało. Znajdował się w cieniu muru zamkowego i nikt go nie zobaczy, chyba że któryś z wartowników spojrzy prosto w dół, a i to może nie.

Dennis nie przechodził na razie na drugą stronę fosy, bo lód przy zamkowym murze był cienki i słaby. Wiedział dlaczego; z cienkością lodu, niemiłym zapachem i omszałością wielkich bloków zewnętrznego muru wiązała się jego nadzieja na to, że uda mu się niespostrzeżenie wejść na zamek. Ostrożnie posuwał się w lewo, nasłuchując plusku płynącej wody.

Usłyszał go w końcu i popatrzył w tamtą stronę. Na wysokości oczu znajdował się okrągły, czarny otwór w murze. Leniwymi strumykami wypływała z niego mętna ciecz. Było to ujście zamkowego ścieku.

— Do dzieła — mruknął Dennis. Cofnął się o pięć kroków, podbiegł i skoczył. Odbijając się, poczuł, jak lód osłabiony ciągłym napływem ciepłych nieczystości pęka mu pod stopami. Udało mu się jednak doskoczyć do omszałego wylotu rury. Był śliski, więc aby nie spaść, Dennis musiał wczepić się weń z całej siły. Podciągnął się wyżej, wpierając się czubkami butów w nierówności muru, i w końcu znalazł się w środku. Zatrzymał się na chwilę, usiłując wyrównać oddech, a potem zaczął pełznąć rurą, która lekko się wznosiła. Jako dziecko odkrył wraz z kilkoma kolegami te przejścia, ale rodzice szybko zakazali im tam chodzić, gdyż łatwo się w nich było zgubić, a ponadto w rurach grasowały szczury. Jednak Dennis pamiętał, w którym miejscu wyłoni się ze ścieku.

Godzinę później na opustoszałym korytarzu we wschodnim skrzydle zamku zazgrzytała krata nad kanałem — znieruchomiała — i znowu się poruszyła. Odsunięto ją częściowo na bok i kilka chwil później wyłonił się z niego bardzo brudny (i śmierdzący) lokaj imieniem Dennis, i padł, dysząc ciężko, na zimną kamienną posadzkę. Wolałby odpoczywać dłużej, ale ktoś mógł nadejść, nawet o tej nieprawdopodobnej porze. Umieścił więc kratę z powrotem na miejscu i rozejrzał się ostrożnie.

Nie od razu poznał, gdzie jest, ale to go nie zbiło z tropu. Ruszył w stronę rozgałęzienia znajdującego się w odległym końcu korytarza. Przynajmniej, pomyślał, w płataninie ścieków pod zamkiem nie napotkałem szczurów. Stanowiło to dużą ulgę. Przygotował się na ich obecność, nie tylko z powodu

ponurych opowieści ojca, ale też dlatego, że rzeczywiście natknął się na nie kilkakrotnie, gdy jako mały chłopiec razem z kolegami penetrował kanały, wydając radosne wrzaski — spotkanie z tymi gryzoniami zwiększało nastrój grozy.

Może po prostu widziałem myszy i wyolbrzymiłem je do wielkości szczurów, myślał obecnie Dennis. Ale nie była to prawda, chociaż młody lokaj nie miał się o tym dowiedzieć. Jego wspomnienie o szczurach w ściekach odpowiadało rzeczywistości. Od niepamiętnych czasów w kanałach panoszyła się cała masa wielkich, roznoszących zarazę gryzoni. Dopiero w ostatnich pięciu latach szczury przestały się roić w ściekach. Zostały wyniszczone przez Flagga. Czarnoksiężnik pozbył się kawałka obsydianu i sztyletu, wrzucając je przez kratę podobną do tej, z której wyszedł Dennis wczesnego niedzielnego ranka. Wyrzucił je oczywiście dlatego, że na każdym z nich znajdowała się odrobina śmiercionośnego Smoczego Piasku. Opary wydzielane przez owe ziarenka wygubiły szczury, paląc niektóre z nich żywcem w płynącej rurami mętnej wodzie i dusząc resztę, zanim zdążyła uciec. Pięć lat później szczury jeszcze nie zdążyły powrócić, chociaż część trujących dymów wywietrzała. Większość, ale nie wszystko. Gdyby Dennis wszedł do kanału ściekowego nieco bliżej apartamentów Flagga, mógłby łatwo zginąć. Może miał szczęście, może tak chciał los, a może uratowały go modlitwy; nie mam zdania w tej sprawie. Relacjonuję historie, a nie wróżę z fusów, więc sami musicie wybrać przyczynę, dla której Dennis zachował życie.

Dotarł do rozgałęzienia, wyjrzał ostrożnie zza węgła i zobaczył młodego, zaspanego strażnika, przechodzącego nieco dalej. Cofnął się. Serce znów zaczęło mu walić, ale czuł zadowolenie — wiedział, gdzie jest. Gdy popatrzył ponownie, strażnik zniknął.

Dennis szybko ruszył korytarzem, zbiegł po schodach i przeszedł następny. Posuwał się pewnie, bo przecież spędził całe życie na zamku. Znał go na tyle dobrze, żeby trafić ze wschodniego skrzydła, gdzie wyłonił się z kanału ściekowego, do dolnego zachodniego, w którym przechowywano serwetki.

Ale ponieważ nikt nie powinien go widzieć, Dennis wybierał najmniej używane przejścia, jakie znał, i na dźwięk każdego kroku (prawdziwych albo wyobrażonych, których, moim zdaniem, było więcej) cofał się do najbliższego załomu lub niszy. Dlatego też droga zabrała mu więcej niż godzinę.

Nigdy w życiu nie był tak głodny.

Zapomnij o przeklętym brzuchu, Dennisie, najpierw załatw sprawy pana, napominał się.

Stał za ukrytymi w mroku drzwiami. Usłyszał, jak obwoływacz ogłasza czwartą. Miał już zamiar ruszyć, gdy od strony holu rozległy się powolne, odbijane echem kroki... szczękanie miecza w pochwie i skrzypienie skórzanych sztylp.

Dennis, złany potem, wcisnął się w ciemny kąt.

Strażnik zatrzymał się tuż przed słabo ocienionymi drzwiami, za którymi skrył się chłopak. Stał przez chwilę, dłubiąc w nosie, a potem pochylił się i wydmuchał go w palce. Lokaj kulił się zaledwie w odległości wyciągniętej ręki i był pewien, że strażnik za chwilę się odwróci... wybałuszy oczy... wydobędzie miecz... i położy kres życiu Dennisa, syna Brandona. Proszę, pomyślał sztywny ze strachu chłopak. Błagam... Czuł zapach strażnika — odór przetrawionego wina i przypalonego mięsa w jego oddechu oraz woń skwaśniałego potu.

Strażnik ruszył znowu... Dennis się odprężył... a potem wartownik zatrzymał się i wrócił do dłubania w nosie. Dennis miał ochotę wrzasnąć.

— Znam dziewczynę, która zwie się Marchy-marchy-melda — zaczął śpiewać strażnik niskim, monotonnym głosem, grzebiąc równocześnie w nosie. Wydobyl coś dużego i zielonego, obejrzał dokładnie, a potem pstryknął tym na ścianę. Plask. — Ma siostrzyczkę o imieniu Es-a-merelda... Przepłynąłbym siódme morze... by całusa na jej słodkiej buzi złożyć! Titi riti titi ta, należy mi wina.

Z Dennisem działy się straszne rzeczy. W sposób niewróżący nic dobrego zaczęło go swędzieć i laskotać w nosie.

Zaraz kichnie.

Idź sobie! — krzyknął w myśli. No, rusz się, idioto! Ale strażnik bynajmniej nie zdradzał na to ochoty. Najwyraźniej natrafił na żyłę złota w lewym nozdrzu i zamierzał ją dokładnie wyeksploatować.

— Znam dziewczynę, która zwie się Darchy-Darchy-darla... Ma siostrzyczkę o imieniu Ruda Carla... i aż nie przestanę żyć... z ust jej lubych mógłbym pić... Titi riti titi ta, należy mi wina.

Już ja bym ci dał wina, durniu! — pomyślał Dennis. No, idźże stąd! Swędzenie w nosie stawało się nie do zniesienia, ale nie odważył się podrapać, bo strażnik mógł spostrzec ruch kątem oka.

Wartownik zmarszczył brwi, pochylił się, ponownie wydmuchał nos i wreszcie ruszył, wciąż nucąc swą monotonną śpiewkę. Ledwo się oddalił, Dennis wcisnął nos w zgięcie łokcia i kichnął. Czekał na brzęk metalu, świadczący o tym, że strażnik dobył miecza i odwrócił się, ale człowiek ów był zbyt zaspany i nieprzytomny po pijaństwie odbytym przed udaniem się na służbę. Dennis pomyślał, że niegdyś taki flejtuch zostałby już dawno wykryty i odesłany na najdalsze krańce królestwa, ale teraz czasy się zmieniły. Szczęknęła klamka, zapiszczały otwierane drzwi, po chwili z trzaskiem zamknięte, tłumiąc śpiew strażnika, który znowu dotarł do refrenu. Dennis zamknął oczy i przez krótki czas bezwładnie opierał się o ścianę, czując, że palą go policzki i czoło, a nogi zamieniają się w bliźniacze sople lodu.

Na pięć minut zupełnie zapomniałem o głodzie! — pomyślał, a potem wpakował sobie pięść do ust, żeby stłumić chichot.

Wyjrzał ze swojej kryjówki, nie zauważył nikogo i skręcił w drzwi po prawej stronie. Znał je doskonale, chociaż pusty bujak i pudełko do robót ręcznych stanowiły dlań rzeczy nowe. Drzwi prowadziły do magazynu, w którym od czasów Kyli Dobrej leżały stosy serwetek. Nigdy przedtem go nie zamykano, a i

teraz nie stało się to zwyczajem. Zajrzał do środka, mając nadzieję, że jego odpowiedź na główne pytanie Peyny jest nadal zgodna z prawdą.

Owego promiennego poranka pięć dni temu, stojąc już na drodze, Peyna zadał mu takie pytanie: „Czy wiesz, skąd się biorą nowe zapasy serwetek?”.

Wydawało się ono proste, ale jak być może zauważyliście, wszystkie pytania wydają się proste, jeśli zna się na nie odpowiedź, a okropnie trudne, jeśli nie. To, że Dennis potrafił rozwiązać wątpliwości Peyny, świadczy o jego uczciwości i szlachetności, które to cechy miał tak głęboko wpojone, że zdziwiłby się, gdyby ktoś mu o nich powiedział. Wziął pieniądze — należące do Andersa Peyny — od Bena Staada za dopilnowanie, żeby serwetki były dostarczane. Tylko guldena, ale pieniądź jest pieniądzem, a zapłata zapłatą. Czuł się zobowiązany do sprawdzania od czasu do czasu, czy nie zapomniano o tej usłudze.

Opowiedział Peynie o wielkim magazynie (stary sędzia zdumiał się, usłyszawszy o nim) i o tym, jak każdego sobotniego wieczoru około siódmej pokojówka bierze dwadzieścia jeden serwetek, trzepie je, prasuje, składa, i umieszcza na niedużym wózku, stojącym tuż za drzwiami magazynu. W niedzielę rano — o szóstej, czyli za dwie godziny, licząc od obecnej chwili — służący zabierał wózek na plac Iglicy. Stukał do zamkniętych drzwi u stóp brzydkiej kamiennej wieży i jeden ze strażników wciągał wózek do wnętrza, po czym kładł serwetki na stole, z którego brano po jednej do każdego posiłku przez cały tydzień.

Peyna czuł się usatysfakcjonowany.

Dennis wszedł do środka, szukając pod koszulą listu, który napisał na opuszczonej farmie. Przeżył chwilę strachu, gdy nie mógł go znaleźć, ale odetchnął z ulgą, wreszcie go namacawszy. List tylko trochę się przesunął.

Podniósł serwetkę przeznaczoną na niedzielne śniadanie. Niedzielny obiad. Niewiele brakowało, a pominąłby też kolację tego dnia, lecz gdyby to zrobił, moja opowieść miałaby inne zakończenie — może lepsze, a może gorsze — nie wiem, ale na pewno inne. W końcu jednak Dennis uznał, że trzecia serwetka nada się najlepiej. W szparze między dwiema deskami podłogi na opuszczonej farmie Dennis znalazł szpilkę i wbił ją w ramiączko podkoszulka z grubego płótna, jaki nosił pod odzieniem (a gdyby się nad tym lepiej zastanowił, przypiąłby nią list i oszczędził sobie przykrych chwil, ale jak wam już chyba mówiłem, Dennis nie należał do najbystrzejszych). Teraz jednak odpiął szpilkę i starannie przymocował nią list wewnątrz złożonej serwetki.

— Mam nadzieję, że tę szpilkę znajdziesz, Peter — mruknął w ponurej ciszy panującej w magazynie wypełnionym stosami serwetek wykonanych wieki temu. — Obyś ją znalazł, królu.

Dennis wiedział, że teraz musi obmyślić sobie kryjówkę. Wkrótce zamek zacznie się budzić; chłopcy stajenni skierują się niepewnym krokiem do stajni, praczki do pralni, zaspani kuchcikowie do kuchni (myśl o tym spowodowała, że Dennisowi znowu zaczęło burczeć w brzuchu — teraz smakowałaby mu nawet znieawidzona rzepa — ale, niestety, jedzenie musiało jeszcze poczekać).

Wszedł głębiej do magazynu. Stosy serwetek górowały nad nim, a przejścia między nimi wiodły nieregularnymi zygzakami, tworząc istny labirynt. Serwetki wydzielaly słodkawy, suchy zapach bawełny. W końcu znalazł sobie ciemny kąt, który wydawał mu się bezpiecznym schronieniem. Przewrócił stos serwetek, umościł sobie z nich posłanie, a część podłożył pod głowę jako poduszkę.

Był to jeden z lepszych materaców, na jakich zdarzyło mu się leżeć, a prócz głodu czuł także senność po długim marszu i nocnych strachach. Zasnął więc natychmiast i nic mu się nie śniło. Możemy go tak zostawić, spoczywającego po pomyślnym zakończeniu pierwszej części zadania. Leży na boku, z prawą ręką podłożoną pod głowę, śpiąc na łożu z królewskich serwetek. Życzę ci, czytelniku, żebyś dzisiejszej nocy spał tak słodko i niewinnie, jak Dennis owego dnia.

W sobotnią noc, gdy Dennis zamarł w przerażeniu, słysząc wycie wilka i czując przelatujący nad sobą cień myśli Flagga, Ben Staad i Naomi Reechful obozowali w ośnieżonym zagłębieniu pięćdziesiąt kilometrów od farmy Peyny... a raczej miejsca, które należało do Peyny, zanim pojawił się Dennis ze swoją opowieścią o królu, który chodził i mówił przez sen.

Rozbili prowizoryczny obóz, jak to się robi w wypadkach, gdy postój ma trwać kilka godzin, a potem znowu trzeba ruszyć w drogę. Naomi zajmowała się swoimi ukochanymi psami, a Ben postawił nieduży namiot i rozpałił huczące ognisko.

Wkrótce dziewczyna pojawiła się przy nim i przygotowała posiłek z sarniny. Zjedli w milczeniu, a potem Naomi poszła, żeby sprawdzić, jak się mają psy. Spały wszystkie z wyjątkiem jej ulubionej Frisky. Suka popatrzyła na swoją panią oczami o prawie ludzkim wyrazie i polizała ją po rękę.

— Zrobiłyście dziś ładny kawałek drogi — powiedziała Naomi. — Śpij. Niech ci się przyśni księżycowy zajac.

Frisky posłusznie ułożyła sobie łeb na łapach. Naomi uśmiechnęła się i wróciła do ogniska. Ben siedział obok, obejmując kolana ramionami. Twarz miał ponurą i zamyśloną.

— Idzie śnieg.

— Znam się na chmurach równie dobrze jak ty, Benie Staad. A wróżki nałożyły księciu Ailonowi lisią czapę.

Ben rzucił okiem na księżyc i skinął głową. Potem znowu wpatrzył się w ognisko.

— Martwię się. Śnił mi się... no wiesz, ten, którego imienia lepiej nie wymieniać.

Zapaliła cygaro. Podsunęła Benowi paczuszkę — zawiniętą w kawałek muślinu, aby jej zawartość nie wysychała — lecz on pokręcił odmownie głową.

— Mnie się chyba też śniło to samo — powiedziała dziewczyna. Starła się, żeby jej głos brzmiał niedbale, ale nie zdołała usunąć z niego lekkiego drżenia.

Zrobił wielkie oczy.

— A tak — odparła, jak gdyby zadał jej pytanie. — Patrzył w jakiś świecący przedmiot i wypowiadał imię „Peter”. Nigdy nie należałam do histeryczek, dziewcząt, które wrzeszczą na widok myszy albo pająka, ale budząc się z tego snu, mam ochotę krzyknąć.

Popatrzyła na niego z zawstydzieniem, ale i wyzywająco.

— Ile razy już ci się ukazał?

— Dwa.

— Mnie śnił się cztery razy z rzędu. I nie patrz na mnie, jakbyś się bała, że cię przewęmazgajem. Ja też mam ochotę krzyknąć po przebudzeniu.

— A ten świecący przedmiot... pod koniec snu wydaje się, że on go zdmuchuje. Myślisz, że to świeca?

— Nie. Sama dobrze wiesz.

Skinęła głową. Ben się zastanowił.

— Coś o wiele niebezpieczniejszego niż świeca, moim zdaniem... Chyba poczęstuję się twoim cygarem, jeśli można.

Podawała mu. Ben zapalił je od ogniska. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, patrząc, jak iskry wznoszą się na wietrze, który rozwiewał na niebie wzory z drobnego śniegu. Podobnie jak światło w ich wspólnym śnie, iskry gasły. Noc była atramentowoczarna. Ben czuł, że wiatr ma zapach śniegu. Idzie wielka śnieżycyca, pomyślał.

Naomi jakby czytała w jego myślach.

— Myślę, że nadchodzi potężna zamieć, taka jak w opowiadaniach starych ludzi. Nie?

— Uhm.

Z wahaniem zupełnie niepodobnym do jej zwykłego, bezpośredniego sposobu mówienia Naomi zapytała:

— Co oznacza ten sen?

Pokręcił głową.

— Nie umiem powiedzieć. Zagrożenie dla Petera, tyle wiem. Ale jeśli ma on jeszcze jakieś inne znaczenie, o ile mogę się domyślić, to takie, że musimy się pospieszyć. — Popatrzył na nią szczerze i natarczywie, że aż zaparło jej dech. — Myślisz, że uda nam się dotrzeć do farmy Peyny już jutro?

— Powinno. Ale tylko bogowie wiedzą, co może się stać; pies złamie nogę, z lasu wyjdzie niedźwiedź, który nie zapadł w sen zimowy, i pożre nas, ale w zasadzie tak... powinno nam się udać. Wymieniłam wszystkie psy, które jechały z nami

w tamtą stronę, poza Frisky, ale ona jest niepokonana. Jeśli śnieg nadejdzie wcześniej, zwolni nasze tempo, ale myślę, że pogoda jeszcze jakiś czas się utrzyma... tylko że im dłużej, tym gorzej potem będzie padać. W każdym razie tak mi się wydaje. Jeśli jednak utrzyma się dostatecznie długo i będziemy na zmianę biec obok sań, to chyba zdążymy. Ale i tak przecież musimy tam siedzieć i czekać, aż wróci twój przyjaciel, lokaj.

— Nie wiem. — Ben westchnął i potarł dłonią twarz. Rzeczywiście, co nam z tego przyjdzie? Cokolwiek miały oznaczać sny, wydawało się pewne, że wszelkie ważne wydarzenia odbędą się w zamku, a nie na farmie. Peyna wysłał Dennisa na zamek, ale jak zamierzał on tam się dostać? Ben nie wiedział, bo lokaj nie powiedział Peynie. A jeśli Dennisowi uda się wejść niepostrzeżenie, to gdzie się ukryje? Jest tysiąc nadających się do tego miejsc. Chyba że...

— Ben!

— Co? — Odwrócił się do dziewczyny brutalnie wyrwany z zamyślenia.

— O czym teraz myślałeś?

— O niczym.

— Nieprawda. Oczy ci się zaświeciły.

— Tak? To pewnie myślałem o ciastkach. Pora spać. O świcie ruszamy.

Ale znalazłszy się w namiocie, Ben długo jeszcze leżał, podczas gdy Naomi zapadła już w sen. W zamku jest tysiąc miejsc, w których można się ukryć. Ale do głowy przyszły mu dwa. Pomyślał, że na pewno znajdzie Dennisa w jednym z nich... albo w drugim.

Nareszcie zasnął...

...i śnił mu się Flagg.

Peter rozpoczął niedzielę jak zwykle — od gimnastyki i modlitwy.

Obudził się rześki i gotów na wszystko. Rzuciwszy okiem na niebo, aby ocenić zbliżanie się zameci, zjadł śniadanie.

Oczywiście, używając serwetki.

W niedzielne południe każdy z mieszkańców Delainu wyszedł z domu co najmniej raz, żeby z troską popatrzeć na północ. Wszyscy zgadzali się, że nadchodząca zamieć stanie się tematem przyszłych legend. Chmury toczące się od północy były matowoszare jak wilcza skóra. Robiło się coraz cieplej, aż z sopli wiszących u okapów zaczęła po raz pierwszy od wielu tygodni kapać woda, ale starcy zgodnie powtarzali (każdemu, kto chciał słuchać), że ich to nie zwiedzie. Temperatura gwałtownie spadnie i za kilka godzin — może dwie, a może cztery — zacznie sypać śnieg. I, jak twierdzili, będzie tak padać przez wiele, wiele dni.

O trzeciej po południu ci z farmerów w Centralnych Baroniach, którzy jeszcze nie utracili swego bydła, zaczęli zapędzać je pod dach. Krowy szły, rycząc z niezadowolenia — śnieg stopniał i po raz pierwszy od miesiący wyłoniła się spod niego zeszłoroczna trawa. Yosef, postarzały i posiwiwały, ale nadal żywotny siedemdziesięciodwulatek dopilnował, żeby wszystkie królewskie konie znalazły się w stajniach. Prawdopodobnie ktoś inny zajął się ludźmi króla. Kobiety wykorzystały ocieplenie, susząc bieliznę pościelową, która normalnie zamarzałaby na sznurach, a gdy zapadł wczesny zmrok, wywołany nadchodzącymi burzowymi chmurami, wniosły ją do domu. Rozczarowały się — pranie nie wyschło. W powietrzu było za dużo wilgoci.

Zwierzęta okazywały niepokój. Ludzie łatwo wpadali w złość. Rozsądni karczmarze nie otwierali gospód. Zauważyli, że rtęć opada w barometrze, a długie doświadczenie nauczyło ich, że niskie ciśnienie powietrza skłania mężczyzn do bitki.

Delain przyczał się przed nadchodzącą burzą i czekał.

Ben i Naomi na zmianę biegli koło sań. Dotarli do farmy Peyny o drugiej owego niedzielnego popołudnia — mniej więcej o tej samej porze, gdy Dennis budził się na materacu z królewskich serwetek, a Peter zaczynał jeść swój skromny lunch.

Naomi wyglądała naprawdę pięknie — wysiłek okraślił jej opalone policzki rumieńcem barwy jesiennych, czerwonych róż. Gdy sanie pośród naszczekiwań psów wjechały na podwórze Peyny, zwróciła roześmianą twarz do Bena.

— Bogowie, to rekordowy bieg! — zawołała. — Jesteśmy tu trzy, nie, cztery godziny wcześniej, niż myślałam, gdy wyruszyliśmy! I żaden pies nie dostał zawału! Hej, Frisky! Hej! Dobry piesek!

Frisky, wielka czarnobiała suka z rasy anduańskich husky o szarozielonych oczach, prowadziła zaprzęg. Podskakiwała, szarpiąc się w uprzęży. Naomi uwolniła ją i razem zaczęły tańczyć na śniegu. Był to jakiś niesamowity walc, zarazem wdzięczny i barbarzyński. Pies i pani wymieniali uśmiechy, wyrażając głębokie wzajemne przywiązanie. Inne zwierzęta leżały na śniegu, ciężko dysząc, najwyraźniej w świecie wyczerpane, ale ani Frisky, ani Naomi nie robiły wrażenia zmęczonych.

— Hej, Frisky! Hej, kochanie! Dobry piesek! Poprowadziłaś wspaniały wyścig!

— Ale po co? — zapytał ponuro Ben.

Wypuściła łapy psa i odwróciła się zagniewana... jednak przygnębienie malujące się na twarzy Bena rozbroiło ją. Podążyła za jego wzrokiem i zrozumiała, o co chodzi. Znaleźli się na miejscu, ale po co? Farma świeciła pustkami. Czemu, na wszystkich bogów, tak się spieszyli? Ten dom będzie równie pusty za godzinę... dwie... trzy. Peyna i Arlen udali się po pomoc, a Dennis znajdował się gdzieś w zamku. Albo, jeśli go złapano, w celi więziennej lub w trumnie, czekając na pochówek.

Podeszła do Bena i z wahaniem położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie martw się — powiedziała. — Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

— Czyżby? — zapytał. — Zastanawiam się. — Przerwał i ciężko westchnął. Zdjął włóczkową czapkę, a jego złote włosy połyskiwały delikatnie w matowym, popołudniowym świetle. — Przepraszam, Naomi. Nie chciałem być szorstki. Ty i twoje psy dokonaliście cudu. Tylko wydaje mi się, iż wciąż jesteśmy daleko od miejsca, w którym moglibyśmy się do czegoś przydać. Jestem bezradny.

Popatrzyła na niego, westchnęła i skinęła głową.

— Cóż — rzekła. — Wejźdmy do środka. Może znajdziemy jakieś wskazówki, co robić dalej. A przynajmniej nie będziemy pod gołym niebem, kiedy się zacznie.

Nie odkryli jednak żadnych wskazówek we wnętrzu budynku. Wyglądał jak najzwyczajniejszy, opuszczony w pośpiechu dom. Ben nerwowo przeszukiwał pokój za pokojem, ale nie znalazł nic. Po godzinie padł w bawialni obok Naomi... na ten sam fotel, na którym siedział Anders Peyna, słuchając niewiarygodnej opowieści Dennisa.

— Gdybyż istniał jakiś sposób znalezienia go! — powiedział Ben.

Spojrzał w górę i napotkał jej rozjaśniony radością i podnieceniem wzrok.

— Chyba jest! Jeśli tylko śnieg nie zacznie padać...

— O czym ty mówisz?

— Frisky! — zawołała. — Nie rozumiesz? Frisky może go wytropić! Ma wprost znakomity węch!

— Zapach ma już kilka dni — odparł, kręcąc głową. — Nawet najlepszy tropiciel na świecie nie potrafiłby...

— Frisky jest właśnie takim psem — odparła ze śmiechem Naomi. — A tropienie zimą jest zupełnie czym innym niż w lecie, Benie Staad. Latem ślad przepada szybko... wietrzeje, jak mówi mój ojciec, i w mgnieniu oka pokrywa go tysiąc innych zapachów. Nie tylko należących do ludzi i zwierząt; to także wonie traw, ciepłego wiatru, nawet płynącej wody. Ale zimą ślad się trzyma. Gdybyśmy znaleźli jakąś rzecz, która należała kiedyś do Dennisa... coś, co zachowało jego zapach...

— A co z resztą twojego zaprzęgu? — zapytał Ben.

— Otworzę tę szopę — wskazała gestem — i zostawię tam śpiwór i materac. Jeśli pokażę psom, gdzie leżą, a potem puszczę je wolno, same sobie coś znajdą do jedzenia, na przykład królika, no wiesz, i będą wiedziały, gdzie się schronić.

— Nie pójdą za nami?

— Nie, jeśli im zabronię.

— Potrafisz? — Popatrzył na nią z podziwem.

— Nie — odparła niedbale Naomi. — Nie znam psiej mowy. Ani Frisky nie potrafi mówić ludzkim językiem, ale go rozumie. Jeśli jej powiem, przekaże to innym psom. Upolują sobie, co zechcą, ale nie oddalą się zbyt daleko od miejsca, gdzie mam posłanie, zwłaszcza że nadchodzi zamieć. A gdy się zacznie, znajdą schronienie w szopie, głodne czy też najedzone.

— Gdybyśmy znaleźli coś, co należało do Dennisa, to naprawdę myślisz, że Frisky zdołałaby go wytropić?

— Aha.

Ben popatrzył na nią w zamyśleniu. Lokaj opuścił farmę we wtorek, teraz była niedziela. Ben nie wierzył, żeby jakkolwiek zapach mógł utrzymać się tak długo. Ale w domu znajdowało się coś, co miało na sobie woń Dennisa. Benowi wydawało się, że lepiej podążać za fałszywym tropem, niż nic nie robić. Właśnie konieczność siedzenia na miejscu denerwowała go najbardziej — wizja godzin spędzonych z założonymi rękami, podczas gdy w innym miejscu dzieją się sprawy najwyższej wagi. W innych okolicznościach możliwość znalezienia się w zasypanym śniegiem domu z dziewczyną tak piękną jak Naomi wprawiłaby go w zachwyt, ale nie teraz, gdy losy królestwa zależą od tego, czy oni znajdują się o trzydzieści kilometrów bardziej na zachód czy wschód... a jego najlepszy przyjaciel walczy o życie, mając do pomocy tylko głupiego lokaja.

— No? — zapytała żywo. — Co o tym myślisz?

— To bez sensu — powiedział. — Ale trzeba spróbować.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Czy mamy coś, co nim mocno pachnie?

— Tak — rzekł, wstając. — Przyprowadź tu tego psa, Naomi, i niech wejdzie na górę. Na strych.

Chociaż większość ludzi tego nie wie, dla psów zapachy są jak barwy. Słabe wonie przypominają blade kolory — wyblakłe pastele. Wyraźne zapachy są podobne do ostrych barw. Niektóre psy mają marne powonienie i odbierają zapachy podobnie, jak ludzie o słabym wzroku widzą kolory, postrzegając bładoniebieski jako szary, a ciemny brąz jako czarny. Węch Frisky zaś przypominał wzrok człowieka o sokolim oku, a zapach na strychu, gdzie nocował Dennis, okazał się bardzo mocny i wyraźny (niewątpliwie pomogło, że lokaj przez kilka dni się nie kąpał). Frisky powąchała siano, a potem koc, podsunęty jej przez panią. Czuła na nim także zapach Arlena, ale zignorowała go; był słabszy, zupełnie nie przypominał woni, jaką znalazła w sianie. Arlen pachniał cytryną i zmęczeniem i Frisky od razu wyczuła, że woń ta należy do starszego człowieka. Zapach Dennisa okazał się o wiele bardziej podniecający i żywotny. Dla Frisky miał on barwę jaskrawoniebieską, jak letnia błyskawica.

Szczeknęła, żeby pokazać, że zapamiętała już ten zapach i umieściła go w swym podręcznym katalogu woni.

— Doskonale. Dobry piesek — powiedział DUŻY CHŁOPIEC. — Dasz radę za nim pójść?

— Da radę — rzekła pewnym głosem PANI. — Chodźmy.

— Za godzinę się ściemni.

— Właśnie — przytaknęła PANI i się uśmiechnęła. Gdy twarz Naomi przybierała taki wyraz, Frisky wydawało się, że mogłaby umrzeć z miłości do niej. — Nie martwisz się chyba o jej wzrok?

DUŻY się uśmiechnął.

— Raczej nie — rzekł. — Wiesz, może to szaleństwo, ale wydaje mi się, że jeszcze uda nam się wejść do gry.

— Oczywiście, że tak — powiedziała. — Idziemy, Ben. Trzeba wykorzystać resztki dnia, wkrótce zapadnie zmrok.

Frisky z nozdrzami pełnymi jaskrawoniebieskiego zapachu szczeknęła niecierpliwie.

Owej niedzieli kolację Petera przyniesiono dokładnie o szóstej. Ciężkie chmury zwieszały się nad Delainem, a temperatura zaczęła spadać, lecz wiatr jeszcze się nie zerwał, nie padał też śnieg. Po drugiej stronie placu, drząc z zimna w skradzionym białym fartuchu kuchcika, stał zdenerwowany Dennis, ukryty w najgłębszym cieniu, jaki mu się udało znaleźć, zapatrzonego w pojedynczy bładożółty kwadrat światła na szczycie Iglicy — okno Petera. Więzień oczywiście nie miał pojęcia, że Dennis czeka — myślał głównie o tym, że niezależnie od tego, czy przeżyje, czy nie, spożywa teraz swój ostatni posiłek w celi więziennej. Składał się on jak zwykle z twardego, słonego mięsa, na pół zgniłych kartofli i wodnistego piwa, ale zje wszystko. W ciągu ostatnich trzech tygodni odżywiał się skąpo i przeznaczal całe dnie, z wyjątkiem czasu, kiedy pracował przy warsztacie tkackim, na ćwiczenia fizyczne. Dziś jednak spożył wszystko, co mu przyniesiono. W nocy będzie potrzebował naprawdę dobrej kondycji.

Co się ze mną stanie? — pomyślał, siadając przy stoliku i podnosząc serwetkę przykrywającą posiłek. Dokąd mam iść? Kto mi udzieli schronienia? Ktokolwiek? Mówi się, że należy zdać się na bogów... ale ty, Peter, chyba już w tym przesadziłeś.

Przestań. Będzie to, co ma być. A teraz jedz i nie zastanawiaj się więcej nad...

Ale tu jego niespokojne myśli urwały się, bo gdy strzepnął serwetkę, poczuł lekkie ukłucie, jakby go oparzyła pokrzywa.

Marszcząc brwi, spojrzał w dół i zobaczył małą kropelkę krwi na czubku palca wskazującego prawej ręki. Pierwsza myśl Petera pobiegła do Flagga. W bajkach na ostrzu igły zawsze znajdowała się trucizna. Może został właśnie otruty przez czarnoksiężnika. To przyszło Peterowi do głowy w pierwszej chwili i wcale nie było takie głupie. W końcu Flagg już kiedyś użył trującej substancji.

Peter podniósł serwetkę, zobaczył, że przypięto do niej jakiś nieduży, zwinięty i trochę usmarowany papiererek... i błyskawicznie umieścił ją sobie z powrotem na kolanach. Zrobił obojętną minę, ukrywając szalone podniecenie, jakie go ogarnęło na widok listu przyczepionego do serwetki.

Rzucił niedbale okiem w stronę drzwi, przejęty nagłym lękiem, że zobaczy jednego ze strażników — a może nawet samego Besona — przyglądającego mu się podejrzliwie. Ale nie ujrzał nikogo. Książkę stanowił przedmiot ciekawości zaraz potem, gdy znalazł się w Iglicy, i wtedy gapiono się nań zachłannie, jakby był rzadką rybą w akwarium — niektórzy z pilnujących przyprowadzali nawet swoje dziewczyny, żeby sobie popatrzyły na morderczego potwora (a gdyby ich na tym złapano, sami znaleźliby się za kratkami). Ale Peter zachowywał się jak wzorowy więzień i szybko przestał być obiektem zainteresowania. W chwili obecnej nikt na niego nie patrzył.

Zmusił się, żeby zjeść cały posiłek, chociaż zupełnie stracił apetyt. Wolał nie narażać się na najmniejsze nawet ryzyko wzbudzenia podejrzeń — zwłaszcza teraz. Nie miał pojęcia, od kogo pochodzi list, jaka jest jego treść ani też dlaczego przyprowadził go o takie podniecenie. Lecz fakt, że przyszedł zaledwie kilka godzin przed planowaną przez niego próbą ucieczki, wydawał mu się proroczy. Co jednak miał on zwiastować?

Gdy wreszcie skończył jedzenie, znów popatrzył na drzwi, upewnił się, że judasz jest zamknięty, a potem poszedł do sypialni, trzymając niedbale serwetkę w rękę, zupełnie jakby o niej zapomniał. Znalazłszy się z dala od ewentualnych ciekawych oczu, odpiął list (ręce trzęsły mu się tak, że znowu się ukuł) i rozwinął go. Kartkę zapisano ciasno po obu stronach pismem niezgrabnym i jakby dziecinny, ale dającym się odczytać. Najpierw spojrział na podpis... i oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia. Na dole kartki widniało: „Dennis — twój pszyjaciel i sługa na wieki”.

— Dennis? — mruknął Peter zdumiony, nie zauważając nawet, iż mówi na głos.
— Dennis?

Wrócił do listu, którego nagłówek przyprowadził go o przyspieszone bicie serca. Brzmiał on: „Królu i Panie”.

Królu i Panie,
jak pewnie pamiętasz, pszez ostatnich pięć lat służyłem twemu bratu Thomasowi. W zeszłym tygodniu odkryłem, że nie zamordowałeś swego ojca Rolanda Dobrego. Wiem, kto to zrobił, i Thomas wie też. Ty też mógłbyś się dowiedzieć, jak nazywa się ten czarny morderca, gdybym odważył się wymienić jego imię, ale się boję. Poszedłem do Peyny. Peyna poszed ze swoim lokajem, Arlenem, do wygnańców. Kazał mi wrócić na zamek i napisać do ciebie ten list. Powiedział, że uchodźcy mogą niedługo zostać buntownikami i że nie nalerzy do tego dopuścić. Myśli, że masz jakieś plany, ale nie wie jakie. Kazał mi służyć tobie, a ojciec powiedział mi to samo pszed śmiercią, i to samo dyktuje mi serce, bo nasza rodzina zawsze służyła królom, a ty jesteś naszym prawowitym władcą. Jeśli masz jakiś plan, pomogę ci, o ile potrafię, nawet za cenę śmierci. Gdy to czytasz, ja stoję po drugiej stronie Placu i patrzę na Iglicę, w której jesteś uwięziony. Jak masz plan, to bardzo proszę, stań w oknie. Jak masz na czym pisać, żuć list, a ja spróbuję go w nocy zabrać. Machnij ręką dwa razy, jeśli chcesz tak zrobić.

Twój psyjaciel Ben jest z uchodźcami. Peyna powiedział, że go pszyśle. Wiem gdzie on (Ben) będzie czekał. Jeśli chcesz, on (Ben) może tu pszyjść jutro. Albo za dwa dni, jeśli będzie padał śnieg. Wiem, że to ryzyko żuć list, ale chyba zostało już mało czasu. Peyna też tak myśli. Będę patrzeć i czekać.

Dennis
twój psyjaciel i sługa na wieki

Minęła dłuższa chwila, zanim Peter zdołał zapanować nad zamętem, jaki ogarnął jego umysł. Myśl uporczywie wracała do jednego pytania: Co spowodowało, że Dennis tak diametralnie zmienił zdanie? Co, na wszystkich bogów, on takiego zobaczył?

Stopniowo zaczęła rozumieć, że to nieistotne — lokaj coś widział i to wystarczy.

Peyna. Dennis poszedł do Peyny, a ten wyczuł... no cóż, stary lis czegoś się domyślił. Sądzi, że masz jakieś plany, ale nie wie jakie. Szczwany chytrus. Nie zapomniał prośby o dom dla lalek i serwetki. Nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale węszył podstęp. No i miał rację.

Co teraz zrobić?

Część duszy Petera — bardzo znaczna — pragnęła wykonać plan do końca. Zebrał całą odwagę, żeby rozpocząć swą desperacką akcję, więc teraz trudno mu było pogodzić się z tym, że ma dalej czekać. No i nagliły go także sny.

„Ty też mógłbyś się dowiedzieć, jak nazywa się ten czarny morderca, gdybym odważył się wymienić jego imię, ale się boję”. Mimo to Peter oczywiście domyślał się, o kogo chodzi, i właśnie dlatego uwierzył, że Dennis rzeczywiście natknął się na coś. Peter czuł, iż Flagg może wkrótce zda sobie sprawę ze zmiany sytuacji — i zniknie, zanim zdoła się ona rozwinąć.

Czy czekać jeden dzień to za długo?

Może. Albo i nie.

Petera rozdzierało niezdecydowanie. Ben... Thomas... Flagg... Peyna... Dennis... wszyscy migali mu przed oczami jak postacie ze snu. Co robić?

W końcu sam sposób pojawienia się kartki pozwolił mu podjąć decyzję. Droga, jaką odbyła, przypięta do serwetki dokładnie tego wieczoru, gdy zamierzał wypróbować linę splecioną dzięki serwetkom... to oznaczało, że powinien zaczekać. Ale tylko jeden dzień. Ben nie zdoła mu pomóc.

A Dennis? Co on mógłby zrobić?

I nagle go olśniło.

Siedział na łóżku, skulony nad listem, marszcząc brwi. Teraz poderwał się, a oczy mu zabłyśły.

Popatrzył znowu na kartkę.

„Jak masz na czym pisać, żuć list, a ja spróbuję go w nocy zabrać”.

Tak, oczywiście, miał na czym pisać. Nie na serwetce, bo jej brak może zwrócić uwagę. Nie na liście Dennisa, bo został on zapisany po obu stronach, od góry do dołu.

Ale odwrotna strona pergaminu Valery była pusta.

Peter wrócił do bawialni. Spojrzał na drzwi i zobaczył, że judasz jest zamknięty. Z pomieszczeń położonych niżej dobiegał przyciszony gwar strażników grających w karty. Peter podszedł do okna i dwukrotnie machnął ręką, mając nadzieję, że Dennis rzeczywiście gdzieś tam jest i go widzi. Niestety, na tym musiał poprzestać.

Poszedł z powrotem do sypialni, odsunął ruchomy kamień i pogrzebawszy chwilę w zagłębieniu, znalazł medalion i pergamin. Odwrócił go czystą stroną do góry... ale czym będzie pisał?

Odpowiedź przyszła mu do głowy prawie natychmiast. Oczywiście tym samym co Valera.

Pochylił się nad swoim cienkim materacem i po krótkiej szarpaninie udało mu się rozpruć szew. Materac wypchano słomą, więc z łatwością znalazł kilka porządných, długich źdźbeł, których użyje jako piór. Potem otworzył medalion. Miał on kształt serca o zaostrozonym szpicu. Peter zamknął oczy i odmówił krótką modlitwę. Potem popatrzył na medalion i pociągnął jego ostrym końcem po swym przegubie. Krew popłynęła natychmiast — więcej niż po ukłuciu igłą. Zanurzył w lepkiej cieczy pierwsze pióro i zaczął pisać.

Stojąc w mrocznym chłodzie po drugiej stronie placu, Dennis zobaczył sylwetkę Petera, zbliżającą się do okna na szczycie Iglicy. Widział, jak Peter dwukrotnie krzyżuje ręce nad głową. To znaczy, że rzuci list. Ryzyko zwiększało się zatem dwukrotnie — nie, trzykrotnie — ale młody lokaj był rad.

Przygotował się na dłuższe oczekiwanie, czując, jak odrętwienie obejmuje mu stopy. Miał wrażenie, że tkwi tu w nieskończoność. Obwoływacz ogłosił dziesiątą... potem jedenastą... a wreszcie dwunastą. Chmury zakryły księżyc, ale panowała dziwna jasność — była to jeszcze jedna oznaka nadchodzącej zamieci.

Dennisowi zaczęło się wydawać, że Peter o nim zapomniał albo zmienił zdanie, gdy postać znowu pojawiła się koło okna. Lokaj wstał z miejsca, krzywiąc się z bólu w kręgosłupie, zeszywniałym od siedzenia w niewygodnej pozycji. Zdawało mu się, że coś spada wielkim łukiem... a potem sylwetka Petera znikła. Po chwili zgasło też światło.

Dennis rozejrzał się na prawo i lewo, a nie zobaczywszy nikogo, zebrał całą swoją odwagę i wybiegł na plac. Doskonale zdawał sobie sprawę, że może tam ktoś być — na przykład strażnik czujniejszy niż nieudolny śpiewak, na którego natknął się poprzedniej nocy. Nikogo jednak nie zauważył, ale co to wiadomo w ciemnościach? Miał też w pamięci smutny los kobiet i mężczyzn, ściętych o parę kroków stąd. A może czają się tu gdzieś ich duchy?

Ale takie myśli nie były zbyt krzepiące, więc spróbował się ich pozbyć. Przede wszystkim należało znaleźć rzecz, którą rzucił Peter. Teren wokół Iglicy pod oknem Petera stanowiło idealnie płaskie, pokryte śniegiem pole.

Czuąc się strasznie na widoku, Dennis zaczął się miotać niczym niezdarny pies myśliwski. Nie był pewien, czy naprawdę widział, że spadło coś błyszczącego — ale wydawało mu się, że przedmiot był trójwymiarowy. To by pasowało; król Peter nie rzucałby kawałka papieru, który mógłby pofrunąć nie wiadomo gdzie. Ale co to jest i gdzie teraz leży?

Mijały sekundy, minuty, a Dennis denerwował się coraz bardziej. Zaczął pelzać na czworakach, przyglądając się wydeptanym śladom, powiększonym

przez roztopy do ogromnych rozmiarów; teraz zamarzały, stając się twarde, lśniące i błękitnawe. Pot ciekł mu strugami po twarzy. Zaczęła go też dręczyć myśl, że zaraz opadnie mu na ramię czyjaś ręka, a gdy się odwróci, zobaczy pod czarnym kapturem wykrzywioną złośliwym uśmiechem twarz królewskiego czarnoksiężnika.

„Trochę późna pora na zabawę w chowanego, co, Dennis? — powiedziałyby Flagg i chociaż na jego twarzy widniały nadal uśmiech, oczy jarzyłyby się morderczą, piekielną czerwienią. — Co też tu zgubiłeś? A może ci pomóc?”.

Nie wymawiaj jego imienia! Na miłość boską, zamilcz!

Uczył to z największym wysiłkiem. Gdzie to jest? No, gdzie to leży?

Dennis pełzał tam i z powrotem, mając teraz ręce równie przemarznięte jak nogi. Tam i z powrotem, tu i tam. No, gdzie to jest? Źle, jeśli tego nie odnajdzie. Jeszcze gorzej, jeżeli do rana nie spadnie śnieg i ktoś inny się na to natknie. Bogowie tylko wiedzą, co tam jest napisane.

Dennis usłyszał stłumiony głos obwoływacza, oznajmiający pierwszą. Przeszukiwał teraz obszar, który już raz sprawdził, i stopniowo wpadał w panikę.

„Dość tego. Uspokój się, chłopcze”.

Usłyszał głos ojca tak wyraźnie, że nie mógł go pomylić z niczym innym.

Dennis czołgał się na czworakach z nosem przy ziemi. Teraz trochę się wyprostował.

„Przestałeś cokolwiek widzieć, synu. Przerwij na chwilę i zamknij oczy. A gdy je otworzysz, popatrz dookoła siebie. Rozejrzyj się, ale bardzo uważnie”.

Dennis zacisnął powieki, a potem szeroko je otworzył. Tym razem patrzył prawie od niechcenia, przebiegając wzrokiem cały ośnieżony, zdeptany obszar u stóp Iglicy.

Nic. Zupełnie...

Zaraz, zaraz. A tam?

Dennis dostrzegł zaokrąglony fragment jakiegoś metalowego przedmiotu, ledwie wystający spod śniegu. Obok znajdował się ślad odcisnięty przez jego kolano — niewiele brakowało, a zdeptałby to coś podczas swych gorączkowych poszukiwań.

Spróbował podnieść tę rzecz, ale za pierwszym podejściem tylko głębiej wgniótł ją w śnieg. Dłoń tak mu zeszywniała z zimna, że nie mógł nią chwytać. Grzebiąc w śniegu w próbach podniesienia tajemniczego przedmiotu, zdał sobie sprawę, że gdyby jego kolano znalazło się bezpośrednio nad nim, a nie obok, wbiłby go głębiej

w śnieg, w ogóle tego nie zauważając — kolana miał równie pozbawione czucia, jak resztę ciała. A wtedy nigdy by tego nie odnalazł.

To coś pozostałoby pod śniegiem aż do wiosennych roztopów.

Dotknął swego znaleziska, siłą woli zginając palce, i wy dobył je na powierzchnię. Popatrzył ze zdziwieniem. Był to medalion — zrobiony chyba ze złota — w kształcie serca. Miał także złoty łańcuszek. Medalion był zamknięty, ale wystawał z niego złożony kawałek bardzo starego papieru.

Dennis ostrożnie wy dobył list, a potem zawiesił sobie medalion na szyi. Niezręcznie wstał i biegiem wrócił do kryjówki, jaką dawał mu cień. Bieg ten stanowił w pewnym sensie najgorszą część całego przedsięwzięcia. Nigdy w życiu nie czuł się tak wystawiony na wszelki atak jak wtedy. Wydawało mu się, że z każdym jego krokiem zrobionym w stronę pokrępiącego cienia budynków stojących po drugiej stronie placu one same się cofają.

Wreszcie znalazł się we względnie bezpiecznym miejscu i przez chwilę stał, drżąc i dysząc. Przyczaił się w cieniach Czwartej Alei, gdzie wrócił mu oddech, po czym skierował się do zamku i wszedł przez kuchenną bramę do środka. Przy wrotach wiodących do samego zamku znajdował się strażnik, ale był on równie nieuważny, jak jego kolega poprzedniej nocy. Dennis odczekał chwilę i strażnik wreszcie sobie poszedł. Lokaj błyskawicznie znalazł się w środku.

Dwadzieścia minut później siedział bezpieczny w magazynie serwetek. Rozwinął list i przyjrzał mu się dokładnie.

Jedna strona była zapełniona pismem o starodawnym wyglądzie. Autor użył dziwnego, rdzawego atramentu, a Dennis nie potrafił nic odczytać. Odwrócił więc kartkę i wybałuszył oczy. Z łatwością rozpoznał „atrament”, jakiego użyto do napisania listu na tej stronie.

— Och, królu Peterze — jęknął.

Litery były zamazane i niewyraźne — autor nie miał bibuły do osuszenia swego „atramentu” — ale dawały się odczytać.

Chciałem uciekać dziś w nocy. Poczekać do jutra. Dłużej nie mogę. Nie idź po Bena. Nie ma czasu. Cześć niebezpiecznie. Mam linę. Cienką. Może pęknąć. Za krótka. Będę musiał skakać. Jutro o północy. Jeśli możesz, pomóż mi uciec w bezpieczne miejsce. Mogę być ranny. Wszystko w rękach bogów. Dziękuję, kochany Dennisie.

Król Peter

Dennis przeczytał list trzykrotnie, a potem załkał łzami radości. Światło nadziei, które wyczuwał Peyna, lśniło teraz pełnym blaskiem w sercu młodego lokaja. Sprawy szły pomyślnie i wkrótce wszystko zło zostanie naprawione.

Wracał co chwila do słów: „Dziękuję, kochany Dennisie”, napisanych królewską krwią. Peter nie musiał tego dodawać, żeby jego list miał sens... a jednak to zrobił.

Peter, umarłbym za ciebie tysiąc razy, pomyślał Dennis. Schował list pod kaftan i położył się, zapominając, że ciągle ma na szyi medalion. Tym razem nie zasnął od razu. Gdy zaś mu się to udało, po krótkim czasie został raptownie wyrwany ze snu. Drzwi magazynu otwierały się — ciche skrzypnięcie zawiasów wydawało się Dennisowi dzikim hałasem. Zanim w jego otumanionym snem umyśle pojawiła się myśl, że został odkryty, spadł na niego szary cień o płonących oczach.

Owego poniedziałku śnieg zaczął padać około trzeciej nad ranem — pierwsze jego płatki zamigotały Benowi przed oczami, gdy stał wraz z Naomi na skraju Rezerwatu Królewskiego, patrząc w stronę zamku. Frisky usiadła, dysząc. Ludzie byli zmęczeni, suka także, lecz mimo to rwała się, żeby ruszyć dalej — ślad stawał się coraz wyraźniejszy.

Pewnie poprowadziła ich od farmy Peyny do opuszczonego domu, gdzie Dennis spędził około czterech dni, żywiąc się surowymi kartoflami i myśląc niezycliwie o rzepie, która okazała się równie nieprzyjemna, jak to, co o niej sądził. Na tej pustej farmie w Centralnych Baroniach jaskrawoniebieski zapach, za którym podążała do tej pory, znajdował się prawie wszędzie — zaczęła więc biegać z nosem przy ziemi z pokoju do pokoju, szczekając z podniecenia i machając ogonem.

— Popatrz — powiedziała Naomi. — Nasz Dennis coś tu palił. — Wskazała na kominek.

Ben podszedł i przyjrzał się, ale nie udało mu się odgadnąć, co to takiego — leżały tam tylko spopielone resztki papieru, które rozpadły się, gdy ich dotknął. Oczywiście były to próbne wersje listu do Petera.

— Co teraz? — zapytała Naomi. — Poszedł stąd na zamek, to jasne. Tylko czy mamy ruszać za nim, czy nocować tutaj?

Była szósta. Na dworze zaczęło się już ściemniać.

— Myślę, że musimy iść — powiedział po namyśle Ben. — W końcu sama powiedziałaś, że potrzebny nam nos Frisky, a nie jej oczy... a ja jestem gotów przysiąc przed każdym trybunałem, że ma ona szlachetne powonienie.

Frisky siedząca pod drzwiami zaszczekała, jakby rozumiała o czym mowa.

— Zgoda — rzekła Naomi.

Przyjrzał jej się uważnie. Odbyli długą drogę z obozu uchodźców i niewiele razy zatrzymywali się na odpoczynek. Wiedział, że powinni zostać... ale szalał z niepokoju.

— Dasz radę? — zapytał. — Nie mów, że tak, jeśli nie czujesz się na siłach, Naomi Reechful.

Podparła się pod boki i zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem.

— Gdy ty padniesz, ja przejdę jeszcze sto kilometrów, Benie Staad.

Ben wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Może się okazać i tak — odparł. — Ale najpierw przekażmy co nieco.

Zjedli szybko. Gdy skończyli, Naomi uklękała koło Frisky i szepnęła jej, że ma podjąć ślad. Suka nie kazała się długo prosić. Cała trójka opuściła farmę. Ben niośł wielki plecak, a Naomi niewiele mniejszy.

Dla Frisky zapach Dennisa stanowił niebieski, błyszczący ślad, jaskrawy jak drut naładowany elektrycznością. Natychmiast ruszyła za nim i zdziwiła się, gdy PANI ją odwołała. Zaraz jednak zrozumiała, o co chodzi; gdyby była człowiekiem, uderzyłaby się z jękiem w czoło. W swej niecierpliwości podążyła za śladem wiodącym z powrotem. O północy znaleźliby się znowu na farmie Peyny.

— W porządku, Frisky — powiedziała Naomi. — Nie spiesz się.

— Pewnie — wtrącił się Ben. — Masz dużo czasu, tydzień lub dwa. Albo i miesiąc.

Naomi rzuciła mu cierpkie spojrzenie. Ben roztropnie zamilkł. Oboje śledzili wzrokiem nos Frisky, węszący najpierw w bramie opuszczonej farmy, a potem na drodze.

— Straciła ślad? — zapytał Ben.

— Nie, zaraz go znajdzie. — Tak mi się przynajmniej wydaje, dodała w myślach. — Natrafiła na całe kłębowisko tropów i musi je rozplątać.

— Ale popatrz — rzekł z powątpiewaniem Ben. — Ona skręca na pole. To przecież bez sensu.

— Nie wiem. Myślisz, że Dennis poszedł do zamku drogą?

Ben Staad był człowiekiem, więc klepnął się w czoło.

— Jasne, że nie. Ależ ze mnie kretyn.

Naomi uśmiechnęła się słodko i nie powiedziała nic. Na polu Frisky zatrzymała się na chwilę. Odwróciła się w stronę PANI i CHŁOPCA i szcęknęła niecierpliwie, żeby za nią szli. Psy anduańskie są udomowionymi potomkami wielkich białych wilków, których mieszkańcy Północnej Baronii bali się w dawnych czasach, ale dzikie czy domowe, zawsze były łowcami i tropicielami, zanim zaczęto używać ich do innych celów. Frisky znów wyodrębniła jaskrawoniebieską linię zapachu i niecierpliwiła się, chcąc ruszać dalej.

— Chodźmy — powiedział Ben. — Mam nadzieję, że znalazła właściwy trop.

— Oczywiście, że tak. Patrz!

Wskazała coś, co wyglądało na długą, płytką linię śladów na śniegu. Nawet w ciemnościach Ben i Naomi widzieli, że pozostawiły je rakiety.

Frisky zaszczekała znowu.

— Pospieszmy się — rzekł Ben.

O północy znaleźli się koło Rezerwatu Królewskiego, a Naomi zaczęła żałować swej przechwałki, jak to mogłaby iść jeszcze sto kilometrów dalej niż Ben, bo czuła, że to jednak ona zaraz padnie ze zmęczenia.

Dennis szedł krócej, ale przecież wyruszył po czterech dniach odpoczynku, miał rakiety i nie musiał czekać na psa, który niekiedy gubił trop i tracił czas na odszukanie go. Naomi czuła, że nogi ma jak z rozgrzanej gumy. Paliły ją płuca. Kłuło w lewym boku. Zjadła kilka garści śniegu, ale nie ugasiło to jej szalonego pragnienia.

Frisky, nieobciążona plecakiem, mniej zapadała się w śnieg i zupełnie się nie zmęczyła. Naomi mogła iść po zmarzniętej skorupie śniegu, ale niedługo, gdyż zaraz natrafiała na miększe miejsce i zapadała się w puchu po kolana... a kilka razy po biodra. Raz wpadła po pas i szarpała się w bezsilnej złości, aż Ben dojrzał do niej i pomógł jej wydobyć się na powierzchnię.

— Szkoda... że... nie mamy... sań — wysapała.

— Pobożne... życzenia — odsapał, uśmiechając się mimo zmęczenia.

— Zabawne — szepnęła. — Cha, cha! Powinieneś zostać dworskim błaznem, Benie Staad.

— Rezerwat Królewski jest już blisko. Mniej śniegu... będzie łatwiej.

Pochylił się, oparł ręce na kolanach i dyszał ciężko. Naomi pomyślała nagle, że jest straszną egoistką, zajmując się tylko sobą, podczas gdy Ben z pewnością czuje się znacznie gorzej niż ona — ważył o wiele więcej, no i niósł cięższy plecak. Zapadał się za każdym krokiem, sadył wielkie skoki w śniegu, jakby biegł w głębokiej wodzie, ale nie skarżył się i nie zwolnił kroku.

— Ben, w porządku?

— Nie — wysapał i się uśmiechnął. — Ale dam sobie radę, mała ślicznotko.

— Nie jestem mała! — zaprotestowała z oburzeniem.

— Ale za to śliczna — odparł i zagrał jej na nosie.

— Nie daruję ci tego...

— Później — sapnął. — Biegnę do lasu. Ścigasz się?

Tak więc ścigali się, a Frisky pędziła przed nimi, kierując się śladem, i Ben przegonił Naomi, czym jeszcze bardziej ją rozgniewał... ale równocześnie jej zaimponował.

Stali teraz, patrząc na drugą stronę otwartego pola, rozciągającego się na siedemdziesiąt konerów od skraju lasu, gdzie król Roland ongiś zgładził smoka, do murów zamku, w którym zamordowano jego samego. Spadło kilka płatków... potem jeszcze parę... i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, powietrze wypełniło się śniegiem.

Mimo zmęczenia Ben przeżył moment radości i ukojenia. Popatrzył na Naomi i się uśmiechnął. Chciała zrobić pogardliwą minę, ale czuła, że to jakoś nie wypada, więc po prostu odwzajemniła jego uśmiech. Po chwili wystawiła język i próbowała złapać płatek śniegu. Ben zaśmiał się cicho.

— Którędy on wszedł do środka, o ile mu się to w ogóle udało? — zapytała Naomi.

— Nie mam pojęcia — odparł Ben.

Wychował się na farmie i nic nie wiedział na temat systemu zamkowej kanalizacji. Moglibyście powiedzieć, że niewiele na tym stracił, i mielibyście rację.

— Może ten twój uzdolniony pies wskaże nam, którądy dostał się do środka, o ile rzeczywiście tak się stało.

— Naprawdę myślisz, że mu się udało, Ben?

— O tak — rzekł Ben. — A co ty powiesz, Frisky?

Na dźwięk swego imienia suka poderwała się na nogi, powędrowała tropem kilka metrów, a potem obejrzała się na nich.

Naomi popatrzyła na Bena. Chłopak pokręcił głową.

— Jeszcze nie — rzucił.

Naomi półgłosem odwołała psa, który wrócił do nich, skomłąc.

— Gdyby umiała mówić, powiedziałaaby ci, że boi się stracić ślad. Śnieg go zasypuje.

— Nie będziemy długo czekać. Dennis użył rakiet, ale nam trafiło się coś, czego on nie miał, Naomi.

— To znaczy?

— Osłona.

Mimo że powstrzymywana przez Bena Frisky niecierpliwiła się, czekali jeszcze piętnaście minut. Powietrze stało się ruchomą białą chmurą. Śnieg pobiełił ciemne włosy Naomi i blond czuprynę Bena; Frisky przywdziała chłodną lodowatą narzutę. Nie widzieli już przed sobą murów zamku.

— Dobra — powiedział półgłosem Ben. — Idziemy.

Podążając za Frisky, przeszli przez otwarte pole. Wielki pies posuwał się teraz wolniej, z nosem przytkniętym do śniegu, od czasu do czasu wygrzebując w nim dołek. Jaskrawoniebieski szlak zapachu blakł, przysypywany białą, bezwoną substancją spadającą z nieba.

— Chyba za długo czekaliśmy — szepnęła idąca obok niego Naomi.

Ben się nie odezwał. Też tak sądził i robił sobie z tego powodu wyrzuty.

Nagle z wszechobecnej białości wyłonił się ciemny masyw zamkowego muru. Naomi wyprzedziła nieco Bena. Chłopak chwycił ją za ramię.

— Nie zapominaj o fosie — szepnął. — Jest gdzieś tam przed nami. Przystąpisz jej krawędź, spadniesz i złamiesz sobie ka...

Udało mu się powiedzieć tylko tyle, gdy oczy Naomi zabłyśły przerażeniem. Wyrwała się z jego uchwytu.

— Frisky! — syknęła. — Hej! Frisky! Uważaj! Spadniesz! — Pobiegła za psem.

Ta dziewczyna jest kompletnie zwariowana, pomyślał Ben z odrobiną podziwu. A potem ruszył za nią.

Naomi martwiła się niepotrzebnie. Frisky zatrzymała się na krawędzi fosy. Węszyła pod śniegiem, machając wesoło ogonem. Teraz chwyciła coś w zęby i wyciągnęła spod świeżego puchu. Odwróciła się do Naomi, pytając wzrokiem: Dobry ze mnie piesek, prawda?

Dziewczyna zaśmiała się i objęła swoją ulubienicę.

Ben spojrział w stronę muru.

— Cicho! — szepnął do niej. — Jeśli strażnicy nas usłyszą, to jak nic skończymy w kamieniołomach. Co ty sobie wyobrażasz? Myślisz, że jesteś na własnym podwórku?

— Phi! Jeśli coś usłyszeli, to pomyślą, że to duch zimy, i uciekną do mamusi. — Mimo to mówiła też szeptem. A potem zanurzyła twarz w futrze Frisky i jeszcze raz powiedziała, jaki z niej dobry pies.

Ben pogłaskał zwierzaka po głowie. Dzięki padającemu gęsto śniegowi żadne z nich nie czuło się tak okropnie wystawione na widok jak Dennis, gdy siedział w tym samym miejscu i zdejmował rakiety, przed chwilą odnalezione przez Frisky.

— Węch od bogów dany, ot co — rzekł Ben. — Ale co się stało, gdy zdjął rakiety, piesku? Czy wyrosły mu skrzydła i przeleciał nad Zachodnim Szańcem? Dokąd poszedł?

Jak gdyby odpowiadając na jego pytanie, Frisky wyzwoliła się z ich objęć i ślizgając się i zapadając w śnieg, zeszła po stromym brzegu na zamarznąłą powierzchnię fosy.

— Frisky! — zawołała Naomi przyciszonym, ale przestraszonym głosem.

Suka stała na lodzie, patrząc na nich, po kolana w śniegu. Leciutko merdała ogonem, prosząc ich wzrokiem, żeby zeszli do niej. Nie szczełała; sama wyczuła, że lepiej tego nie robić, chociaż Naomi nie kazała jej być cicho. Ale ujadała w myślach. Zapach wciąż dawał się wyczuć, a ona chciała za nim iść, zanim zniknie do reszty, co miało nastąpić za parę minut.

Naomi popatrzyła pytająco na Bena.

— Tak — powiedział. — Oczywiście. Musimy. Chodź. Ale trzymaj ją przy nodze, nie pozwól jej się za bardzo oddalić. Tu się czai niebezpieczeństwo. Czuję to.

Wyciągnął rękę. Naomi chwyciła ją i razem zsunęli się na lód. Frisky powoli poprowadziła ich w stronę zamkowego muru. Teraz musiała rozkopywać nosem śnieg, żeby podążać za tropem. Pokrywał go coraz bardziej gęsty, nieprzyjemny zapach — woń brudnej, ciepłej wody, odpadków, nieczystości. Dennis wiedział, że lód robi się niebezpiecznie cienki w pobliżu wylotu rury. A nawet gdyby sobie z tego nie zdawał sprawy, widział przed sobą pas wody szerokości około metra.

Ben, Naomi i Frisky nie mieli takiego szczęścia. Uznali oni po prostu, że jeśli lód jest gruby przy zewnętrznym brzegu fosy, to będzie taki sam po drugiej stronie. A wzrok niewiele mógł im pomóc, bo widoczność znacznie zmniejszyła gęsto padający śnieg.

Z całej trójki Frisky miała najłabsze oczy, no i znajdowała się na przedzie. Wyostrzony słuch dał jej znać, że pod świeżym śniegiem trzaska lód... ale zapach

bardzo ją absorbował, więc nie zwróciła uwagi na stłumione dźwięki... aż wreszcie lód pękł pod jej ciężarem i z pluskiem wpadła do wody.

— Frisky! Fr...

Ben zakrył Naomi usta dłonią. Zaczęła się mu wrywać. Ale chłopak wiedział, na czym polega niebezpieczeństwo, i trzymał ją mocno.

Naomi niepotrzebnie się martwiła. Psy przecież potrafią pływać, a dzięki swej gęstej, lekko przetłuszczonej szubie Frisky lepiej radziła sobie w wodzie niż jakakolwiek istota ludzka. Pośród kawałków popękanego lodu i kul śniegu, które szybko zamieniały się w gęstą maź i znikwały, dopłynęła prawie do samego muru. Uniosła głowę, węsząc, szukając zapachu... a gdy zrozumiała, skąd dobiega, wróciła do Bena i Naomi. Dotarła do krawędzi lodu i chciała wyjść z wody, ale lód pękł jej pod łapami. Spróbowała jeszcze raz. Naomi krzyknęła.

— Cicho, Naomi, bo jeszcze przed świtem możemy znaleźć się w lochach — ostrzegł Ben. — Chwyć mnie za kostki. — Puścił ją i położył się na brzuchu. Dziewczyna przykucnęła za nim i przytrzymała mu nogi tak, jak jej polecił. Leżąc na lodzie, Ben słyszał, jak jęczy on i pomrukuje. To może się zdarzyć któremuś z nas, pomyślał, a wtedy rzeczywiście znaleźlibyśmy się w kłopotach.

Rozsunął nogi, żeby lepiej rozłożyć ciężar ciała, a potem złapał Frisky za przednie łapy poniżej miejsca, gdzie łączyły się z klatką piersiową.

— Do góry, mała — sapnął Ben. — Dasz radę. — Pociągnął ją z całej siły.

Przez chwilę wydawało mu się, że lód pęknie pod ciężarem wciąganej nań Frisky — a potem on sam i za nim Naomi znajdą się w wodzie. Pokonywał fosę niejednym razem, gdy szedł na zamek bawić się z Peterem, a wtedy błękitne letnie niebo i białe obłoki odbijały się w wodzie, czyniąc ją prawdziwie piękną, niczym obraz. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, iż mógłby zginąć w niej podczas zamieci śnieżnej w czarną noc. No i brzydko pachniała.

— Wyciągnij mnie — szepnął. — Ten twój cholerny pies waży tonę!

— Nie waż się źle mówić o Frisky, Benie Staad.

Ben zacisnął powieki i rozciągnął wargi w uśmiechu.

— Stokrotne przeprosiny. Ale jeśli nie zaczniesz mnie stąd wyciągać, to chyba się skąpię.

Udało jej się jakoś, chociaż Ben i Frisky razem ważyli trzy razy więcej niż ona. Ciało Bena leżącego twarzą do ziemi wryło koleinę w świeżym puchu, a w kroku zebrała mu się kupka śniegu, tak jak zgromadziłyby się w lemieszu drewnianego pługa.

W końcu — tak przynajmniej wydawało się Benowi i Naomi, chociaż cała sprawa trwała prawdopodobnie tylko kilka sekund — pierś Frisky przestała kruszyć lód i zaczęła wsuwać się na jego powierzchnię. Po chwili tylne łapy suki znalazły się na solidnym gruncie. A potem ona sama stała już na czterech łapach i energicznie się otrząsała. Brudna woda obryzgała Benowi twarz.

— Fuj! — Wykrzywił usta, wycierając się. — Dziękuję, Frisky!

Ale ona nie zwróciła na niego uwagi. Znowu patrzyła na mur zamkowy. Chociaż woda zamarzała na jej futrze, tworząc brudne sople, suka interesowała się przede wszystkim zapachem. Czowała go wyraźnie nad sobą, ale nie bardzo wysoko. Dobiegał z ciemnego miejsca. Nie było tam zimnej substancji pozbawionej zapachu. Ben wstawał na nogi, otrzepując się ze śniegu.

— Przepraszam, że tak krzyknęłam — szepnęła Naomi. — Gdyby to był jakikolwiek inny pies... myślisz, że mnie usłyszeli?

— Gdyby tak się stało, kazano by ci podać hasło — odszepnęła Ben. — Bogowie, niewiele brakowało. — Teraz już widzieli otwartą wodę tuż pod starożytnym kamiennym murem zewnętrznego szańca Zamku Delain, bo wiedzieli, czego mają oczekiwać.

— Co dalej?

— Nie możemy przejść — szepnął Ben. — To jasne. Ale co zrobił on, Naomi? Dokąd stąd poszedł? Może pofrunął?

— Jeśli my...

Ale Naomi nie dokończyła myśli, bo wtedy właśnie Frisky ujęła sprawy w swoje łapy. Wszyscy jej przodkowie byli znakomitymi tropicielami, miała to we krwi. Kazano jej iść tym podniecającym, czarownym, jaskrawoniebieskim tropem, i czuła, że nie potrafi go porzucić. Tak więc przysiadła na lodzie, napięła swe wytrenowane ciągnięciem sań mięśnie i skoczyła w ciemność. Jak mówiłem, wzrok był jej najsłabszym zmysłem, więc skoczyła naprawdę na oślep; z brzegu fosy nie widziała czarnego otworu rury kanalizacyjnej.

Ale dostrzegła go, znajdując się w wodzie, a nawet gdyby nie, miała swój nos i wiedziała, że otwór tam jest.

To Flagg, pomyślał na wpeł rozbudzony Dennis, gdy skoczyła na niego ciemna postać z płonącymi oczyma. To Flagg, znalazł mnie i teraz rozszarpie mi gardło swymi kłami. Chciał krzyknąć, ale nie zdołał wydać głosu. Paszcza napastnika rzeczywiście się rozwarła; Dennis zobaczył wielkie białe zęby... i poczuł jęzor liżący mu twarz.

— Uf! — odetchnął, usiłując zepchnąć z siebie to coś. Ciężkie łapy jednak oparły mu się na ramionach i Dennis opadł na materac z serwetek niczym powalony zapaśnik. Młask, młask. — Uf! — wysapał znowu, a ciemny, kudłaty kształt wydał z siebie niskie, radosne szczeknięcie, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, ja też się cieszę, że cię widzę”.

— Frisky! — stłumionym głosem zawołał ktoś w ciemnościach. — Siad! Cicho bądź!

Mroczna postać to wcale nie Flagg, tylko bardzo duży pies; zbyt przypomina wilka, żeby czuć się przy nim bezpiecznie, pomyślał Dennis. Gdy dziewczyna się odezwała, zwierzę cofnęło się i usiadło. Patrzyło wesoło na Dennisa, w milczeniu tłukąc ogonem o usłane z serwetek łóżko młodego lokaja.

W ciemnościach pojawiły się dwa następne cienie, jeden wyższy, drugi niższy. Strażnicy zamkowi. Dennis chwycił za sztylet. Jeśli bogowie zechcą mu sprzyjać, da sobie radę z obydwoma. Jeśli nie, drogo odda życie w służbie swego króla.

Dwie postacie zatrzymały się w pewnej odległości od niego.

— No, chodźcie tu — powiedział Dennis i odważnym gestem uniósł sztylet (w zasadzie niewiele groźniejszy niż scyzoryk, zardzewiały i bardzo tępy).

— Najpierw wy dwoje, a potem wasz diabelski pies!

— Dennis? — Głos był dziwnie znajomy. — Dennis, więc naprawdę udało nam się ciebie znaleźć?

Lokaj już miał opuścić sztylet, ale zaraz uniósł go ponownie. To jakaś sztuczka. Na pewno. Ale głos wydawał mu się bardzo podobny...

— Ben? — szepnęła. — Ben Staad?

— To ja — potwierdziła wyższa postać, a serce Dennisa przepełniła radość. Cię zbliżył się powoli. Przestraszony lokaj znowu podniósł broń.

— Zaczekaj! Masz światło?

— Krzemień i stal.

— Skrzesaj ognia.

— Aha.

W chwilę później zabłysła wielka, żółta iskra, stanowiąca niewątpliwie zagrożenie pożarowe w magazynie wypełnionym suchymi serwetkami.

— Podejź, Benie — powiedział Dennis, chowając swój pseudosztylet do pochwy.

Podniósł się na nogi, drżąc z radości i ulgi. Ben był tutaj. Jaka magia pomogła im w tym — lokaj nie wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że coś się stało. Stopy zaplątały mu się w serwetki i byłby upadł, gdyby nie pochwyciły go silne ramiona Bena. Przyszedł tu i wszystko będzie dobrze, pomyślał Dennis, usiłując powstrzymać się od niemęskich łez.

Nastąpiła wielka wymiana opowieści — wy znacie je w zasadzie w całości, a to, o czym nie wiecie, da się zrelacjonować bardzo krótko.

Skok Frisky był strzałem w dziesiątkę. Suka trafiła prosto w wylot rury kanalizacyjnej, a potem odwróciła się, żeby zobaczyć, czy Ben i Naomi gotowi są za nią podążyć.

Gdyby tego nie zrobili, Frisky w końcu wyskoczyłaby z powrotem na lód — stanowiłoby to dla niej wielkie rozczarowanie, ale nie zostawiłaby swojej pani dla najwspanialszego zapachu świata. Frisky wiedziała o tym, ale Naomi nie miała takiej pewności. Nie odważyłaby się nawet odwołać suki, bojąc się, że mogłoby ją usłyszeć strażnicy. Zamierzała więc podążyć za nią. Nie zostawiłaby Frisky, a gdyby Ben usiłował ją do tego skłonić, znokautowałaby go prawym sierpowym.

Martwiła się niepotrzebnie. Gdy tylko Ben zobaczył wylot rury, zrozumiał, którędy Dennis wszedł do zamku.

— Masz genialny węch, Frisky — powtórzył. Odwrócił się do Naomi. — Dasz radę?

— Jeśli wezmę rozbieg, to tak.

— Przypatrz się uważnie, gdzie lód staje się cienki, bo możesz się skąpać. Grube ubranie szybko cię wciągnie na dno.

— Przyjrzę się.

— Lepiej, żebym ja skoczył pierwszy — rzekł Ben. — Jeśli ci się nie uda, może zdołam cię złapać.

Cofnął się o kilka kroków i odbił tak silnie, że omal nie rozbił sobie głowy o górną krawędź rury. Podniecona Frisky wydała szczeknięcie.

— Cicho, pies — powiedział Ben.

Naomi odsunęła się aż na krawędź fosy, stała tam przez chwilę (padał tak gęsty śnieg, że Ben jej nie widział), a potem ruszyła do przodu. Ben wstrzymał oddech, modląc się, żeby dobrze oceniła, gdzie zaczyna się cienki lód. Gdyby pobiegła za daleko, nie pochwyciłyby jej najdłuższe ramiona świata.

Ale wymierzyła odległość idealnie. Ben nie musiał jej pomagać; wystarczyło, że usunął się z drogi, gdy lądowała w wylocie rury. Nie uderzyła się nawet w głowę.

— Najgorszy był ten zapach — powiedziała Naomi, gdy kończyła relacjonować ich przygody zachwyconemu Dennisowi. — Jak mogłeś go wytrzymać?

— No... cały czas przypominałem sobie, co się ze mną stanie, jeśli mnie złapią — rzekł lokaj. — Ilekroć to zrobiłem, powietrze się poprawiało.

Ben zaśmiał się i kiwnął głową, a Dennis przez chwilę patrzył na niego podejrzanie błyszczącymi oczami. Potem zwrócił się do Naomi.

— Cóż, rzeczywiście śmierdzi tam okropnie — zgodził się. — Pamiętam, że nie pachniało najpiękniej, gdy byłem chłopcem, ale nie aż tak. Może dzieci nie potrafią ocenić zapachu. Albo coś takiego.

— Chyba masz rację — powiedziała Naomi.

Frisky leżała na stercie królewskich serwetek, z łbem na przednich łapach, wodząc oczami od jednej osoby do drugiej. Niewiele rozumiała z tego, o czym mowa, a szkoda, bo gdyby potrafiła użyć ludzkiego języka, poinformowałaby Dennisa, że jego ocena, co stanowi naprawdę ohydny smród, nie zmieniała się zbyt od czasów, gdy był chłopcem. Wszyscy troje czuli oczywiście zapach Smoczego Piasku. Frisky odbierała tę woń o wiele lepiej niż PANI i CHŁOPIEC. Ślad Dennisa zachował się nadal, teraz w formie plam i punktów na zakrzywionych ścianach (w miejscach, gdzie lokaj dotykał ich rękami; dnem ścieków płynęły nieczystości, które zmywały wszelki zapach). Nadal miał kolor jaskrawoniebieski. Druga woń była barwy ostrej żółci i wzbudzała we Frisky lęk. Suka wiedziała, że niektóre zapachy mogą zabić, i czuła, że jeszcze nie tak dawno temu ta woń też miała śmiertcionośne właściwości. Ale teraz traciła moc, no i poza tym ślad Dennisa omijał jej większe skupienia. Wkrótce potem, gdy dotarli do kraty, przez którą Dennis wyszedł ze ścieków, suka zaczęła gubić ów zapach — i nigdy w życiu nie zdarzyło jej się cieszyć z tego aż tak.

— Nie spotkaliście nikogo? Zupełnie? — zapytał z niepokojem Dennis.

— Nie — powiedział Ben. — Szedłem przodem jako zwiad. Kilka razy widziałem strażników, ale zawsze mieliśmy dosyć czasu, żeby się ukryć. Prawdę mówiąc, mogliśmy wejść główną bramą i minąć dwudziestu strażników, z których może dwóch zapytałoby, kto idzie. Większość z nich była pijana.

Naomi skinęła głową.

— Wartownicy! — rzuciła wzgardliwie. — Pijani w drzazgi. I to nie na straży gdzieś pod północną granicą jakiejś zakichanej prowincjonalnej baronii, o której

nikt nigdy nie słyszał; pijani na zamku!

Przypominając sobie fałszującego, smarczącego śpiewaka, Dennis ponuro pokiwał głową.

— Powinniśmy się chyba cieszyć, bo gdyby wartownicy byli dziś tacy jak za czasów Rolanda, wszyscy troje znaleźlibyśmy się w Iglicy razem z Peterem. Ale ja jakoś nie mogę.

— Powiem ci jedno — szepnął Ben. — Gdybym był Thomasem, drżałbym ze strachu za każdym rzutem oka na północ, jeśli wszyscy jego ludzie są tacy jak ci, których widzieliśmy.

Naomi popatrzyła na niego z niepokojem.

— Módlmy się do wszystkich bogów, żeby nic się nie stało.

Ben kiwnął głową. Dennis pochylił się i pogłaskał Frisky po łbie.

— Szłaś za mną od domu Peyny, tak? Mądry piesek.

Frisky radośnie zamerdala ogonem. Naomi powiedziała:

— Chętnie usłyszałabym historię o królu chodzącym we śnie, jeśli zechciałbyś ją jeszcze raz powtórzyć.

Więc Dennis opowiedział, mówiąc dokładnie to samo, co Peynie i co ja wam zrelacjonowałem, a oni słuchali urzeczeni jak dzieci, kiedy opowiada im się baśń o gadającym wilku w nocnym czepku babci.

Gdy Dennis skończył, wybiła siódma. Nad Delainem zabłysnął przyćmiony, szarawy blask, który miał stać się niewiele jaśniejszy w południe — nadchodziła bowiem największa zamieć owej zimy, a może nawet w całej historii Delainu. Wiatr wył pod okapami zamku jak stado duchów. Słyszeli go nawet zbiegowie w magazynie serwetek. Frisky podniosła głowę i zaskomliła niepewnie.

— Co teraz? — zapytał Dennis.

Ben, który po raz setny czytał list od Petera, powiedział:

— Przed wieczorem nic. Na zamku wszyscy już się pobudzili, więc w żaden sposób nie uda nam się wyjść stąd niezauważenie. Idziemy spać. Trzeba nabrać sił. A dziś wieczorem, przed północą...

Ben mówił krótko. Naomi się uśmiechnęła. Dennisowi rozbłysły z podniecenia oczy.

— Tak! — zawołał. — Bogowie! Ben, jesteś genialny!

— No, ja bym się nie posuwała aż do takich określeń — zaproponowała Naomi, ale uśmiechała się tak szeroko, że jeszcze trochę, a jej głowa podzieliłaby się na dwie części. Objęła Bena i serdecznie go ucałowała.

Chłopak spąsowiał (wyglądał, jakby miał „ekspłodować”, jak mawiano w owych czasach w Delainie), ale muszę wam też powiedzieć, że robił wrażenie wielce zadowolonego.

— Czy Frisky nam pomoże? — zapytał, gdy wrócił mu oddech. Na dźwięk swego imienia suka nadstawiła uszu.

— Jasne, że tak. Ale potrzebujemy też...

Omawiali swój plan jeszcze przez jakiś czas, a potem Ben, ziewając, nieomal zwichnął sobie szczękę. Naomi również wyglądała na wykończoną. Jak pewnie pamiętacie, nie spali już całą dobę i w tym czasie pokonali sporą odległość.

— Dosyć — rzekł Ben. — Pora spać.

— Hura! — krzyknęła Naomi, moszcząc sobie posłanie z serwetek obok Frisky — Nóg nie czuję...

Dennis lekko odchrząknął.

— Co się stało? — zapytał Ben.

Lokaj popatrzył na ich plecaki — wielki, należący do młodego Staada, i nieco mniejszy będący własnością panny Reechful.

— Pewnie nie macie... ee... nic do jedzenia?

Naomi zawołała niecierpliwie:

— Jasne, że mamy! Co ty myślisz... — A potem przypomniała sobie, że Dennis wyruszył z farmy Peyny sześć dni temu i od tej pory się ukrywał. Poblądł i wyglądał na niedożywnionego, a jego twarz wydawała się węższa i bardziej koścista.

— Dennis, przepraszam, ale z nas idioci! Kiedy ostatnio jadłeś?

Lokaj zastanawiał się przez chwilę.

— Nie pamiętam dokładnie — rzekł w końcu. — Ale ostatni posiłek, jaki spożyłem przy stole, to lunch tydzień temu.

— Dlaczego nam nie powiedziałeś od razu? — krzyknął Ben.

— Bo zbyt się ucieszyłem na wasz widok — odparł Dennis i wyszczerzył zęby. Patrząc, jak otwierają plecaki i grzebią pośród resztek zapasów, poczuł burczenie w brzuchu. Ślina napłynęła mu do ust. Nagle coś sobie przypomniał.

— Ale nie macie rzepy?

Naomi spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Rzepy? Ja nie. A ty, Ben?

— Też nie.

Dennis uśmiechnął się błogo.

— To dobrze — powiedział.

Burza okazała się rzeczywiście potężna i do dziś opowiada się o niej w Delainie. Półtora metra świeżego puchu spadło, zanim nad zamkiem zapadł wczesny zmrok. Tyle śniegu to dużo na jeden dzień, ale wiatr stworzył zasy o wiele wyższe. Gdy nastały ciemności, szalejąca zawierucha ustąpiła miejsca zawiei. W niektórych miejscach zamkowego muru wiatr nawiał śniegu na wysokość około ośmiu metrów, zasłaniając okna nie tylko na parterze i pierwszym piętrze, lecz także na drugim.

Pomyślicie pewnie, że sprzyjało to ucieczce Petera, i może by tak było, gdyby nie to, że Iglica stała samotnie na środku placu. Niestety, koło niej wiało najbardziej. Nawet silny mężczyzna nie utrzymałby się tam na nogach, bo wiatr zmiotłby go z placu i cisnął nim o pierwszą napotkaną kamienną ścianę po drugiej stronie. Zawieja miała jeszcze jeden skutek — działała jak gigantyczna szczotka. Ledwo śnieg zdążył spaść, wiatr wywiewał go z placu. O zmroku pod murami zamku potworzyły się ogromne zasy, a inne zatarasowały wejścia do ulic znajdujących się po zachodniej stronie twierdzy, ale sam plac był goły. Znajdował się na nim tylko pokryty lodem bruk, czekający, aby połamać Peterowi kości, o ile pęknie jego lina.

Ja zaś muszę wam teraz powiedzieć, że było to nieuniknione. Gdy chłopiec sprawdzał ją, utrzymała jego ciężar... ale istniała jeszcze jedna sprawa, związana z owym tajemniczym napięciem krytycznym, o której Peter nie miał pojęcia. Ani Yosef. Wiedzieli o niej poganiacze wołów i gdyby Peter ich o to zapytał, podaliby mu starą zasadę, znaną żeglarzom, krawcowym i wszystkim innym, używającym w swej pracy lin i nici: im dłuższy powróż, tym łatwiej pęka.

Krótką lina, którą Peter wypróbował, utrzymała go. Ta zaś, której miał zamiar powierzyć swe życie, miała około dziewięćdziesięciu metrów. Zapewniam was, że musiała pęknąć pod jego ciężarem, a bruk pod Iglicą tylko czekał, żeby go złapać, połamać mu kości i wykrwawić.

Owej długiej, wietrznej nocy doszło do wielu katastrof, a niejednej uniknięto, dokonano wielu bohaterskich czynów, z których część się powiodła, część zaś była skazana na niepowodzenie.

Sporo budynków w Centralnych Baroniach powywracał wiatr, niczym domki leniwych świnek, które zdmuchnął w bajce głodny wilk.

Ludzie, którzy stali się przez to bezdomni, albo zdołali przedrzeć się przez białe przestrzenie do zamkowej twierdzy, wiążąc się dla bezpieczeństwa linami, albo zboczyli z delaińskiej Głównej Drogi i zgubili się pośród pól — ich zamarznięte, pogryzione przez wilki ciała odnaleziono dopiero na wiosnę.

Ale o siódmej wieczorem owego dnia śnieg zaczął się odrobinę przersedzać, a wiatr ucichł. Zawierucha kończyła się, więc mieszkańcy zamku poszli wcześniej spać. Nie pozostawało im nic innego. Dosypano węgla do kominków, zawinięto dzieci w kołderki, wypito ostatnie filiżanki herbaty i odmówiono modlitwy.

Światła gasły jedno po drugim. Obwoływacz krzyczał, jak potrafił najgłośniej, ale o ósmej wiatr stłumił jego głos; to samo stało się o dziewiątej, dopiero o dziesiątej można go było usłyszeć, ale o tej porze prawie wszyscy już spali.

Thomas także — jemu jednak nie przyszło to łatwo. Brakowało mu Dennisa, który zostałby z nim i dawał mu poczucie bezpieczeństwa; lokaj ciągle jeszcze chorował. Kilka razy młodemu królowi przyszło do głowy posłać pazia, żeby się dowiedział o jego stan zdrowia (albo nawet iść samemu, bo bardzo lubił Dennisa), ale zawsze mu coś przeszkodziło — dokumenty do podpisu... petycja do wysłuchania... no i oczywiście wino, które należało wypić. Thomas miał nadzieję, że Flagg przyjdzie i da mu proszek na zaśnięcie... ale od czasu bezproduktywnej wyprawy na północ czarnoksiężnik stał się dziwnie zamknięty w sobie. Było to tak, jakby Flagg wiedział, że coś jest nie w porządku, ale nie potrafił powiedzieć co. Thomas pragnął, żeby mag przyszedł do niego, lecz nie odważył się go zawezwać.

Jak zwykle, wyjący wiatr przypomniał chłopcu noc, kiedy to zmarł jego ojciec, więc młody król bał się, że długo nie uda mu się zasnąć... i że gdy już to nastąpi, przyśni mu się koszmarny sen, w którym Roland będzie krzyczał i wygłaszał

tyrady, aż wreszcie wybuchnie płomieniem. Tak więc chłopiec zrobił to, co czynił zazwyczaj: spędził cały dzień z butelką wina w dłoni, a jeśli bym wam powiedział, ile ich wypił ten dzieciuch, zanim wreszcie położył się spać o dziesiątej wieczorem, nie uwierzylibyście mi — więc nie powiem.

Leżąc smętnie na sofie i pragnąc, by Dennis znalazł się na swoim zwykłym miejscu przy kominku, Thomas pomyślał: Boli mnie głowa i jest mi niedobrze... czy warto być królem? Wątpię. Pewnie podzielilibyście jego zdanie... ale zanim Thomas zdążył się nad tym lepiej zastanowić, zapadł w głęboki sen.

Spał prawie godzinę... a potem podniósł się i zaczął iść. Wyszedł przez drzwi, przemierzył przedpokoje, przypominając ducha w swej białej nocnej koszuli. Tego wieczoru zobaczyła go zapóźniona sprzątaczką z naręczem prześcieradeł, a on tak bardzo przypominał starego króla Rolanda, że dziewczyna upuściła je i uciekła z wrzaskiem.

Thomas, zamroczony snem, usłyszał ją, ale uznał, że to krzyczy jego ojciec.

Szedł dalej, skręcając w rzadziej używany korytarz. Zatrzymał się w połowie i nacisnął tajemny kamień. Wszedł do sekretnego przejścia, zamknął za sobą drzwi i dotarł do końca korytarzyka. Odsunął klapki zasłaniające szklane oczy Dziewięciaka i chociaż nadal spał, przycisnął twarz do otworów, jakby chcąc zajrzeć do bawialni swego zmarłego ojca. I tak zostawimy na jakiś czas tego nieszczęsnego chłopca, w oparach wina i ze łzami żalu, toczącymi się ze śpiących oczu na policzki.

Bywał on bowiem czasami okrutny, często smutny, ten pseudokról, a przede wszystkim cechowała go słabość... ale nawet teraz upierałbym się, że nie był naprawdę zły. Jeśli nienawidzicie go za to, co zrobił — i to, do czego dopuścił — rozumiem was, ale zdziwiłbym się, gdybyście nie czuli dla niego nawet odrobiny litości.

Kwadrans po jedenastej owej pamiętnej nocy zamieć wydała swe ostatnie tchnienie. Potężny podmuch wiatru spadł na zamek. Pędził z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Niczym wielka dłoń rozdarł rzednące chmury. Zza nich wylonił się chłodny, wodnisty blask księżycy.

Na Trzeciej Wschodniej Ulicy stała przysadzista kamienna wieża, zwana Świątynią Wielkich Bogów; znajdowała się tam od niepamiętnych czasów. Wielu ludzi przychodziło się do niej modlić, ale teraz świeciła pustkami. I bardzo dobrze. Wieża nie była zbyt wysoka — karzeł w porównaniu z Iglicą — ale mimo to górowała nad sąsiednimi budynkami na Trzeciej Wschodniej i przez cały dzień musiała dawać odpór nieustającym atakom wiatru. Ostatniego podmuchu wieża nie wytrzymała. Górnych dziewięć metrów — wszystko z kamienia — po prostu odpadło, tak jak podczas zawiei spada kapelusz strachowi na wróble. Część gruzu wylądowała na ulicy, a reszta trafiła na sąsiednie budynki. Rozległ się straszliwy huk. Mieszkańcy kasztelu, zmęczeni wywołanym przez zamieć podnieceniem, spali już głęboko i nie zwrócili najmniejszej uwagi na upadek Świątyni Wielkich Bogów (choć następnego dnia mieli wielce wydziwiać na widok pokrytych śniegiem ruin). Większość po prostu zamamrotała coś, przewróciła się na drugi bok i zapadła w sen.

Niektórzy z wartowników — ci mniej pijani — także usłyszeli hałas i pobiegli zobaczyć, co się stało. Oprócz nich prawie nikt nie zwrócił uwagi na upadek wieży... i oprócz kilku osób, które już dobrze znacie.

Ben, Dennis i Naomi, szykujący się do pomocy w ucieczce prawowitemu królowi, usłyszeli huk, siedząc w magazynie z serwetkami, i przez moment spoglądali na siebie zaskoczeni.

— Nie wiem, co to jest, ale to nieważne. Do roboty — powiedział Ben po chwili.

Beson i jego strażnicy, wszyscy pijani w trupa, nie usłyszeli, jak upada Świątynia Wielkich Bogów, ale Peter tak. Siedział na podłodze swej sypialni, przesuwając w dłoniach tkaną linę i szukając z niepokojem słabych miejsc. Gdy usłyszał stłumiony przez śnieg grzmot padających kamieni, podniósł głowę,

a potem przyskoczył do okna. Nie zobaczył nic; coś, co się zawaliło, znajdowało się po drugiej stronie Iglicy. Po krótkim namyśle powrócił do swego zajęcia. Zbliżała się północ, a on doszedł do takiego samego wniosku co Ben. To nieważne. Kości zostały rzucone.

Teraz musi kontynuować dzieło. W głębokim mroku tajnego przejścia Thomas usłyszał przygłuszony huk padającej wieży i się obudził. Dobiegło go też ciche szczenie psów pod nim i ze zgrozą zrozumiał, gdzie się znajduje.

Ten zaś, który spał lekko, śniąc majaki, również został zbudzony przez upadek wieży. Stało się tak, mimo że znajdował się głęboko w trzewiach zamku.

— Katastrofa! — zaskrzeczała jedna z głów papugi.

— Pożar, powódź i ucieczka! — wrzasnęła druga.

Flagg się zbudził. Mówiłem wam, że zło czasem jest dziwnie zaślepienie, i to prawda. Czasami bez żadnego powodu zapada w letarg. A teraz Flagg się przebudził.

Flagg powrócił ze swej ekspedycji na północ z lekką gorączką, poważnym przeziębieniem i skłopotaną głową.

Coś jest nie tak, coś jest nie tak. Wydawało mu się, że nawet mury zamku to szepczą... ale czarnoksiężnik za żadne pieniądze nie potrafił domyślić się co. Wiedział tylko, że owo nieznane mu „coś” ma ostre kły. Miał uczucie, że biega mu w głowie niczym fretka, podgryzając to tu, to tam. Zdawał sobie sprawę, kiedy owo stworzenie pojawiło się i zaczęło go gryźć: gdy wracał z bezowocnej wyprawy w poszukiwaniu buntowników. Bo... bo... bo buntownicy powinni się tam znajdować! Ale ich nie wykrył, a nie znosił czuć się oszukany. Co gorsza, nienawidził przeświadczenia, że prawdopodobnie popełnił błąd. Jeśli pomylił się co do miejsca, gdzie można odnaleźć buntowników, to mógł także nie mieć racji i w innych sprawach. Jakich? Nie miał pojęcia. Śniły mu się koszmary. Małe, złośliwe zwierzątko biegało w jego głowie, dręcząc go, wmawiając mu, że o czymś zapomniał, że coś dzieje się za jego plecami. Miotało się, gryzło, wybijało go ze snu. Flagg miał leki, które potrafiłyby go uwolnić od przeziębienia, ale żaden nie poskutkowałby przeciwko bestii rosnącej mu w głowie. Co, u licha, jest nie tak?

Tysiące razy zadawał sobie to pytanie i w zasadzie wydawało się — przynajmniej z pozoru — że wszystko jest w porządku. Przez setki lat czarny chaos jego duszy nienawidził miłości, światła i porządku panujących w Delainie i usilnie starał się je zniszczyć — doprowadzić do ruiny, tak jak ostatni lodowaty powiew zamieci zwałił Świątynię Wielkich Bogów. Zawsze jednak ktoś mu przeszkadzał — jakaś Kyla Dobra, Sasha, ktoś albo coś. Ale teraz nie widział nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób wpłynąć na bieg wypadków, chociaż szukał pilnie. Thomas znajdował się całkowicie pod jego władzą; gdyby Flagg kazał mu wyskoczyć z najwyższego okna zamku, głupi dzieciak zapytałby tylko, o której godzinie ma to zrobić. Rolnicy jęczeli pod ciężarem morderczych podatków, jakie Thomas na nich nałożył za poradą czarnoksiężnika.

Yosef powiedział kiedyś Peterowi, że istnieje napięcie krytyczne dla ludzi, tak samo jak dla lin i łańcuchów, i nie mylił się — rolnicy i kupcy delainscy znaleźli się

u kresu wytrzymałości. Lina, którą ciężary podatków przytroczone są do grzbietów obywateli, to wierność królowi, krajowi, rządowi. Flagg wiedział, że jeśli nałoży odpowiednio duże obciążenie, wszystkie liny pękną, a głupie woły — bo tak myślał o ludności Delainu — ruszą galopem, niszcząc wszystko, co znajdzie się na ich drodze. Pierwsze z nich wydostały się już na wolność i zgromadziły na północy. Teraz nazywali siebie uchodźcami, ale wkrótce przemianują się na buntowników. Pozbył się Peyny, a Peter siedział zamknięty w Iglicy.

Co więc było nie tak?

Nic! Nic, do cholery!

Ale małe zwierzątko biegało, miało się, podgryzało i wiło. Podczas ostatnich tygodni czarnoksiężnik niejeden raz budził się zlany zimnym potem, nie z powodu powracającej gorączki, lecz dlatego, że znowu przyśnił mu się okropny sen. Co stanowiło jego treść? Nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że budził się, przyciskając lewą rękę do lewego oka, jakby w nie został zraniony, i czuł, że go ono piecze, chociaż nie dostrzegł, żeby działo się z nim coś złego.

Tej nocy czarnoksiężnik obudził się, mając swój sen na świeżo w pamięci, ponieważ wrócił do przytomności przed jego zakończeniem. Oczywiście nastąpiło to na skutek upadku Świątyni Wielkich Bogów.

— Hm! — mruknął Flagg, podrywając się w fotelu. Szeroko otworzył oczy, a na białe policzki wystąpił mu zimny pot.

— Katastrofa! — wrzasnęła jedna z głów papugi.

— Pożar, powódź i ucieczka! — krzyknęła druga.

Ucieczka, pomyślał Flagg. Tak, to właśnie miałem na myśli, to właśnie dręczyło mnie przez cały czas.

Popatrzył na swoje dłonie i zauważył, że drżą. Rozgniewany tym widokiem zerwał się z fotela.

— Zamierza uciec — mruknął, przeciągając dłonią po włosach. — A w każdym razie chce spróbować. Ale jak? Jak? Na czym polega jego plan? Kto mu pomagał? Zapłacą za to głowami, przysięgam... i nie skończę z nimi od razu. Będą je tracić centymetr po centymetrze. Zanim umrą, oszaleją z bólu...

— Oszaleją! — krzyknęła jedna z głów papugi.

— Z bólu! — rzuciła druga.

— Zamknijcie się i dajcie mi pomyśleć! — ryknął Flagg. Chwycił ze stojącego opodal stołu słoik wypełniony mętnym, brązowawym płynem i cisnął w klatkę. Naczynie trafiło w metalowe pręty i roztrzaskało się; błysnęło jaskrawym, zimnym światłem. Dwie głowy papugi zaskrzeczały ze strachu, a potem ptak spadł ze swojego pręta i leżał nieprzytomny aż do rana.

Czarnoksiężnik z irytacją przechadzał się tam i z powrotem. Wyszczrzył zęby. Nerwowo zaplatał dłonie. Krzesał butami zielonkawę iskry o pokrytą saletrą kamienną posadzkę swego laboratorium — czuło się w powietrzu zapach letnich błyskawic.

Jak? Kiedy? Kto mu pomagał?

Nie potrafił sobie przypomnieć. Szczegóły już zaczynały mu się zacierać. Ale...

— Muszę to wiedzieć! — szepnął. — Muszę!

Bo stanie się to niebawem; tyle wyczuwał. Chwila ta zbliżała się coraz bardziej.

Znalazł klucze i jednym z nich otworzył dolną szufladę biurka. Wydobył z niej pudełko wykonane z pięknie rzeźbionego grabowego drewna, zdjął pokrywkę i wyciągnął skórzany worek. Poluzował ściągające go sznurki i ostrożnie wygrzebał z niego kawałek skały, która — jak się wydawało — miała wewnętrzne źródło światła. Kamień miał barwę mlecznobiałą jak oko ślepeca. Przypominał steatyt, ale w rzeczywistości był kryształem — magiczną kulą Flagga.

Czarnoksiężnik przeszedł się po komnacie, gasząc lampy i świece. Po krótkim czasie w pomieszczeniu zapadły kompletne ciemności. Mimo to Flagg z łatwością odnalazł swe biurko, omijając gładko przedmioty, o które ja czy wy obilibyście sobie golenie albo byście się przewrócili. Mrok był niczym dla królewskiego czarodzieja; lubił go i widział w nim wszystko jak kot.

Usiadł i dotknął kryształu. Przytknął doń dłoń, wymacując ostre kany i zagłębienia.

— Pokaż mi — mruknął. — To rozkaz.

Z początku nie widział nic. Potem, stopniowo, pojawiła się wewnątrz kamienia poświata. Najpierw było to blade i rozmyte światełko. Flagg ponownie dotknął kryształu, tym razem czubkami palców. Poczuł, jak kamień zaczyna się rozgrzewać.

— Pokaż mi Petera. To rozkaz. Chcę zobaczyć tego szczeniaka, który ośmiela się stanąć na mojej drodze, i poznać, jakie są jego plany.

Poświata stawała się coraz intensywniejsza... Z błyskiem w oczach, rozchylając cienkie, okrutne wargi, aż załśniły obnażone zęby, Flagg pochylił się nad kryształem. W tej chwili Peter, Ben, Dennis i Naomi rozpoznaliby swój sen — poznaliby blask, który oświetlił twarz czarnoksiężnika, w niczym nieprzypominający światła świecy.

Mleczna poświata kamienia nagle znikła, ustępując miejsca coraz jaskrawszemu światłu. Flagg mógł teraz zajrzeć w głąb kuli. Wytrzeszczył oczy... a potem zacisnął powieki, nie dowierzając samemu sobie.

Ujrzał bowiem Sashę, w zaawansowanej ciąży, siedzącą przy łóżeczku małego chłopczyka. Dziecko trzymało tabliczkę. Na tabliczce wypisane były dwa słowa: BÓG i PIES.

Flagg ze zniecierpliwieniem przesunął dłońmi nad kryształem, który teraz stał się bardzo ciepły.

— Pokaż mi to, co muszę wiedzieć! To rozkaz!

Kryształ ponownie stał się przejrzysty.

Tym razem ukazał się w nim Peter bawiący się domem dla lalek matki, udający, że mieszkająca w nim rodzina została zaatakowana przez Indian... albo smoki... albo jakieś podobne bzdury. Stary król stał w drzwiach, obserwując syna, pragnąc się do niego przyłączyć...

— Phi! — zawołał Flagg, znowu machając rękami nad kryształem. — Po co przedstawiasz te stare głupstwa? Chcę wiedzieć, w jaki sposób on zamierza uciec... i kiedy! Pokaż mi! To rozkaz!

Kryształ stawał się coraz gorętszy. Flagg wiedział, że jeśli nie pozwoli mu wkrótce zgasnąć, rozpadnie się bezpowrotnie, a nie znajdzie tak łatwo następnego — tego musiał szukać przez trzydzieści lat. Mimo to nie zamierzał dać za wygraną, nawet jeśli kamień miałby się rozlecieć na milion kawałków.

— To rozkaz! — powtórzył i po raz trzeci mleczna poświata znikła. Czarnoksiężnik pochylił się nad magicznym kawałkiem minerału, aż emanujący z niego żar wycisnął mu łyzy. Otarł je... a potem mimo gorąca otworzył szeroko oczy z zaskoczeniem i wściekłością.

Zobaczył Petera. Chłopak powoli zsuwał się po ścianie Iglicy. W grę musiała wchodzić zdradziecka magia, bo chociaż wykonywał dłońmi ruchy, jakby schodził po linie, nic takiego nie było widać...

A może jednak?

Flagg pomachał ręką nad kryształem, żeby go trochę ochłodzić. Lina? Niezupełnie. Coś dało się zauważyć, coś przypominającego trochę babie lato albo pajęczą nić... lecz mimo to utrzymującego całkiem duży ciężar chłopca.

— Peter — sapnęła Flagg, a małeńka figurka obejrzała się na dźwięk jego głosu.

Czarnoksiężnik dmuchnął na kryształ, gasząc jego jaskrawe, migotliwe światło. Siedział teraz w ciemnościach, mając wciąż w oczach jego blask.

Peter. Ucieka. Dokąd? Kryształ pokazywał noc, a Flagg zobaczył, że wiatr wieje śniegiem wokół zsuwającej się coraz niżej małeńkiej postaci. Czy miało się to zdarzyć dziś wieczorem? Jutro? W przyszłym tygodniu? Albo...

Jednym ruchem poderwał się zza biurka. Oczy rozjarzyły mu się w ciemnościach panujących w komnacie. A może to już się zdarzyło?

— Dość tego — szepnął. — Na wszystkich bogów, jacy byli, są i będą, mam tego dosyć.

Przeszedł przez mroczny pokój i porwał wielki topór ze ściany. Mordercze narzędzie było nieporęczne, ale czarnoksiężnik posługiwał się nim pewnie.

Czy znał je dobrze? O tak! Niejeden raz zamachnął się nim, gdy mieszkał tu i działał jako Bill Hinch, najstraszliwszy kat w całej historii Delainu. To potworne ostrze ścięło setki głów. Wykonano je z dwukrotnie kutej stali anduańskiej, a nad nim znajdował się prywatny wynalazek Flagga — żelazna kula ze szpikulcami pokrytymi trucizną.

— Dość tego! — wrzasnął znów czarnoksiężnik z gniewem, lękiem i frustracją. Słyszając to, nieprzytomna dwugłowa papuga wydała jęk.

Flagg zerwał z wieszaka płaszcz, narzucił go sobie na ramiona i zapiął klamrę u szyi — skarabeusza wyklepanego w srebrze.

Miał tego dosyć. Nie pozwoli, żeby ten nienawistny chłopak pokrzyżował jego plany. Roland nie żył, Peyna stracił urząd, szlachta uciekła na wygnanie. Nikt nie podniesie krzyku z powodu śmierci księcia... zwłaszcza że zamordował on własnego ojca.

Jeśli jeszcze nie uciekłeś, drogi księżę, to już nigdy ci się to nie uda — a coś mówi mi, że nadal jesteś w klatce. Ale dziś pewna część twojej osoby znajdzie się poza nią — sam się o to postaram.

Idąc korytarzem w stronę Bramy do Lochów, Flagg wybuchnął śmiechem... który potrafiłby przyprawić o złe sny nawet posąg z marmuru.

Domysły Flagga okazały się słuszne. Peter skończył badanie swej liny, ale wciąż jeszcze siedział w pokoju na wieży, czekając, aż obwoływacz oznajmi północ, gdy czarnoksiężnik wypadł z Bramy do Lochów i ruszył w stronę Iglicy. Świątynia Wielkich Bogów upadła kwadrans po jedenastej; za piętnaście dwunasta kryształ pokazał Flaggowi to, czego ten chciał się dowiedzieć (i chyba zgodzicie się ze mną, że poprzednio dwukrotnie też w pewien sposób ukazywał mu prawdę), a gdy mag znalazł się na placu, do północy brakowało jeszcze dziesięciu minut.

Brama do Lochów znajdowała się po północno-wschodniej stronie Iglicy. Po drugiej stronie mieściło się skromniejsze wejście do zamku, zwane Bramą Handlarzy. Między Bramą do Lochów a Bramą Handlarzy można było przeprowadzić prostą linię. Dokładnie pośrodku niej znajdowała się Iglica.

Prawie w tej samej chwili, gdy Flagg wyłonił się z Bramy do Lochów, Ben, Naomi, Dennis i Frisky pojawili się w Bramie Handlarzy. Nic o tym nie wiedząc, zbliżali się do siebie. Między nimi znajdowała się Iglica, ale wiatr przycichł i grupa Bena powinna była usłyszeć stukot butów Flagga na bruku, a czarnoksiężnik leciutkie skrzywienie nienaoliwionego koła. Ale wszyscy oni, nawet Frisky (która wróciła do dawnej roli psa pociągowego), trwali w głębokiej zadumie i skupieniu. Ben i jego towarzysze znaleźli się pierwsi na miejscu.

— Teraz — zaczął Ben i w tej chwili po drugiej stronie, mniej niż czterdzieści kroków po obwodzie wieży od miejsca, gdzie stali, Flagg zaczął walić w potrójnie zamknięte Drzwi Strażników.

— Otwierać! — zawołał. — Otwierać... w imię króla!

— Co... — zaczął Dennis, ale Naomi zacisnęła mu usta żelaznym uchwytem i spojrzała przerażonym wzrokiem na Bena.

W chłodnym, poburзовym powietrzu głos dotarł na samą górę do Petera. Był przygłuszony, ale bardzo wyraźny.

— Otwierać... w imię króla!

Chciałeś powiedzieć, w imię diabła, pomyślał Peter.

Dobry i odważny chłopiec stał się dobrym i dzielnym mężczyzną, ale na dźwięk tego zachrypniętego głosu i wspomnienia wąskiej, bladej twarzy i zaczerwienionych, zawsze ukrytych pod kapturem oczu, Peter poczuł, jak lodowacieją mu ręce i nogi, a w żołądku rozpała się ognista kula. W ustach miał suchość. Włos mu się zjeżył. Gdyby ktoś wam kiedyś powiedział, że jeśli człowiek jest dobry i dzielny, to znaczy, że nigdy nie odczuwa lęku, nie wiercie mu. W owej chwili Peter bał się jak nigdy w życiu.

Flagg przyszedł po mnie.

Chłopiec wstał i przez chwilę myślał, że się przewróci, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Śmierć waliła w Drzwi Strażników, żądając, by ją wpuszczono.

— Otwierać! Wstawać, zawszone moczymordy! Beson, ty pijacki skunksie!

Nie spiesz się, powiedział sobie Peter. Jeśli zaczniesz działać zbyt szybko, popełnisz błąd i będziesz pracował na jego korzyść. Nikt jeszcze nie wyszedł, by go wpuścić. Beson jest pijany — gdy przyniósł kolację, był już nieźle podchmielony, a teraz pewnie leży jak kłoda. Flagg nie ma klucza, inaczej nie traciłby czasu na dobijanie się do drzwi. Więc... krok po kroku. Tak jak sobie zaplanowałeś. Flagg najpierw musi wejść do środka, a potem pokonać wszystkie trzysta stopni. Jeszcze masz szansę wygrać.

Poszedł do sypialni i wyciągnął przetyczki ze swego prostego łóżka. Mebel się rozpadł. Peter chwycił jeden z bocznych prętów i zaniósł go do bawialni. Zmierzył wówczas jego długość, więc wiedział, że jest większa niż szerokość okna, a chociaż pręt pokrywa rdza, nie złamie się tak łatwo. Mam nadzieję, pomyślał. Śmieszne by było, gdyby lina wytrzymała, ale poszło zakotwiczenie.

Wyrzał przez okno. Nie widział teraz nikogo, ale zauważył na placu trzy postacie zmierzające w kierunku Iglicy, tuż przedtem, nim Flagg zaczął walić do

drzwi. Znaczyło to, że Dennis znalazł pomocników. Czy jednym z nich jest Ben? Peter nie śmiał o tym marzyć. A trzecia osoba? I po co wózek? Nie miał teraz czasu szukać odpowiedzi na te pytania.

— Otwierać, psy! W imię króla! Otwierać, w imię Flagga!

Otwierać! Otwierać! W nocnej ciszy Peter usłyszał daleko pod sobą łoskot odsuwanych żelaznych sztab. Domyślał się, że drzwi się otwarły, ale nie zarejestrował tego dźwięku. Chwila ciszy... a potem rozległo się charczenie.

Pechowy strażnik, który w końcu otworzył drzwi na wezwanie Flagga, żył krócej niż cztery sekundy po odsunięciu trzeciej sztaby w Drzwiach Strażników. Spostrzegł koszmarną, bladą twarz, wściekle czerwone oczy i czarny niczym skrzydła kruka płaszcz, powiewający na wietrze. Krzyknął. W powietrzu rozległ się suchy świst. Strażnik, na poły pijany, podniósł wzrok dokładnie w chwili, gdy topór Flagga rozplątał mu czaszkę.

— Następnym razem, gdy ktoś będzie was wzywał w imieniu króla, ruszcie się prędzej, a nie będziecie musieli rano sprzątać! — ryknął Flagg. Śmiejąc się dziko, kopnął na bok martwe ciało i ruszył korytarzem w stronę schodów, Jeszcze nie wszystko stracone. W porę dostrzegł niebezpieczeństwo. Wiedział to.

Czuł to. Otworzył drzwi po prawej stronie i znalazł się na głównym korytarzu, wiodącym z sali sądowej, w której Peyna niegdyś wymierzał sprawiedliwość. Na końcu owego korytarza zaczynały się schody. Czarnoksiężnik popatrzył w górę, śmiejąc się straszliwie.

— Idę, Peter! — zawołał radośnie, a jego głos odbijał się echem coraz wyżej, aż dotarł tam, gdzie znajdował się chłopiec, który zabierał się właśnie do przywiązywania liny do pręta wyjętego z łóżka. — Idę, Peter, zrobić coś, co powinno zostać załatwione dawno, dawno temu!

Uśmiech Flagga stał się jeszcze szerszy i czarnoksiężnik wyglądał teraz strasznie — przypominał demona, który dopiero co wydobył się z jakiejś cuchnącej otchłani. Uniósł topór katowski; krople krwi zamordowanego strażnika kapnęły mu na twarz i spływały niczym lzy po policzkach.

— Idę, Peter, uciąć ci głowę! — wrzasnął Flagg i ruszył schodami w górę. Jeden. Trzy. Sześć. Dziesięć.

Lina plątała się w drżących dłoniach Petera. Węzeł, który przedtem zawiązywał z łatwością setki razy, teraz rozsypał się i trzeba było zaczynać od nowa.

Nie pozwól mu się zastraszyć, mówił sobie Peter.

To przecież idiotyczne. Bał się, drżał z przerażenia. Thomas zdumiałby się, słysząc, że Peter zawsze obawiał się Flagga — po prostu umiał to lepiej ukryć.

Jeśli ma cię zabić, to niech to zrobi sam! Nie musisz go wyręczać!

Myśl ta pojawiła się w jego głowie... ale wydawało mu się, że wypowiedział ją głos matki. Ręce Petera uspokoiły się nieco, co pozwoliło mu wreszcie przywiązać linę do zakotwiczenia.

— Będę woził twoją głowę na łąku siodła przez tysiąc lat! — zawołał Flagg. Piął się coraz wyżej po kręconych schodach. — Ależ to będzie piękne trofeum!

Dwudziesty stopień. Trzydziesty. Czterdziesty. Krzeszał obcasami iskry. Oczy mu błyszczały. Jego uśmiech był jak trucizna.

— Idę, Peter!

Siedemdziesiąty — jeszcze dwieście trzydzieści stopni.

Jeśli kiedykolwiek obudziliście się w środku nocy w obcym miejscu, to wiecie, że wystarczy znaleźć się samemu w ciemnościach, żeby się zdrowo najeść strachu; a teraz wyobraźcie sobie, że budzicie się w tajemnym przejściu z oczami przy otworach, przez które można ujrzeć komnatę, gdzie — jak sami kiedyś widzieliście — zamordowano waszego ojca! Thomas krzyknął. Nikt go nie usłyszał (może poza psami znajdującymi się poniżej, ale też w to wątpię, bo były na to zbyt stare i głuche, no i same robiły za dużo hałasu). W Delainie istniał pewien przesąd, dotyczący chodzenia we śnie, w który i u nas się wierzy. Sądzono mianowicie, że jeśli lunatyk obudzi się, zanim trafi do swego łóżka, grozi mu obłąd. Thomas prawdopodobnie znał ten pogląd. Jeśli tak, to mógł teraz poświadczyć, że nie ma w nim żdźbła prawdy. Bardzo się przestraszył, krzyknął, ale nie znalazł się nawet na krawędzi szaleństwa. Prawdę mówiąc, strach trwał krótko — krócej, niż myślicie — i Thomas znów popatrzył przez otwory w ścianie. Może wam się to wydać dziwne, ale musicie pamiętać, że przed ową okropną nocą, gdy Flagg przyniósł królowi swój kielich wina po odejściu Petera, Thomas spędził niejedną miłą chwilę w ciemnym korytarzu. Przyjemność pomieszana była z poczuciem winy, ale mimo to chłopiec cieszył się, że jest blisko ojca. Teraz gdy znalazł się tutaj znowu, ogarnęły go tęskne wspomnienia.

Zobaczył, że komnata prawie wcale się nie zmieniła. Wypchane głowy wciąż wisiały na ścianach — łoś Bonsey, ryś Craker, Snapper — wielki, biały niedźwiedź z północy. No i oczywiście smok Dziewięciak, przez którego oczy Thomas teraz patrzył, ze strzałą Młot na Wrogów umieszczoną powyżej.

Bonsey...

Craker...

Snapper...

Dziewięciak.

Pamiętam wszystkie imiona, pomyślał Thomas z pewnym zdziwieniem. I nie zapomniałem o tobie, tato. Chciałbym, żebyś żył i żeby Peter był wolny, nawet

gdyby nikt na świecie nie wiedział, że istnieję. Wtedy przynajmniej mógłbym spać spokojnie.

Niektóre meble osłonięto białymi pokrowcami, ale nie wszystkie. Kominek dawno już ostygł, leżał w nim jednak opał. Thomas spostrzegł z rosnącym zaskoczeniem, że stary szlafrok ojca wisi na swoim miejscu, na haczyku koło drzwi do łazienki. Kominek był zimny, ale jedna zapałka sprawiłaby, że wróciłby do życia, hucząc i rozsiewając ciepło; wystarczyłoby, żeby w bawialni pojawił się ojciec, i komnata by ożyła.

Nagle Thomas zdał sobie sprawę, że odczuwa coś niezwykłego — pragnienie, by pójść do komnaty ojca. Chciał rozpalić ogień. Miał ochotę włożyć stary szlafrok Rolanda. Pragnął napić się jego miodu, nawet gdyby okazał się skwaśniały albo gorzki. Wydawało mu się... pomyślał, że może nawet udałoby mu się tam zasnąć.

Na twarzy chłopca pojawił się blady, zmęczony uśmiech; decyzja została podjęta. Thomas nie bał się ojcowskiego ducha. Miał raczej nadzieję, że mu się on ukaże. Gdyby tak się stało, miałby duchowi coś do powiedzenia. Przeprosiłby go.

— IDEŃ, PETER! — zawył Flagg, szczerząc zęby. Cuchnął posoką i śmiercią; w oczach płonął mu morderczy ogień. Topór katowski świstał i smagał powietrze, ostatnie krople krwi rozprysły się na ścianach.

— IDEŃ! PRZYCHODZĘ PO TWOJĄ GŁOWĘ! — Stopień za stopniem kręconych schodów, coraz wyżej, Flagg pędził niczym demon śmierci. Sto stopni. Sto dwadzieścia pięć.

— Szybciej — sapnął Ben do Dennisa i Naomi.

Temperatura zaczęła spadać, ale cała trójka była zlane potem. Częściowo stanowiło to rezultat wysiłku — wszyscy ciężko pracowali. Ale głównym powodem był strach. Słyszeli krzyki Flagga. Wzbudziły one lęk nawet w męznym sercu Frisky. Cofnęła się odrobinę, skuliła i zaskomlała.

— IDE, SZCZENIAKU!

Jest już blisko — głos brzmiał wyraźniej, bez echa.

— IDE NAPRAWIĆ ZANIEDBANIA!

Podwójne ostrze świstało i cięło powietrze.

Tym razem węzeł siętrzymał.

Bogowie, dopomóżcie, pomyślał Peter i jeszcze raz spojrzął za siebie w stronę coraz lepiej słyszalnego Flagga. Pomóżcie, bogowie!

Przerzucił nogę przez okno. Siedział teraz okrakiem na parapecie jak w siodle Peonii, opierając jedną stopę na podłodze, a drugą zwieszając nad otchłanią. Na kolanach trzymał zwój liny i żelazny pręt. Wyrzucił linę i przyglądał się, jak opada. W połowie splątała się i musiał nią szarpać jak rybak wędką, póki się nie wyprostowała.

Potem odmówił ostatnią modlitwę, chwycił pręt i zablokował go w poprzek okna. Lina umocowana była pośrodku. Peter przełożył drugą nogę na zewnątrz, z całej siły trzymając się pręta. Teraz na parapecie miał już tylko siedzenie. Odwrócił się, przyciskając brzuch do lodowatej krawędzi parapetu. Pod nogami otwierała mu się przepaść. Pręt tkwił w futrynie okna.

Peter lewą ręką puścił pręt i chwycił cienką linę. Zatrzymał się na moment, opanowując strach.

Zamknął oczy i zwolnił uchwyt prawej dłoni. Całym ciężarem wisiał teraz na linie. Nie było odwrotu. Na dobre i złe, jego życie zależało teraz od plecionki z włókien wyprutych z serwetek. Peter zaczął się powoli po niej zsuwać.

— IDEĆ...

Dwieście.

— PO TWOJĄ GŁOWĘ...

Dwieście pięćdziesiąt.

— DROGI KSIĄŻĘ!

Dwieście siedemdziesiąt pięć.

Ben, Dennis i Naomi widzieli Petera — ciemną sylwetkę na tle zakrzywionej ściany Iglicy wysoko nad głowami — wyżej, niż odważyłby się wspiąć najśmielszy z akrobatów.

— Szybciej — sapnął, prawie jęknął Ben. — Walczymy o życie. Nasze... i jego.

Zaczęli opróżniać wózek jeszcze żwawiej... ale prawdę mówiąc, w zasadzie zrobili już, co mogli.

Flagg gnał po schodach, kaptur spadł mu z głowy, pęd rozwiewał jego rzadkie, ciemne włosy. Już prawie był na miejscu.

Wiatr osłabł, ale stał się bardzo zimny. Owiewał policzki Petera i jego gołe ręce, pozbawiając je czucia. Książę zsuwał się powoli, poruszając się z dużą ostrożnością. Wiedział, że jeśli straci kontrolę nad szybkością, spadnie. Przed nim pojawiały się coraz to nowe wielkie bloki kamienne — wkrótce zaczęło mu się wydawać, że on trwa bez ruchu, a przesuwa się sama Iglica. Oddychał szybko. Zimny, suchy śnieg bił go po twarzy. Lina była cienka — jeśli ręce mu jeszcze bardziej zdrętwieją, nie będzie jej czuł.

Jak daleko już zszedł?

Nie miał odwagi popatrzeć w dół.

Nad nim pojedyncze nitki, misternie splecione w sposób, w jaki kobiety tkają chodniki, zaczęły pękać. Peter o tym nie wiedział — i tak chyba było lepiej. Osiągnął już prawie napięcie krytyczne.

— Szybciej, królu! — szepnął Dennis. Trójka przyjaciół skończyła już opróżnianie wózka; teraz mogli tylko patrzeć. Peter znajdował się mniej więcej w połowie drogi.

— Jest tak wysoko — jęknęła Naomi. — Jeśli spadnie...

— Jeśli spadnie, to się zabije — dokończył Ben bezdźwięcznym głosem. To zamknęło im usta.

Flagg znalazł się na szczycie schodów i dysząc ciężko, popędził korytarzem. Pot wystąpił mu na twarz. Usta wykrzywił straszliwy uśmiech.

Czarnoksiężnik odłożył wielki topór i odsunął pierwszą z trzech zasuw na drzwiach do komnat Petera. Otworzył drugą... i przerwał. Głupio było tak po prostu wpaść do środka, o, bardzo głupio. Ptaszek w klatce może próbuje w tej chwili uciec, a może stoi przy drzwiach, gotów rozwalić Flaggowi głowę, gdy ten znajdzie się w środku.

Otworzył judasza i zobaczył pręt z łóżka, umieszczony w oknie. Natychmiast zrozumiał wszystko i wydał ryk wściekłości.

— Nie tak łatwo, moja ptaszyno! — zawył. — Zobaczymy, czy ci się będzie dobrze latać, jak odetnę linę!

Szarpnięciem otworzył trzecią zasuwę i wpadł do pokoju Petera z toporem nad głowę. Jeden szybki rzut oka na okno wywołał ponownie uśmiech na jego twarzy. Czarnoksiężnik zdecydował, że jednak nie przetnie liny.

Peter zsuwał się coraz niżej. Mięśnie ramion drżały mu z wyczerpania. W ustach czuł suchość; nie pamiętał, żeby kiedykolwiek doznawał takiego pragnienia. Wydawało mu się, że wisi na tej linie strasznie długo, i serce wypełniła mu niemila pewność, że już nigdy w życiu nie ugasi pragnienia. Przeznaczone mu było zginąć, ale nie to okazało się najgorsze. Miał umrzeć spragniony. W tej chwili właśnie to wydawało się Peterowi nie do zniesienia.

Wciąż nie miał odwagi popatrzeć w dół, ale odczuwał niesamowity przymus — równie nieodparty jak siła, która skłoniła jego brata do pójścia do bawialni ojca — żeby spojrzeć w górę. Usłuchał go — i około siedemdziesięciu metrów wyżej zobaczył bladą twarz Flagga, wykrzywioną w morderczym grymasie.

— Cześć, ptaszyno! — zawołał do niego czarnoksiężnik. — Mam topór, ale chyba nie okaże się potrzebny. Odłożyłem go, widzisz. — Flagg wysunął puste ręce.

Peter poczuł, jak traci siłę w dłoniach i ramionach — wystarczył sam widok nienawistnej twarzy maga. Skupił się na tym, żeby nie wypuścić liny. Przestał ją czuć — ale wiedział, że nadal ją trzyma, bo widział, że wydobywa się z jego zaciśniętych dłoni. Dyszał ciężko.

Teraz popatrzył na dół... i zobaczył trzy białe plamy uniesionych twarzy. Były one bardzo, bardzo małe — nie znajdował się sześć metrów nad przemrożonym brukiem ani nawet dziesięć; od ziemi dzieliło go jeszcze trzydzieści metrów.

Chciał się poruszyć, ale stwierdził, że nie może — jeśli nawet drgnie, spadnie. Tak więc wisiał bez ruchu obok ściany wieży. Zimny, drobny śnieg bił go po twarzy, a na górze, w celi więziennej, Flagg zaczął się śmiać.

— Dlaczego on się nie rusza?! — zawołała Naomi, chwytając Bena za ramię dłonią we włóczkowej rękawiczce. Wpatrywała się w wolno obracającą się postać Petera. Sposób, w jaki zwieszała się ona na linie, nieodparcie przywodził na myśl człowieka powieszonoego. — Co się z nim stało?!

— Nie...

Nad nimi jadowity śmiech Flagga nagle umilkł.

— Kto tam? — zawołał czarnoksiężnik. Jego głos grzmiał niczym grom, zwiastun śmierci. — Odpowiadać, jeśli chcecie zachować głowy! Kto tam?

Frisky zaskomlała i przytuliła się do nóg Naomi.

— Bogowie, już po nas — szepnęła Dennis. — Co robić, Ben?

— Czekać — rzekł ponuro Ben. — A jeśli zejdzie na dół, walczyć. Na razie poczekamy, co się dalej stanie. Musimy...

Ale na tym skończyło się ich oczekiwanie, bo w następnych sekundach wiele spraw — nie wszystkie, ale bardzo dużo — zostało rozwiązanych.

Flagg spostrzegł cienkość liny Petera i jej białość — i w mig zrozumiał wszystko, od początku do końca — również rolę serwetek i domu dla lalek. Środki ucieczki znajdowały się cały czas tuż pod jego nosem i niewiele brakowało, żeby ich nie dostrzegł. Ale... zobaczył coś jeszcze. Końce pękających w napiętej linie włókien w odległości mniej więcej czterech metrów od okna.

Czarnoksiężnik mógł z łatwością przesunąć pręt, na którym opierał dłoń, i w ten sposób wysłać Petera w przepaść, tak że zakotwiczenie uderzyłoby go jeszcze w głowę, gdy już znalazłby się na ziemi. Mógł ciachnąć toporem i przeciąć cienką linę.

Ale wołał, żeby sprawy potoczyły się własnym torem i chwilę potem, gdy pytał „Kto tam?”, stało się to, co było nieuniknione.

Lina osiągnęła kres swojej wytrzymałości. Pękła niczym zbyt napięta struna w lutni.

— Żegnaj, ptaszyno! — zawołał Flagg, wychylając się, żeby lepiej widzieć, jak Peter spada. Śmiał się. — Żeg...

Nagle zamilkł, a oczy zaokrągliły mu się, jak wtedy, gdy patrzył w kryształ i zobaczył małą postać, zsuwającą się wzdłuż ściany Iglicy. Otworzył usta i wydał wściekły wrzask. Okrzyk ten obudził w Delainie więcej ludzi niż upadek świątyni.

Peter usłyszał i wyczuł, że lina pękła. Twarz owiał mu lodowaty wiatr. Chłopiec próbował przygotować się do upadku, wiedząc, że to kwestia mniej niż sekundy. Jeśli nie zginie natychmiast, ból będzie nie do zniesienia.

I właśnie wtedy wylądował na wielkiej zaspie królewskich serwetek, które Frisky przywiozła z zamku na środek placu w ukradzionym wozie — serwetek wylądowanych w pośpiechu przez Bena, Dennisa i Naomi. Rozmiar tego stosu, który przypominał wielki, biały stóg siana, nie jest dokładnie znany, bo Ben, Dennis i Naomi podawali różne na ten temat informacje. Może to, co twierdził Peter, jest najdokładniejsze, bo to w końcu on na nim wylądował — a uważał, że ten nieporządnym, cudownym, zbawczy stos serwetek musiał mieć co najmniej sześć metrów wysokości i, o ile wiem, Peter chyba się wiele nie pomylił.

Jak powiedziałem, upadł prosto na środek stosu serwetek, robiąc w nim zagłębienie. A potem przewrócił się na plecy i leżał nieruchomo. Ben usłyszał, jak w górze Flagg wyje ze złości, i pomyślał: Nie wysilaj się, czarnoksiężniku, i tak ci się udało. On nie żyje, mimo że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. A potem Peter usiadł. Wyglądał na oszołomionego, ale niewątpliwie żył. Mimo obecności Flagga i tego, że w ich stronę mogli już biec strażnicy, Ben krzyknął z radości. Był to okrzyk zwycięstwa. Ben chwycił Naomi i pocałował ją.

— Hura! — zawołał Dennis, śmiejąc się jak szalony. — Niech żyje król!

Wysoko w górze znów rozległ się wrzask Flagga — wołanie ptaka-demonia pozbawionego swej ofiary. Okrzyki radości, wiwaty i wymiana pocałunków urwały się jak nożem uciął.

— Zapłacicie za to głową! — ryknął Flagg. Szalał z wściekłości. — Zapłacicie głową, wszyscy! Straż, do Iglicy! Do Iglicy! Królobójca uciek! Do Iglicy! Zabić mordercę! Zabić jego bandę! Zabić ich wszystkich!

W oknach zabudowań zamkowych, otaczających z czterech stron plac Iglicy, zaczęły się zapalać światła... a z dwóch kierunków dobiegł tupot biegnących nóg i szcęk dobywanych mieczy.

— Zabić księcia! — wołał histerycznie Flagg ze szczytu Iglicy. — Zgładzić jego bandę! Zabić ich wszystkich!

Peter usiłował wstać, lecz potknął się i upadł. Jakiś głos nalegał, że musi podnieść się na nogi, uciekać, bo zginie... ale drugi głos podszeptował mu, że przecież już nie żyje albo jest poważnie ranny i wszystko jest tylko złudzeniem rojonym przez gasnący umysł. Wydawało mu się, że wylądował na łożu z tych samych serwetek, wokół których krążyły jego myśli przez ostatnich pięć lat... więc czymże to mogło być, jeśli nie snem?

Poczuł uchwyt silnego ramienia Bena i zrozumiał, że wszystko to dzieje się w rzeczywistości.

— Peter, żyjesz? Naprawdę żyjesz?

— Nic mi się nie stało — powiedział. — Musimy stąd uciekać.

— Królu! — zawołał Dennis, padając na kolana przed zaskoczonym Peterem z nieco głupawą miną. — Przysięgam ci wierność na zawsze!

— Potem! — krzyknął Peter, śmiejąc się wbrew samemu sobie. Tak jak przedtem Ben pomógł mu wstać, tak teraz on poderwał Dennisa na nogi. — Uciekajmy stąd!

— Którędy? — zapytał Ben. Domyślał się, tak samo jak Peter, że Flagg zaczął już schodzić ze szczytu wieży. — Z tego, co słyszę, zbliżają się ze wszystkich stron.

Prawdę mówiąc, Ben był zdania, że to wszystko jedno, bo i tak czeka ich nierówna walka i śmierć. Ale mimo oszołomienia Peter wiedział doskonale, gdzie chce się znaleźć.

— Do Bramy Zachodniej — rzucił. — Szybko! Biegiem!

Cała czwórka ruszyła pędem, a za nimi Frisky.

Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od Bramy Zachodniej Peter i jego towarzysze natknęli się na grupkę siedmiu zaspanych, zdezorientowanych strażników. Większość z nich schroniła się przed burzą w jednej z ciepłych dolnych kuchni zamkowych, popijając miód i powtarzając, że oto dzieje się coś, o czym będą opowiadać wnukom. Nie wiedzieli, że na razie znają dopiero połowę opowieści. „Przewodził” im chłopak dwudziestoletni w stopniu jastrzębia... który mniej więcej odpowiada naszemu kapralowi. Trzeba mu przyznać, że nie pił i był w miarę przytomny. Co więcej, pragnął wykonać swój obowiązek.

— Stać, w imieniu króla! — zawołał, gdy Peter z przyjaciółmi zbliżyli się do jego grupki. Chciał, żeby jego rozkaz zabrzmiał jak grom, ale moim obowiązkiem jest relacjonować prawdę, więc muszę powiedzieć, że głos jastrzębia przypominał raczej kwiknięcie.

Peter oczywiście nie posiadał broni, ale Ben i Naomi mieli krótkie miecze, a Dennis swój zardzewiały sztylet. Cała trójka stanęła przed Peterem, zasłaniając go. Ręce Bena i Naomi powędrowały do rękojeści mieczy. Dennis zdążył już wyciągnąć swoją broń.

— Stać! — zawołał Peter i jego głos zabrzmiał rzeczywiście niczym huk gromu. — Nie dobywać mieczy!

Zaskoczony, a nawet zdumiony Ben rzucił okiem na Petera. Wystąpił on naprzód. Stał wyprostowany, w jego oczach odbijał się blask księżyca, a lekki, chłodny wiatr muskał mu długą brodę. Miał na sobie prosty strój więźnia, ale na jego twarzy malował się władczy wyraz.

— Mówisz: stać w imię króla — powiedział. Spokojnie zbliżał się do przerażonego jastrzębia, aż odległość między nimi wyniosła mniej niż dziesięć centymetrów. Strażnik cofnął się, chociaż trzymał w dłoni miecz, a ręce Petera były puste. — Ja zaś wam powiadam, jastrzębiu: to ja jestem królem.

Strażnik obliznął wargi. Obejrzał się na swoich ludzi.

— Ale... — zaczął. — Ty...

— Jak się nazywacie? — zapytał cicho Peter.

— Panie... to znaczy... więźniu... ty... ja... — jękał się młody żołnierz, aż wrzeczcie powiedział bezradnie: — Nazywam się Galen.

— A wiesz, kim ja jestem?

— Tak — burknął jeden ze strażników.

— Znamy cię, morderco.

— Nie zabiłem ojca — rzekł spokojnie Peter. — Zrobił to królewski czarnoksiężnik. Teraz ściga nas, a ja wam radzę, bardzo poważnie, trzymać się od niego z daleka. Wkrótce przestanie dręczyć Delain; obiecuję wam to w imieniu ojca. A teraz pozwólcie mi przejść.

Nastała długa chwila ciszy. Galen podniósł miecz, jakby chciał nim przeszyć Petera. Ten zaś ani drgnął. Był winien bogom swoją śmierć; dług ten miał wobec nich od chwili, gdy jako wrzeszczące niemowlę wyszedł z łona matki. Jest to dług, jaki ma każdy mężczyzna i każda kobieta na świecie. Jeśli przyszło mu go teraz spłacić, niech tak się stanie... ale był prawowitym królem, nie buntownikiem ani uzurpatorem, i nie ucieknie ani nie cofnie się, pozwalając swym przyjaciołom walczyć z tym młodym chłopcem.

Miecz zadrżał. Potem Galen opuścił go, dotykając czubkiem bruku.

— Przepuście ich — mruknął. — Może zamordował, a może nie, ale to królewskie łajno i nie chcę w nie wdepnąć, bo jeszcze w nim utonę.

— Miałeś mądrą matkę, jastrzębiu — skwitował ponuro jego słowa Ben.

— Tak, przepuście go — powiedział nieoczekiwanie inny głos. — Na bogów, nie zamierzę się na takiego, jeszcze mi odpadnie ręka.

— Zapamiętamy was — rzekł Peter. Zwrócił się do przyjaciół: — Za mną. Szybko. Wiem, czego mi potrzeba i gdzie to znaleźć.

W tej chwili Flagg wypadł przez wrota Iglicy, wydając taki ryk wściekłości, że młodzi strażnicy stracili resztki ducha. Cofnęli się i rzucili do ucieczki, rozbiegając się we wszystkie strony.

— Chodźcie — rzekł Peter. — Za mną. Do Bramy Zachodniej!

Flagg biegł tak szybko jak nigdy w życiu. Wyczuwał nadchodzący upadek swoich planów, który miał nastąpić dosłownie w ostatniej chwili. Nie może do tego dopuścić! Wiedział też, podobnie jak Peter, gdzie to wszystko musi się zakończyć.

Minął drżących ze strachu strażników, nie poświęcając im chwili uwagi. Odetchnęli z ulgą, myśląc, że ich nie spostrzegł... ale się pomylili. Zobaczył ich wszystkich i zapamiętał każdego; po śmierci Petera głowy ich zdobić będą zamkowe mury przez rok i dzień, pomyślał. A smarkacz odpowiedzialny za patrol — ten najpierw umrze tysiąc razy w lochach.

Przebiegł pod Bramą Zachodnią i skierował się głównym pasażem zachodnim do zamku. Zaspani ludzie, którzy wybiegli w nocnych strojach zobaczyć, co to za zamieszanie, kulili się na widok jego płonącego oblicza i usuwali na bok, krzyżując palce, aby odstraszyć zło... bo teraz Flagg wyglądał prawdziwie — jak sam diabeł. Przeskoczył przez poręcz przy pierwszych napotkanych schodach, pewnie lądując na równe nogi (stał, którą miał podkute buty, zaśniła zielonkawo niczym oczy rysia) i popędził na górę.

W kierunku apartamentów Rolanda.

— Medalion — wysapał w biegu Peter do Dennisa. — Masz jeszcze medalion, który ci rzuciłem?

Dennis pomacał się po szyi, znalazł złote serduszko — z zaschniętą krwią Petera na czubku — i skinął głową.

— Daj mi.

Dennis podał mu go w biegu. Peter nie zakładał medalionu na szyję, tylko owinął sobie jego łańcuszek wokół przegubu, tak że serduszko podskakiwało w rytm kroków, rzucając krwistozłote błyski w świetle pochodni na ścianach.

— Już niedługo, przyjaciele — wydyszał Peter. Skręcili. Peter zobaczył przed sobą drzwi do komnat ojca. Tu właśnie ostatni raz widział Rolanda. Był on królem odpowiedzialnym za życie i dobrobyt tysięcy; ale też i starszym panem, wdzięcznym za szklaneczkę wina na rozgrzewkę i kwadrans rozmowy z synem. Tu właśnie wszystko się skończy.

Pewnego razu jego ojciec zabił smoka strzałą zwaną Młot na Wrogów.

Teraz, pomyślał Piotr; pulsowało mu w skroniach, a serce waliło jak oszalałe. Muszę spróbować zgładzić innego potwora, o wiele potężniejszego, za pomocą tej samej broni.

Thomas zapalił ogień, włożył szlafrok ojca i przysunął fotel Rolanda do kominka. Czuł, że zaraz zaśnie głęboko, i był z tego bardzo zadowolony. Ale gdy już siedział, kiwając się sennie, patrząc na zawieszane na ścianach trofea, połyskujące niesamowicie szklanymi oczami, wydawało mu się, że pragnie jeszcze dwu rzeczy — przedmiotów nieomal świętych, których nie ośmieliłby się dotknąć za życia ojca. Ale Roland zmarł, więc Thomas przysunął sobie krzesło, stanął na nim i zdjął łuk ojca i jego wielką strzałę Młot na Wrogów ze ściany nad głową Dziewięciaka. Przez chwilę patrzył w jedno z zielonkawobursztynowych oczu smoka. Kiedyś wiele przez nie zobaczył, a teraz, zaglądając w nie, dostrzegł tylko swoją własną bladą twarz, przypominającą oblicze więźnia wyglądającego zza krat celi.

Chociaż w pokoju panowało zimno (ogień ogrzeje go trochę, ale głównie w pobliżu kominka, i to za jakiś czas), wydawało mu się, że strzała jest dziwnie ciepła. Przypomnił sobie niejasno usłyszaną w dzieciństwie starą legendę, według której broń użyta do zglądzenia smoka nigdy nie traciła jego gorąca. Wygląda chyba, że to prawda, pomyślał sennie Thomas. Ciepło strzały nie budziło w nim lęku, przeciwnie, czuł się dziwnie bezpiecznie. Usiadł, trzymając niedbale łuk w jednej ręce, a Młot na Wrogów emanujący dziwnym, usypiającym ciepłem w drugiej, nieświadom, że jego brat właśnie szuka tej oto broni, a Flagg — sprawca narodzin i główny strażnik Thomasa — znajduje się tuż za nim.

Thomas nie zastanawiał się, co by było, gdyby drzwi do ojcowskich komnat zastał zamknięte na klucz, a i Peterowi nie przyszło to do głowy — w dawnych czasach nigdy tego nie robiono, i jak się okazało, nie zmieniło się to dziś.

Wystarczyło, że Peter nacisnął klamkę. Wpadł do środka, a pozostali za nim. Frisky, cała zjeżona, ujadła wściekle. Rozumiała prawdziwą naturę rzeczy lepiej niż ludzie, zapewniam was. Coś się zbliżało, coś o czarnym zapachu, przypominającym trujące opary, które czasami zabijają górników we Wschodniej Baronii, jeśli ci zapuszczą się zbyt głęboko pod ziemię. Zmuszona przez okoliczności Frisky była gotowa walczyć z właścicielem owej woni; walczyć, a nawet zginąć. Ale gdyby potrafiła mówić, powiedziałyby, że zbliżający się czarny zapach nie należał do człowieka; gonił ich potwór, jakieś przerażające Coś.

— Peter, co... — zaczął Ben, ale Peter nie zwrócił na niego uwagi.

Wiedział, czego potrzebuje. Przebiegł przez komnatę na drżących ze zmęczenia nogach, spojrzął na głowę Dziewięciaka i sięgnął po łuk i strzałę, które zawsze nad nią wisiały. Dłoń jego zatrzymała się w pół drogi.

Obydwa przedmioty znikły.

Dennis, który wszedł ostatni, zamknął za sobą i zaryglował drzwi. Teraz padło na nie pojedyncze uderzenie. Solidne płyciny z twardego, grabowego drewna, wzmocnione żelaznymi sztabami, jęknęły.

Peter obejrzał się przez ramię, szeroko otwierając oczy. Dennis i Naomi się cofnęli. Frisky stanęła przed swoją panią, warcząc głucho. Dookoła jej szarozielonych tęczówek widać było białka.

— Przepuścić mnie! — ryknął Flagg. — Przepuścić mnie przez te drzwi!

— Peter! — krzyknął Ben i dobył miecza.

— Odsuń się! — zawołał w odpowiedzi Peter. — Jeśli chcesz żyć, cofnij się! Cofnąć się wszyscy!

Rozpierzchli się, a w tej samej chwili pięść Flagga, świecąca teraz błękitnym płomieniem, znowu uderzyła w drzwi. Zawiasy, rygiel i metalowe okucia pękły równocześnie z hukiem niczym wystrzał armatni. Błękitny blask przebił się przez

szpary między deskami. Potem grube deski się rozpadły. Potrząskane kawałki drewna rozprysły się na wszystkie strony. Szczątki drzwi opierały się jeszcze przez chwilę, a potem z trzaskiem wpadły do środka.

Flagg stał na korytarzu. Kapturem spadł mu z głowy. Jego twarz pokrywała śmiertelna błądź. Wargi, przypominające paski surowego mięsa, odsłaniały białe zęby. W oczach lśnił blask ognia piekielnego.

W dłoni trzymał swój ciężki topór kata.

Stał przez chwilę nieruchomo, a potem wszedł do środka. Popatrzył w lewo i zobaczył Dennisa. Spojrzał w prawo i dostrzegł Bena i Naomi, z warczącą Frisky skuloną u jej nóg. Zauważył ich... zarejestrował dla dalszych poczynąń... i przestał o nich myśleć. Przekroczył szczątki drzwi, patrząc już tylko na Petera.

— Spadłeś, ale nie zginąłeś — powiedział. — Może ci się wydaje, że twój bóg okazał się dla ciebie łaskawy. A ja ci mówię, że to moi bogowie zachowali cię dla mnie. Módl się, żeby pękło ci teraz serce. Padnij na kolana i błagaj o to, bo ja ci powiadam, iż śmierć z mojej ręki okaże się dla ciebie straszliwsza, niż możesz to sobie wyobrazić.

Peter stał wciąż w tym samym miejscu, między Flaggiem a fotelem ojca, na którym siedział Thomas, niezauważony jeszcze przez nikogo. Peter odpowiedział na diabelskie spojrzenie Flagga bez strachu. Przez chwilę wydawało się, że czarnoksiężnik ugnie się pod spokojnym wzrokiem chłopca, ale potem nieludzki uśmiech pojawił się znowu na jego ustach.

— Ty i twoi przyjaciele narobiliście mi sporo kłopotów, książę — wysyczał Flagg. — Mnóstwo kłopotów. Powinienem był zakończyć twój nędzny żywot dawno temu. Teraz położę kres wszelkim problemom.

— Wiem, kim jesteś — odparł Peter. Chociaż bezbronny, mówił spokojnie i bez lęku. — Myślę, że ojciec też to wiedział, tylko był słaby. Teraz ja jestem królem i rozkazuję ci!

Peter wyprostował się na całą swoją wysokość. Ogień w kominku odbił się w jego oczach, sprawiając, że zaślniły one płomieniem. W tej chwili młodzieniec wygłądał w każdym calu na króla Delainu.

— Precz stąd. Wynoś się z Delainu na zawsze. Jesteś wygnany. Precz!

Ostatnie słowo Peter wypowiedział potężniej, tak jakby towarzyszyły mu inne głosy — należały one do wszystkich królów i królowych, którzy kiedykolwiek panowali w Delainie od czasów, gdy zamiast zamku stały tylko gliniane chaty, a przerażeni ludzie gromadzili się przy ogniskach podczas ciemnych zimowych

nocy, gdy wyły wilki, a trolle wrzeszczały i obżerały się w Dawnych Wielkich Puszczech.

Flagg jakby drgnął... a nawet się skulił. Potem ruszył do przodu bardzo, bardzo powoli. Trzymał swój wielki topór w lewej ręce.

— Rozkazywać będziesz na tamtym świecie — szepnęła. — Twoja ucieczka tylko ułatwi mi sytuację. Sam mógłbym się zastanowić i pewnie w końcu przyszłoby mi to na myśl, żeby ci w niej dopomóc! Twoja głowa potoczy się do ognia i poczujesz, jak płoną ci włosy, zanim zrozumiesz, że już nie żyjesz. Będziesz gorzał tak jak Roland... a mnie udekorują za to medalem na placu Iglicy! Czyż w końcu nie zamordowałeś własnego ojca dla korony?

— To ty go zabiłeś — odparł Peter.

Flagg się zaśmiał.

— Ja? Ja? Zwariowałeś w tej Iglicy, mój chłopcze. — Flagg się opanował. Oczywiście załśniły. — Ale przypuśćmy, tylko na chwilę, że tak, to co? Kto w to uwierzy?

Peter wciąż miał łańcuszek z medalionem owinięty dookoła przegubu. Teraz wysunął rękę i podniósł go, a medalion zaczął się kołysać hipnotyzująco, rzucając na ścianę krwawe błyski. Na jego widok oczy Flagga się rozszerzyły, a Peter pomyślał: Poznaje! Na wszystkich bogów, on go poznaje!

— Zabiłeś mojego ojca, używając sposobu, jaki już kiedyś zastosowałeś. Zapomniałeś, co? Widzę to po twoich oczach. Gdy Leven Valera stanął na twojej drodze za złych czasów Alana Drugiego, jego żona została otruta. Okoliczności wskazywały ponad wszelką wątpliwość na Valerę... podobnie i moją winę uznano za bezsporną.

— Gdzie to znalazłeś, smarkaczu? — szepnęła Flagg, a Naomi wydała cichy jęk.

— O tak, zapomniałeś już — powtórzył Peter. — Myślę, że prędzej czy później istoty takie jak ty zaczynają się powtarzać, bo znają tylko kilka prostych sztuczek. Po jakimś czasie zawsze znajdzie się ktoś, kto je przejrzy. I to chyba jest naszym jedynym ratunkiem.

Medalion kołysał się w blasku ognia.

— Kto się tym przejmie? Kto w to uwierzy?

— Niejeden. Gdyby ludzie nawet mieli wątpliwości co do całej reszty, uwierzą, że jesteś tak stary, jak podpowiada im serce, potworze.

— Daj mi to!

— Zabiłeś Eleanor Valerę i zabiłeś mojego ojca.

— Tak, przyniosłem mu wino — rzekł Flagg, ciskając wzrokiem pioruny — i śmiałem się, gdy mu płonęły wnętrzności, a jeszcze bardziej, kiedy prowadzono cię na szczyt Iglicy. Ale ci, którzy usłyszeli, że się do tego przyznaję, wkrótce stracą życie, a nie ma żadnego świadka, który widział, jak niosłem wino do jego komnat! Widziano tylko ciebie!

A wtedy zza pleców Petera odezwał się nowy głos. Nie był on silny; wręcz przeciwnie — ledwo dało się go usłyszeć, no i drżał. Ale na jego dźwięk wszyscy, Flagg również, oniemieli ze zdziwienia.

— Owszem, jest świadek. — Z ukrytego w półmroku ojcowskiego fotela dobiegły słowa Thomasa. — Ja cię widziałem, czarnoksiężniku.

Peter odsunął się na bok i zrobił w tył zwrot, wciąż trzymając medalion w wyciągniętej dłoni. „Thomas!” — chciał wykrzyknąć, ale nie zdołał, tak zaskoczyły go zmiany, jakie zaszły w bracie. Utył i jakby się postarzał. Zawsze bardziej przypominał Rolanda niż Peter, ale teraz podobieństwo stało się wręcz niesamowite.

„Thomas!” — spróbował jeszcze raz i nagle zobaczył, dlaczego łuk i strzała nie znajdowały się na swoim miejscu nad głową Dziewięciaka. Łuk leżał na kolanach Thomasa, a strzała nasadzona była na cięciwę.

Wtedy właśnie Flagg krzyknął i rzucił się naprzód z uniesionym nad głową katowskim toporem.

Nie był to okrzyk wściekłości, lecz przerażenia. Strach ściągnął bladą twarz Flagga i zjeżył mu włosy. Usta drżały. Peter odczuł zaskoczenie na widok podobieństwa, ale poznał swojego brata; Flagga całkowicie omamiły migoczący ogień i głębokie cienie, rzucane przez oparcie fotela, na którym siedział Thomas.

Zapomniał o Peterze. Rzucił się z toporem na postać w fotelu. Zabił starszego pana już raz, za pomocą trucizny, a teraz pojawił się on znowu, siedząc w swoim śmierdzącym, zachlapanym miodem szlafroku, z łukiem i strzałą w dłoniach, patrząc na Flagga nieprzytomnym, oskarżycielskim wzrokiem.

— Upiorze! — krzyknął Flagg. — Nie dbam, czy jesteś duchem, czy demonem z samych piekieł! Zabiłem cię! I zrobię to po raz drugi!

Thomas zawsze dobrze strzelał z łuku. Chociaż w czasach, gdy Peter siedział w Iglicy, rzadko polował, często jednak chodził na strzelnicę i, pijany czy trzeźwy, zachował celne oko ojca. Miał znakomity cisowy łuk, nie umywał się on jednak do tego, który trzymał teraz w ręku. Ten był lekki i elastyczny, a równocześnie czuło się jego niezwykłą siłę. Mimo dużych rozmiarów — dwa i pół metra w najszerszym miejscu — miał w sobie wdzięk, a chociaż siedzącemu w fotelu Thomasowi nie starczyło miejsca, żeby go napiąć do końca, pokonał opór czterdziestu kilogramów bez większego wysiłku.

Młot na Wrogów to prawdopodobnie największa strzała, jaką kiedykolwiek wykonano, o drzewcu z drewna sandałowego, piórach ze skrzydła sokoła anduańskiego i grocie z łniącej stali. Napinając łuk, Thomas poczuł bijący od niej żar.

— Okłamałeś mnie, czarnoksiężniku — powiedział cicho i puścił cięciwę.

Świsnęła strzała. Gdy przelatywała przez komnatę, trafiła w sam środek medalionu Levena Valery, który wciąż zwisał z wyciągniętej ręki oszołomionego Petera. Złoty łańcuszek pękł z cichym brzękiem.

Jak wam mówiłem, od czasu owej nocy, gdy pod koniec bezowocnej wyprawy w poszukiwaniu uchodźców Flagg obozował ze swą drużyną na skraju puszczy, dręczył go koszmarny sen, którego nie mógł sobie przypomnieć. Zawsze budził się

z niego, przyciskając dłoń do lewego oka, jakby w nie został zraniony. Bolało go potem przez kilka minut, chociaż nie mógł stwierdzić, co jest nie w porządku.

Teraz strzała Rolanda, niosąc na swym czubku medalion Valery, przeleciała przez bawialnię starego króla i trafiła właśnie w to oko.

Flagg krzyknął. Topór o podwójnym ostrzu wypadł mu z rąk i gdy uderzył o podłogę, rękojeść tego zbroczonego krwią narzędzia mordy rozpadła się raz na zawsze. Czarnoksiężnik się cofnął i z nienawiścią wpatrywał się jednym okiem w Thomasa. Na miejscu drugiego znajdowało się złote serce, na którego czubku zaschła krew Petera. Wokół krawędzi medalionu zaczęła się sączyć jakiś cuchnący, czarny płyn — z całą pewnością nie krew.

Flagg wrzasnęła po raz drugi, padł na kolana...

...i nagle zniknęła.

Peter szeroko otworzył oczy. Ben Staad krzyknął. Przez chwilę ubranie czarnoksiężnika zachowało jego kształt; na sekundę strzała z przedziurawionym serduszkim na grocie zawisała w powietrzu. Potem szaty się zapadły, a Młot na Wrogów z łoskotem gruchnął na podłogę. Z czubka jego stalowego grotu unosił się dym. Z podobnym zjawiskiem wiele lat temu spotkał się Roland, gdy wyciągnął strzałę z gardła smoka. Serduszko przez moment lśniło matową czerwienią, a jego kształt na zawsze odbił się na kamieniach, gdzie upadło po zniknięciu czarnoksiężnika.

Peter zwrócił się do brata.

Niezwykłe opanowanie Thomasa minęło. Nie przypominał już teraz Rolanda; wyglądał jak przestraszony i okropnie zmęczony mały chłopiec.

— Przepraszam, Peter — powiedział i zaczął płakać. — Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro. Pewnie mnie teraz zabijesz, a ja wiem, że na to zasługuję, ale zanim to zrobisz, chcę ci powiedzieć jedno. Zapłaciłem za wszystko. O tak. Płaciłem, płaciłem, płaciłem. A teraz zabij mnie, jeżeli tak ci się podoba.

Thomas odrzucił w tył głowę i zamknął oczy. Peter podszedł do niego. Pozostali wstrzymali oddech, patrząc z napięciem.

Peter ostrożnie podniósł Thomasa z ojcowskiego fotela i chwycił brata w objęcia.

Trzymał go tak, aż minęła pierwsza burza łez, po czym powiedział mu, że jest jego najukochańszym bratem na zawsze; a potem płakali obaj, siedząc pod wypchaną głową smoka, u stóp mając ojcowski łuk, aż w pewnym momencie pozostali wysłizgnęli się z komnaty, zostawiając ich samych.

Czy żyli potem długo i szczęśliwie?

Nie. Nikomu to się nie zdarza, bez względu na to, co mówią baśnie. Trafiały się dobre dni, tak jak i wam, no i złe, o których także sami coś niecoś wiecie. Odnosili zwycięstwa i ponosili klęski, co wam też nie jest obce. Czasami wstydzili się za siebie, wiedząc, że nie stanęli na wysokości zadania, a niekiedy mieli świadomość, że sprostali wymaganiom swego boga. Ogólnie mówiąc, żyli tak, jak potrafili, wszyscy razem i każdy z osobna; jedni dłużej, a drudzy krócej, ale zawsze odważnie i uczciwie, za co ich kocham i wcale się tego nie wstydzę.

Thomas i Peter poszli razem do nowego Sędziego Najwyższego Delainu, a Petera ponownie zamknięto w areszcie. Jego druga wizyta w więzieniu okazała się o wiele krótsza niż pierwsza — trwała tylko dwie godziny. Thomas potrzebował piętnastu minut na opowiedzenie swojej historii, a Sędzia Najwyższy, mianowany za aprobatą Flagga, mały, zastraszonego człowieczek, zużył pozostałą godzinę i trzy kwadransy na sprawdzenie, czy straszliwy czarnoksiężnik rzeczywiście zniknął.

Zarzuty zostały obalone w całości.

Wieczorem wszyscy — Peter, Thomas, Ben, Naomi, Dennis, a nawet Frisky — spotkali się w dawnych komnatach Petera. Ten poczęstował swoich gości winem, a pies też dostał trochę na spodku. Tylko Thomas wolał nie pić alkoholu.

Peter chciał, żeby brat został z nim, ale Thomas się uparł — moim zdaniem, słusznie — że gdyby został, ludzie rozdarliby go na strzępy za to, do czego dopuścił.

— Byłeś tylko dzieckiem — tłumaczył Peter — a ten potwór cię terroryzował.

Thomas odparł ze smutnym uśmiechem:

— To po części prawda, ale ludzie nie będą chcieli o tym pamiętać, Peter. Nie zapomną Thomasa Dawcy Podatków i znajdą mnie wszędzie. Przeszukają dokładnie każdy kąt. Flagg zniknął, ale ja jestem na miejscu. Moja głowa to być może przedmiot mało ważny, ale mimo to bardzo pragnąłbym ją zachować jeszcze przez jakiś czas. — Zastanowił się przez chwilę i mówił dalej: — Będzie dla mnie najlepiej, jeśli odejdę, uwierz mi. Zazdrość i nienawiść są jak malaria. Teraz

mi przeszły, ale kto wie, czy po kilku latach twoich rządów nie nastąpi nawrót. Widzisz, już siebie co nieco poznałem. Muszę odejść, Peter, i to jeszcze dziś wieczorem. Im prędzej, tym lepiej.

— Ale... dokąd pójdziesz?

— Na poszukiwania — odparł Thomas. — Skieruję się chyba na południe... Mam wiele rzeczy na sumieniu, sporo spraw, za które powinienem odpokutować.

— Czego chcesz szukać? — zapytał Ben.

— Flagga — odrzekł Thomas. — On gdzieś tam się kryje. Na tym świecie albo drugim, ale jest. Wiem o tym, wiatr przynosi mi zapach jego trucizny. Udało mu się uciec w ostatniej chwili. Wy też go doskonale czujecie. Znajdę go i zabiję. Pomszczę naszego ojca i odkupię swój wielki grzech. Pójdę najpierw na południe, bo wyczuwam, że tam właśnie się ukrywa.

Peter rzekł:

— A kto będzie ci towarzyszył? Ja nie mogę, za wiele jest tutaj do zrobienia. Ale nie pozwolę ci wyruszyć samemu! — Wyglądał na bardzo zmartwionego, a gdybyście widzieli mapę z owego okresu, zrozumielibyście dlaczego: w tamtych czasach na południu były same białe plamy.

Wzbudzając powszechne zdziwienie, Dennis powiedział:

— Ja pójdę, królu.

Obaj bracia odwrócili się do niego zaskoczeni. Ben i Naomi zrobili to samo, a Frisky podniosła głowę znad swojego wina, które chleptała z entuzjazmem (zapach podobał jej się bardzo — miał kolor chłodnej, aksamitnej purpury; był prawie tak wspańiały jak smak). Dennis oblał się rumieńcem, ale nie usiadł.

— Zawsze byłeś dla mnie dobrym panem i, za przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości, coś mówi mi, że jesteś nim nadal. A skoro to właśnie ja znalazłem tę mysz i wysłałem cię do Iglicy, królu...

— Phi! — zawołał Peter. — To wszystko już zapomniane.

— Nie dla mnie — odparł z uporem Dennis. — Możesz powiedzieć, że byłem młody i nie wiedziałem, co robię, ale ja też chcę odpokutować za swoje błędy. — Spojrzał nieśmiało na Thomasa. — Pójdę z tobą, panie, jeśli mnie z sobą weźmiesz; przyłączam się do twoich poszukiwań.

Thomas ze łzami w oczach odparł:

— Przyjmuję cię z radością, poczcwiwy Dennisie. Mam nadzieję, że gotujesz lepiej niż ja.

Wyruszyli jeszcze tego samego wieczoru pod osłoną ciemności — dwie postacie z plecakami, oddalające się w mrok. Obejrzelі się tylko raz i pomachali na pożegnanie.

Trójka pozostających odpowiedziała tym samym gestem. Peter płakał tak, jakby miało mu pęknąć serce; prawdę mówiąc, był prawie pewien, że to nastąpi.

Już nigdy go nie zobaczę, pomyślał.

No cóż, widzieli się jeszcze, a może i nie; ale myślę, że chyba jednak tak. Mogę wam tylko powiedzieć, że Ben i Naomi pobrali się, Peter rządził długo i sprawiedliwie, Thomas i Dennis zaś przeżyli wiele niezwykłych przygód i spotkali Flagga, któremu stawili czoło.

Teraz wszakże robi się już późno, a to należy do zupełnie innej opowieści, którą przedstawię wam we właściwym czasie.

1 Po angielsku „Bóg” to *God*, a „pies” — *dog*.